



**KATHY
REICHS**

**kości
pająka**



**KATHY
REICHS**
kości
pajaka

Z języka angielskiego przekładł
Przemysław Hejmej



Dla

**Henry'ego Charlesa Reichsa,
urodzonego 20 grudnia 2009 roku**

„Dopóki nie wróca do domu”

Motto JPAC

Podziękowania

Książka *Kości Pająka* powstała w znacznej mierze dzięki pomocy i wsparciu moich współpracowników, przyjaciół oraz rodziny.

Najpierw i przede wszystkim muszę podziękować ludziom z Wojskowej Połączonej Komendy Poszukiwania i Rejestrowania Żołnierzy Zabitych i Zaginionych, w skrócie JPAC, oraz z Centralnego Laboratorium Identyfikacyjnego (CIL). Doktor Robert Mann (Amerykańskie Towarzystwo Antropologii Sądowej, dyrektor, Amerykańska Akademia Nauk Sądowych) cierpliwie udzielał odpowiedzi na tysiące pytań, niektóre przesyłając esemesem z Azji Południowo-Wschodniej. Doktor William R. Belcher (Amerykańskie Towarzystwo Antropologii Sądowej, antropolog sądowy, konsultant) i podpułkownik Wayne Perry (Siły Powietrzne Stanów Zjednoczonych, dyrektor ds. Public Relations) byli moimi gospodarzami – umożliwili mi dokładne zapoznanie się ze swoją placówką. Archiwistka Andretta Schellinger (sekcja J-2) przybliżyła mi tajniki prowadzenia kartoteki i archiwizowania danych. Audrey Meehan, specjalistka w zakresie badań DNA, oświeciła mnie w kwestii analiz DNA metodą stosowaną przez JPAC. Doktor Thomas D. Holland (Amerykańskie Towarzystwo Antropologii Sądowej, dyrektor naukowy CIL) był na tyle wyrozumiały, że zaakceptował wkroczenie przeze mnie na jego terytorium zarówno w sensie zawodowym, jak i literackim.

Równie bezcenna okazała się pomoc ze strony doktor Kanthi De Alwis, byłego głównego patologa sądowego miasta i okręgu Honolulu. Śledcza Pamela A. Cadiante dostarczyła mi szczegółów dotyczących procesu prowadzenia postępowania w przypadku śmierci, obowiązującego na Hawajach.

Alain St-Marseille, łącznik w biurze koronera w Module des Scènes de Crime SQ, Division de l'Identité Judiciaire, Service de la Criminalistique, detektyw Mike Dulaney z wydziału zabójstw policji w Calgary oraz sierżant Harold (Chuck) Henson z policji w Charlotte-Mecklenburg udzielili mi pomocy w różnych sprawach związanych z pracą policji i innych instytucji strzegących porządku publicznego.

Mike Warns odpowiadał na bardzo dziwne pytania, jakie mu zadawałam. Frank i Julie Saulowie, Ken Kennedy, Tony Falsetti oraz David Sweet wzbogacili moją wiedzę na temat złotych ozdób na zębach oraz wypełnień dentystycznych.

Niepublikowany maszynopis książki Milesa Davisa, zatytułowanej *In the Belly of the Lizard* (W brzuchu jaszczurki) ukazał mi kulisy amerykańskiego zaangażowania w wojnę wietnamską.

Cenię sobie stałe wsparcie udzielane mi przez kanclerza Philipa L. Dubois z Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte.

Wdzięczna jestem całej mojej rodzinie za jej cierpliwość i zrozumienie. Dodatkowe podziękowania kieruję do Paula Reichsa za to, że czytał i komentował mój maszynopis, a także za to, że podzielił się ze mną swoimi wspomnieniami z Wietnamu.

Najszczersze słowa podziękuję przekazuję mojej agentce Jennifer Rudolph Walsh oraz redaktorkom-wirtuozom: Nan Graham i Susan Sandon. Pragnę również wyrazić wdzięczność wszystkim tym, którzy tak ciężko pracowali na moje konto. Byli wśród nich: Katherine Monaghan, Paul Whitlatch, Rex Bonomelli, Simon Littlewood, Gillian Holmes, Rob Waddington, Glenn O'Neill, Briton Schey, Margaret Riley, Tracy Fisher, Michelle Feehan, Cathryn Summerhayes i Raffaella De Angelis. Mam ponadto dług wdzięczności wobec ekipy kanadyjskiej, zwłaszcza Kevina Hansona oraz Amy Cormier.

I jestem, rzecz jasna, wdzięczna moim czytelnikom. Wielkie dzięki za wasze e-maile, wasze odwiedziny na mojej stronie internetowej, za waszą obecność podczas podpisywania książek, wieczorków autorskich, spotkań literackich i na innych imprezach. Ale nade wszystko dziękuję, że czytacie moje opowieści. Wiem, że wasz czas jest bezcenny. Dlatego uważam za wielki zaszczyt fakt, iż zdecydowaliście się spędzić go w towarzystwie Tempe i moim.

Jeśli zapomniałam komuś podziękować, gorąco przepraszam. Wszelkie błędy, które być może znajdują się w tej książce, wynikły wyłącznie z mojej winy.

1

Powietrze pachniało słońcem – rozgrzaną korą i pączkami jabłoni pragnących zakwitnąć, wyrrywających się do życia. Wysoko w górze miliony drobnych listków tańczyło na wietrze.

Stałam w sadzie, skąd wybiegały w dal rozległe pola z żyzną, świeżo zaoraną warstwą czarnej gleby. Na horyzoncie majaczyły góry Adirondacks, krzykliwe zielonobrazowe w cudownym świetle słońca.

Dzień stworzony z brylantów.

Słowa te, które właśnie przyszły mi na myśl, pochodziły z pewnego dramatu wojennego, jaki widziałam na kanale telewizyjnym z klasycznymi filmami. Van Johnson? Nieważne. Fraza idealnie oddawała nastrój majowego popołudnia.

Jestem dziewczyną ze stanu Karolina, nie przepadam za klimatem polarnym. Żonkile w lutym. Azalie, krzewy dereniowe, Wielkanoc na plaży. Choć na Północy przepracowałam już wiele lat, po każdej długiej, ciemnej, monotonnej zimie piękno wiosny w Quebecu nie przestaje mnie zaskakiwać.

Świat lśnił niczym dziewięciokaratowy brylant.

Nieustępliwe brzęczenie sprawiło, że mój wzrok powędrował z powrotem w kierunku leżących przy moich nogach zwłok. Według agenta SQ André Bandaua, który teraz trzymał się od nich możliwie jak najdalej, zostały wyciągnięte na brzeg mniej więcej w południe.

Wieści rozchodzą się szybko. Była dopiero trzecia, ale muchy już roiły się w szale konsumpcji. Albo rozmnażania. Nigdy nie byłam tego pewna.

Stojący na prawo ode mnie technik zajmował się robieniem zdjęć. Po lewej inny członek ekipy rozwijał żółtą policyjną taśmę wzdłuż fragmentu linii brzegowej, przy której leżały zwłoki. Obaj mieli kamizelki z napisem „Service de l’identité judiciaire, Division des scènes de crime”. Kanadyjski odpowiednik CSI.

Ryan siedział w samochodzie służbowym za moimi plecami, rozmawiając z mężczyzną w czapce bejsbolówce. Lieutenant-déetective Andrew Ryan, Section des crimes contre la personne, Sûreté du Québec. Brzmi świetnie. Ale świetne nie jest.

Jeśli chodzi o Quebec, w większych miastach walką z przestępczością zajmują się miejscowe siły policyjne, natomiast na prowincji – lokalni stróże prawa. Ryan jest detektywem z wydziału zabójstw, zwanego SQ.

Ciało zauważono w stawie nieopodal miasta Hemmingford, 70 kilometrów na południe od Montrealu. Hemmingford. Zadupie. SQ. Wiadomo.

Ale skąd tu Ryan, gliniarz z wydziału zabójstw działający poza montrealską siedzibą SQ?

Ponieważ nieboszczyk został znaleziony owinięty w folię z kamieniem u nogi, miejscowe SQ podejrzewało nieczyste zagranie. Stąd obecność Ryana.

Oraz moja. Temperance Brennan, antropologa sądowego.

Pracuję w terenie dla Laboratoire de sciences judiciaires et de médecine légale w Montrealu. Z nadania władz prowincji zajmuję się zwłokami w stanie rozkładu, zmumifikowanymi, okaleczonymi, rozczłonkowanymi oraz szkieletami – pomagam koronerowi przy identyfikacji, ustalaniu przyczyny śmierci oraz czasu zgonu.

Przebywanie w wodzie niezbyt korzystnie wpływa na stan zwłok, dlatego – gdy tylko Ryan odebrał informację telefoniczną o topielcu – zaangażował mnie.

Przez szybę samochodu widziałam, jak pasażer Ryana gwałtownie gestykuluje. Mężczyzna miał koło pięćdziesiątki, siwy kilkudniowy zarost oraz pewne cechy w wyglądzie wskazujące na upodobanie do alkoholu. Czarne i czerwone litery na jego czapce deklarowały: *I Love Canada*. Normalne w takich razach tradycyjne serduszko zastępował klonowy listek.

Ryan kiwnął głową. Zapisał coś w znanym mi niewielkim notatniku.

Skupiając się ponownie na zwłokach, kontynuowałam zapiski w moim osobistym notesie.

Ciało spoczywało na wznak w obramowaniu przezroczystego foliowego worka, z którego wystawała tylko lewa, odsłonięta noga. Srebrna taśma izolacyjna owinięta była wokół worka poniżej podbródka ofiary oraz wokół jej lewej łydki.

Na lewej stopie tkwił ciężki motocyklowy but. Ponad jego cholewą ukazywał się szeroki na pięć centymetrów fragment ciała w kolorze jasnobezowym.

Mniej więcej w połowie wysokości sznurowania buta znajdował się owinięty wokół niego kawałek żółtej linki z polipropylenu. Jej drugi koniec otaczał kamień płataniną skomplikowanych węzłów.

Głowę ofiary owinięto osobno czymś, co przypominało plastikową torbę na zakupy. Z jednej strony owej torby sterczała czarna tuba, utrzymywana w miejscu dzięki zwiększonej ilości taśmy izolacyjnej. Całość zabezpieczono jeszcze taśmą okręconą dookoła szyi ofiary oraz otworu wyjściowego tuby.

O co tu biega?

Kiedy przykucnęłam, bzyczenie przeszło w czyste szaleństwo. Lśniące zielone pociski odbijały się od mojej twarzy i włosów.

Z mniejszej odległości zapach rozkładu stawał się wyraźny. To źle, biorąc pod uwagę fakt, że zwłoki ofiary były opakowane.

Odpędzając muchówki, zmieniałam pozycję, aby mieć lepszy widok na drugą stronę ciała.

W tym, co uznałam za prawe udo, pulsowała ciemna masa. Odgoniłam musze roje ubraną w rękawiczkę dłonią.

I poczułam przyływ irytacji.

Przez świeże nacięcie na foliowym worku widać było prawe przedramię. Muchy tłoczyły się przez chwilę w walce o jak najlepszą pozycję na nadgarstku ofiary, po czym przeniosły się gdzieś wyżej, znikając z pola widzenia.

Jasna cholera.

Tłumiąc rozdrażnienie, przeniosłam uwagę na głowę.

W fałdach i załamaniach worka okrywającego szczyt i tył czaszki zgromadziły się wodorosty. Kolejne tkwiły z jednej strony dziwnej, niewielkiej tuby.

Przez ów półprzezroczysty całun mogłam dostrzec punkty charakterystyczne. Podbródek. Krawędź oczodołu. Nos, złamany i przemieszczony w jedną stronę. Wzdęcie i odbarwienie ciała wskazywały, że ofiary nie da się zidentyfikować wzrokowo.

Podnosząc się, skierowałam spojrzenie na staw.

Stała tam, dziobem do brzegu, niewielka aluminiowa łódź wiosłowa z silnikiem zaburtowym o mocy trzech koni mechanicznych. Z tyłu, na poszyciu, znajdowała się chłodziarka do piwa, pojemnik na przynętę oraz wędką.

Obok łódki widać było czerwone canoe, leżące na sterburcie nieco dalej od wody. Poniżej górnej krawędzi burty napisano białymi literami słowo *Navigator*.

Linka z polipropylenu ciągnęła się od węzła na ławeczce pośrodku canoe do kamienia na brzegu. Zauważyłam, że węzły na owym kamieniu przypominały ten, który otaczał kostkę ofiary.

Wzdłuż sterburty canoe, w jego wnętrzu, leżało wiosło. Pod siedzenie na rufie wciśnięto płócienny marynarski worek. Tuż obok tkwiły nóż i rolka taśmy izolacyjnej.

Do bzyczenia much przyłączył się teraz pomruk silnika; wokół mnie rozpoczęła się krzątanina robiących swoje techników. Nie zwracałam na to uwagi.

Cztery i pół metra dalej wzdłuż linii brzegowej, pod przedwcześnie zakwitłym drzewem tkwił pordzewiały czerwony motorower. Z miejsca, w którym stałam, nie dawało się odczytać jego tablicy rejestracyjnej. Przynajmniej ja nie mogłam tego zrobić.

Podwójne lusterka wsteczne. Podpórka. Podwyższony bagażnik za siodełkiem. Całość przywodziła mi na myśl mój pierwszy motorower z czasów studenckich. Uwielbiałam go.

Przemierzając przestrzeń dzielącą łódkę i motorower, dostrzegłam ślady opon o bieżniku zgodnym z tym, jaki znajdował się na oponach pick-upa zaparkowanego przy drodze, oraz jeden ślad pasujący do motoroweru. Żadnych odcisków stóp czy butów. Żadnych niedopałków papierosów, aluminiowych puszek, prezerwatyw i papierków po batonikach. W ogóle żadnych śmieci.

Idąc z powrotem wzdłuż linii wody, kontynuowałam obserwacje. Odgłos silnika narastał.

Płytki staw o mulastych brzegach, bez pływów i prądów. Jabłonie w odległości półtora metra od brzegu. Dziewięć metrów do szutrowej drogi łączącej się z trasą numer 219.

Zachrzęściły opony. Dźwięk silnika nagle ucichł. Otworzyły się drzwi samochodu, a potem zamknęły. Męski głos odezwał się po francusku.

Uznawszy z satysfakcją, że niczego więcej już się nie dowiem na miejscu, i chcąc zamienić słowo ze skrzętnym agentem Bandauem, obróciłam się i ruszyłam w kierunku pojazdów stojących na drodze.

Do należącego do Ryana jeepa, niebieskiego samochodu służbowego, pick-upa wędkarskiego oraz radiowozu Bandaua dołączył czarny van. Widniały na nim żółte litery *Bureau du Coroner*.

Rozpoznałam kierowcę, technika zajmującego się sekcjami zwłok nazwiskiem Gilles Pomerleau. Towarzyszył mu mój nowy asystent Roch Lauzon.

Gdy wymieniliśmy się pozdrowieniami, zapewniłam Pomerleau i Lauzona, że nie będą musieli długo czekać. Przeszli przez taśmę, aby obejrzeć zwłoki. Ryan pozostał w samochodzie wraz z pechowym wędkarzem.

Podeszłam do Bandaua, wysokiego, dwudziestoparoletniego chudzielca o pszeniczojasnej brodzie i skórze, która wyglądała, jakby naprawdę nie cierpiała słońca. Mimo że na głowie miał czapkę agenta, zauważyłam blade kosmyki włosów wypadające w ilościach, które powinny zaalarmować ich właściciela.

– O co chodzi z tym foliowym workiem? – zapytał Bandau po francusku, omijając mnie wzrokiem i spoglądając w kierunku ciała.

– Dobre pytanie. – Nie miałam żadnej odpowiedzi.

– Kobieta czy mężczyzna?

– Tak – powiedziałam.

Twarz Bandaua zastygła, w jego lotniczych okularach odbijało się moje oblicze.

Nie wyglądałam na specjalnie szczęśliwą.

– Podobno to ty odebrałaś zgłoszenie?

Bandau skinął głową, jego oczy pozostały niewidoczne za ciemnymi szklami.

– Jak to było?

Bandau wskazał podbródkiem swój radiowóz.

– Ofiarę znalazł miejscowy, facet nazwiskiem Gripper. Twierdzi, że łowił ryby, gdy zobaczył canoe. Podpłynął bliżej, żeby mu się przyjrzeć, wtedy coś zaczepiło się o śrubę. Mówi, że podwiosłował trochę pagajem, a następnie odkrył, że złowił trupa. Zadzwoił więc na policję z komórki. Nie czekał, tylko wyciągnął ciało na brzeg, zadbał też o canoe.

– Solidny gość.

– Przypuszczałem, że pani to powie.

– Można mu wierzyć? – spytałam.

Bandau wzruszył ramionami. *Kto to wie?*

– Dane na jego temat?

– Mieszka z żoną przy avenue Margaret. Pracuje jako konserwator w rezerwacie przyrody.

Hemmingford leży w regionie Montérégie, rzut kamieniem od granicy kanadyjsko-amerykańskiej. Słynie z jabłek, syropu klonowego oraz Parc Safari, stanowiącego połączenie rezerwatu przyrody z parkiem rozrywki.

Gdy zaczęłam pracować w Quebecu, media pasjonowały się historią grupy małych zwanych rebusami, które uciekły z parku. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak przekradają się na południe, nocą, aby nie natknąć się na patrole graniczne, ryzykując wszystko dla jednej zielonej karty i lepszego życia. Dwadzieścia lat później obraz ten wciąż wydawał mi się zabawny.

– Mów dalej – rzuciłam.

– Odebrałem telefon koło dwunastej w południe, przyjechałem, zabezpieczyłem teren.

– I zostawiłeś na zwłokach odciski palców – dodałam chłodno.

Wyczuwszy dezaprobatę, Bandau stanął szerzej i zatknął palce za pasek.

– Sądziłem, że uda mi się szybciej ustalić tożsamość ofiary.

– Przeciąłeś foliowy worek.

– Byłem w rękawiczkach. – Postawa obronna. – Proszę posłuchać, miałem przy sobie nowy aparat, zrobiłem więc zdjęcia w zbliżeniu i przesłałem plik drogą elektroniczną.

– Ingerowałeś w stan miejsca znalezienia zwłok.

– Jakiego miejsca? Facet pływał sobie w stawie.

– Wszystkie muchy złożą się, żeby postawić ci piwo. Zwłaszcza panie. Kiedy my tu gadamy, one nie posiadają się z radości, że mają gdzie złożyć jaja.

– Próbowałem tylko pomóc.

– Złamałeś procedury.

Bandau zacisnął wargi.

– Co z odciskami?

– Mamy odfitki linii papilarnych wszystkich pięciu palców. Ktoś z poczty przesłał plik do CPIC. Stamtąd poszedł zarówno do NCIC, jak i do nowojorskiego systemu stanowego.

CPIC to Kanadyjskie Policyjne Centrum Informacyjne, komputerowa baza danych na temat przestępczości kryminalnej. Jego amerykańskim odpowiednikiem jest NCIC, czyli Krajowe Centrum Informacji Kryminalnej, prowadzone przez FBI.

– Po co wysłać odciski do Stanów?

– Ponieważ mieszkamy niedaleko granicy, gościmy tu wielu Amerykanów. A skuter ma nowojorską tablicę rejestracyjną.

Nieźle, Bandau.

Słyszac zamykajace się drzwi samochodu, oboje się odwróciliśmy.

Ku nam szedł Ryan. Na chwilę pozostawiony w spokoju Gripper opierał się o swój pick-up, wyglądał na zaniepokojonego.

Ryan skinął Bandauowi głową, ale zwrócił się do mnie.

– I co sądzisz?

– Facet nie żyje.

– Facet?

– Opieram się wyłącznie na rozmiarze zwłok.

– Od jak dawna?

– Trudno powiedzieć. Biorąc pod uwagę, że w tym tygodniu utrzymywały się wysokie temperatury i że był zapakowany w folię, przypuszczam, że jeden, dwa dni. Zaczął się już rozkład, ale nie jest zaawansowany. – Rzuciłam Bandauowi wymowne spojrzenie. – Teraz to się szybko zmieni, bo robactwo uzyskało pełny dostęp – dodałam i powiedziałam Ryanowi o tym, co zrobił Bandau.

– A cóż to za amatorskie zagranie, co?

Policzki Bandaua stały się malinowe.

– Tych spraw nigdy się w ten sposób nie załatwia, synu.

Ryan ponownie skierował uwagę na mnie.

– Dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu pasuje do zeznań świadka. Gripper mówi, że bywa tu w dni wolne od pracy, zwykle we wtorki i czwartki. Zarzeka się, że przedwczoraj staw był wolny od wszelkich zwłok i canoe.

– Sposób położenia wodorostów wskazuje, że ciało dryfowało z głową na powierzchni wody lub tuż pod nią – powiedziałam.

Ryan przytaknął.

– Według Grippera zwłoki pływały z głową ponad wodą, uwiązane za obutą nogę do kamienia na dnie. Przypuszcza, że w miejscu, gdzie znalazł tego faceta, staw jest głęboki na jakieś dwa i pół metra.

– Gdzie było canoe?

– W pobliżu ofiary. Gripper mówi, że właśnie dlatego lina zaplątała się w jego śrubę.

Ryan zwrócił się do Bandaua.

– Zobacz, czy są jakieś informacje o tych odciskach.

– Tak jest.

Ryan i ja obserwowaliśmy, jak Bandau sady susami w kierunku swojego radiowozu.

– Naoglądał się chyba za dużo telewizyjnych programów o gliniarzach – powiedział Ryan.

– Ale nie tych odpowiednich – odparłam.

Ryan rzucił okiem na ciało, a następnie znów spojrzął na mnie.

– Co o tym sądzisz?

– Dziwne – powiedziałam.

– Samobójstwo? Wypadek? Morderstwo?

Rozłożyłam dłonie w geście „któż to może wiedzieć”.

Ryan się uśmiechnął.

– Właśnie dlatego korzystam z twoich usług.

– Ofiara prawdopodobnie przechowywała canoe w pobliżu stawu i przyjeżdżała tu oraz odjeżdżała motorowerem.

– Przyjeżdżała skąd?

– Nie mam pojęcia.

– No, no. Nie dam sobie rady bez ciebie.

Gdzieś w górze zaśpiewał drozdek rudy. Inny mu odpowiedział. Wesołe dźwięki ostro kontrastowały z ponurą rozmową, jaka toczyła się między ludźmi poniżej.

Zadarłam głowę, ale w tym momencie ptaki zerwały się do lotu, spłoszone pospiesznymi krokami.

– Mamy go. – Wielkie okulary Bandaua zwiślały teraz z jego kieszeni, zaczepione jednym zausznikiem. – Trafienie w Stanach. Dopasowanie trzynastoelementowe.

Brwi Ryana wystrzeliły w górę jeszcze wyżej niż moje.

– John Charles Lowery. Data urodzenia: dwudziesty pierwszy marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku.

– Nieźle, Bandau. – Tym razem powiedziałam to na głos.

– Jest tylko jeden problem.

Surowa twarz Bandaua przybrała wyraźny odcień zatroskania.

– John Charles Lowery zmarł w sześćdziesiątym ósmym roku.

2

– Jak Lowery może być naszym topielcem, skoro wykorkował cztery dekady temu? – Ryan głośno wypowiedział pytanie, które zadawałam sobie w duchu.

Nie znalazłam odpowiedzi.

Jechaliśmy na północ drogą numer 15. Gdzieś za nami znajdował się wóz koronera. Pomerleau i Lauzon mieli zawieźć swojego rozmiękłego pasażera do prosektorium, aby zaczekał w chłodziarce do chwili, gdy rano odwinę go z folii.

– Może to błędne trafienie.

– Dopasowanie trzynastoelementowe? – Ton mojego głosu wyrażał przemożny sceptycyzm, który mnie ogarnął.

– Pamiętasz tego prawnika z Oregonu?

Brandona Mayfielda. Zdaniem FBI był powiązany z zamachem bombowym w metrze w Madrycie; podejrzenie powstało w oparciu o odciski palców. Okazało się, że dopasowanie było błędne.

– To był niefart – powiedziałam. – Sądysz, że dotykanie ciała nieosłoniętą ręką fałszuje obraz?

– Niekoniecznie. Głupawy postępek, ale chyba niespecjalnie szkodliwy.

– Chciał dobrze.

Ryan potrząsnął głową z powątpiewaniem.

Przez kilka kilometrów jeep wypełniała cisza. Przerwał ją Ryan.

– Jedziesz do domu?

Przytaknęłam.

Po paru minutach przejechaliśmy Champlain Bridge. Pod nami toczyła swe zimne i ciemne wody Rzeka Świętego Wawrzyńca. Z jednej strony migwały świeżuteńką zielenią małe ogrody i trawniki rozlokowane wśród osiedli mieszkalnych i apartamentowców na Île-des-Œœurs.

Ruch pojazdów w mieście przywodził na myśl przemieszczanie się mułu przez słomkę. Jeep szarpał się i spinał, gdy Ryan naciskał na przemian pedały gazu i hamulca.

Miły? O tak. Dowcipny, pozytywnie nastawiony. Wielkoduszny? Absolutnie. Ale

cierpliwy? Nic z tego. Podróż z Ryanem to często prawdziwa próba.

Spojrzałam na zegarek. Dziesięć po piątej.

Normalnie Ryan zdążyłby już wypytać mnie o moje plany dotyczące kolacji. Proponowałby jakąś restaurację. Dziś jednak tego nie zrobił.

Kolacja z córką? Piwo z chłopakami? Randka?

Czyżby mnie to obchodziło?

Opuściłam szybę. Oleisty zapach wody wdarł się do wnętrza samochodu. Ciepły cement. Spaliny.

Taa. Obchodziło mnie to.

Zdołam zapytać?

Nie ma mowy. Od czasu, gdy ze sobą zerwaliśmy, między nami utrzymywała się nowa obustronna równowaga. Relacja czysto zawodowa: taka sama jak zawsze. Relacja na gruncie towarzyskim: lepiej nie pytać, lepiej nie mówić – szkoda gadać.

To był mój wybór, naprawdę. Chociaż Lutetia przeszła już do historii, fakt, że zostawił mnie dla swojej byłej, wciąż bolał.

Kto się sparzy, dwa razy się potem zastanowi.

I był jeszcze Charlie Hunt.

Krótko, w żołnierskich słowach. Charlie na położonym na dachu tarasie swojego domu z piaskowca na przedmieściach Charlotte. Cynamonowa skóra. Szmaragdowe oczy. Wysoki jak jego ojciec, który grywał w NBA.

Nieźle.

Rzuciłam okiem w kierunku Ryana.

Piaskowe włosy. Błękitne oczy. Długi i szczupły jak jego ojciec z Nowej Szkocji.

Też nieźle.

Prawdę mówiąc, po długich latach małżeństwa, a potem trudnym okresie dostosowawczym po separacji, po którym z kolei nastąpiła stabilizacja i niezаслужone odejście do lamusa, bardzo podobało mi się zrezygnowanie z życia w monogamii.

Z dwoma maleńkimi wyjątkami. Nie sypiałam z Ryanem od czasu, gdy zerwaliśmy ze sobą poprzedniego lata. Charlie Hunt miał się dopiero pojawić.

Była to długa, chłodna zima – w podwójnym sensie.

Moją zadumę przerwał dźwięk komórki Ryana.

Słuchałam, jak wydaje z siebie liczne francuskie *oui* i zadaje kilka pytań. Na podstawie tych ostatnich wywnioskowałam, że telefon dotyczy Johna Lowery'ego.

Rozłączywszy się, Ryan zwrócił się do mnie.

– Bandau wysłał zapytanie do Stanów. Okazuje się, że nasz nieboszczyk zginął podczas wojny w Wietnamie.

– Masz melodię z *Ulicy Sezamkowej* jako dzwonek w telefonie?

– *I chmury się rozwiewają* – zaśpiewał Ryan.

– A w łóżku masz pewnie jeszcze pościel z wizerunkiem Wielkiego Ptaka?

– *Bien sûr, madame.* – Znaczące mrugnięcie okiem. – Chcesz przyjść zobaczyć?

– Lowery? Wietnam?

– Słyszałaś kiedyś o ekipie zwanej JPAC?

– Pewnie. Pracowałam z nimi. Z JPAC. Przed rokiem dwa tysiące trzecim nazywali się CILHI.

– Alleluja. Igraszki z alfabetem.

– *Abecadło z pieca spadło* – zaśpiewałam.

– Nie przesadzajmy z tymi cytatami – rzekł Ryan.

– Centralne Laboratorium Identyfikacyjne na Hawajach – CILHI. JPAC powstało wskutek połączenia CILHI oraz Sił Zadaniowych Komisji Rejestracji Zaginionych. Sekcję laboratoryjną JPAC nazywa się obecnie CIL. To największe laboratorium antropologii sądowej na świecie.

– Lowery nie przechodził przez JPAC, ale tam właśnie prowadzą tropy. Jaki jest twój związek z tą instytucją?

– Każda pozytywna identyfikacja szczątków przeprowadzona przez JPAC musi być zatwierdzona przez mnóstwo weryfikatorów, z których część to cywile niezatrudnieni bezpośrednio w CIL. Tym właśnie zajmowałam się przez wiele lat.

– Faktycznie. Zapomniałem już o tych twoich wypadach na Hawaje w środku zimy.

– Dwa razy w roku wymagane jest odbycie podróży służbowej do laboratorium w celach weryfikacji danych.

– I można przy tym trochę posurfować, moja kokosowa księżniczko?

– Ja nie surfuję.

– A może wykonam manewr surfingowy zwany „hang ten” wprost do twojego mieszkania i razem...

– Rzadko miewałam sposobność postawić nogę na plaży.

– Yhm.

– Kiedy zidentyfikowano Lowery’ego? – spytałam.

– Bandau nie powiedział.

– Jeśli to było w latach sześćdziesiątych, wszystko wtedy wyglądało inaczej niż dzisiaj.

Ryan zjechał z rue Sainte-Catherine, minął pół przecznicy i przytulił się do krawężnika tuż przed szarym kamiennym kompleksem z misternymi oknami w wykuszach, wychodzącymi na chodnik. Niestety, moja jednostka mieści się na tyłach budynku i nie czerpie żadnych korzyści z tych architektonicznych fanaberii.

– Facet w folii pójdzie jutro rano na pierwszy ogień?

– Owszem. Ponieważ różnica czasu wynosi pięć godzin, jeszcze dziś wieczorem zadzwonię do CIL, zobaczę, czego się dowiem o Lowerym.

Idąc w kierunku drzwi, czułam na plecach wzrok Ryana.

Wiosna w Quebecu oznacza dla mnie zwykle sporo pracy. Rzeki i jeziora tracą pokrywę lodową. Topi się śnieg. Pojawiają się zwłoki. Mieszkańcy schodzą z kanap, aby się wybrać na wycieczkę w dzicz. Niektórzy odkrywają kolejne zwłoki. Inni stają się zwłokami.

Ponieważ mój majowy dyżur w Montrealu trwa zazwyczaj dość długo, Birdie podróżuje wraz ze mną jako nielegalny bagaż pod siedzeniem. Z wyjątkiem czasu spędzonego w samolocie, ta mała futrzana kulka stanowi całkiem dobre towarzystwo.

Mój kot czekał na mnie za frontowymi drzwiami.

– Cześć – kucnęłam, żeby go pogłaskać.

Obwąchał moje spodnie, wyciągając szyję daleko w przód. Mordkę miał skierowaną w górę, a jego nos wsysał powietrze szybkimi, krótkimi haustami.

– Masz dziś dobry dzień?

Birdie odsunął się i przysiadł na skromnie złączonych łapkach.

– *Eau de décomp* to nie jest twój ulubiony zapach, co? – podniosłam się i rzuciłam torebkę na komodę.

Kot wstał i polizał łapę.

Moje mieszkanie jest małe. Od frontu znajduje się salon z jadalnią, w kształcie litery L, oraz długi i wąski aneks kuchenny, na tyłach zaś jedna sypialnia, gabinet i dwie łazienki. Usytuowane jest na parterze, w skrzydle czteropiętrowego budynku w kształcie litery U. Przeszklone drzwi prowadzą z salonu wprost na maleńkie ogrodzone podwórko. Po przeciwnej stronie inne drzwi wychodzą z jadalni na centralny dziedziniec.

Już na samym początku do tego miejsca przekonał mnie fakt, że z jednej strony ma ono bezpośrednie wyjście na trawnik, a z drugiej na ogród. Minęło ponad 10 lat, a ja wciąż tu mieszkam.

Pomimo zniewagi, jakiej dopuściłam się wobec jego zmysłu powonienia, Birdie miał ogromny apetyt i czym prędzej podreptał za mną do kuchni.

Wnętrze mojego mieszkania utrzymane jest w kolorach zwanych barwami ziemi; stoją tu używane meble, którym przydałam patyny starości. Wykończenie z prawdziwego drewna. Kominek z piaskowca. Oprawny w ramy plakat Jeana Dubuffeta. Wazon pełen muszli, aby przypominał mi o wybrzeżu Karoliny.

Automatyczna sekretarka mrugała światełkiem, jakby była naćpana.

Sprawdziłam wiadomości.

Moja siostra Harry, z Houston, niezadowolona z przebiegu ostatniej randki.

Moja córka Katy, z Charlotte, nie cierpiąca swojej pracy, swojego życia towarzyskiego oraz ogólnie całego świata.

„Gazette”, sprzedaż prenumeraty.

Harry.

Mój sąsiad Sparky narzekający na Birdiego. Znowu.

Harry.

Charlie Hunt. „Myślę o tobie”.

Harry.

Skasowałam wszystkie i poszłam pod prysznic.

Na kolację było linguini polane oliwą z oliwek, ze szpinakiem, grzybami i serem feta. Birdie najpierw zlizął z makaronu cały ser, a potem pożarł chrupiące brązowe grudki, jakie miał w swojej misce.

Umywszy naczynia, zadzwoniłam do CIL.

Telefon znajdujący się osiem tysięcy kilometrów od tutejszej tundry odebrano już po pierwszym dzwonku. Przedstawiłam się i poprosiłam Rogera Merkela, dyrektora naukowego laboratorium.

Merkel był w Waszyngtonie, Dystrykt Kolumbia.

– A doktor Tandler?

– Proszę poczekać.

Daniel Tandler jest zastępcą dyrektora CIL. Będąc w podobnym wieku, oboje pokonywaliśmy te same szczeble, choć w innych placówkach. Poznaliśmy się jeszcze na uczelni dzięki studenckiemu związkowi należącemu do Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych. Przeżyliśmy nawet krótki moment uniesień cielesnych w pewien mglisty poranek o świtaniu, gdy rodził się świat. Dobra zabawa, choć niewłaściwy czas. Pojawił się Pete Petersons. Wysłałam za męża, kontynuowałam studia na Northwestern, po czym dostałam się na wydział najpierw na Uniwersytet Północnego Illinois, a następnie na Uniwersytet Karoliny Północnej w Charlotte. Danny utknął całkowicie na Uniwersytecie Tennessee, a po obronieniu doktoratu wyładował od razu na Hawajach.

Ucieczka? Może. Ale niestety, nie całkiem. Danny Tandler ożenił się i wypadł z gry.

Przez wszystkie te lata Danny i ja wspieraliśmy się nawzajem podczas pisania naszych prac doktorskich, egzaminów końcowych, rozmów kwalifikacyjnych i opinii dotyczących awansu zawodowego. Gdy CIL potrzebny był jakiś nowy konsultant zewnętrzny, Danny proponował mnie. Tak było od początku lat dziewięćdziesiątych. Funkcjonowałam w ten sposób prawie dziesięć lat.

Oczekiwanie na Tandlera trwało tylko kapkę dłużej niż jeden sygnał połączenia telefonicznego.

– Tempe, *me lass*^[1]. Jak leci? – Głos wskazywał na kogoś żyjącego na wsi, na wielkich otwartych przestrzeniach.

– Dobrze.

– Powiedz, że przemyślałaś sprawę i wracasz do nas do pracy.

– Jeszcze nie.

– Tu jest teraz dwadzieścia siedem stopni. Czekaj, czekaj. – Dramatyczne szelesty. – OK. Założyłem okulary. Słońce znad wody mnie oślepiło.

– Jesteś w budynku na terenie należącym do wojska.

– Liście palm delikatnie całują moje okno.

– Zostaw te słowa na zimę. Teraz jest tu pięknie.

– Czemuż zawdzięczam tę nieoczekiwaną niespodziankę?

Opowiedziałam mu o stawie, plastikowej folii, odciskach palców oraz zidentyfikowaniu ofiary jako Lowery’ego.

– Po co to całe opakowanie?

– Nie mam pojęcia.

– Dziwaczne. Zobaczmy, czy mogę wyciągnąć kartotekę Lowery’ego.

Trwało to pełne dziesięć minut.

– Wybacz. Za niecałe pół godziny mamy tu ceremonię powitalną. Większość ludzi poszła już do hangaru. Na razie mogę przekazać ci dane podstawowe. Szczegóły będą musiały poczekać.

– Rozumiem.

Rozumiałam. Ceremonia powitalna to uroczystość ku czci nieznanego żołnierza, marynarza, lotnika czy żołnierza piechoty morskiej, który zginął gdzieś daleko od domu, pełniąc swą służbę. Po odzyskaniu ciała i przewiezieniu go na amerykańską ziemię uroczystość ta stanowi pierwszy krok skomplikowanej procedury repatriacyjnej.

W okresie współpracy z JPAC uczestniczyłam w kilku ceremoniach powitalnych. Oczyma wyobraźni widziałam scenę, jaka miała się tam za chwilę rozegrać. Samolot ląduje. Żołnierze i żołnierki stoją na baczność. Widać pojemnik-trumnę owinięty flagą. Uroczysty przejazd przez całą bazę do laboratorium CIL.

– Szeregowy John Charles Lowery był osiemnastoletnim białym mężczyzną. Wyruszył do Wietnamu w dniu dwudziestego czwartego czerwca sześćdziesiątego siódmego roku. – Ton głosu Danny’ego wskazywał, że czyta pobieżnie, wybierając najistotniejsze fakty. – Lowery zginął w katastrofie śmigłowca niedaleko Binh w dniu dwudziestego trzeciego stycznia sześćdziesiątego ósmego. – Pauza. – Ciało znaleziono kilka dni później, zidentyfikowano, przekazano rodzinie w celu pogrzebania.

– Pogrzebania gdzie?

– W twoich stronach. Lumberton, Karolina Północna.

– Żartujesz.

W tle słyszałam jakiś głos. Danny coś powiedział. Głos zareagował.

– Sorry, Tempe. Muszę lecieć.

– Nie ma problemu. Porozmawiamy jutro. Powinnam wiedzieć trochę więcej, kiedy już zbadam faceta.

Ale wcale się tak nie stało.

^[1] Z jęz. irl. – „moja dziewczynko” (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

3

Nazajutrz wstałam z łóżka o siódmej. Pół godziny później moja mazda rozgrzewała się, przejeżdżając przez tunel Ville-Marie. Pogoda znów była cudowna.

Édifice Wilfrid-Derome to masywna 13-piętrowa budowla w kształcie litery T w dzielnicy Hochelaga-Maisonneuve, na wschód od *centreville*. Laboratoire de sciences judiciaires et de médecine légale zajmuje dwa górne piętra budynku. Bureau du coroner mieści się na jedenastym, prosektorium w podziemiach. Pozostałe powierzchnie należą do SQ.

No właśnie. Ryan i ja pracujemy w odległości ośmiu pięter od siebie.

Mimo że poranna odprawa nie przyniosła żadnych przykrych niespodzianek dla antropologów, czwartek ten miał się okazać nadzwyczaj pracowity. Jednemu z patologów przypadły śmiertelne porażenie prądem w miejscu pracy oraz zadźganie nożem. Drugi miał się zająć podejrzaną śmiercią noworodka oraz ofiarą pożaru. Pierre LaManche, dyrektor sekcji medyczno-sądowej LSJML, sobie przydzielił domniemanego nastoletniego samobójcę.

LaManche wziął też na siebie sprawę o sygnaturze LSJML-49744, przypisanej Johnowi Lowery'emu, poprosił jednak, bym brała w niej udział. Ponieważ tożsamość zwłok została już ustalona na podstawie odcisków palców, a czynności wstępne zakończono, kolejnym krokiem było – w zależności od stanu ciała – albo przeprowadzenie przez LaManche'a normalnej sekcji zwłok, albo oczyszczenie kości i analiza szkieletu dokonane przeze mnie.

Przed dziewięcią trzydzieści znajdowałam się już na parterze w *salle d'autopsie* numer 4, specjalnie wyposażonej do badań zwłok w stanie rozkładu, topielców i innych przyjemniaczków. W tym miejscu pracuję bardzo często.

Podobnie jak trzy pozostałe sale, także ta z numerem 4 ma wahadłowe drzwi prowadzące do rozmieszczonych równolegle wnęk prosektoryjnych, w których znajdują się chłodnie. Białe karteczki oznaczają obecność ich tymczasowych lokatorów.

Znalazłszy wnękę, w której czekał na mnie LSJML-49744, wzięłam aparat Nikon i sprawdziłam stan baterii. Następnie chwyciłam za klamkę ze stali nierdzewnej.

Zapach rozkładającego się ciała wydostał się wraz ze świstem chłodnego powietrza. Zwolniwszy nożny hamulec, wysunęłam nosze z otworu.

Pomerleau i Lauzon darowali sobie normalny worek na ciało. Zrozumiałe, zważywszy na egzotyczne ubranko Lowery'ego.

Robiłam właśnie zdjęcia panoramiczne, kiedy drzwi otworzyły się z kliknięciem i usłyszałam skrzypienie podłogi pod czyimiś krokami.

Po chwili pojawiła się przede mną Lisa Savard.

Włosy barwy jasnego miodu, uśmiech i biust w typie Dolly Parton. Lisa to przedmiot westchnień każdego prostego gliniarza z wydziału zabójstw w Quebecu. Jest też moją ulubienicą, ale z innych powodów. To najlepsza specjalistka od sekcji zwłok w tej części kraju.

Aby rozwijać swoje umiejętności językowe, Lisa zawsze rozmawia ze mną po angielsku.

– Dziwny, tak?

– Zdecydowanie.

Przez chwilę badawczo przyglądała się Lowery'emu.

– Wygląda jak ta lalka Ken wciąż nie rozpakowana. Radiologia?

– Tak, poproszę.

Kiedy Lisa wykonywała zdjęcia rentgenowskie, ja przeglądałam dossier Lowery'ego. Nie zawierało zbyt wiele. Policyjny raport z miejsca zdarzenia. Formularz przyjęcia ciała do kostnicy. Raport Bandaua z dopasowania odcisków palców przez NCIC. Faks przedstawiający kartę z odciskami dawnego typu.

Sprawdziłam, skąd nadano faks. NCIC.

Ciekawe. Jeśli Lowery zmarł w sześćdziesiątym ósmym, dlaczego wciąż znajdował się w systemie? Czy tak dawno pobrane odciski ciągle bierze się pod uwagę w rutynowym poszukiwaniu?

Pod wpływem impulsu zadzwoniłam do sekcji daktyloskopii Service de l'identité judiciaire. Sierżant Boniface kazał mi przyjść na górę. Chwyciwszy akta, zaczęłam wspinać się po schodach na pierwsze piętro.

Czterdzieści minut później zesłam bogatsza o wywołującą zawrót głowy wiedzę na temat wzorów namiotowych, pętlicowych i przypadkowych wirów. Wniosek: chociaż Boniface nie wiedział, dlaczego Lowery znajdował się w bazie danych FBI, nie miał żadnych wątpliwości, że dopasowanie jest trafne.

Lowery leżał teraz na przytwierdzonym do podłogi stole pośrodku *salle 4*. W jego plastikowym całunie wciąż znajdowały się muchy, ich bzykanie unosiło się w powietrzu. Policyjny fotograf strzelał zdjęcia w planie ogólnym, stojąc na drabinie.

LaManche wraz z Lisą przyglądali się badawczo zdjęciom rentgenowskim przypiętym do podświetlonych kwadratów na ścianie. Przyłączyłam się do nich, gdy wolno przesuwali się od jednego do drugiego.

Na każdej błonie widniał lśniący białością szkielet otoczony bladoszarym ciałem. W kształcie czaszki i kości nie zauważyłam niczego niezwykłego.

Byliśmy przy piątej kliszy, gdy wykrzywiony palec LaManche'a zastukał w wizerunek jakiegoś przedmiotu leżącego tuż obok prawej stopy Lowery'ego. Nieprzenikliwy dla promieni RTG obiekt tkwił pod pewnym kątem w stosunku do kości piętowej ofiary.

– *Un couteau* – rzekła Lisa. Nóż.

– *Oui* – odrzekł LaManche.

Zgodziłam się z nimi.

Kolejna zdobycz znajdowała się w klatce piersiowej. Długi na mniej więcej osiem centymetrów, szeroki na dwa drugiego przedmiot jaśniał równie wyraźnie jak pierwszy.

– *Mais oui*. – LaManche wolno kiwał głową, w końcu rozumiejąc. – *Oui*. – Kiwanie przeszło w kręcenie głową. – *Sacré bleu*.

Świetnie. Ta dziwaczna śmierć nagle stała się dla szefa sensowna. Dla mnie ciągle nie.

Zastanawiałam się nad tym czymś w klatce piersiowej Lowery'ego. To nie kolejny nóż. Ani zegarek, ani sprzączka od paska, ani nic z przyborów wędkarskich. Nie miałam pojęcia, co to mogłoby być.

Podchodząc do ciała, LaManche zaczął dyktować.

– Ofiara jest podwójnie zawinięta w rodzaj domowej roboty pokrowca z dużej foliowej płachty, zabezpieczonego taśmą izolacyjną. Spód oraz cała jego powierzchnia z wyjątkiem górnych dziesięciu centymetrów zostały uszczelnione z zewnątrz. Okolice szyi oraz górne dziesięć centymetrów są uszczelnione od środka.

– Folia została niedawno przecięta i ukazała się prawa ręka ofiary. W rejonie przecięcia uwidacznia się aktywność owadów o umiarkowanym nasileniu.

Gdy LaManche monotonicznie wymieniał kolejne detale, fotograf trząsał zdjęciami, przy każdym ujęciu zmieniając umiejscowienie kartki z identyfikatorem sprawy.

– Wydaje się, że ofiara sama weszła do worka, następnie uszczelniła folię jedną ręką, wysuwając ją z dziesięciocentymetrowego otworu bocznego, który następnie zabezpieczyła od środka.

LaManche gestem kazał Lisie zmierzyć linkę na kostce.

– Lewa stopa jest obuta i połączona z kamieniem za pomocą dwudziestocentymetrowej linki z polipropylenu. Prawdopodobnie ofiara najpierw przywiązała linkę do kamienia, a następnie do kostki nogi, która wystawała z foliowego worka.

Lisa manewrowała przymiarem taśmowym, a LaManche podawał uzyskane przez nią

wymiary do dyktafonu.

– Zewnętrzna warstwa plastikowej folii ma jeden metr szerokości na dwa i pół metra długości i przylega ściśle do ciała ofiary.

LaManche przesunął się do krawędzi stołu. Muchy uniosły się w górę z gniewnym bzyczeniem. Ich małe ciała odbijały się o świetlne prostokąty znajdujące się za mną.

– Głowa owinięta osobno. Rurka oddechowa wystaje na zewnątrz, przytroczona taśmą izolacyjną do głównego worka.

Rurka oddechowa?

Spojrzałam na pokryty szlamem cylinder. Czy to całe foliowe ubranko było w istocie czymś w rodzaju improwowanego stroju do nurkowania?

– Dolna krawędź worka jest ściśle owinięta wokół szyi i przymocowana taśmą.

I tak dalej, i tym podobnie. Lisa dokonywała pomiarów. LaManche zapisywał długości, umiejscowienie, rozmiary otworów. Na końcu zbadał palpacyjnie stan czaszki.

– Rurka oddechowa jest przemieszczona na bok i do tyłu względem ust.

Nie wiem, dlaczego pomyślałam o stroju do nurkowania, może zasugerowałam się rurką wystającą z ust Lowery’ego. Rurki, przez którą zamierzał oddychać.

Nagle coś mi zaświtało. Opakowanie ciała. Kamień u kostki. Nóż umożliwiający ucieczkę, ale znajdujący się daleko poza zasięgiem.

Co za tuman ze mnie. Szef wpadł na to o wiele szybciej.

Ale pod wodą? Musiałam coś sprawdzić w literaturze.

W tym momencie odezwała się moja komórka.

Ryan.

Zdjęłam rękawiczki, przeszłam do poczekalni i odebrałam.

– Co się dzieje?

– Odwijamy Lowery’ego.

– Wydajesz się bardzo pewna, że to faktycznie on.

Opisałam mu moje spotkanie z Boniface’em.

- Za wcześnie na ustalenie przyczyny śmierci?
- Jestem prawie pewna, że LaManche podejrzewa asfiksję autoerotyczną. Facet zawiązał się sam, żeby mieć orgazm.
- W stawie? – głos Ryana zabrzmiał sceptycznie.
- Wszystko jest możliwe, gdy realizuje się marzenia.
- Warto zjechać tam na dół, żeby rzucić okiem?
- Dla asfiksji autoerotycznej zwykle warto.
- Tak przy okazji, myślę, że chciałabyś o tym wiedzieć. Tablica rejestracyjna motoroweru prowadzi do niejakiego Morgana Shelby’ego z Plattsburgha w stanie Nowy Jork. Właśnie skończyłem z nim pogawędkę. Shelby powiada, że sprzedał skuter gościowi z Hemmingford, nazwiskiem Jean Laurier. Transakcja była, powiedzmy, nieoficjalna.
- Gotówka, żadnych papierków, pojazd wyrusza na północ, a Laurier nie musi płacić akcyzy na granicy.
- Bingo. Według Shelby’ego kupiec obiecał, że załatwi kwestię rejestracji skutera oraz tablice rejestracyjne w Quebecu.
- Ale tego nie zrobił.
- Sprzedaż miała miejsce zaledwie dziesięć dni temu.
- Jean Laurier. John Lowery.
- *Oui, madame.*
- Co o nim wiadomo?
- Bandau poszperał trochę i odnalazł paru miejscowych, którzy znali faceta. Jeden z nich mówi, że Laurier mieszka w Hemmingford od niepamiętnych czasów.
- Od 1969?
- Ów dżentelmen nie był aż tak konkretny.
- Czym zajmował się Laurier?
- Pracował jako złota rączka, wolny strzelec.
- Znow gotówka?

– *Oui, madame.* Laurier trzymał się raczej z dala od normalnych procedur. Nie głosował w wyborach, nie płacił podatków. Brak numeru ubezpieczenia społecznego. Informatorzy Bandaua mówią, że facet był samotnikiem, dziwnym, ale niegroźnym.

– Czy znasz OMZ? – Ostatnie miejsce zamieszkania.

– *Oui, madame.* Ale przetrząsnę je dopiero jutro. Wchodzisz w to?

– Jestem wolna.

– To jesteśmy umówieni.

– To nie jest randka, Ryan.

– Więc może małe *après*-przeszukanie u mnie?

– Obiecałam Birdiemu, że przygotuję mu jajka na ostro.

– Zadzwoiłem też na policję w Lumberton – Ryan wymawiał samogłoski dłużej niż południowiec. – Fajne, życzliwe chłopaki tam pracują.

– Aha.

– W okolicy wciąż mieszkają ludzie o nazwisku Lowery. Facet, z którym rozmawiałem, pamięta Johna i obiecał mi, że pójdzie do biblioteki skopiować zdjęcia tego chłopaka ze szkolnego tableau.

– Dlaczego odciski palców znajdowały się w systemie?

– Ze względu na jakąś robotę na pół etatu, którą wykonywał, będąc w liceum. Był pomocnikiem pielęgniara albo sanitariuszem w szpitalu dla psychicznie chorych. Coś w tym stylu.

– Jestem pod wrażeniem.

– A ja jestem śledczym. Więc śledzę. Zjawię się, kiedy tylko przyjdzie faks z twarzą Lowery’ego.

W południe foliowy worek na głowę oraz drugi – okrywający wcześniej resztę ciała – wisiały na hakach w holu i schły. Rurka oddechowa okazała się zwykłą fajką do nurkowania. Została sfotografowana, oczyszczona i wysłana na górę do analizy.

Podobnie jak mały kawałek plastiku, owinięty dookoła penisa Lowery’ego. Miał być sprawdzony pod kątem obecności płynów fizjologicznych.

Lowery leżał na wznak na nierdzewnej stali, ze zniekształconą twarzą, wzdętą moszną, opuchniętym brzuchem. Zaczynał robić się zielony. Ale generalnie facet nie był w złym stanie.

Analiza szkieletowa okazała się zbędna.

– Biały mężczyzna, wiek od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat – dyktował LaManche.
– Włosy czarne. Oczy piwne. Obrzezany. Brak blizn, piercingu i tatuaży.

Pomagałam Lisie manewrować metrówką.

– Około stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów wzrostu.

Ryan pojawił się w momencie, gdy LaManche krążył dookoła zwłok, sprawdzając oczy, dłonie, skórę głowy i otwory ciała. Wręczył mi faks, który przyszedł z Lumberton.

Zdjęcie – bardzo małe i niewyraźne – mogło przedstawiać każdego. Jednak kilka rzeczy wydawało się oczywistych.

Chłopiec miał ciemne oczy, łukowate brwi i regularne rysy twarzy. Krótkie czarne włosy zaczesane na bok.

– Na ciele ofiary brak oznak przemocy. – LaManche uniósł głowę i skinął nią na powitanie. – Witam, detektywie.

Wyjaśnwszy, skąd faks pochodzi, Ryan podał go LaManche'owi. Oboje z Lisą pilnie go studiowali.

– Proszę go umyć – zażyczył sobie LaManche.

Lisa skierowała dyszę strumieniową na głowę Lowery'ego. Po czym osuszyła ją ręcznikiem, zaczesła mu włosy na bok i umieściła zdjęcie z faksu tuż obok prawego ucha.

Cztery pary oczu biegały jak piłeczki pingpongowe od faksu do twarzy i z powrotem.

Czterdzieści lat życia i dwa dni śmierci dzieliły mężczyznę na stole od chłopca na fotografii. Wprawdzie nos był teraz bardziej bulwiasty w kształcie, a zarys szczęki bardziej zwiotczały, jednak ofiara wyłowiona ze stawu miała te same ciemne włosy i oczy, te same brwi w stylu Ala Pacino.

Czy topielec z Hemmingford stanowił starszą wersję chłopaka z Lumberton?

Nie byłam tego pewna.

– Myśli pan, że to on? – spytałam LaManche'a.

Szef wzruszył ramionami we francuskim stylu, co można było różnie rozumieć. *Kto to wie? Dlaczego mnie o to pytasz? Jakimi ziołami doprawiasz swoje ragoût?*

Spojrzałam na Ryana. Nie odrywał oczu od człowieka na stole.

Nic dziwnego. Sprawa była zagadkowa.

John Lowery zginął, mając na sobie: bawełniany elastyczny biustonosz marki Glamorise, koloru różowego, rozmiar 44B; majtki damskie z poliestru firmy Blush, koloru różowego, rozmiar large; czepki pielęgniarzki z mieszanki bawełny i poliestru, rozmiar uniwersalny, biały z niebieskim paskiem; jeden podkuty but marki Harley-Davidson, lewy, koloru czarnego, rozmiar 10.

To była cała jego garderoba.

Do plastikowego worka Lowery zabrał ze sobą dwa narzędzia: rektoskop (w celach, których nie chciałam sobie wyobrazić) oraz szwajcarski scyzoryk mający mu umożliwić wydostanie się na zewnątrz, kiedy impreza się już zakończy.

Rektoskop znajdował się w tkanym woreczku zwisającym z szyi ofiary. Nóż tkwił przy stopach.

Ślady ugryzień na ustniku fajki do nurkowania wskazywały, że nie była to pierwsza próba solowej zabawy pod wodą podjęta przez Lowery'ego. Tym razem jednak coś poszło źle. Najbardziej prawdopodobny scenariusz: rurka wysunęła mu się z ust, nóż wypadł mu z ręki i nie mógł go dosięgnąć.

Widok był niecodzienny, ale wstępna opinia szefa wydawała się całkowicie słuszna. Śmierć Lowery'ego nastąpiła wskutek przypadkowego uduszenia się, związanego z asfiksją autoerotyczną.

John Charles Lowery zmarł, bawiąc się w niegrzeczną pielęgniarzkę, pod wodą, w worku, który sam skonstruował.

4

Sobotni poranek przyniósł raz jeszcze nieskalanie błękitne niebo. Meteorolodzy znów obiecywali dwadzieścia siedem stopni ciepła.

Trzy piękne wiosenne dni jeden po drugim. Chyba rekord, jak na Montreal.

LaManche zadzwonił koło dziewiątej. Przez grzeczność – wcale nie musiał. Lubię to w nim.

Ustalenia przeprowadzonej przez niego sekcji zwłok były takie, jakich się spodziewałam. Poza niewielkimi zmianami miażdżycowymi Lowery nie cierpiał za życia na żadne poważniejsze schorzenia. Brak zmian patologicznych pourazowych. Nieznaczny obrzęk płuc. Zawartość alkoholu we krwi na poziomie 132 mg/100 ml.

Przyczyną śmierci było uduszenie wskutek niedoboru tlenu. Uznano ją za przypadkową w kontekście asfiksji autoerotycznej.

Przed dziesiątą mknęliśmy z Ryanem na południe w kierunku Hemmingford. Nastrój miał wyśmienity. Szalona piątkowa noc? Mały ruch na drodze? Zbyt wiele zjedzonych pączków? Nie drążyłam tematu.

Spytałam natomiast, jak długo Laurier/Lowery mieszkał pod adresem, pod który zmierzaliśmy. Ryan odparł, że bardzo długo.

W takim razie zaczęłam się zastanawiać, jak Laurierowi/Lowery'emu udawało się żyć poza systemem. Ryan opowiedział mi przydługawą historię o tym, jak niefrasobliwie podchodzi się do umów najmu oraz kwestii własnościowych. Krótko mówiąc, gdy właściciel nieruchomości umiera bezpotomnie, ktoś taki jak Laurier/Lowery może zwyczajnie mieszkać dalej tam, gdzie mieszkał. Bardziej opłaca mu się uiszczać stosowne podatki niż czynsz i korzystać z nazwiska zmarłego. Czy coś w tym stylu.

Rozmowa zeszła dalej na sprawę nieszczęśliwego zgonu Jeana Lauriera/Johna Lowery'ego. Przecież nie mogliśmy tego nie omówić.

– Więc Lowery był zboczony na punkcie zawijania się w plastikową folię, schodzenia pod wodę i masturbowania się w stawie. – W głosie Ryana pobrzmiwał niesmak.

– W stroju pielęgniarki.

– Przypuszczalnie przebrał się, siedząc w canoe. W worku marynarskim znajdowały się spodnie, skarpetki, tenisówki i koszula.

– Musiał mieć niezłe wycucie równowagi.

- Była tam też latarka.
- Co wskazuje, że wszedł do stawu nocą.
- Ty byś weszła? – Ryan potrząsał głową. – Nie kapuję tego. Jaka w tym frajda?

Ponieważ nie mam życia osobistego, w poprzedni wieczór poszperałam tu i ówdzie i dowiedziałam się, że termin „autoerotyczny” oznacza różnego rodzaju zachowania seksualne realizowane w samotności, podczas których wykorzystuje się dany rekwizyt, urządzenie albo inny instrument do wywołania satysfakcji seksualnej. Zdawałam sobie sprawę, że Ryan doskonale o tym wie.

– Większość zachowań autoerotycznych ma miejsce w zaciszu domowym – powiedziałam.

– O rany. Naprawdę?

– Śmierć następuje zwykle wskutek niezadziałania wcześniej przygotowanego mechanizmu umożliwiającego wydostanie się.

– Prawdopodobnie Lowery zgubił swoją fajkę do nurkowania, spanikował i upuścił nóż, za pomocą którego miał się uwolnić.

– Tak uważa LaManche. I brzmi to przekonująco. Większość śmiertelnych ofiar asfiksji autoerotycznej to dzieło przypadku. Człowiek dusi się albo zadławia, ponieważ bawi się w wieszanie bądź bandażowanie albo stosuje jakiś foliowy worek. W grę wchodzi także porażenie prądem, wprowadzenie ciała obcego, niestosowne, wyzywające ubranie albo owijanie ciała.

– Owijanie ciała?

– Foliowy worek na głowie to rzecz dość typowa, owinięcie całego ciała już mniej. Wczoraj wieczorem czytałam o sześćdziesięcioletnim mężczyźnie, którego znaleziono zawiniętego w czternaście koców, z penisem w foliowym worku. Pewien czterdziestosześcioletek miał na sobie siedem par pończoch, suknię oraz damską bieliznę z otworem umożliwiającym wyjęcie wacka. Dwudziestotrzyletni nauczyciel umarł wystrojony w foliowy płaszcz przeciwdeszczowy, trzy bawełniane spódnice, prochowiec oraz plastikowe...

– Zajarzyłem. Ale o co w tym chodzi?

– O maksymalizację podniecenia seksualnego.

Zabójcze spojrzenie pary oczu w moim kierunku.

– Znam lepsze sposoby osiągnięcia tego celu.

Och, czyżby. Czulałam, że się rumienię. Nie cierpiałam tego. Starłam się skoncentrować

na tym, czego się dowiedziałam poprzedniego wieczoru.

– Pobudzenie autoerotyczne wywoływane jest tylko przez konkretne mechanizmy przyczynowo-skutkowe, które nie są zbyt liczne. – Odhaczałam je na palcach jednej ręki. – Po pierwsze, bezpośrednie stymulowanie sfer erogennych. – Kciuk złączył się z palcem środkowym. – Po drugie, stymulowanie ośrodków seksualnych w centralnym układzie nerwowym.

– Na przykład podczas duszenia się lub wieszania.

– Albo w pełni zasłaniając głowę. Dobrze wiadomo, że niedotlenienie mózgu wpływa na zwiększenie przyjemności seksualnej.

Kciuk dotknął palca serdecznego.

– Po trzecie, przez wywołanie lęku i bólu w kontekście fantazji o charakterze masochistycznym. Dodajmy do tego jeszcze porażenie się prądem albo zanurzenie w wodzie, na przykład.

– Walenie konia pod wodą nie jest chyba aż tak powszechne.

– Jest na to osobna nazwa. *Aqua-eroticum*. W literaturze znalazłam informacje o kilku przypadkach. Jedna z ofiar używała kamienia przywiązanego do nogi, dokładnie tak jak Lowery.

Ryan zjechał na szosę 219. Minęliśmy staw, a po paru minutach zatrzymaliśmy się na poboczu przy skrzynce pocztowej z numerem 572, wymalowanym ręcznie na jednym z jej boków. Radiowóz SQ już czekał.

Przyglądaliśmy się budynkowi bardzo uważnie.

Parterowe domostwo Lauriera/Lowery'ego znajdowało się w pewnym oddaleniu od drogi, częściowo zasłonięte przez gęsty sosnowy zagajnik. Zielona fasada. Po prawej niewielka szopa.

Idąc żuźlowym podjazdem, zauważyłam świeżo pomalowane elementy wykończenia i drewno poukładane w równe stosy. Duży ogród za domem nosił ślady niedawnych starań.

Dostrzegłam za oknem jakiś ruch i obróciłam się do Ryana. On też go zauważył.

– Lepiej byłoby, gdyby Bandau nie brał sobie do serca tych bzdur o dzielnym i samotnym stróżu prawa.

Drzwi zewnętrzne były otwarte, a ich framuga na wysokości klamki popękana i potrzaskana. Wraz z Ryanem weszliśmy od razu do salonu, skąpo umeblowanego czymś, co wyglądało jak odrzuty z magazynów Armii Zbawienia. W środku stał Bandau. Słyszając nasze kroki, odwrócił się.

Za plecami Bandaua znajdowało się biurko z komputerem MacBook Pro, który wydawał

się niemal zupełnie nowy. Monitor ustawiono w pozycji pionowej.

– Chyba tym razem nie złamał pan żadnych procedur, co, agencie? – Ryan uśmiechał się lodowato.

– Nie, sir.

– Wszedł pan tu mimo braku nakazu.

– Po prostu zbieram dowody.

– Miejmy nadzieję, że to prawda.

Bandau nie powiedział nic ani na swoją obronę, ani tytułem przeprosin.

Ryan i ja przeczesywaliśmy dom metodycznie, nie bardzo wiedząc, czego szukamy.

W szafkach w kuchni znajdowała się wyszczerbiona zastawa stołowa, środki czystości, towary typowe dla supermarketów oraz tyle żywności w puszkach, że wystarczyłoby do końca świata.

Lodówka zawierała normalny zestaw musztard, nabiału, mielonki i chleba. Żadnego kawioru. Żadnych kaparów. Brak francuskiej butelkowanej wody mineralnej.

W zielonej plastikowej suszarce na naczynia tkwił jeden talerz, szklanka i sztućce. Na blacie stała opróżniona do połowy flaszka szkockiej.

Łazienka, podobnie jak kuchnia, była zaskakująco czysta. W apteczce leki bezrecepturowe i artykuły higieny osobistej. Pod prysznicem tani szampon i mydło.

Także sypialnia nie odznaczała się niczym nadzwyczajnym. Podwójne łóżko z szarym wełnianym kocem, brak kapy. Nocny stolik z lampką, budzik, nawilżające krople do oczu. Drewniana komoda zawierająca bokserki i koszulki, jeden krawat w paski, pięć do sześciu par zrolowanych skarpet, tylko czarnych. Szafa miała wielkość stojącej skrzynki na listy. Spodnie i koszule. Czarne majtki z poliestru. Jedna brzydka kurtka sportowa z brązowego sztruksu.

Na podłodze stały dwie i pół pary ciężkich butów, jedna para lakierków oraz jedna para sandałów, tych z bieżnikiem samochodowym na podeszwach.

Na półce ponad naszymi głowami znajdowały się ciasno ułożone czasopisma.

Ryan sięgnął po kilka z nich i rzucił okiem.

– No, no.

Odczytałam tytuły. „Wielkie cyce”. „Duże tyłki”.

– Facet jest elastyczny – powiedziałam.

Ryan wybrał kolejny magazyn. „Dziewczynki z lizakiem”. Tytuł głównego opowiadania brzmiał: *Zaparkuj w moich majtkach*. Przez chwilę starałam się rozszyfrować przesłanie tego literackiego arcydzieła. Zrezygnowałam. Tego rodzaju próba nie miała raczej sensu.

Spojrzałam na Ryana. Coś mu migotało w oczach. Chyba sugestią dotyczącą majtek kierował w moją stronę.

– Trochę przyzwoitości, szanowny panie.

– Dotamtegujemy się do tego pięknego komputera? – zapytał Ryan nieśmiało.

– Nie ma takiego czasownika.

– Żwawo do dzieła, Inianowłosa panienko.

Zdaje się, że moje spojrzenie z ukosa jeszcze nigdy w życiu nie było tak wymowne.

– Ustępuję, mając na względzie nadzwyczajne zdolności mojej pani.

– Dziękuję.

– Oraz wobec jej nieco pobrudzonej bielizny – wyszeptał.

Walnąwszy Ryana w ramię, dotamtegowałam się do biurka.

Bandau wciąż gapił się przez okno, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, ze sterczącymi łokciami i rękoma założonymi za plecy.

– Brak telefonu – powiedziałam. – Żadnych kabli. Czy Laurier miał swoje konto u ISP?

– To znaczy?

– U dostawcy usług internetowych. Na przykład w Videotronie albo w Bellu.

– Nie znalazłem na ten temat żadnych informacji.

Mac zawarkotał, budząc się do życia, i poprosił o hasło. Spróbowałam wpisać HASŁO. 123456. ABCDEF. Różne kombinacje „Jean” i „Laurier”. Adres Lauriera i nazwa ulicy. Wszystko powyższe zmieszane ze sobą, od tyłu.

Nic.

LOWERY.

Zero.

YREWOL.

Wzięłam inicjały JCR i przypisałam im wartość numeryczną na podstawie kolejności alfabetycznej. 100318. Odwróciłam kolejność. 813001. Zmieniłam inicjały na RCJ. 180310. Jeszcze jedno odwrócenie. 013081.

Kursor wciąż odmawiał pójścia dalej.

Wybrałam cyfry odpowiadające na tarczy telefonu literom LOWERY, 569379.

Weszłam.

Kiedy komputer zabutował się do końca, sprawdziłam, co się kryje pod ikoną w kształcie wachlarza na samym końcu paska narzędzi, po prawej. Trzy kreseczki. Kliknęłam na nie.

– Podkradał sygnał od sąsiadów. – Wskazałam na nazwę użytkownika sieci. Fife. Piątka.

– To możliwe?

– W tej sieci hasłem dostępu jest prawdopodobnie numer telefonu użytkownika. Wiele osób tak robi. Laurier o tym wiedział albo przypadkowo to odkrył. Albo może dostał od kogoś pozwolenie. Tak czy owak, po wprowadzeniu hasła komputer zapamiętuje i automatycznie wybiera daną sieć. Piątka musi być tu gdzieś w pobliżu. Sygnał jest słaby, ale wystarczający.

Ryan zanotował w swoim notatniku słowo „Piątka”, ja przyglądałam się aplikacjom.

Standardowy zestaw dla komputerów Mac. Numery. Poczta. Safari. iCal.

Laurier/Lowery nie korzystał z arkuszy kalkulacyjnych, nie tworzył dokumentów. W książce adresowej nie miał żadnych kontaktów, w kalendarzu nie odnotował umówionych spotkań.

– Nie korzystał z poczty elektronicznej – oświadczyłam. – Ani z iTunes, iPhoto, iMovie, iDVD.

– Rozumiem.

Kolejne przewrócenie oczyma.

– Zobaczmy, jakie znajdował sobie rozrywki w sieci.

Uruchomiłam Safari i sięgnęłam po historię przeglądania.

W ciągu ostatnich dwóch tygodni użytkownik szukał takich haseł jak ściółka do przykrywania drzew na zimę oraz nawozy, a także hybrydy kukurydziane, nurkowanie, niedotlenienie, trujący bluszcz, drut miedziany, dachówki, wiewiórki północnoamerykańskie,

dentyści w Quebecu tudzież rozmaite witaminy.

– Stronę o nazwie *robsoniankropkacom* odwiedziono sześć razy – powiedziałam.

Ryan nachylił się, niemal mnie dotykając. Pachniał męskim potem oraz wodą kolońską w typie „Nic się nie martw, ciesz się życiem”. Chyba olejek pigmentowy Bay Rum.

Lnianowłosa dziewczyna poczuła mrowienie w dolnej części ciała. Udało jej się jednak pozostać w stanie koncentracji.

Robesian.com okazał się adresem internetowego wydania gazety z Lumberton, stolicy okręgu Robeson w Karolinie Północnej.

– Jasny gwint – powiedział Ryan wprost do mojego ucha.

Wróciłam do zapisu połączeń. Już wcześniej rzuciły mi się tam w oczy oznaki znacznej, wiele mówiącej aktywności użytkownika.

Laurier/Lowery odwiedzał dziesiątki witryn przeznaczonych dla osób uchylających się od służby wojskowej w armii amerykańskiej w okresie wojny w Wietnamie lub prowadzonych przez nie. Fragmenty z archiwów CBC. Relacja ze zjazdu dekowników w dwa tysiące szóstym roku w Vancouver. Strona poświęcona społeczności ekspatriantów w Toronto. Jedna z zakładek strony Uniwersytetu British Columbia zatytułowana *Przeciwnicy wojny wietnamskiej mieszkający w Kanadzie*.

– To wszystko wyjaśnia. – Ryan się wyprostował. – Lowery wyjechał z Lumberton do Kanady, żeby uniknąć służby wojskowej w Wietnamie. Od tamtej pory wiódł tu skromne życie jako Jean Laurier.

– Wszystko w porządku, poza jednym dziwactwem. – Wskazałam na kilka adresów internetowych. *Kochaj siebie i mów o tym. Ostro w pojedynkę. Strona o samokrepowaniu*. – Wybierz jedną – dodałam.

Ryan wybrał.

Na blogu znajdowały się dwie opowieści.

Pastor Kościoła baptystów został znaleziony martwy w swoim domu w stanie Arkansas. Był sam, ubrany w kombinezon nurkowy, maskę, rękawice do nurkowania oraz kaptcie. Pod kombinezonem znajdował się drugi, gumowy, z szelkami, tudzież impregnowana męska bielizna i sprzęt do krepowania rąk, z nylonu i skóry. W odbycie wielebnego tkwiło dildo z naciągniętą na nie prezerwatywą.

Pewien hydraulik z Kansas powiesił się na prysznicu na skórzanym pasku należącym do jego żony. Dżentelmen ów jednak przeżył i mógł opowiedzieć swoją historię. Z najdrobniejszymi szczegółami.

Witryna Ramroda miała kolorowy panel boczny zachęcający gości do wejścia do chat roomu. Ryan i ja odrzuciliśmy zaproszenie.

Wyłączony komputer, zaczęłam przeszukiwać biurko na chybił trafił. Czegóż więcej potrzebowaliśmy? Jean Laurier z Hemmingford w Quebecu to niewątpliwie John Charles Lowery, dekonnik z czasów wojny wietnamskiej, pochodzący z Lumberton w Karolinie Północnej.

W górnej szufladzie biurka wały się gumki, spinacze, taśma, długopisy i ołówki. W szufladzie bocznej mieściły się notatniki w linie, koperty oraz dwie pary okularów do czytania, kupionych w aptece.

Słyszałam, jak za moimi plecami Ryan podnosi poduszki na kanapie i otwiera różne szafki.

W niższej bocznej szufladzie znajdowały się peryferia komputerowe, takie jak słuchawki, pędzelki do klawiatury, kable oraz zasilacze sieciowe. Zamykając ją, zobaczyłam biały narożnik skryty pod podkładką na mysz.

Uniosłszy podkładkę, odkryłam biały prostokąt o wymiarach dziesięć na piętnaście centymetrów. Widniał na nim napis z nazwą i datą. *Pająk, 7 kwietnia 1967.*

Wyjęłam to coś i obróciłam na drugą stronę.

Zdjęcie było czarno-białe. Popękane i pomarszczone, wyglądało co najmniej na czterdzieści lat.

Przedstawiało nastoletniego chłopca opierającego się o chevroleta z lat pięćdziesiątych zeszłego wieku, ze skrzyżowanymi nogami i założonymi rękami. Miał ciemne włosy i oczy, ciężkie brwi zataczały łuki ponad górną krawędzią oczodołów. Ubrany był w dżinsy i koszulkę z podwiniętymi rękawami. Jego uśmiech mógłby rozświetlić cały stan Montana.

– Rzuć na to okiem.

Ryan podszedł do mnie. Wręczyłam mu zdjęcie.

– Wygląda jak Lowery – rzekł.

– Z tyłu napisano imię. Pająk.

Ryan przyglądał się fotografii, po czym oddał mi ją.

Wpatrywałam się w twarz Lowery'ego. Bardzo młoda i niewinna.

Przez głowę przeleciały mi inne obrazy. Nabrzmienia od długiego przebywania w wodzie. Folia śliska od wodorostów. Mokry pielęgniarski czepek.

– Skończyliśmy w tym miejscu – odezwał się Ryan.

– Zabieramy to? – Wskazałam gestem na zdjęcie i komputer Mac.

Wzrok Ryana powędrował w kierunku Bandaua, a następnie ku uszkodzonym drzwiom frontowym.

Skinął głową.

– Nakaz obejmuje także to.

Nie miałam o tym pojęcia. Ale to zdjęcie z pewnością by mnie prześladowało przez wiele dni, dokądkolwiek bym się udała.

I o mało przez nie nie zginęłam.

5

Obudził mnie deszcz stukający w szyby. Okiennica wyglądała jak przyćmiony szary prostokąt na tle bardzo mrocznego pokoju.

Rzuciłam okiem na zegar. Dziewięta czterdzieści.

Z komody wpatrywało się we mnie bez mrugnięcia dwoje żółtych oczu.

– Daj spokój, Birdie. Jest niedziela.

Kot machnął ogonem.

– I pada.

Machnięcie.

– Chyba nie jesteś głodny.

W drodze powrotnej z Hemmingford przekąśliśmy coś szybko z Ryanem w irlandzkim pubie Hurleya, a potem poszliśmy do mnie. Dzięki panu Delikatny Dotyk kot stał się beneficjentem kawałka sernika, jaki zabrałam z knajpy.

Wiem, o czym myślicie. Puste mieszkanie. Wyposzczona zimą. Wiosna się budzi do życia!

Do niczego nie doszło. Ryan miał wprawdzie chęć pobaraskować, ale wizyta ograniczyła się ściśle do herbatki i konwersacji, głównie o naszych dzieciach oraz o Charliem, naszej wspólnej papuzce. Ryan zajął kanapę. Ja zasiadłam w fotelu po drugiej stronie pokoju.

Opowiedziałam mu, że martwię się niechęcią Katy do pomysłu pracy na pełny etat. Oraz o jej najnowszej fascynacji trzydziestodwuletnim perkusistą imieniem Smooth.

Ryan mówił o problemach Lily związanych z heroiną. Jego dziewiętnastoletnia córka przerwała kurację odwykową, przebywała w domu z Lutetią i chodziła na terapię. Ryan był w tej sprawie ostrożnym optymistą.

Wyszedł o siódmej, żeby zabrać Lily na kręgielnię.

Zastanawiałam się.

Czy te drobne postępy, jakie poczyniła Lily, stanowiły powód dobrego humoru u Ryana? Czy też może brał się on z faktu, że znów nawiązała stosunki ze swoją mamą?

Nieważne.

Ryan obiecał dostarczyć Charliego nazajutrz, zgodnie z naszą dawno zawartą umową. Kiedy przebywałam w Montrealu, ptak należał do mnie.

Ilekoć mówię Birdiemu, że w domu pojawi się wkrótce papużka, jest albo podekscytowany, albo zirytowany. Czasem trudno go rozszyfrować.

Po wyjściu Ryana wzięłam bardzo długą kąpiel. Potem razem z Birdiem obejrzelśmy odcinki z sezonu pierwszego *Bogatych bankrutów* na DVD. Birdie uznał, że Buster jest komiczny.

W Montrealu najważniejszym wydaniem gazet jest wydanie sobotnie. Niespecjalnie to lubię, ale tak już jest.

Zrobiłam kawę oraz coś podobnego do jajecznicy z serem o konsystencji omletu i zaczęłam przebijać się przez wczorajszą „Gazette”.

Na jednym z wysokich przęseł szosy numer 15, przy skrzyżowaniu z Turcot, utworzyła się ogromna dziura w jezdni. Dwa pasy zostały zamknięte dla ruchu aż do odwołania.

Czterdziestoletni mężczyzna porwał w biały dzień dziecko i wrzucił je do bagażnika swojego samochodu. Typowi postawiono liczne zarzuty, w tym o uprowadzenie dziecka w wieku poniżej czternastu lat oraz o wykorzystanie seksualne.

Dwanaście artykułów donosiło, że gospodarka jest do bani.

Czytałam właśnie bardzo emocjonujący reportaż o chomiku, który uratował siedmioosobową rodzinę od pożaru domu, kiedy rozległ się dzwonek mojej komórki.

Katy.

– Cześć, kochanie.

– Hej, mamó.

Pochodzimy z Południa Stanów. Tak się właśnie witamy.

– Wcześniej wstałaś.

– Pogoda jest cudowna. Jadę do Carmel pograć w tenisa. – Beztroski nastrój Katy zaskoczył mnie. Kiedy ostatnio rozmawiałyśmy, miała chandrę.

– Ze Smoothem? – Z trudnością wyobraziłam sobie dredy i ciasną chustę na głowę na kortach country klubu.

– Z Liją. Smooth ma występ w Atlancie. – Szydercze prychnięcie. – Dupek może sobie tam zostać do końca świata, nic mnie to nie obchodzi. W Savannah albo w Raleigh, albo

w Katmandu.

Więc Bóg wysłuchuje czasem naszych modlitw.

– Co u Lii? – spytałam.

– Świetnie.

Katy przyjaźniła się z Liją Feldman od czasów liceum. Rok temu, po bardzo opóźnionym ukończeniu przez Katy college'u, postanowiły spróbować zamieszkać razem. Jak dotąd wszystko szło dobrze.

– Jak tam praca? – zapytałam.

– Odmóżdżająca. Sortuję bzdury, kseruję bzdury, przeszukuję bzdury. Od czasu do czasu zanoszę te bzdury do sądu. Te wędrówki przez korytarze wymiaru sprawiedliwości naprawdę podnoszą mi ciśnienie. – Zaśmiała się. – Ale przynajmniej mam pracę. Dziś ludzi wyrzuca się jak odpady jądrowe.

Okej.

– Gdzie jesteś?

– W domu. Bojku. Mam nadzieję, że będziemy mogli tu zostać.

– To znaczy?

– Coop wraca z Afganistanu.

Coop wynajmował Katy mieszkanie, a także – o ile mogłam się zorientować – stanowił jej nawracający przedmiot romantycznych uniesień. Trudno powiedzieć na pewno. Facet w końcu stale przebywał poza krajem.

– Myślałam, że Coop jest na Haiti.

– Nieaktualne informacje. Jego zaangażowanie w Korpusie Pokoju skończyło się dwa lata temu. Przebywał w Stanach przez dziesięć miesięcy, teraz pracuje dla ugrupowania zwanego International Rescue Committee. Mają centralę w Nowym Jorku.

– Jak długo Coop był w Afganistanie?

– Prawie rok. W jakimś miejscu o nazwie prowincja Helmand.

Czy ponowne pojawienie się Coopa stanowiło przyczynę dobrego humoru Katy?
I rozstania ze Smoothem?

– Mam wrażenie, że jesteś zadowolona z jego powrotu. – Dyskretnie.

– Och, pewnie. – To och trwało dobre pięć uderzeń serca. – Coop jest niesamowity. I przyjedzie prosto do mnie, jak tylko zamelduje się w domu.

– Naprawdę. – Mój ton wskazywał, że to jest pytanie.

– Zachowuj się odpowiednio, najdroższa mamusiu, bo mogę przyprowadzić go do domu.

Ewidentny unik, ale ponieważ Katy była tak mocno podekscytowana, postanowiłam naciskać dalej i wyciągnąć z niej parę szczegółów.

– Jak ten niesamowity dżentelmen właściwie się nazywa?

– Webster Aaron Cooperton. Pochodzi z Charlestonu.

– Poznałeś go na Uniwersytecie Virginia?

– Tak.

– Jakim sposobem ów młody pan Cooperton posiada tytuł własności kamienicy w Charlotte?

– Kończył tu szkołę.

– Nie podobało mu się w Charlottesville?

– Nie chciano, żeby tam wracał.

– Rozumiem.

– On jest naprawdę fajny. Umie się bawić.

Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

– A kamienica?

– Rodzice kupili mu ją, kiedy przeniósł się na Uniwersytet Karoliny Północnej. Jako inwestycję. Są *beaucoup* nadziani.

Stąd skłonność Coopa do moralnie godnej podziwu, choć żałośnie słabo płatnej pracy w organizacjach charytatywnych.

Nieważne. Kudłaty muzyk poza burtą, witamy na pokładzie człowieka z akcji humanitarnej. Mnie to pasuje.

– Spotykaliście się z Coopem po jego powrocie z Haiti?

– Gdy była okazja. Dużo przebywał w Nowym Jorku.

Zamilkłam na chwilę, dając Katy szansę przejścia do rzeczy. Okazało się, że dzwoni bez powodu.

– No cóż, mamuniu. Miłego dnia.

Mamuniu?

Kim jest ta dziwna kobieta udająca moją córkę?

Ryan przywiózł Charliego koło południa. Ponieważ pilno mu było do Lily, posiedział ze mną bardzo krótko. Ledwie drzwi się za nim zamknęły, ptak wydarł się, prezentując dwa dość nieprzyzwoite hasła ze swej kolekcji.

– Napełnij szklaneczkę, rusz dupeczkę!

– Charlie.

– Ciągnij druta!

Niewątpliwie treningowa płyta CD z nagraniami dla papużki nie była odtwarzana pod moją nieobecność.

Mała informacja: Charlie, skonfiskowany kilka lat temu podczas nalotu na pewien burdel, stanowił świąteczny prezent dla mnie od Ryana. Repertuar mego małego skrzydlatego przyjaciela jest, że tak powiem, dość barwny.

Jean-Claude Hubert, główny koroner, zadzwonił o godzinie pierwszej. Hubert zlokalizował ojca Johna Lowery'ego, nazwiskiem Platon Lowery, i poinformował go o ustaleniu tożsamości zwłok z Hemmingford na podstawie linii papilarnych. Początkowo Platon był zdezorientowany. Następnie zszokowany. Potem sceptyczny.

W sprawę została wtajemniczona również armia Stanów Zjednoczonych.

– Co teraz? – spytałam Huberta.

– Teraz zaczekamy, co Wujek Sam ma nam do powiedzenia.

O w pół do drugiej pojechałam do Marché Atwater, niedaleko Kanału Lachine w dzielnicy Saint-Henri. Ów dom towarowy, wzniesiony jeszcze w tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku, znajduje się w odległości dziesięciu minut jazdy od mojego mieszkania.

W dwupiętrowym pawilonie w stylu art déco mieszczą się sklepy oraz stragany z serem, winem, chlebem, mięsem i rybami. Na zewnątrz handluje się syropem klonowym, ziołami i płodami rolnymi. W okresie świąt Bożego Narodzenia świeżo ścięte choinki napełniają

powietrze aromatem sosnowej żywicy. Wiosną i latem kwiaty zmieniają tamtejsze chodniki w orgię barw.

W czasach, gdy zaczynałam robić zakupy w Atwater, była to dzielnica robotnicza, zdecydowanie zaniedbana. Dziś już taka nie jest. Od ponownego otwarcia kanału w roku dwa tysiące drugim, w miejscu skromnych domostw powstały ekskluzywne apartamentowce, a cały ten teren zmienił się w superatrakcję na rynku nieruchomości.

Nie jestem pewna, czy należę do fanów tego rodzaju rewitalizacji urbanistycznej. Ale zaparkować jest teraz łatwiej.

W jednym ze sklepów wewnątrz budynku zakupiłam mięso i ser, a przy straganach rozlokowanych pod gołym niebem zaopatrzyłam się w warzywa oraz pojemniki z nagietkami i petuniami. Ponieważ należą do wytrzymalszych gatunków, uznałam, że mają szansę przetrwać moje dość nonszalanckie podejście do pielęgnacji kwiatów.

Wróciwszy do domu, zasadziłam roślinki dookoła mojego patio wielkości znaczka pocztowego, a także na małym dziedzińcu na tyłach. Ciągle padało. Do diabła. Nie muszę podlewać.

Właśnie czyściłam z brudu paznokcie, gdy zadzwoniła komórka. Kierunkowy 808. Hawaje.

Wytarłam ręce ręcznikiem i odebrałam.

– Doktorze Tandler, czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną przyjemność? – Wprawdzie ten telefon, i to w niedzielę, faktycznie był niespodziewany, nie miałam jednak wątpliwości, czego dotyczy.

– Co takiego? Muszę mieć powód, żeby zadzwonić?

– Tak.

Danny długo wypuszczał powietrze.

– Ta sprawa Lowery’ego wywołuje pewne zamieszanie także u nas.

Słyszając autentyczne zaniepokojenie w jego głosie, czekałam.

– Wczoraj, jadąc z lotniska do domu, Merkel odebrał telefon od Nottera. Możesz sobie chyba wyobrazić, jak się ucieszył, że zaraz po wylądowaniu zaangażowano go do roboty.

JPAC zatrudnia ponad czterysta osób, zarówno wojskowych, jak i cywilów. Oprócz CIL, mieszczącego się w Bazie Sił Powietrznych w Hickam, istnieją trzy stałe wydziały zagraniczne: w Bangkoku w Tajlandii, w Hanoi w Wietnamie oraz w Wientianie w Laosie, a także jeden oddział w USA, zlokalizowany w Camp Smith na Hawajach. Każdym dowodzi podpułkownik. Wielki szef całego JPAC podlega pewnemu generałowi armii. Na razie.

Danny wymienił nazwiska Brenta Nottera, zastępcy komendanta do spraw public relations oraz kwestii prawnych, a także Rogera Merkela, dyrektora naukowego i zastępcy komendanta do spraw operacyjnych CIL. Merkel był bezpośrednim przełożonym Danny'ego.

– Po informacjach otrzymanych wczoraj od koronera z Quebecu Platon Lowery skontaktował się ze swoim kongresmenem – kontynuował Danny.

– O rany – powiedziałam. – Jakże Lowery ma układy?

– Układy?

– Danny, oboje wiemy, że telefonicznie nie udziela się tego rodzaju informacji, a przynajmniej nie tak szybko. Od chwili, gdy Platon Lowery dowiedział się o sytuacji, minęły dwadzieścia cztery godziny. Musi mieć jakieś koneksje.

– Według kongresmena O'Hare'a, John Lowery pochodził z rodziny o tradycjach wojskowych, w której posyła się synów do armii.

– Takich jest wiele.

– Sprawdziłem. O'Hare w tym roku będzie się starał o reelekcję.

– Takich jest wielu.

– O'Hare i Notter należeli do tego samego bractwa studenckiego na Wake Forest.

– To wystarczy.

– Niech żyje bractwo Kappa Sig! – Danny bardzo się starał być na luzie, ale mu nie wychodziło.

– Notter się przejął? – spytałam.

– Lowery był trochę wkurzony. Chce wiedzieć, dlaczego jakiś facet z Kanady kwestionuje bohaterskie dokonania jego syna.

– To zrozumiałe.

– Dlaczego jakiś Francuzik nazywa jego syna dezerterem.

– Wątpię, żeby koroner użył tego terminu. – I by wyjawiał szczegóły dotyczące okoliczności śmierci Johna Lowery'ego. Ale zachowałam to dla siebie.

– Kongresmen O'Hare zobowiązał się ochronić swojego wyborcę przed kampanią oszczerstw, prowadzoną przez naszych sąsiadów z północy.

– Tak powiedział?

– W oświadczeniu dla prasy.

– Dlaczego O'Hare angażuje w to media?

– Ten facet to szczywany lis, korzysta z każdej nadarzającej się okazji, aby przypodobać się elektoratowi.

– Ale to śmieszne. Po co rząd Kanady miałby obrać sobie jakiegoś Johna Lowery'ego z Lumberton w Karolinie Północnej jako przedmiot kampanii oszczerstw?

– Oczywiście, że to śmieszne. Merkel sądzi, że O'Hare ma jakieś kłopoty w związku z NAFTA. Atak słowny na Kanadę ma sprawić, że miejscowi spojrzą na niego przychylnie.

Teoria ta nie była pozbawiona podstaw. Karolina Północna mocno odczuła negatywne skutki podpisania Północnoamerykańskiego Układu Wolnego Handlu, tracąc tysiące miejsc pracy w przemyśle odzieżowym i meblarskim. Ale przecież układ ten zawarto w roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym.

– Lowery senior żąda również informacji, czy John zmarł w Quebecu i kto, do cholery, został pochowany w grobie jego syna.

To też zrozumiałe.

– Notter chce mieć pewność, że sprawa nie przerodzi się w medialny koszmar.

– Jaki ma plan?

– Ty mieszkasz w Karolinie Północnej.

– Owszem – odparłam z rezerwą.

– Notter chce, żebyś pojechała do Lumberton i wykopała gościa z grobu, kimkolwiek jest.

6

Platon Lowery okazał się młodszy, niż się spodziewałam, liczył najwyżej osiemdziesiąt lat. Miał włosy w rodzaju tych, które kelnerów z Los Angeles zmieniają w gwiazdy. Wprawdzie posiwiałe od brzemienia lat, jednak wciąż gęste i lśniące, od czubka głowy aż po same końce nadusznymi.

Ale najbardziej imponujące były oczy Lowery'ego, czarne jak kosmiczna pustka. Jego spojrzenie wydawało się przenikać wprost do duszy.

Patrzył na mnie, gdy zarządziłam chwilowe wstrzymanie prac przy ekshumacji. Na miejscu obecne też były inne osoby: operator koparki, dwóch pracowników cmentarza, dwóch asystentów koronera, reporter z „Robesonian”, kolejny ze stacji WBTW, gliniarz z Lumberton oraz porucznik wojska, który wyglądał najwyżej na szesnaście lat.

Był wtorek, jedenasty maja. Dwa dni od rozmowy telefonicznej z Dannym.

Mimo że minęła dopiero godzina dziesiąta przed południem, temperatura dochodziła już do trzydziestu dwóch stopni. Słońce waliło w psychodelicznie zielony trawnik cmentarza. Zapach wilgotnej ziemi i skoszonych trawy unosił się ciężko w powietrzu.

Przykucnęłam z jednej strony świeżo otwartego grobu, żeby mieć lepszy widok.

Stratygrafia mówiła wszystko.

Górna warstwa gleby miała intensywny czarnobrazowy odcień, natomiast ta leżąca bezpośrednio pod nią – anemicznie żółtawobrunatny. Półtora metra niżej zęby koparki wbiły się w kolejną, trzecią warstwę. Podobnie jak przy powierzchni, gleba była tu bogata w materiał organiczny.

Gestem kazałam wycofać maszynę, a pracownikom cmentarza powrócić do pracy. Chwyciwszy za łopaty, mężczyźni wskoczyli do dołu i zaczęli wybierać zeń ziemię.

Po kilku minutach ukazało się wieko trumny. Nie dostrzegłam żadnego sarkofagu, tylko pokruszone pozostałości po pojemniku cmentarnym na trumnę. Zła wiadomość.

Sarkofag – betonowy, plastikowy bądź metalowy – całkowicie zakrywa trumnę. Pojemnik cmentarny chroni tylko jej górną część oraz boki i jest mniej trwały. A ziemia sporo waży. Brak sarkofagu źle wróżył, jeśli chodzi o integralność skrzyni znajdującej się pod ziemią przez czterdzieści lat.

Po godzinie trumna została wyjęta z otwartego grobu. Choć spłaszczona z jednej strony, wydawała się niemal nienaruszona.

Robiłam zdjęcia, a w tym czasie jeden z asystentów koronera podjechał vanem w pobliże

grobu.

Pod moim przewodnictwem podłożono pod dno trumny szalunek, a ją samą opasano łańcuchami od głowy w kierunku stóp. Pracownicy cmentarza pokazywali rękami właściwy kierunek, a operator koparki powoli uniósł ów pojemnik, zakolysał nim w lewo i bezpiecznie położył na ziemi.

Trumna nieprzyjemnie kontrastowała ze szmaragdową trawą w ciepłym wiosennym świetle dnia. Notując i robiąc zdjęcia, myślałam o pierwszym zmartwychwstaniu Johna Lowery'ego, także w pełnym słońcu, ale daleko stąd na północy.

I o radosnym młodym człowieku na fotografii z szuflady biurka Jeana Lauriera.

Tego ranka zdążyłam już przeczytać całe IDPF, czyli Akta Osobowe Zmarłych Członków Personelu, w tym dokumenty przesłane przez wojsko jeszcze w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku. Formularz DD 893, czyli Zapis Dokumentacji Indywidualnej Identyfikacji Anatomicznej; formularz DA 10-249, świadectwo zgonu; formularz DD 1384, Dokument Kontroli Przewozu; formularz DD 2775, Zapis Preparacji i Rozdysponowania Szczątków.

Akronim TSN-RVN był mi znany. Tan Son Nhut – Republic of Vietnam. Ciało Lowery'ego zostało zidentyfikowane i przygotowane do przetransportowania w Tan Son Nhut, jednej z dwóch amerykańskich kostnic wojskowych w Wietnamie.

Urzędnik odpowiedzialny H. Johnson, prawdopodobnie cywil z kategorią GS-13, zajmujący się identyfikacją ciał, umieścił Johna Lowery'ego na liście poległych pod numerem DD 893, podając jego wojskowy stopień i numer porządkowy. W kratkach formularza o stanie zwłok zaznaczył też punkty „w stanie rozkładu” oraz „spalone”.

W diagramie ukazującym przód i tył zwłok Johnson napisał, że głowa Lowery'ego nosi ślady poważnych urazów oraz że brakuje przedramion, dłoni oraz obu stóp. Nie zaznaczył żadnych blizn ani tatuaży.

W części przeznaczony na uwagi Johnson stwierdzał, że Lowery'ego znaleziono w mundurze polowym, ale bez szarży, bez nieśmiertelnika oraz dokumentów. Dziwne, ale nieszczególnie rzadkie. Zajmowałam się podobną sprawą w okresie, gdy współpracowałam z CIL jako konsultantka. Ponieważ okoliczni wieśniacy na tym terenie mieli zwyczaj obrabowywać zwłoki, Johnson sugerował, że wspomniane przedmioty zostały najprawdopodobniej skradzione przed znalezieniem ciała Lowery'ego.

Na koniec jakiś oficer medyczny podpisał się nieczytelnym bazgrołem pod formularzem DA 10-249, w rubryce „przyczyna śmierci” zaznaczając „uraz wielonarządowy”. Typowe, zwłaszcza w przypadku ofiar wypadków samolotów i śmigłowców.

I wreszcie w sekcji zatytułowanej „rozdysponowanie szczątków” swój podpis złożył garbarz nazwiskiem Dadko. Dadko zajmował się także sprawą DD 2775.

Według DD 1384 ciało Lowery'ego opuściło Wietnam przez Sajgon, skąd przewieziono je do Bazy Lotniczej Dover w stanie Delaware, w ten sposób dostarczając do ojczyzny.

Brakowało dokumentu stwierdzającego tożsamość zmarłego.

Zastanawiałam się, kogóż to właśnie wykopaliśmy z grobu.

Kazałam zdjąć z trumny łańcuchy i zrobiłam kilka ostatnich zdjęć. Następnie, pojękując i mocno się pocąc, pracownicy cmentarza, operator koparki, policjant, porucznik wojska oraz bardzo mało entuzjastycznie nastawiony dziennikarz telewizyjny usunęli szalunek.

Gdy trumnę przenoszono do furgonetki koronera, rzuciłam szybko okiem na Platona Lowery'ego. Choć jego twarz pozostała nieporuszona, ciało wyraźnie zadrżało na dźwięk zamykanych drzwi samochodu.

Van odjechał, a ja podeszłam do Lowery'ego.

– To musi być bardzo trudne. – Banał, wiem, ale rozmówki towarzyskie niezbyt mi wychodzą. Mówię szczerze. Jeśli chodzi o składanie kondolencji, jestem absolutnie do kitu.

Twarc Lowery'ego przypominała kamienną maskę.

Słyszałam, jak za moimi plecami zamykają się drzwi samochodów, a silniki zaczynają pracować. Dziennikarze i gliniarz odjeżdżali.

– Obiecuję uczynić wszystko, co w mojej mocy, aby rozwiązać tę sprawę – powiedziałam.

Nadal brak reakcji. Konsekwentny. Kiedy nieco wcześniej nas sobie przedstawiono, Lowery ani nie odezwał się do mnie słowem, ani nie podał mi ręki. Najwyraźniej byłam jedną z osób, przeciwko którym kierował swój gniew. Z powodu roli, jaką odegrałam w Quebecu? Za wkroczenie w jego świat i wykopanie jego zmarłego syna z grobu?

Miałam właśnie podjąć kolejną próbę, gdy oczy Lowery'ego rzuciły szybkie spojrzenie na coś, co znajdowało się ponad moim ramieniem. Odwróciłam się.

W naszym kierunku pędził porucznik, chudy jak szczapa mężczyzna o krótko przyciętych włosach i oliwkowej skórze. Guipani? Guipini? Niewątpliwie przysłano go z Fort Bragg, aby możliwie najlepiej załagodzić tę fatalną sytuację.

– Doktor Brennan. Panie Lowery. Bardzo się cieszę, że wszystko przebiegło dobrze. – Słońce migotało w naszywkach jego pagonów, odbijało się od plakietki na jednej z kieszeni. *D. Guipone*. – Wszyscy się cieszymy, oczywiście.

Nerwowy uśmiech odsłonił zęby, którym należał się aparat ortodontyczny.

– Armia wiedziała, że tak będzie, rzecz jasna. Że pójdzie dobrze.

Na twarzy Lowery'ego nie drgnął żaden mięsień.

– Moi koledzy z Centralnego Laboratorium Identyfikacyjnego mówią, że doktor Brennan jest najlepsza. Tak właśnie sprawa będzie prowadzona, sir. Jak najlepiej. Z całkowitą transparentnością, oczywiście.

– Oczywiście. – Głos Lowery'ego był bez wyrazu.

– Oczywiście. – Zdecydowane kiwnięcie głową Guipone'a.

– Koń jaki jest, każdy widzi.

– Słucham?

– Oczywiście.

Guipone obrzucił mnie spojrzeniem wyrażającym dezorientację.

– Oczywiście – rzekłam z kamienną twarzą, jak starzec obok mnie.

Guipone był albo za młody, albo za głupi, żeby zrozumieć, że stroi się z niego żarty.

– No cóż. – Znów krzywozębny uśmiech skierowany ku mnie. – Co dalej?

– Dziś rano, na podstawie dokumentacji cmentarza oraz numeru grobu, ustaliłam, że ta kwatery istotnie należy do Johna Lowery'ego. – Gestem wskazałam otwarty grób. – Teraz w obecności koronera dokonam otwarcia trumny, opiszę stan szczątków, a następnie umieszczę ciało w pojemniku, w celu przewiezienia go. Jak tylko armia zakończy stosowne przygotowania, szczątki zostaną przesłane do JPAC do analizy.

– Mój syn zginął jako bohater – w głosie Lowery'ego brzmiało napięcie.

– Tak jest. Oczywiście, sir. Rozwikłamy sprawę do końca.

Odwracając się do Guipone'a plecami, Lowery powiedział do mnie:

– Chcę go zobaczyć.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł – odparłam tak delikatnie, jak tylko umiałam.

Mahoniowe oczy wwiercały się w moje. Mijały sekundy.

– Skąd mam wiedzieć, że mój syn będzie traktowany z szacunkiem, na który zasługuje?

Wyciągnęłam rękę i położyłam ją na ramieniu starego człowieka.

– Mój mąż był żołnierzem piechoty morskiej, panie Lowery. Jestem matką. Rozumiem sens ofiary złożonej przez człowieka w tej trumnie. Oraz przez tych, którzy go kochali.

Lowery podniósł twarz ku słońcu i zamknął oczy. Następnie z opuszczoną głową odwrócił się i odszedł.

Eksperci medycyny sądowej powoływani są w drodze mianowania. Są to w większości lekarze, z reguły patolodzy, w sytuacji idealnej patolodzy sądowi ze stosownymi certyfikatami zawodowymi.

Koronerów się wybiera. Kandydatem na koronera może być mechanik, nauczyciel albo bezrobotna tancerka na rurze. Jednak większość z nich to pracownicy lub właściciele zakładów pogrzebowych czy domów pochówku.

W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym Zgromadzenie Ogólne Karoliny Północnej uchwaliło ustawę umożliwiającą wszystkim okręgom w stanie zniesienie urzędu koronera oraz powołanie w to miejsce lekarzy medycyny, którzy w ramach swoich specjalności mieli badać okoliczności śmierci ofiar.

Obecnie Karolina Północna dysponuje scentralizowanym systemem dochodzeniowo-śledczym w sprawach o zabójstwo. Eksperci medycyny sądowej w każdym okręgu powoływani są na trzyletnią kadencję przez głównego lekarza sądowego w Chapel Hill.

Wygląda to na postęp? W rzeczywistości układ ten nie jest aż tak sprawny.

W okręgach, w których brak lekarzy chętnych do tej pracy lub tych o odpowiednich kwalifikacjach, ich rolę wciąż pełnią nielekarze – czasem są to dyplomowane pielęgniarki lub pielęgniarze. Nie nazywa się ich już koronerami, lecz „pełniącymi obowiązki eksperta medycyny sądowej”.

I wiecie co? Na swojej stronie internetowej Instytut Medycyny Sądowej Karoliny Północnej przedstawia się jako struktura, w której lekarze pracują ochotniczo, poświęcając swój czas, energię i wiedzę.

Czytając między wierszami: w Karolinie Północnej ekspert medycyny sądowej – czy jest lekarzem, czy tylko wyprowadzaczem psów – dostaje za swoją robotę tyle co nic.

Pełniącym obowiązki eksperta medycyny sądowej w okręgu Robeson był Silas Sugarman, właściciel i szef najstarszego zakładu pogrzebowego w Lumberton. Według wstępnych ustaleń po ekshumacji trumna miała pojechać z cmentarza wprost do przybytku Sugarmana.

Przyjechałam do Lumberton z Charlotte swoim prywatnym samochodem, wyruszywszy z Miasta Królowej^[2], gdy pierwsze promienie świtu wzywały mieszkańców do pobudki. Terminowość wykonania zadania odgrywała ważną rolę, ale udało mi się pozbyć Guipone’a i samotnie oddalić się z cmentarza.

Nie chodziło o to, że porucznik był człowiekiem irytującym. Miałam pewien plan.

Przez wiele lat często jeździłam samochodem z Charlotte na plażę Karoliny Południowej. Moja ulubiona trasa obejmuje spory fragment szosy numer 74 i przebiega na tyle blisko Lumberton, że warto wpaść tam na coś z grilla. Taki właśnie miałam dzisiaj cel. Będąc w Lumberton, nie można odmówić sobie małego „grillka”.

Skierowałam się prosto do Fuller’s Old Fashioned BBQ. Fundowałam sobie nieco rozrywki, ale przecież w domu pogrzebowym miałam być dopiero o drugiej. A mój żołądek wysyłał rozpaczliwe sygnały nienasyceńca.

O pierwszej trzydzięści tłumek spożywający lunch znacznie się przerzedził. Nie zwracając uwagi na dania z bufetu, zamówiłam to co zwykle. Grillowaną wieprzowinę, sałatkę z kapusty, frytki i ciasteczka kukurydziane. Oraz szklanicę słodkiej herbaty o rozmiarach silosu.

OK. Raczej mało dietetyczne żarełko, niezdrowe dla serduszka. Ale właściciele, Fuller i Delora Locklear, wiedzieli, jak człowieka uraczyć.

Wychodząc z restauracji, czułam się tak, jakbym się poruszała wewnątrz melasy, którą pozostawiłam nietkniętą na stoliku. Temperatura we wnętrzu mojej mazdy wynosiła sześćdziesiąt pięć stopni.

Podkręciwszy klimatyzację na ful, wystukałam adres w przenośnym GPS-ie i skierowałam się na południe ku Martin Luther King Drive. Po kilku minutach mechaniczny głos oznajmił, że dotarłam na miejsce.

Zakład pogrzebowy Sugarmana wyglądał jak posiadłość Tara na sterydach. Czerwona cegła. Białe kolumny sprzed wojny secesyjnej, eleganckie wykończenia z góry na dół. Od frontu wyszukany podjazd zamknięty portykiem.

Wystrój wnętrza można opisać tylko jednym słowem: różany. Różany dywan. Różane draperie. Różane tapety z motywami kwiatowymi nad parkietową podłogą i ściennymi panelami.

W głównym holu na afiszu imitującym styl kolonialny widniały dwa nazwiska krótkotrwałych pensjonariuszy zakładu. Selma Irene Farrington spodziewała się żałobników w Sali Wiecznej Harmonii. Lionel Peter Jones z niezmaconą cierpliwością oczekiwał gości w Pokoju Wiecznym.

Młoda kobieta zmaterializowała się w momencie, gdy rozważałam wzajemną relację pomiędzy harmonią a pokojem. Poprosiłam ją o wskazanie drogi do gabinetu właściciela. Poprowadziła mnie obok Liliowej Sali Ostatniego Spoczynku oraz Kaplicy imienia Edgara Firefoksa.

Sugarman siedział za masywnym dębowym biurkiem z nóżkami wyrzeźbionymi w kształt ananasów. Mierzył co najmniej metr dziewięćdziesiąt, jego wagę oceniałam na sto trzydzięści pięć kilogramów. Z tłustymi czarnymi włosami i krzywym nosem wyglądał bardziej na mafiosa niż grabarza.

W pokoju obecni byli także nasz dobry porucznik oraz mały mężczyzna o szczurzej twarzy i krótkich brązowych włosach, z chirurgiczną precyzją rozdzielonych pośrodku przedziałkiem.

Cała trójka chichotała z jakiegoś dowcipu. Zobaczywszy mnie w drzwiach, zamilkli i wstali z miejsc.

– Doktor Brennan. To prawdziwy zaszczyt. – Sugarman miał zaskakująco wysoki głos, samogłoski wymawiał przeciągle, jakby najadł się melasy u Fullera.

Sugarman przedstawił mi szczurzogębego jako swojego szwagra nazwiskiem Harold Beasley, szeryfa okręgu Robeson. Beasley kiwnął mi głową i przełożył wykałaczkę z prawej na lewą stronę ust. Żadnego komentarza, żadnych pytań. Najwyraźniej odrobił pracę domową na temat mojej roli w tej sprawie.

– Porucznika już pani zna.

– Tak. – Powstrzymałam się od dodania słowa „oczywiście”.

Mięsista twarz Sugarmana przybrała stosownie uroczysty wyraz.

– Szanowna pani, panowie. Wszyscy wiemy, jaki jest smutny powód, dla którego Pan kazał nam się tu spotkać. Proponuję, żebyśmy niezwłocznie przeszli do rzeczy.

Sugarman poprowadził nas przez hol do drzwi na tyłach budynku. Nie było na nich żadnej tabliczki. Wiekuiste Balsamowanie? Przygotowanie do Wieczności?

W pokoju brakowało okien, mierzył jakieś pięć na siedem metrów.

Umieszczone po lewej stronie drzwi otwierały się na zewnątrz. Na znajdujących się obok metalowych regałach umieszczono typowe dla tego miejsca narzędzia, środki chemiczne, kosmetyki, plastikowe elementy ubioru oraz płyny, których przeznaczenia wcale nie chciałam znać.

Ze ściany południowej wystawał głęboki zlew. Na kontuarze obok znajdowały się maszyny tlenowe i wtryskowe. A także łom stalowy i niewielka elektryczna piła.

Stoły do ubierania i balsamowania usytuowano blisko ściany północnej. Ze środka aluminiowej obudowy wyzierało wieko gotowej do użytku otwartej trumny na ruchomych noszach przysuniętych do stołów.

Ekshumowana trumna spoczywała na składanym wózku, na którym przybyła tu z cmentarza. Chociaż wentylatory robiły co mogły, zapach pleśni, spróchniałego drewna i rozkładającego się ciała wypełniał to niewielkie pomieszczenie.

Sugarman zdjął marynarkę i podwinął rękawy. Oboje włożyliśmy rękawiczki, fartuchy i założyliśmy okulary ochronne. Beasley i Guipone obserwowali nas spod drzwi. Obaj wyglądali

tak, jakby woleli być teraz gdzieś indziej. Miałam nadzieję, że po mnie tego tak nie było widać.

Trumna była stara, mahoniowa, z rzeźbionymi narożnikami i kopulastym wiekiem, obecnie zapadniętym. Obu uchwytów oraz większości okuć już nie było. Pozostałe metalowe elementy skorodowały i odbarwiły się.

Zanotowałam parę rzeczy, porobiłam zdjęcia. Potem się odsunęłam.

Sugarman uniósł brwi. Kiwnęłam głową.

Wielki mężczyzna podszedł do wózka i stalowym łomem podważył wieko trumny. Spróchniałe drewno pękło z trzaskiem i posypało się na podłogę.

Odsuwając nogą drzazgi, Sugarman pchnął raz jeszcze. I znów. Fragmenty trumny kruszały, a ja zrzucałam je na podłogę.

W końcu, z kręgami potu pod pachami, Sugarman odłożył narzędzie na bok.

Podeszłam bliżej.

Guipone i Beasley przysunęli się i stali za nami.

Ciężko oddychając, Sugarman uniósł to, co pozostało z wieka trumny.

Beasley przyłożył dłoń do ust.

– Słodki Jezusie.

^[2] Popularne określenie miasta Charlotte w Karolinie Północnej.

Przedstawiciele przemysłu pogrzebowego twierdzą, że ich produkty i usługi chronią doczesne szczątki naszych drogich zmarłych przed niszczycielską potęgą czasu. Producenci trumien oferują specjalne sarkofagi i uszczelnienia silikonowe, dają też gwarancję na strukturalną integralność swoich wyrobów. Przedsiębiorcy pogrzebowi przekonują, że balsamowanie pozwala zachować ciało przez długi okres w stanie nienaruszonym.

Ale nic nie zdoła powstrzymać tego, co nieuniknione.

Po śmierci ciała bakterie tlenowe zaczynają swoją działalność w obrębie skóry zmarłego, zaś ich beztlenowi krewniacy przystępują do pracy w jamach ciała. Eliminując te pierwsze, hermetyczne trumny de facto przyspieszają, a nie zatrzymują, działalność drugich. W rezultacie dochodzi do przejścia zwłok w stan ciekły, a w trumnie powstaje gnilna zupa.

Z drugiej strony zwykła drewniana trumna umożliwia przepływ powietrza, dając w ten sposób pożywkę organizmom tlenowym. Wynikiem jest szybkie zeszkietowanie zwłok.

Przy większości ekshumacji można jedynie zgadywać, co znajduje się w trumnie. Kości? Lepka maź? Stwardniała z czasem mieszanina jednego i drugiego?

Spalone zwłoki. Czterdzieści lat. Uszkodzona skrzynia.

W tym przypadku nie miałam raczej wątpliwości.

I słusznie.

W trumnie znajdował się szkielet pokryty pleśnią i czarnym zasuszonym błotem. Pod różowo-białą powłoką zewnętrzną widniały ciemne, pokryte plamami kości.

– Dobry Boże w niebiesiech. – Słowa Beasleya wypłynęły spod dłoni zakrywającej usta.

Guipone głośno przełykał ślinę.

Szcątki złożono do trumny w stylu typowym dla wojska. Wprawdzie tradycyjny całun w formie wehnianego koca już zniknął, ale jego obecność potwierdzały zardzewiałe agrafki.

– Mogę jeszcze raz zajrzeć do akt?

Sugarman wyszukał sztywny segregator pod jednym z kontuarów i podał mi go. Tym razem darowałam sobie oficjalne formularze i przesłałam od razu do odręcznego sprawozdania napisanego przez przedsiębiorcę pogrzebowego.

– Niestety, prowadzenie rejestrów nie było mocną stroną mojego taty. – Sugarman błysnął uśmiechem, który – jestem pewna – uważał za odpowiedni dla słowa „niestety”. Ćwiczył

go zapewne przed lustrem, zawiązując swoje ponure czarne krawaty. – Tak bywało w tamtych czasach.

Nie wszędzie, pomyślałam.

Szer. John Charles Lowery zginął w katastrofie helikoptera w Wietnamie (zob. dokumentację wojskową). Zwłoki przetransportowano z Dover w stanie Delaware na lotnisko w Charlotte, Karolina Północna. W dniu 18 lutego 1968 r., w towarzystwie Platona Lowery'ego, odebrałem ciało i przewiozłem je do Zakładu Pogrzebowego Sugarmana w Lumberton, Karolina Północna.

Na prośbę Platona i Harriet Lowerych zmarłego przelożono do trumny zakupionej ze środków prywatnych i pochowano na cmentarzu Gardens of Faith w dniu 20 lutego 1968 r. (kwatery 9, rząd 14, grób 6). Nie zwracano się o żadne dodatkowe czynności.

Holland Sugarman

12 marca 1968 r.

Notka: grobowiec postawiono 4 października 1968 r.

Odsunawszy na bok bezużyteczny raport tatusia, zaczęłam wyjmować z trumny pozostałości nadgniłej tkaniny i rzucać je na podłogę. Okładzina. Obicie. Poduszka pod głowę. Strzępy koca.

Sugarman pomagał. Szeryf i porucznik przyglądali się w milczeniu.

Zapach zgnilizny i pleśni wzmógł się.

Po paru minutach szkielet leżał całkowicie odsłonięty i nagi, nie licząc pośmiertnego nalotu z pleśni i zwęglań. Czaszka rozpadła się na kawałki. Wszystkie koronki zębowe zniknęły. Jak zaznaczono na diagramie identyfikacyjnym sporządzonym przez Johnsona, brakowało przedramion, dłoni i obu stóp.

Najlepiej jak umiałam, badałam szczątki pod względem zgodności z profilem biologicznym Johna Lowery'ego.

Zaczęło kapać z kranu. Jarzeniówki buczały. Beasley i Guipone przestępowali z nogi na nogę.

Kształt miednicy dowodził, że badany to niewątpliwie mężczyzna. Spojenie łonowe wskazywało, że był w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Fragmentacja czaszki uniemożliwiała rozpoznanie rasy.

Palcem w rękawiczce potarłam jeden z kawałków czaszki. Pod zewnętrzną powłoką powierzchnia korowa była czarna i łuszczyła się. Znowu zgodność z raportem Johnsona na temat stanu zwłok. Zmarły odniósł obrażenia wywołane przez ogień albo jeszcze za życia, albo już po

śmierci.

Oprócz agrafek w trumnie znajdowało się coś zaskakującego: pusty słoik po dżemie z jakimś proszkiem osadzającym się na jego dnie. Żadnych breloczków z informacją o zmarłym, żadnych nieśmiertelników, guzików, sprzączek od paska czy oznaczeń szarży.

Sporządzałam notatki, robiłam zdjęcia.

Na końcu, zadowolona, że nic mi nie umknęło, odwróciłam się do Sugarmana. Przedsiębiorca pogrzebowy przywdział nowe rękawiczki, po czym wspólnie podłożyliśmy pod kości niebieską plastikową folię. Następnie, zachowując ostrożność, unieśliśmy ją i włożyliśmy do nowej trumny.

Wszyscy patrzyli, jak Sugarman zatrzaskuje i zamyka na klucz jej wieko, a potem umieszcza na nim pokrywę używaną podczas transportu. Pomogłam zapiąć metalowe zatrzaski trzymające wszystko w kupie.

Patrząc na aluminiowe tabliczki podpisane „Głowa” i „Nogi”, myślałam o warcie honorowej stojącej przy trumnie spowitej we flagę oraz o szacunku, z jakim umieszcza się ją w samolocie i na karawanie.

Pół godziny po piątej umyłam wreszcie ręce i podpisałam dokumenty przekazania zwłok.

Rozstaliśmy się pod portykiem na froncie budynku. Podziękowałam Sugarmanowi. On podziękował mnie. Guipone podziękował nam wszystkim. Jeśli Beasley czuł chęć podziękowania, zatrzymał ją dla siebie.

Nad parkingiem migotało mirażami rozgrzane upałem powietrze. Asfalt uginał się pod moimi tenisówkami.

Czując jakiś ruch, spojrzałam w lewo. Drzwi po stronie kierowcy niebieskiego forda rangera, stojącego pięć stanowisk od mojej mazdy, otworzyły się. W głowie zadźwięczał mi delikatny alarm, ale szłam dalej.

Z pick-upa wysiadł jakiś mężczyzna i ruszył moim śladem. Choć jego twarz tonęła w cieniu rzuconym przez daszek czapki, rozpoznałam masywne ciało i kwadratowe ramiona. I koszulkę z napisem Atlanta Braves.

– Dzień dobry, panie Lowery. – Zdołałam przejść zaledwie trzy metry. – Zbyt gorąco jak na tę porę roku.

– Tak, proszę pani.

– Lato będzie chyba długie.

– Tak, proszę pani.

Ponad oczami czarnymi jak węgle, podwójnym łukiem nad zarysem lądu wznosiły się żółte litery. Zawsze dumny weteran wojny koreańskiej 1950–1953.

Choć było oczywiste, że Lowery czekał tu na mnie, nie powiedział już nic więcej.

Zmęczona, brudna i spocona, tęskniłam za kawałkiem mydła i szamponem. I kolacją. Przy optymalnym układzie podróży z Lumberton do Charlotte zajmuje dwie godziny. O tej porze dnia co najmniej trzy.

– Chce mnie pan o coś zapytać?

– Powie mi pani, co widziała w tej trumnie?

– Przykro mi. Na razie mam obowiązek służbowy zachować to dla siebie jako dane poufne.

Sądziłam, że Lowery odejdzie. Zamiast tego po prostu stał. Po dłuższej chwili skinął z napięciem głową, jakby podjął wreszcie jakąś trudną decyzję.

– Nie jestem zbyt gadatliwy. Nie odzywam się, jeśli nie muszę. Nie odzywam się, jeśli nie wiem, kim jest osoba, która mnie słucha.

Stary człowiek wytarł obie dłonie o spodnie.

– O'Hare wykorzystuje moje problemy, żeby jego nazwisko pojawiała się w gazetach. Guipone to kretyn. Armia też ma w tym swój interes. Nie chadzam do kościoła, nie mogę więc spytać Pana, kto tu jest sprawiedliwym, a kto nie. Muszę bazować na własnych przecuciach.

Lowery przełknął ślinę. Przykro było patrzeć na jego cierpienie.

– Słyszałem, co mówiła pani na cmentarzu. Co przed chwilą pani powiedziała. Coś mi podpowiada, że mogę pani zaufać.

– Dziękuję.

– Będę wdzięczny, jeśli wysłucha pani tego, co mam do powiedzenia.

– Porozmawiamy w moim samochodzie?

Otworzywszy wóz, zajęłam się podkręcaniem klimatyzacji, Lowery tymczasem szukał czegoś pod deską rozdzielczą swojego pick-upa. Gdy w końcu ulokował się na moim siedzeniu dla pasażera, dotarła do mnie woń taniej wody kolońskiej i zastałego potu.

Niezbyt przyjemna, ale znacznie lepsza niż odór, którego doświadczałam przed chwilą.

Lowery przyciskał do piersi ozdobny album. Jego oczy spoglądały nieruchomo na coś po drugiej stronie szyby, stwardniałymi kciukami bębnił po czerwonej skórzanej okładce.

Mijały sekundy. Cała minuta.

Wreszcie przemówił.

– Mama nadała mi dziwaczne imię. Platon. Wyobraża sobie pani te dowcipy.

– I owszem – postukałam się palcem w pierś. – Temperance^[3]. Ludzie sądzą, że reprezentuję organizację opowiadającą się za przywróceniem prohibicji.

– Wybrałem więc dla moich synów dobre, solidne imiona.

– Trudno uznać imię John za ekstrawaganckie – powiedziałam, zastanawiając się, dlaczego Lowery użył liczby mnogiej.

– John nie miał jeszcze pięciu lat, gdy zaczął kolekcjonować pająki. Trzymał je w rzędach słoików na parapecie w swoim pokoju. Pająki czerwone, pająki nakrapiane, a także te wielkie, czarne i włochate. Było ich tyle, że jego mama bała się wchodzić do tego pokoju.

Nie przerywałam.

– Jak tylko John nauczył się czytać, zaczął pożyczać książki w bibliotece obwoźnej. – Samogłoski w słowie „obwoźna” zabrzmiały przeciągle. – Tylko o tym potrafił mówić. Pająki to, pająki tamto. Czym się żywią, gdzie zamieszkują, jak się rozmnażają. Bibliotekarka przywoziła mu każdą książkę, jaką tylko była w stanie zdobyć. Ja nie miałem pracy, nie mogłem mu ich kupować.

Lowery przerwał, jego oczy wciąż wpatrywały się w coś na zewnątrz auta, może w coś poza teraźniejszością.

– Ludzie zaczęli nazywać go Pająk. Przezwiseko przyłgnęło do niego jak guma do żucia do buta. Niedługo już nikt nie pamiętał, że ma na imię John. Nawet jego szkolni nauczyciele wołali Pająk.

Lowery zamilkł ponownie. Nie naciskałam.

– Nie chodziło tylko o pająki. John kochał zwierzęta. Przynosił do domu wszelkiego rodzaju zabłąkane zwierzaki. Jego mama pozwalała większości z nich zostać.

Lowery odwrócił się ku mnie, ale oczy miał spuszczone.

– Harriet. Zmarła pięć lat temu. Nerki w końcu nie wytrzymały. Harriet zawsze była słabowita, nawet po przeszczepie.

– Tak mi przykro.

– Pająk zaoferował mamie jedną ze swoich nerek. Taki szlachetny był z niego chłopak. –

Głos Lowery'ego załamał się. – Ale się nie udało.

Nie przerywałam.

– Pająk miał brata bliźniaka, Thomasa. John i Tom. Dobrze, solidne imiona. Tom również zmarł. Zabił go traktor w dwa tysiące trzecim. Strata obu chłopców odebrała Harriet chęć do życia.

– Żal niesie ze sobą konsekwencje nie do przewidzenia.

Oczy Lowery'ego spojrzały wprost w moje. Zobaczyłam w nich udrękę wywołaną wskrzeszonym raz jeszcze bólem.

– Znalazła pani w trumnie słoik, prawda?

– Owszem, znalazłam.

– Ja go tam włożyłem. – Przerwał, być może zawstydzony, być może żalując, że się wygadał. – Głupota. – Potrząsając sztywno głową, Lowery odwrócił się. – Wyszedłem z domu, złapałem pająka i dałem mojemu synkowi.

– To był bardzo miły gest, panie Lowery.

– Mój syn. – Lowery grzmotnął się w pierś tak mocno, że aż podskoczyłam. – Wyrastał na wspaniałego młodego mężczyznę. – Szczęki Lowery'ego zacisnęły się, a potem rozluźniły. – O to właśnie mi teraz chodzi. Chcę, żeby myślała pani o Pajaku jako o człowieku, o osobie, gdy będzie go pani kroić.

– Panie Lowery, to nie ja będę...

– Jego mama przechowywała to.

Kiedy Lowery nachylił się ku mnie, przykry zapach jego ciała niemal mnie obezwładnił. Otworzył album i przesunął go do mnie.

Na każdej stronie znajdowało się od czterech do sześciu zdjęć. Czarno-białych, z ząbkowanymi krawędziami. Portrety niemowlaków i dzieci w wieku szkolnym. Odbitki siedem i pół na dwanaście i pół centymetra wykonywane w supermarketach.

Przerzucałam stronice, zadając pytania dotyczące osób, miejsc i wydarzeń. Lowery udzielał krótkich, często składających się z jednego słowa odpowiedzi. Boże Narodzenie w roku pięćdziesiątym czwartym. W sześćdziesiątym pierwszym. W sześćdziesiątym czwartym. Wycieczka do Myrtle Beach. Harriet. Tom. Dom na Red Oak. Przyczepa nad jeziorem. Na każdym zdjęciu widniała młodsza wersja chłopca, którego po raz pierwszy ujrzałam na fotografii z biurka Jeana Lauriera.

Jedna fotka przedstawiała Platona oraz jakąś kobietę, zakładałam, że Harriet.

– To pańska żona? – spytałam.

Platon ujawnił zaskakującą cechę charakterystyczną.

– Harriet miała naprawdę piękne oczy. Jedno brązowe, drugie zielone jak sosna taeda. Rzecz niespotykana.

Na kolejnej odbitce Kodaka uwiecznieni zostali Pająk, Platon i Harriet stojący na molo. Wszyscy mieli na sobie krótkie spodnie i lekkie, letnie koszule. Harriet wyglądała, jakby zbyt długo siedziała na słońcu i używała zdecydowanie za mało kremu do opalania. Dekolt nad pokaznym biustem pokrywała sieć zmarszczek.

Przedostatnie zdjęcie ukazywało Pajaka pod łukiem utworzonym z baloników z dziewczyną w okularach, z włosami upiętymi w wysoki kok. On miał na sobie białą marynarkę z butonierką. Ona była ubrana w różową elegancką suknię z satyny, a przegub jej ręki zdobił bukietek kwiatów. Oboje sprawiali wrażenie sztywnych i niepewnych siebie.

Na ostatniej stronie albumu znajdowało się oficjalne zdjęcie drużyny bejsbolowej: dwunastu ubranych w sportowe stroje chłopców oraz dwóch trenerów. Ci w pierwszym rzędzie przyklekli na jedno kolano, drugi rząd stał wyprostowany. Nadrukowana data pozwalała się zorientować, że fotkę zrobiono w sezonie tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt sześć–sześćdziesiąt siedem.

I znów wypowiedź Platona okazała się niespodziewanie obszerna.

– To zdjęcie zrobiono, kiedy Pająk był w ostatniej klasie, zanim poszedł do wojska. Niezbyt lubił sport, ale chciał próbować. Głównie grzał ławę. To on.

Lowery dźgnął palcem w chłopaka w pierwszym rzędzie.

Podnosiłam już album, gdy Lowery nagle szarpnął nim w bok.

– Chwileczkę. – Odsunął stronicę na odległość ramienia, przybliżył do oczu i znów odsunął. Tym razem sękaty palec wskazywał na jednego z chłopców, którzy stali. – Ten tu to Pająk.

Rozumiałam, dlaczego Lowery się pomylił. Obaj chłopcy mieli podobne ciemne włosy i oczy, takie same ciężkie brwi.

– A niech to – rzekłam. – Mogliby uchodzić za braci.

– To kuzyni, ze strony Harriet. Wszyscy ich mylili. Tylko że Pająk miał po mamie zielone oczy. Oczy Reggiego były ciemne jak moje.

Zdjęcie było zbyt niewyraźne, a twarze za małe, żeby dostrzec różnice.

– Bardzo sobie bliscy byli ci dwaj – ciągnął Platon. – To Reggie namówił Pajaka, żeby zapisał się do zespołu.

Starzec wziął album i zamknął go. Zanim znów przemówił, minęła długa, bardzo długa chwila milczenia.

– Mój tata walczył we Francji. Ja pełniłem służbę w Korei. Trzech braci miałem w wojskach lądowych, a jednego w marynarce. Wszyscy ich synowie też wstąpili do armii. Nie przechwalam się, stwierdzam tylko fakt.

– To godne podziwu, sir.

– Pajak wyruszył do Wietnamu i wrócił do domu w skrzyni.

Lowery wciągnął powietrze przez nos. Wydech. Przełknięcie śliny.

– Zawsze wierzyłem w armię. A teraz...

Gwałtownie otworzył album, wyrwał zeń zdjęcie drużyny bejsbolowej i rzucił mi je.

– Ufam, że zrobi pani dla mojego chłopca, co należy.

Pomyliłam się w obliczeniach o godzinę. Gdy dotarłam do domu w Charlotte, babciny zegar nad kominkiem melodyjnie wybijał dziesiątą.

Birdie pętał się pod nogami w drzwiach wejściowych, demonstrując niezadowolenie.

Przeprosiłam kota i napełniłam mu miskę, a następnie zdjęłam z siebie ubranie, wepchnęłam ciuchy do pralki i poszłam pod prysznic. Wycierając się ręcznikiem, opowiedziałam Birdiemu o dniu w Lumberton.

Wcisnęłam się właśnie w pizamę, kiedy nagle w kuchni rozległ się jakiś hałas.

Zaintrygowana spiesznie zesłam po schodach.

Znajdowałam się w jadalni, gdy do środka wpadła Katy, trzaskając obrotowymi drzwiami.

Jedno spojrzenie na twarz córki wystarczyło, by zmrozić mi krew w żyłach.

^[3] Ang. *temperance* – wstrzemięźliwość, abstynencja, umiar.

Włosy Katy tworzyły chaos koloru blond, oczy miała mokre od łez i zaczerwienione. Tusz do rzęs spływał jej po policzkach.

Popędziłam ku mojej córce i przytuliłam ją.

– Kochanie, co się stało?

Katy stała w milczeniu, zgarbiona, z zaciśniętymi pięściami.

Popchnęłam ją do gabinetu i posadziłam na kanapie. Znow ją objęłam i zaczęłam masować jej plecy. Pozostała sztywna, nie opierając się i nie reagując na mój dotyk.

Mijały sekundy. Cała minuta. Wreszcie, z wezbraną pierśią, jej ciało bezwładnie opadło na mnie. Niebawem łzy skropiły moją górę od piżamy.

Ścisnęło mnie w żołądku, a mózg zalewał kalejdoskop wspomnień. Tragedie dzieciństwa, wywołujące kiedyś podobne wzruszenia. Śmierć jej kotka, Arthura. Przeprowadzka najlepszej szkolnej przyjaciółki do stanu Iowa. Wiadomość, że Pete, jej ojciec, i ja będziemy żyć w separacji.

Ale Katy miała już dwadzieścia cztery lata. Cóż mogło się stać, żeby poruszyć ją aż tak bardzo? Choroba? Konflikt w pracy? Kryzys związany z Liją? Pete?

Podobnie jak w przypadku tamtych dawno przebrzmiałych dramatów moja pierwsza reakcja była błyskawiczna i instynktowna.

Zaradzić temu!

Ale już wiedziałam. Nie mogłam nic zrobić.

Czując swą bezradność, głaskałam córkę po głowie i wydawałam z siebie uspokajające dźwięki.

Zegar babci tykał równomiernie jak metronom. Przypomniała mi się jej zniekształcona stara ręka na mojej główce, jej kojący głos przeprowadzający mnie przez kolejne niepowodzenia dzieciństwa.

Na dworze zaszczekał pies. Potem kolejne. Zadźwięczał klakson.

Nagle w drzwiach pojawił się Birdie. Wyczuwał silne emocje albo był po prostu głodny lub znudzony. Wszedł do pokoju.

Powoli, nieuniknienie szloch Katy przycichł, a jej oddech się wyrównał. Odsunąwszy się

od mojej piersi, usiadła wyprostowana.

Twarz mojej córki, zwykle w idealnym stanie, przedstawiała teraz wzorzec dla nowego trendu szalonego makijażu. Zewnętrzna strona dłoni pocierała nos i odgarniała z twarzy długie kosmyki jasnych włosów.

Wyszarpnęłam z pudełka chusteczki do nosa i podałam jej. Wytarła oczy, wydmuchała nos, po czym rzuciła zwitek na podłogę.

– Coop nie żyje. – Ledwie słyszalny szept.

– Coop wraca do domu. – Głupie, ale tak właśnie powiedziałam. Słowa Katy do mnie dotarły, ale mój umysł ich nie przyjął.

– Tak. – Walka z napływającymi nowymi łzami. – W skrzyni.

Podsunęłam kolejne chusteczki, po czym chwyciłam Katy za rękę.

– Co się stało?

– Nie oglądałaś wiadomości?

– Cały dzień byłam w Lumberton.

– Powstańcy ostrzelali konwój. Coop zginął razem z afgańskim kierowcą i dwiema kobietami z Anglii.

– O Boże. Kiedy?

– Wczoraj. – Wciągnęła powietrze z drzeniem. – Słyszałam o tym wcześniej na CNN, ale nie zwróciłam większej uwagi. Nie podali nazwisk zastrzelonych ani nazwy organizacji, dla której pracowali. Dopiero dzisiaj zidentyfikowano ofiary. Ja...

Jej dolna warga drgała. Zagryzała wargi.

– Och, Katy – powiedziałam.

Sukinsyny, pomyślałam.

Ale przecież tak to działa. Tożsamość ofiar podaje się do wiadomości publicznej dopiero po zawiadomieniu najbliższych krewnych.

– Dzwoniłaś do kogoś z rodziny Coopa?

– No pewnie. – Wydała z siebie sarkastyczne prychnięcie. – Złapałam jakiegoś wujka czy kuzyna, kogoś takiego. Zasadniczo kazał mi spadać.

– Co powiedział?

– Facet nie miał pojęcia, kim jestem, więc miał mnie gdzieś. Mówił, że pogrzeb będzie prywatny, tylko dla członków rodziny. Dziękował za telefon. Słowem: idź się walić.

– Gdzie ich zaatakowano?

– Na jakiejś drodze pod Kabulem. Wszyscy w tym konwoju pracowali dla International Rescue Committee. Mieli zawieźć Coopa i jedną z Brytyjek na lotnisko.

Żeby odlecieli do domu. Nie była w stanie tego powiedzieć.

– W drugim pojeździe dwie osoby zostały ranne. Cała czwórka z pierwszego samochodu zginęła na miejscu. – Katy przełknęła ślinę. – Postrzał wieloma pociskami.

– Och, kochanie. Bardzo, bardzo mi przykro.

– Przecież pracowali w organizacji humanitarnej! – To był prawie wrzask. – Kopali studnie i uczyli ludzi, że należy gotować wodę.

Ścisnęłam dłonie Katy. Drżały.

– Odpowiedzialność za zamach wzięli talibowie. Twierdzą, że Coop i jego współpracownicy byli szpiegami. Szpiegami! Dasz wiarę?

Odraza walczyła we mnie z żalem. I wzbierającą furią. Talibowie zwykle w ten sposób usprawiedliwiają mordy. Ich ofiary to zawsze szpiegzy i kolaboranci.

– Te dupki określiły International Rescue Committee jako zniechęconego sojusznika wojsk inwazyjnych.

– Nie bardzo wiem, co mogłabym ci powiedzieć, kochanie.

– Ludzie z konwoju Coopa nie byli uzbrojeni, mamo. Na ich samochodzie naklejono wielkie litery IRC.

– Bardzo, bardzo mi przykro. – Byłam strasznie zmęczona wyjazdem do Lumberton i bardzo uważałam, by nie stracić kontroli nad własnymi emocjami, dlatego moja odpowiedź, choć dość banalna, była najlepszą, jakiej mogłam teraz udzielić.

– Coop nie był żadnym szpiegiem. Pojechał do Afganistanu, bo chciał pomagać ludziom. To totalnie nie w porządku, że zginął.

– Wojna pociąga za sobą wiele niewinnych ofiar – powiedziałam.

– Coop pojechał tam jako wolontariusz. – Świeże łzy spływały po policzkach Katy. – Wcale nie miał obowiązku tam być.

– Wiem.

– Dlaczego on?

Nie znalazłam odpowiedzi.

– Czy Lija jest w domu? – spytałam delikatnie, odczekawszy kilka sekund.

– Wyjechała w góry. – Katy przyciskała silnie zmiętą chusteczkę pod oczyma. – Do Banner Elk, chyba.

– Już wie?

– Zostawiłam jej wiadomość na komórce.

– Zostaniesz u mnie na noc?

Jej wzruszenie ramion było dla mnie więcej niż wymowne. Od wczesnego dzieciństwa gest ten oznaczał głęboki smutek.

– Przyjmuję to jako potwierdzenie – rzekłam.

Przez sześćdziesiąt tyknień babcinego zegara siedziałyśmy obie zatopione każda we własnych myślach.

Gdy Katy przemówiła ponownie, jej głos drżał gniewem.

– Ci pieprzeni talibowie są do dupy. – Zmięta chusteczka odbiła się rykoszetem od biurka i wylądowała na dywanie.

Gorycz w głosie mojej córki sprawiła, że poczułam ciarki na plecach. Otoczyłam ją ramionami, przytuliłam i oparłam jej głowę o moją.

Obie płakałyśmy cicho. Ona z powodu utraconego przyjaciela. Ja z powodu mego dziecka, któremu nie mogłam ulżyć w cierpieniu.

Rozłożyłyśmy i pościeliłyśmy sofę. Kiedy Katy brała prysznic, ja wyjęłam z zamrażarki mrożone ciastka z supermarketu, umieściłam je na tacy i wsunęłam do kuchenki mikrofalowej.

Gdy Katy wyszła z łazienki, mieszkanie wypełniał już słodki zapach piekącego się ciasta. Przesadnie naśladując wdzięczne gesty Marthy Stewart, zaproponowałam córce ciepłe mleko z płatkami czekoladowymi.

Wzięła jedno ciastko i uniosła sceptycznie brew, teraz już w idealnym stanie. Przyznałam się do użycia gotowej mrożonki, domagałam się jednak odrobiny zaufania. Katy prawie się uśmiechnęła.

Wkładałam właśnie brudne naczynia do zlewu, gdy zadzwonił telefon stacjonarny.

Błyskawicznie spojrzałam na ścienny zegar. Kwadrans po północy.

Zirytowana podniosłam słuchawkę.

– Nagroda główna! Darmowa wycieczka na Hawaje! – Danny Tandler naśladował prowadzącego teleturniej.

– Wiesz, która tu jest godzina?

Poruszając palcami w geście pożegnania, Katy wyszła z kuchni.

– Pora wybrać się w drogę!

– Co takiego?

– Szczęśliwy zwycięzca otrzyma miejsce w klasie ekonomicznej przy kibelku oraz tani pokój milion kilometrów od morza.

– O czym ty mówisz?

– Kompletnie zaczarowałaś Platona Lowery’ego.

– To bardzo miły dżentelmen.

– Ów bardzo miły dżentelmen chce ciebie i tylko ciebie. A jego kongresmen przykręca śrubę, żeby mieć pewność, że stary dostanie, czego chce.

Pamiętając o wspólnym oglądaniu albumu ze zdjęciami, obawiałam się, że coś takiego może nastąpić.

– O’Hare znów dzwonił – rzuciłam przypuszczenie.

– A jakże. Nie wiem, czy to Lowery zatelefonował do naszego dobrego kongresmena, czy odwrotnie. O’Hare zadzwonił do Nottera. Notter zadzwonił do Merkela. Czyż współczesne możliwości komunikacyjne nie są wspaniałe?

– Nie mogę teraz polecieć na Hawaje.

– Notter jest przeciwnego zdania.

– Przeboleje to.

– A jeśli zakwaterujemy cię przy jakiejś naprawdę fajnej plaży?

– Danny.

– Dlaczego nie chcesz?

Opowiedziałam mu o Coopie.

– Jezu, widziałem materiał w wiadomościach. Ten zabity Amerykanin to przyjaciel Katy?

– Tak.

– Biedne dziecko. Czy byli ze sobą, no wiesz, blisko?

Nie wiedziałam.

– Dostatecznie blisko.

– Uściskaj mocno Katy ode mnie. Zaczekaj. Albo lepiej przywieź ją tu ze sobą. Trochę hawajskiego słońca dobrze jej zrobi.

– Och, Danny.

– Lowery stanowczo domaga się, żebyś to ty towarzyszyła ciału jego syna w drodze do Honolulu i żebyś nadzorowała cały proces badania zwłok.

– Niech Notter mu to wyperswaduje.

– Niewykonalne.

– Nie mój problem.

– Kiedy ostatnio miałaś trochę wakacji?

– W Boże Narodzenie.

– Słuchaj, Tempe. Oboje wiemy, że facet, którego dzisiaj wykopałaś, to nie jest John Lowery.

– Mówiono na niego Pająk.

– Dlaczego?

– To długa historia.

– Możesz rozgniewać starego Platona. Zrób to dla niego. Oraz dla Nottera i Merkela. Może się kiedyś zdarzyć, że będziesz od nas potrzebować jakiejś przysługi.

Zobaczyłam udręczone oczy pod daszkiem czapki weterana wojny koreańskiej.

Ciało zawinięte w folię.

Pokryty pleśnią szkielet.

Nie miałam żadnych pilnych spraw do załatwienia ani w Karolinie Północnej, ani w Quebecu. Może Danny miał rację. Może podróż na Hawaje zadziała na Katy terapeutycznie, a słowa Danny'ego, że kiedyś w przyszłości mogę ich potrzebować, nie były wyłącznie żartem. Ale czy Katy zechce pojechać?

– Kiedy CIL zacznie zajmować się tą sprawą? – spytałam.

– Szczątki zostaną przywiezione w piątek. Lowery domaga się, żebyś przyleciała razem z nimi.

– Stanowczo?

– Stanowczo.

– Zapytam Katy.

– Grzeczna dziewczynka.

– Ale niczego nie obiecuję, Danny. Katy teraz bardzo mnie potrzebuje. Ma ciężką sytuację.

– Wyobrażam sobie, że jest załamana.

– Bardzo.

– Wybiera się na pogrzeb tego chłopca?

– Ma tam być tylko najbliższa rodzina.

Między Południowym Pacyfikiem a południowo-wschodnim wybrzeżem kraju zapadła cisza. Przerwał ją Danny.

– Wyślę ci szczegółowe informacje o połączeniu lotniczym, gdy tylko je dostanę.

Nazajutrz rano wstałam wcześniej, jak huragan wpadłam do działu kwiatowego marketu Harris Teeter, a następnie szybko wróciłam do domu, aby ściągnąć z Internetu zdjęcia i je wydrukować. Uzbrojona i gotowa, stąpając na palcach, weszłam do mego gabinetu pełniącego dziś funkcję pokoju gościnnego.

Katy obudziła się wśród orchidei, plumerii, ręcznie wykonanych Lei oraz przypiętej pineskami panoramy Hawajów.

Zjawiła się w kuchni parę minut po dziesiątej, rozczochrana i zdezorientowana, trzymając w ręku szczególnie bijące po oczach zdjęcie plaży Kamaole I na wyspie Maui.

Spytałam, jak się czuje. Wzruszyła tylko ramionami i nalała sobie kawy.

Przekazałam wyrazy współczucia od Danny'ego Tandlera. Zasiorkowała.

Zaczęłam swoją śpiewkę. Nurkowanie z rurką. Nurkowanie z aparatem tlenowym. Może lekcja surfingu albo i dwie.

Katy słuchała z oczyma wpatrzonymi w parę unoszącą się znad jej kubka.

Interpretując jej milczenie i brak wzruszenia ramionami jako oznakę zainteresowania, mówiłam dalej. Diamond Head. Waikiki. Plaża Lanikai.

– Więc? Co o tym sądzisz, kochanie? Aloha? – wykonałam małą pantomimę, kręcąc biodrami jak w tańcu hula.

– Chyba tak.

Nie było to wielkie „hura!”. Ale przynajmniej chciała jechać.

Okolo południa, dzięki wstawiennictwu Charliego Hunta, biuro obrońców z urzędu udzieliło „urlopu okolicznościowego” swojej początkującej pracownicy. Dwa tygodnie. Bezpłatne.

I bardzo dobrze.

Po lunchu składającym się z zupy pomidorowej i kanapek z tuńczykiem wyciągnęliśmy i przygotowaliśmy nasz sprzęt do nurkowania. A przynajmniej ja to robiłam. Katy głównie się przyglądała.

Zajęłam się wykonywaniem różnych telefonów, a moja córka poszła do domu się spakować. LaManche nie miał nic przeciwko mojej dwutygodniowej nieobecności w montrealским LSJML, pod warunkiem, że będę pod telefonem. Pete zgodził się zabrać

Birdiego do siebie. Sąsiadka zadeklarowała, że zajmie się mieszkaniem. Tim Larabee, ekspert medycyny sądowej okręgu Mecklenburg, poprosił, żebym przed wyjazdem zbadła czaszkę znaną przy Sam Furr Road, nieco na północ od Charlotte. Obiecałam wykonać analizę nazajutrz.

Około szóstej zadzwonił Danny z informacjami o locie. Przekonany o sensowności swojego planu poszedł na całość i zarezerwował bilet także dla Katy.

Oświadczył, że wyjdzie po nas na lotnisko, żartobliwie ostrzegając mnie przed możliwą niespodzianką. Nie sposób było wydusić zeń nic więcej. Lekko zaniepokojona rozłączyłam się.

W czwartkowy wieczór, rozprawiwszy się z czaszką z Sam Furr Road, zaprosiłam Charliego Hunta na kolację. Częściowo dlatego, że się za nim stęskniłam. Częściowo po to, aby podziękować mu za umożliwienie Katy wyjazdu na niezasłużone wakacje.

Spotkaliśmy się u Barringtona, w maleńkim bistro zagrzebanym gdzieś w kompleksie handlowym w południowo-wschodniej części Charlotte. Zaskakujące miejsce. Wysokie ceny. Kapitalne żarcie.

Zjadłam tagliatelle. Charlie wolał rybę. Na deser zamówiliśmy wspólnie pudding chlebowy z lodami i białą czekoladą.

Następnie, opierając się o swoją mazdę, wyraziłam Charliemu wielkie i zdecydowane *mahalo*^[4]. Jego reakcja wskazywała, że ma wielką chęć kontynuować ów sposób wyrażania wdzięczności u siebie w mieszkaniu.

Kuszące. Nawet bardzo.

Ale jeszcze nie teraz.

Ku konsternacji Charliego wróciliśmy do domu osobno.

Dotarcie na Hawaje z Karoliny Północnej jest dziś łatwiejsze niż jeszcze w latach 90. XX w., kiedy pracowałam jako konsultantka CIL. Lecz i tak podróż zajmuje połowę ludzkiego życia.

W piątek wstałam o świcie i zadzwoniłam do Katy. Była już na nogach, ale wydawała się wciąż nieprzytomna. Oświadczyła, że nie mogła zasnąć i spędziła cały czwartek i część piątkowej nocy, pisząc o śmierci Coopa.

Minionej zimy moja córka zaczęła prowadzić blog. Odwiedzałam jej stronę, ChickWithThoughts.blogpost.com, bardzo zaskoczona jej elokwencją. A także poważną tematyką, którą się zajmowała. Obejmowała ona zagadnienia od polityki prowadzonej przez prezydenta przez ekoterroryzm po gospodarkę światową. Zdumiała mnie też liczba osób, które czytały blog i brały udział w dyskusji.

Z Charlotte samolotem linii US Airways (międzylądowanie w Phoenix) dotarliśmy do Honolulu o godzinie drugiej trzydzieści po południu. Podróżując na zachód, zyskuje się pięć

godzin, dlatego odczucie różnicy czasu jest zwodniczo bezbolesne. Ale wiedziałam z doświadczenia: w drodze powrotnej będę totalnie padnięta.

Choć nie uczestniczyłam oficjalnie w procedurze przewożenia zwłok, cały czas świadoma byłam obecności młodego człowieka znajdującego się pod nami, w przedziale transportowym. Przez całą podróż wciąż wracałam do niego myślami. Kim był? Jaka była jego historia? Dlaczego znalazł się ostatecznie w grobie Pajaka Lowery'ego?

Katy przespała większość lotu. Ja próbowałam pisać raporty, ale poddałam się. Fatalnie mi się pracuje w samolotach. Na pewno z powodu wysokości. Ale prawdę mówiąc, chyba odpowiedzialny jest jednak mój brak dyscypliny.

Film wyświetlany na pokładzie miał wszelkie certyfikaty moralności, dzięki czemu mogli go oglądać zarówno marynarze na przepustce, jak i czteroletni baptyści, wołałam więc czytać – na przemian przewodnik po Hawajach i powieść Stephen Kinga.

W krótkich chwilach, gdy nie spała, opowiedziałam Katy o sprawie prowadzonej przez JPAC. Ale żadnych szczegółów. Ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebowała, to przypomnienie jej o tragicznych kosztach wojny. Ale Katy miała sama troszczyć się o siebie, gdy ja będę zajęta pracą w CIL. Z pewnością byłaby ciekawa, gdzie jestem i co tam robię.

Katy słuchała, nie przerywając, którą to reakcję uznałam za niepokojącą. Normalnie moja córka zadawałaby tysiące pytań i wydawała podobną ilość opinii. Rozumiałam jej apatię. Katy wprawdzie nic mi nie powiedziała, ale sama zdołałam podsłuchać jej rozmowę telefoniczną z Coopertonami, zanim wyszła w czwartek z mojego domu. To, co mówiła, wskazywało, że ponownie spotkała się z odmową.

Zgodnie z obietnicą Danny czekał w hali odbioru bagaży, z wózkiem pod ręką. Dostrzegłszy nas, rozpromienił się cały niczym dziecko, które właśnie dostało snickersa.

Uściski, uściski, uściski.

Danny i ja czekaliśmy na odbiór bagażu, a Katy poszła poszukać ubikacji. Danny skorzystał z okazji, aby spytać o stan ducha mojej córki. Machnęłam ręką. Taki sobie.

Zapytałam o szczątki z Lumberton. Odpowiedział, że Silas Sugarman przekazał pojemnik z ciałem na lotnisko w Charlotte i że znajduje się on w wykazie ładunku w dokumentacji naszego lotu.

Znałam procedurę. Pojemnik zostanie teraz wyciągnięty z samolotu i przewieziony do części magazynowej lotniska, gdzie zajmą się nim członkowie personelu z Borthwick, miejscowego prosektorium na Oahu. Po skończeniu papierkowej roboty trumna pojedzie karawanem do Hickam i zostanie wniesiona do CIL tylnymi drzwiami. Otrzyma stosowny numer katalogowy, a szczątki będą oczekiwać na chwilę, gdy ktoś się nimi zajmie.

Kolejka do okienka firmy Avis posuwała się z prędkością szlamu. Kiedy wreszcie dotarłam do kontuaru, agent w żaden sposób nie mógł namierzyć mojej rezerwacji. Po licznych

westchnieniach i wielokrotnym potrząsaniu głową samochód wreszcie się znalazł: czerwony chevrolet cobalt, wielkości mniej więcej mojej torebki.

Danny pomógł nam załadować walizki do bagażnika. Po czym, odmówiwszy wyjawienia jakiegokolwiek informacji na temat naszego hotelu, poprosił z naciskiem, żebym jechała za jego hondą. W przeszłości, gdy pracowałam jako konsultantka CIL, dostawałam zawsze kwaterę w umiarkowanym cenowo hotelu przy Waikiki Beach. Oznaczało to, że trzeba jechać do miasta, obierając kierunek mniej więcej na południowy wschód.

Trasa, którą prowadził Danny, zaskoczyła mnie. Zrobił pętlę na północ, wjeżdżając na H-1, następnie skręcił na wschód na H-3 w stronę Kaneohe.

Ledwie opuściliśmy teren lotniska, Katy osunęła się na szybę okienną i zasnęła. Mój mały nawigátor. Teraz tylko ode mnie zależało, żeby mieć Danny'ego w zasięgu wzroku. Niezłe wyzwanie, zważywszy, że facet miał nogę dwukrotnie cięższą niż masa atomowa ołowiu.

Po dwudziestu minutach Danny wcisnął się na trasę numer 630, Mokapu Boulevard, a następnie skręcił na południe na Kalaheo. Po chwili minęliśmy Kailua Beach Park.

Włączył się mój wewnętrzny GPS i poczułam drżenie ekscytacji. Danny wiedział, że moim ulubionym kawałkiem plaży na Oahu jest Lanikai Beach. Lanikai leży nieco na południe od Kailua. Czy tam właśnie zmierzał? Czy to miała być ta niespodzianka?

Daj spokój, zaszydził neuron pesymista. Jesteś teraz na cienkim garnuszkach armii.

Wszystko jest możliwe, odparował neuron optymista.

Za mostem w Kailua jazda przypominała mi podróżowanie po Charlotte. Nazwa ulicy co chwilę się zmieniała. Lihikai. Kawailoa. Alala. Mokuia.

Hawajski. Nie można go nie lubić.

Wreszcie Danny wjechał w prześwit ledwie widoczny między wznoszącymi się wysoko żywopłotami. Podążyłam za nim.

Podjazd prowadził przez ogromny trawnik do dwupiętrowego otynkowanego domu z werandami otaczającymi go z trzech stron. Za budynkiem widać było jeszcze więcej trawy, więcej piasku oraz lśniący turkus zatoki Kailua.

Danny zatrzymał się, wysiadł z samochodu i podszedł do nas. Odkręciłam szybę.

– Nie ma jak w domu. – Rozłożył szeroko ramiona w teatralnym geście.

– Będziemy tu mieszkać? – Przyznaję, prawie zapisałam.

Danny wyszczerzył zęby od ucha do ucha.

Katy usiadła wyprostowana i zerknęła przez okno.

– Jak to załatwiłeś? – zapytałam.

– Danny ma swoje sposoby. – Stukanie w skroń.

Zwinęłam palce w geście „proszę o więcej informacji”.

– Dom należy do pewnego emerytowanego pułkownika. Wyjechał na miesiąc odwiedzić dzieci w kontynentalnej części Stanów i czuje się bezpieczniej, wiedząc, że ktoś zajmuje się jego rezydencją.

Katy wytarabaniła się z samochodu i ruszyła w kierunku domu.

– Zobaczymy, czy standard kwaterek odpowiada wysokim wymaganiom szanownej pani.

Ignorując jego udawany brytyjski akcent, wysiadłam i poszłam za nim do frontowych drzwi.

Standard zdecydowanie mi odpowiadał. Biorąc pod uwagę mój zawód, znałam go jedynie ze słyszenia.

Wystrój wnętrz łączył w sobie tradycyjny styl hawajski z nowoczesnością. Łukowate okna i drzwi. Rzeźbione elementy drewniane. Cudownie zielone rośliny. Posadzki z marmuru, parkiety z wiśni brazylijskiej.

Jadalnia i salon odznaczały się sklepieniami drewnianymi sufitami, wyposażono je w oszklone przesuwne drzwi prowadzące na werandę z widokiem na basen. Trawnik długości trzydziestu metrów zbiegał od basenu ku rzędom palm kokosowych i plaży.

W kuchni znajdowały się wszelkie urządzenia, które opatentowano w nowym tysiącleciu, i tyle nierdzewnej stali, że wystarczyłoby do wyposażenia sali operacyjnej. Wokół głównych pomieszczeń na parterze rozlokowano sypialnię, łazienkę, toaletę, małą siłownię oraz gabinet.

Każdy z apartamentów na piętrze miał własną łazienkę z prysznicem, jacuzzi oraz mnóstwem marmuru. Łóżka były królewskich rozmiarów. Plazmowe telewizory. Wentylatory pod sufitem. Wywołujące zawał serca panoramy oceanu.

Danny oprowadzał nas po domu, a Katy wlekła się z tyłu w milczeniu.

– Który pokój ci się spodobał? – dopytywałam, gdy już skończyliśmy.

– Ten zielony jest w porządku.

– Jest twój – powiedziałam.

– Co teraz? – spytałam, kiedy Katy poszła do samochodu po bagaże.

Danny spojrzął na zegarek.

– Jest piątek, już prawie siedemnasta. W laboratorium jest teraz bardziej pusto niż w sercu polityka.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć, słysząc tę metaforę Danny'ego.

– Dokopałem się do pewnych danych na temat Lowery'ego. Nie jest tego dużo. Czterdzieści parę lat to szmat czasu. Może ci je krótko zreferuję, a potem odpoczniecie sobie z Katy przez weekend? A w poniedziałek rano spotkamy się w CIL i przystąpimy do analiz.

Byłam nieco rozczarowana tą dwudniową zwłoką, jednak Danny miał rację. Według czasu na wschodnim wybrzeżu dochodziła już dwudziesta druga, a ja przecież wstałam o piątej rano. W samolocie niewiele spałam i nie byłam już chyba zdolna do formułowania rozsądnych myśli. Co ważniejsze, nie chciałam teraz zostawiać Katy samej.

– Całkiem dobry plan – rzekłam.

Danny zaoferował się, że przyniesie moje rzeczy z samochodu. Odparłam, że sama dam sobie radę z walizką i laptopem. Jakby nie słysząc, ruszył po bagaże.

Gdy zbierał mój dobytek, ja sprawdziłam zawartość lodówki. Była wypakowana po brzegi. Napoje chłodzące. Soki. Sery. Jogurt. Hummus. Owoce i warzywa. Bajgle i twarożek. Tacki z zapakowanym sushi.

Otworzyłam kilka szafek. To samo.

Szczodrość typowa dla Danny'ego. Od czasu do czasu, gdy czułam się przybita, wysyłał mi jakiś zwariowany prezent, aby wywołać uśmiech na mej twarzy. Gdy zaś cieszyłam się jakimś niewielkim zwycięstwem albo osiągnięciem, przysyłał inny zwariowany prezent, by spotęgować moje szczęście.

Danny wrócił, a ja podziękowałam mu i zaproponowałam, że zapłacę za zakupy żywnościowe. Poprosił o piwo, ale nie zgodził się przyjąć ode mnie kasy.

Posprzeczaliśmy się. Danny wreszcie podał kwotę. Wiedząc, że jest zaniżona, podwoiłam ją i wypisałam czek. Po czym oboje zasiedliśmy na leżakach na werandzie.

– Historia Pajaka nie spodoba się jego ojcu.

Danny pociągnął łyk piwa corona i zaczął mówić.

– W grudniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku, stacjonując w Wietnamie, szeregowy John „Pajak” Lowery oddalił się bez zgody przełożonych ze swojej jednostki.

– Po prostu zdezerterował?

– Najwyraźniej. Sześć tygodni później został aresztowany przez żandarmerię wojskową w domu wietnamskiej dziwki na przedmieściach Sajgonu.

– Żyli razem na kocią łapę?

Danny przytaknął.

– Krótko mówiąc, Lowery wylądował w więzieniu Long Binh, wojskowej warowni na drodze między Bien Hoa a Sajgonem. Ostatecznie zaproponowano mu, że wyjdzie z mamra, jeśli wróci do swojej jednostki i do służby.

– Czy to była standardowa praktyka?

Kolejne skinienie głową.

– Wojna osiągała masę krytyczną i wojsko musiało mieć na polu walki możliwie jak najwięcej ludzi, więc jeśli jedynym przestępstwem było samowolne oddalenie się, wojsko szło na ugodę.

Rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy. Ofensywa Tet. Bitwa o Hue.

Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, ale współpraca z JPAC pozwoliła mi poznać najdrobniejsze szczegóły tej historii.

W styczniu sześćdziesiątego ósmego roku, mając nadzieję na wywołanie ogólnonarodowego powstania, Armia Północnego Wietnamu (APW) oraz Narodowy Front Wyzwolenia Wietnamu Południowego, czyli Wietkong, złamały tradycyjny rozejm w okresie nowego roku księżycowego i rozpoczęły ofensywę Tet. Zaatakowano ponad sto miast. A także kwaterę główną Westmorelanda oraz ambasadę USA w Sajgonie.

Podczas tej „miejskiej” ofensywy połączone siły Wietkongu i APW zdobyły Hue. Żołnierze marines kontratakowali i odbili dawną stolicę, za każdy metr płacąc krwią.

– Pajaka zwolniono z Long Binh dwudziestego trzeciego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku i przewieziono helikopterem z powrotem do jego jednostki – kontynuował Danny. – Na liście pokładowej znajdowało się czterech członków załogi śmigłowca oraz szeregowy Lowery. Zaraz po starciu maszyna rozbiła się i stanęła w ogniu. Wszyscy obecni na pokładzie zginęli. Nazajutrz odnaleziono i zidentyfikowano ciała trzech członków załogi. Dwóch chorążych na stanowiskach pilota i drugiego pilota oraz sierżanta pełniącego funkcję szefa ekipy. Kilka dni później w pobliżu miejsca zdarzenia odnaleziono czwarte, bardzo spalone zwłoki. Widniały na nich resztki munduru polowego, ale bez szarży.

– Czy to nie dziwne?

– Nie, jeśli się weźmie pod uwagę fakt, że Lowery dopiero co wyszedł z więzienia. – Danny pociągnął kolejny łyk piwa. – Spalone zwłoki przetransportowano do kostnicy w Tan Son Nhut, gdzie analiza medyczno-sądowa wykazała, iż ofiara odpowiada profilowi Lowery’ego pod względem wieku, płci, rasy i wzrostu.

– A co z czwartym członkiem załogi?

Danny potrząsnął głową.

– Mechanik specjalista. Skreślili go. Nie bardzo wiadomo dlaczego.

– Czy w ogóle znaleziono jego szczątki?

– Dowiem się. – Znów się napił. – Po identyfikacji i zapakowaniu zwłoki Lowery’ego przewieziono z Tan Son Nhut do Lumberton w Karolinie Północnej w celu pogrzebania. Koniec opowieści.

– Chyba jednak nie – stwierdziłam.

– Chyba jednak nie. – Danny postawił pustą butelkę i wstał. – Życzę wam obu miłego weekendu.

Mimo przygnębienia Katy weekend był miły.

^[4] *Mahalo* – hawajskie „dziękuję”.

Gdy w poniedziałek rano wyruszyłam w drogę, Katy jeszcze spała. Jej dzień miał się niczym nie różnić od soboty i niedzieli. Czytanie nad oceanem, potem koło basenu. Troszkę nurkowania. Bieg po plaży. Długa drzemka.

Hawaje leżą nieopodal równika, dlatego pogoda jest tu mało zróżnicowana. Słońce, temperatury dochodzące maksymalnie do dwudziestu sześciu stopni, czasem ledwie zauważalny popołudniowy deszczyk. Słowem – raj.

Opis ten nie pasuje jednak do godzin szczytu na drogach w Honolulu.

Pełzanie i szarpnięcie. Pełzanie i szarpnięcie.

Oprócz JPAC w bazie lotniczej Hickam ma swoją siedzibę 15. Skrzydło Lotnictwa Transportowego oraz sześćdziesiąt siedem współpracujących z nim jednostek, w tym Kwatery Główna Sił Powietrznych nad Pacyfikiem oraz Powietrzna Gwardia Narodowa Hawajów. Jak w większości kompleksów wojskowych, osoby z zewnątrz nie mogą sobie tu tak po prostu wejść.

W kolejce przy bramie spędziłam dokładnie dziesięć minut. Kiedy wreszcie dotarłam do jej czoła, nadzwyczaj pedantyczny młody człowiek zaprowadził mnie do biura, w którym siedzieli pracownicy ochrony ubrani w pomarańczowe kamizelki.

Danny przekazał wcześniej informacje o mnie. Samochód został zarejestrowany, papierkowa robota wykonana i szybko mogłam zająć się swoimi sprawami.

Okrążywszy lotnisko wojskowe, dołączyłam do innych pojazdów i przejechałam obok kwatery głównej lotnictwa transportowego. Każda osoba po raz pierwszy odwiedzająca tę bazę musi na własne oczy zobaczyć ślady po pociskach na ścianie budynku, wciąż wyraźnie widoczne, które powstały w dniu siódmego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Ów atak zmusił Stany Zjednoczone do udziału w drugiej wojnie światowej.

W końcu zjechałam w prawo, minęłam hangary lotnicze, skręciłam w lewo i zatrzymałam się na małym parkingu. Budynek nr 45. Wojsko lubi wymyślać sobie takie poetyckie nazwy.

Zadzwoeniłam z komórki do Danny'ego. Poinformował mnie, że zaraz wyjdzie.

Czekając, rozmyślałam o brzemieniu, które spoczywa na barkach osób pracujących w tym brunatnym budynku. O racji bytu JPAC.

Od roku pięćdziesiątego dziewiątego do siedemdziesiątego piątego Wietnam Północny, wspomagany przez swych komunistycznych sojuszników z Południa, pokonał armię Wietnamu Południowego i obalił jego rząd, za którym stały Stany Zjednoczone oraz pozostali członkowie SEATO, czyli Organizacji Paktu Azji Południowo-Wschodniej. W swej szczytowej fazie wojna rozlała się na cały Wietnam, Laos i Kambodżę.

Oto jak wyglądał ten konflikt:

Podczas gdy lekkobrojne oddziały Wietkongu prowadziły wojnę partyzancką („uderz i znikaj”), Armia Północnego Wietnamu wołała taktykę bardziej konwencjonalną – często wysyłała do boju duże i zwarte jednostki. Amerykanie natomiast wierzyli w skuteczność typowej militarnej triady, czyli współdziałania wojsk lądowych, ciężkiej artylerii i intensywnego bombardowania z powietrza.

Straty w ludziach były ogromne: trzy do czterech milionów Wietnamczyków po obu stronach; od półtora do dwóch milionów Laotańczyków i Kambodżan; pięćdziesiąt osiem tysięcy stu pięćdziesięciu dziewięciu Amerykanów.

Spośród owych Amerykanów tysiąc ośmiuset nigdy nie wróciło do domu, a ich los pozostał nieznanym.

Po to powołano CIL, a potem JPAC.

A teraz rozwinięcie akronimów:

Centralne Laboratorium Identyfikacyjne w Tajlandii, w skrócie CIL-THAI, zostało założone w roku siedemdziesiątym trzecim w celu lokalizowania i identyfikowania członków amerykańskiego personelu wojskowego zaginionych w Azji Południowo-Wschodniej. Po trzech latach działalności laboratorium przeniesiono do Honolulu i poszerzono zakres jego zadań. Centralne Laboratorium Identyfikacyjne na Hawajach, CILHI, miało odtąd poszukiwać, odzyskiwać i identyfikować ciała Amerykanów zaginionych we wszystkich dotychczasowych konfliktach zbrojnych. Oprócz ofiar Wietnamu w grę wchodziło więc stu dwudziestu żołnierzy z czasów zimnej wojny, osiem tysięcy stu żołnierzy z wojny koreańskiej oraz siedemdziesiąt osiem tysięcy z okresu drugiej wojny światowej.

Przesuńmy się teraz do przodu o niemal dwa dziesięciolecia od chwili założenia CILHI.

W roku dziewięćdziesiątym drugim powołano do życia Siły Zadaniowe Komisji Rejestracji Zaginionych, czyli JTF-FA, aby w możliwie kompleksowy sposób zająć się problematyką zaginięć żołnierzy amerykańskich w Azji Południowo-Wschodniej. Po upływie kolejnej dekady Departament Obrony uznał, że dzieło to będzie realizowane najskuteczniej, jeśli zajmie się nim wyłącznie jedna instytucja. W ten sposób w roku dwa tysiące trzecim nastąpiło połączenie dwóch organizacji w jedną o nazwie Wojskowa Połączona Komenda Poszukiwania i Rejestrowania Żołnierzy Zabitych i Zaginionych, czyli JPAC.

Podobnie jak w przypadku jej poprzedniczki, misją JPAC jest lokalizowanie zwłok Amerykanów poległych podczas wojen i sprowadzanie ich do kraju. Do najważniejszych podejmowanych operacji należą poszukiwanie śladów, odzyskiwanie szczątków i przedmiotów należących do ofiar oraz identyfikowanie poszczególnych żołnierzy, marynarzy, lotników i marines.

Każde śledztwo rozpoczyna się od papierów. Historycy i analitycy JPAC gromadzą

korespondencję, mapy, fotografie, archiwa jednostek wojskowych oraz dane medyczne i osobowe. Sekcja badawczo-wywiadowcza JPAC przybliżyła tło historyczne poszczególnych wydarzeń.

Przy większości śledztw wykorzystuje się również źródła spoza JPAC, na przykład archiwa krajowe oraz bazy danych prowadzone przez rząd amerykański i rządy innych krajów. Informacji zwykle dostarczają też weterani, cywilni historycy, obywatele prywatni, rodziny zaginionych Amerykanów oraz badacze amatorzy.

Koniec końców eksperci JPAC wszystkie pozyskane dane gromadzą w „aktach osobowych osoby zaginionej/zabitej”. Codziennie około siedmiuset takich akt stanowi przedmiot aktywnych dochodzeń prowadzonych przez CIL.

Danny pojawił się ubrany w różową hawajską koszulkę oraz workowate brązowe spodenki. Za grubymi szklami okularów widać było jego oczy błyszczące w świetle dnia.

Weszliśmy do wnętrza budynku nr 45 tylnymi drzwiami i posuwaliśmy się korytarzem, mijając biura personelu ogólnego, aż do głównego holu. Na ścianach wisiały oprawne w ramki mosiężne plakietki z nazwiskami poległych, którzy zostali zidentyfikowani dzięki pracy wykonanej przez JPAC.

Danny przeciągnął odznaką przed parą szklanych drzwi i weszliśmy do strefy ogólnodostępnej w CIL. Po lewej przez długą szklaną ścianę widać było główne laboratorium. Na znajdującym się przed nią składanym stole leżały czaszki, kości i wyposażenie wojskowe przeznaczone do celów pokazowych.

Biegający prosto korytarz prowadził do biur, punktu ksero, małej kuchni, sali konferencyjnej oraz strefy sekcyjnej, gdzie oczyszczano odzyskane przedmioty i dokonywano ich opisów. Na prawo od nas przy kontuarze siedział jakiś młody człowiek w mundurze wojskowym. Nad jego ogoloną głową zegary analogowe pokazywały aktualną godzinę w pięciu strefach czasowych.

Krąg zamykały biura wyższego personelu JPAC. Tylko dwoje drzwi stało otworem.

Roger Merkel jest wysoki, lekko przygarbiony i łysiejący. Dobrze po pięćdziesiątce, ma opaloną twarz usianą zmarszczkami powstałymi wskutek zbyt częstego przebywania na słońcu. Merkel siedział za swoim biurkiem. Zobaczywszy nas, wstał i uściskał mnie tak mocno, że aż łzy napłynęły mi do oczu, chwilowo mącąc wzrok.

Cofnęłam się o krok i jak zwykle nie mogłam się nadziwić zamiłowaniu Merkela do porządku. Akta i dokumenty tkwiły poukładane w równiuteńkie rzędy. Książki, zdjęcia i pamiątki wisiały lub stały w idealnych formacjach.

Zamieniwszy z Merkelem kilka słów, wyruszyłam z Dannym na poszukiwanie kawy. Gus Dimitriadus, antropolog z CIL, właśnie wychodził z kuchni, gdy się zbliżaliśmy.

Dimitriadus jest mniej więcej w tym samym wieku co Danny i ja, nigdy jednak nie

nawiązaliśmy bliższych relacji. Dość atrakcyjny, ma ładne włosy, ładne oczy, ale zachowuje się tak, jakby stale przyjmował płyn do balsamowania.

Gus Dimitriadus nigdy się nie śmieje. Wcale. Powiem szczerze: nigdy zbytnio go nie lubiłam.

Najwyraźniej nie jestem w tym odosobniona. Odkąd go znam, Dimitriadus mieszka samotnie w małym apartamencie nieopodal Waikiki Beach.

Dimitriadus spojrział na nas sponad faksu, który właśnie przeglądał. Gdy mnie ujrzał, jego wiecznie ponura twarz przybrała jeszcze sztywniejszy wyraz. Skinął głową i odszedł w głąb korytarza.

Zaskoczona zwróciłam się do Danny'ego.

- O co mu, do diabła, chodzi?
- Daj spokój. Przecież nigdy nie byliście bratnimi duszami.
- Ale zawsze traktowaliśmy się serdecznie.
- Nie przejmuj się tym.

Danny zajął się wyjmowaniem kubków i nalewaniem do nich kawy, która przypominała płynny asfalt.

Próbowałam dociec, kiedy ostatnio widziałam się z Dimitriadusem. Co najmniej dwanaście lat temu. Za każdym razem, gdy bywałam w CIL, on bawił poza firmą na różnych misjach.

- Czy Dimitriadus ma ciągle żal o tę sprawę Kingstona–Washingtona?

Bernard Kingston zginął razem z trzema innymi mężczyznami na trałowcu pływającym po Mekongu w roku sześćdziesiątym siódmym. Trzydzieści lat później do CIL dotarły cztery niekompletne ludzkie szkielety.

Długa historia. Ujmując ją krótko: tubylcy pogrzebali zwłoki marynarzy wyrzucone na brzeg morza, a relację z tego wydarzenia zdali dopiero w roku dziewięćdziesiątym piątym, mając nadzieję na uzyskanie w zamian pieniędzy.

Dimitriadus zajął się sprawą. Zakwestionowałam jego raport, podejrzewając, że zamieniono dane identyfikacyjne dwóch ofiar. Jak się okazało, miałam rację.

Danny przytaknął.

- I tylko tyle? – naciskałam. – Jezu, przecież to było wieki temu.

– Cóż mogę powiedzieć? – Danny podał mi kubek. – Facet należy do tych, którzy długo żywią urazę.

W drodze do biura Danny'ego nie spotkaliśmy już nikogo.

– Całkiem tu spokojnie.

Pamiętałam, że nieraz bywało tu o wiele bardziej gwarno.

– Wiele osób wyruszyło w teren.

Danny miał na myśli pracowników wydelegowanych z misją odnalezienia i przywiezienia zwłok.

Oto krótkie wprowadzenie w temat operacji prowadzonych przez JPAC.

Po założeniu akt sprawy i wstępnym ustaleniu możliwej lokalizacji zwłok zespół poszukiwawczy, w skrócie ZP, udaje się na miejsce zdarzenia. Może się ono znajdować gdziekolwiek – na polatku ryżowym w Azji Południowo-Wschodniej, na urwiskach Papui-Nowej Gwinei, na którymś ze szczytów Himalajów, w jakimś morskim przesmyku nieopodal wybrzeży Tunezji.

W skład ZP wchodzi od dziesięciu do czternastu osób, na których czele stoją szef grupy oraz antropolog sądowy: pierwszy jest odpowiedzialny za bezpieczeństwo i sukces misji jako takiej, drugi zaś za samo odkrycie i wydobycie zwłok. Wśród pozostałych członków zespołu znajdują się kierownik operacyjny, tłumacz, lekarz, technik reanimacyjny, fotograf sądowy oraz pirotechnik, czyli specjalista od materiałów wybuchowych. Pozostałych ekspertów dobiera się według potrzeby – bywają to na przykład alpinisci, nurkowie i tak dalej.

Miejsca lokalizacji zwłok mogą zajmować kilka metrów kwadratowych, jak w przypadku pojedynczego grobu, albo powierzchnię większą od boiska piłkarskiego, gdy w grę wchodzi katastrofa lotnicza. Antropolog rozpoczyna pracę zespołu od podzielenia terenu na sekcje za pomocą kołków i linek ustawionych na kształt szachownicy, po czym każda z nich, jedna po drugiej, zostaje spenetrowana. Ziemię przesiewa się ręcznie przez sita, aby znaleźć jak najwięcej drobnych odłamków szkieletów oraz fragmentów należących do ofiar przedmiotów. Zależnie od warunków, do pomocy zatrudnia się od kilku do nawet stu miejscowych.

Po przewiezieniu wszystkiego do siedziby CIL do roboty biorą się laboranci. Dokładnie badają kości, zęby oraz inne dowody materialne; szukają korelacji pomiędzy wszystkimi znaleziskami a dokumentami historycznymi.

Antropolog stara się możliwie najdokładniej ustalić profil biologiczny zabitego, analizuje wszelkie urazy i opisuje stany zwyrodnieniowe zwłok, spowodowane na przykład zapaleniem stawów czy złamaniami kości. Odontolog porównuje znalezione uzębienie z posiadanymi zdjęciami rentgenowskimi, kartami pacjenta oraz historią medyczną danej osoby. Obaj specjaliści pobierają też próbki do badań mitochondrialnego DNA.

Dowody materialne różnią się od siebie w zależności od sprawy. Tabliczki znamionowe samolotu. Bojowe środki techniczne lub broń. Plecaki, menażki, mundury. Pakiety medyczne. Rzeczy osobiste, takie jak obrączki, zegarki czy grzebienie. Każdy strzęp, odłamek i wiórek jest skrzętnie analizowany.

Jak łatwo się domyślić, wszystkie te poszukiwania, procedury odzyskiwania ciał oraz analizy są czasochłonne, a pełna identyfikacja zwłok może trwać latami. Jeśli mitochondrialne DNA daje się pozyskać tylko z kości lub zębów, wówczas znalezienie członków rodziny, od których można pobrać próbki do porównania, proces ów jeszcze wydłuża.

Ale nawet wtedy sprawa nie jest zakończona. Każda pozytywna identyfikacja wymaga potwierdzenia na kilku poziomach, także ze strony niezależnych, zewnętrznych ekspertów. Na tym właśnie polegała moja rola. Przez wiele lat oceniałam akta, porządkowałam grupy dowodów tak, aby pasowały do konkretnych szczątków.

Powiecie, że to wszystko wygląda na wielkie zawracanie głowy i wydawanie zielonych, prawda? Proszę mi jednak wierzyć. Wysilek się opłaca, wydatki się zwracają. JPAC identyfikuje średnio sześć osób miesięcznie. Do tej pory ponad tysiąc czterysta ciał członków personelu wojskowego oddano rodzinom. Ich wdzięczności nie da się wyrazić żadną kwotą.

A co najważniejsze, nasi żołnierze wiedzą, że nawet jeśli wyruszą na wojnę, tę czy inną, przywieziemy ich do domu z powrotem.

– Ile misji ekshumacyjnych organizuje się corocznie?

Ponieważ nie pracowałam już dla JPAC, nie orientowałam się w aktualnych danych.

– Co najmniej dziesięć w Azji Południowo-Wschodniej, w tym około pięciu związanych z wojną koreańską. – Danny wykrzywił usta w zamyśleniu. – Dziesięć kolejnych w różnych innych miejscach, wiesz, przypadki z drugiej wojny światowej albo z czasów zimnej wojny. Różne ekipy są nieustannie w drodze.

Biuro Danny'ego stanowiło zupełne przeciwieństwo gabinetu Merkela. Papiery i książki wały się wszędzie, akta zalegały w stosach grożących w każdej chwili zawaleniem. Dokumenty leżały tam, gdzie je ciśnięto, jakby wrzucono je przez drzwi. Podpisana piłka bejsbolowa. Latawiec. Zdjęcie Danny'ego, jak przekopuje jakieś wzgórze.

Biurko przedstawiało bardzo podobny widok. Szereg różnych pamiątek. Rzeźba z Mikronezji wykonana z czegoś, co wyglądało na świńskie kły. Pomalowany orzech kokosowy. Miniaturowy szkielet z podobizną twarzy Danny'ego przyklejoną do czaszki. Wypchana jaszczurka nieznanego mi gatunku.

Danny zrzucił z krzesła jakieś akta, robiąc mi miejsce. Zanim się pojawiłam, przeglądał właśnie teczkę Pająka Lowery'ego. I choć oboje znaleźliśmy jej zawartość, pracę rozpoczęliśmy właśnie od niej.

Przekopując się teraz przez dokumentację, przywoływałam wspomnienia wielu godzin

spędzonych w kucki nad usmarowanymi tuszem z kalki kopiami różnych formularzy, wyblakłymi telegramami i nieczytelnymi rękopisami. Czytanie akt Pająka zajęło nam godzinę.

– Wzięto od ciebie wymaz?

Danny miał na myśli pobranie próbki DNA, które musiał przejść każdy, kto wchodził do laboratorium. Nic wielkiego, szybkie pociągnięcie wymazówką po wewnętrznej części policzka. Próbkę przechowuje się na wypadek, gdyby ewentualne skażenie utrudniło identyfikację.

Skinęłam potakująco głową.

Przeszliśmy do szklanej ściany i Danny przyłożył swoją odznakę do czujnika. Drzwi kliknęły. Weszliśmy do środka i podążaliśmy dalej, zagłębiając się w labirynt stołów; niektóre z nich były puste, na innych leżały kości. Zmieraliśmy w kierunku mężczyzny w czerwonym swetrze, który siedział za biurkiem na tyłach pomieszczenia.

Szczałki z Lumberton zostały opatrzone numerem porządkowym 2010-37. Danny pokazał swoją odznakę i podał sygnaturę sprawy. Czerwony Sweter wstał i nacisnął jakiś guzik. Ukazały się regały z półkami, wznoszące się od podłogi do sufitu; mężczyzna zniknął za jednym z rzędów. Po chwili wyłonił się stamtąd, trzymając długie, białe kartonowe pudło.

Znałam procedurę. Szczałki umieszcza się na jednym z regałów, gdzie pozwala im się leżeć przez trzydzieści dni. Ich pozycję wprowadza się do komputerowego systemu kontrolnego, a umiejscowienie kości zaznacza w diagramie na tablicy wiszącej na ścianie pomieszczenia.

Danny schował swoją odznakę, pochwycił pudło i ruszył do wyznaczonego stołu. Szłam za nim.

Oboje włożyliśmy rękawice, po czym Danny gestem zaprosił mnie, bym pierwsza czyniła honory.

Uniosłam pokrywę.

Szczałki znajdowały się w takim stanie, w jakim je zapamiętałam: potrzaskana czaszka, brak przedramion, dłoni i obu stóp, powierzchnia kości pokryta ciemnymi plamami, różowo-białą pleśnią i zwęgloną.

Pracując w milczeniu, układaliśmy z Dannyem w całość to, co pozostało z człowieka tak długo spoczywającego w grobie w Karolinie Północnej. Czaszka. Tułów. Ramiona. Nogi.

Ułożywszy szkielet zgodnie z budową anatomiczną, przeprowadziliśmy inwentaryzację: Danny nazywał poszczególne kości, a ja sporządzałam ich spis. Chociaż wcześniej przeprowadziłam wstępne oględziny u Sugarmana, dopiero pracę Danny'ego należało traktować jako pełną analizę danych.

Po zakończeniu inwentaryzacji mój towarzysz krok po kroku postąpił zgodnie z tą samą procedurą co ja w zakładzie pogrzebowym. I dokonał tych samych ustaleń.

Szczątki należały do mężczyzny w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat. Rasy nieustalonej.

– Nic, co by wykluczało Pająka Lowery’ego – stwierdził Danny.

– Nie ma też niczego, co by go zdecydowanie pozytywnie identyfikowało.

– Brakuje uzębienia.

– Może uda nam się zrobić zdjęcie rentgenowskie fragmentów korzeni zębowych. Albo zdołamy porównać kształt zębodołów.

Miałam na myśli ukształtowanie jam, w których rosną zęby.

Danny potrząsnął głową.

– Formularz 603 zawiera wyłącznie opisy.

Danny nawiązywał do karty dentystycznej Lowery’ego, która to dokumentacja zawiera zwykle wykresy, zwane odontogramami, zdjęcia rentgenowskie, a także informacje o leczeniu pacjenta, nazwisko stomatologa, wszystkie kiedy, gdzie i tak dalej.

– Dlaczego nie ma zdjęć rentgenowskich? – spytałam. – Przecież podczas wcielania do wojska każdy żołnierz przechodził badania stomatologiczne.

– Teoretycznie tak. Jeśli nie w komendzie uzupełnień, to w obozie dla rekrutów u nas albo w Wietnamie, na przykład w bazie lotniczej Bien Hoa. Ale nie zawsze tak było.

– Sugerujesz, że Lowery padł ofiarą zaniedbań?

– Niewykluczone. Jest jeszcze inna ewentualność. Oddziały przybywające na nowe miejsce stacjonowania często przywożą ze sobą własną dokumentację. Ułatwia to papierkową robotę, bo dokumentacja medyczna i stomatologiczna przybywa jednocześnie z żołnierzem.

Rozumiałam, do czego Danny zmierzał.

– Ale nie zawsze tak się działo.

– To prawda. Czasami papiery docierały później. Może dokumenty Lowery’ego dojechały do Wietnamu już po jego śmierci i odesłaniu ciała do kraju.

– Czy na podstawie tej kartoteki da się ustalić, czy zdjęcia rentgenowskie w ogóle istniały?

– Nie bardzo. Powiedzmy, że dany żołnierz miał robione zdjęcia okołowierzchołkowe zębowe albo radiografię zgryzu. Fotografia rentgenowska mogła zostać przymocowana do jego

karty za pomocą spinacza. Albo włożono ją do małej twardej koperty i luźno wrzucono do akt. Tak czy owak, klisza mogła łatwo zaginać albo się zawieruszyć.

Nagła mroczna myśl.

– Lub też zostać celowo usunięta?

W oczach Danny'ego coś zamigotało i zgasło, zanim mogłam to w pełni odczytać.

– To znaczy? – zapytał.

– Nie wiem – odpowiedziałam.

– Jasne.

Danny podniósł i delikatnie potarł kawałek czaszki, mniej więcej tak jak ja zrobiłam to u Sugarmana.

– Obrażenia spowodowane przez ogień.

– Co pozostaje w logicznym związku z katastrofą śmigłowca, którą zgłoszono – powiedziałam. – Podobnie jak brak dłoni i stóp, a także pęknięcia na czaszce.

– Profil biologiczny, rodzaj urazów, zbieżność czasowa, miejsce odnalezienia zwłok. Wszystko pasuje. Także ustalenie tożsamości w Tan Son Nhut w sześćdziesiątym ósmym.

– Johnson, Dadko i pewien ledwie umiejący pisać oficer medyczny wysłali tego faceta do kraju jako Pająka Lowery'ego.

– Weickmann.

– Co takiego?

– Ten oficer medyczny nazywał się Weickmann.

– Potrafisz odczytać te bazgroły?

– Lata praktyki.

– No dobra. Odciski palców topielca z Quebecu dowodzą, że się mylili.

– Eksplozja w Nam miała miejsce w sześćdziesiątym ósmym. System był wtedy przeciążony.

Istotnie.

Na początku wojny ewidencjonowaniem wszystkich obywateli amerykańskich poległych

w Azji Południowo-Wschodniej zajmowała się tylko jedna komórka. Kiedy na wiosnę sześćdziesiątego siódmego roku liczba ofiar śmiertelnych poszybowała w górę, stało się jasne, że *statusu* nie da się dłużej utrzymać jako *quo*. Ciasna i zapchana kostnica w bazie Tan Son Nhut przestała wystarczać, stała się całkowicie nieodpowiednia, a co gorsza zagrażała zdrowiu żywych.

W rezultacie urządzono kolejną kostnicę, w bazie lotniczej Da Nang. Począwszy od czerwca sześćdziesiątego siódmego roku wszystkie szczątki odnalezione w strefie działań taktycznych I Korpusu przewożono do Da Nang.

Jednakże ofensywa Tet sprawiła, że zwłok przybywało w postępie geometrycznym. W lutym sześćdziesiątego ósmego roku przez obie kostnice przeszło około trzech tysięcy ciał, czyli znacznie więcej niż w jakimkolwiek analogicznym okresie do tej pory.

Z tego powodu na kawałku ziemi w Tan Son Nhut wzniesiono nowoczesne prosektorium mieszczące dwadzieścia stołów sekcyjnych, które oddano do użytku w sierpniu sześćdziesiątego ósmego.

Katastrofa śmigłowca z Pajakiem Lowerym na pokładzie w Long Binh wydarzyła się w styczniu tegoż roku, niedługo po ofensywie Tet i osiem miesięcy przed rozpoczęciem pracy przez nowe prosektorium w Tan Son Nhut.

W tym wojennym chaosie została popełniona pomyłka.

Parę minut po pierwszej zrobiliśmy sobie z Dannym przerwę. Chcąc jak najwięcej załatwić w ciągu tego dnia, zrezygnowaliśmy z przyjemnego lunchu w Klubie Oficerskim bądź też w na polu golfowym Mamala Bay na rzecz szybkiej pizzy w kantynie bazy lotniczej. Zwanej jadłodajnią. Nazwa nie bez powodu.

Wracając samochodem do CIL, zadzwoniłam do Katy. Określić jej głos jako nieszczęśliwy, znaczyłoby to samo, co uznać, że reputacja Nixona została w aferze Watergate ledwie nadszarpnięta.

Kwadrans po drugiej znów pracowaliśmy z Dannym nad szczątkami numer 2010-37. Przez dwie godziny zeszkrobaliśmy z kości zasuszone mięśnie i fragmenty włókien, które to zajęcia traktowałam jako niemiłosiernie nudne. Zapach był odrażający.

Tłuszczowosk to woskowata substancja powstająca wskutek hydrolizy tłuszczu podczas rozkładu zwłok. Miałam już tej roboty po dziurki w nosie, gdy nagle drobny kawałek tłuszczowosku z górnej szczęki, którą skrobałam, złuszczył się i wpadł do zlewu. Woda zawirowała, drobinki ruchem kolistym zaczęły spływać w kierunku drewna.

Przeniosłam wzrok na odsłoniętą teraz strukturę twarzową. Kości policzkowe nie zachowały się, szwy jarzmowo-szczękowe były ledwie widoczne.

Obracałam w rękę ów kawałek kości.

Szerokie podniebienie, szwy podniebienne nie zachodziły na siebie.

Wprowadziłam sondę do jednego z pustych zębodołów. Odpadł kolejny fragment tłuszczowosku. Obserwowałam, jak spada lotem swobodnym wprost do zlewu.

Bryła kości była teraz mniejsza o połowę. Miałam właśnie zamiar ponownie przyjrzeć się bliżej górnej szczęce, gdy nagle coś przykuło moją uwagę, bardziej jakiś odbłask świetlny niż konkretny obiekt.

Sięgnęłam ręką w dół i wygrzebałam pozostałości pierwotnej kościanej bryły. Nacisnęłam mocno i moje znalezisko rozpadło się na dwie części.

Na rękawicy lśnił jasno jakiś przedmiot.

11

– Co tam masz?

Danny zauważył, że gapię się na swoją dłoń.

Wyciągnęłam ku niemu rękę.

Zdjąwszy okulary, Danny przysunął nos na kilka centymetrów od mojego znaleziska. Mijały sekundy.

– Przerzuć na drugą stronę.

Zrobiłam to za pomocą próbnika.

– Coś ci to przypomina?

– Nie.

– Myślisz, że to jest coś?

– Wszystko jest czymś.

– Bardzo głębokie.

– Wygląda na metal. Gdzie to było?

– Zapakowane w tłuszczowosk otaczający zewnętrzną część podstawy czaszki, poniżej podniebienia.

– Sokole oko.

– Dzięki.

– Sympatia szanownej pani dla błyskotek wyraźnie się opłaciła. Obczajmy to.

Zrobiliśmy to pod silnym powiększeniem.

Przedmiot mierzył około pięciu milimetrów długości na trzy milimetry szerokości i jeden milimetr grubości; wydawał się wykonany ze złota. Miał nieregularny kształt, po jednej jego stronie widać było niesymetrycznie umieszczoną kulkę, po drugiej dwa zwężające się ku dołowi wyrostki.

– Przypomina kaczkę z szeroko rozwartym dziobem.

Porównanie to nie wydało mi się trafne.

Obróciłam przedmiot o 90 stopni. Danny ponownie przyjrzał mu się przez mikroskop.

– Teraz wygląda jak grzyb z dwiema czubatymi nóżkami.

Spojrzałam.

– Widzę. Domyślasz się, co to może być?

– Raczej nie.

– Kawalek plomby albo koronki?

– Eeee.

Danny skrzywił się niemiłosiernie.

– Co? Dlaczego „eeee”?

– Jest na to za cienki i za bardzo spłaszczony.

Danny obrzucił szybkim spojrzeniem ścienny zegar. Ja też.

Za piętnaście szósta. Nawet nie zauważyłam, że w laboratorium zrobiło się cicho. Ani że jesteśmy tu sami.

– Czas do domu? – zapytałam, znając już odpowiedź.

Chociaż Danny był żonaty od prawie dwudziestu lat, wciąż zachowywali się z żoną jak para gruchających gołąbków, niczym nowożeńcy. To ich rozkoszne, lepkie szczęście czasem doprowadzało mnie do wściekłości. Ale przede wszystkim im zazdrościłam.

– Czas do domu.

Uśmiech zmieszania. Był napalony. A może głodny.

– Aggie przygotowała stek à la Salisbury.

Danny zapakował nasz przedmiot kaczkowo-grzybowy do szczelnego woreczka. Po powrocie do gabinetu miał go zamknąć na klucz w szufladzie biurka.

– Jutro możemy wykorzystać wiedzę Craiga.

Craig Brooks był jednym z trzech pracujących w CIL stomatologów.

Zdjęliśmy fartuchy i wyszliśmy na zewnątrz. Danny udał się w kierunku wołowy

z sosem do Waipio, ja zaś ku Lanikai Beach.

Katy tkwiła na leżaku przy basenie. Przez chwilę przyglądałam się jej przez szklane przesuwne drzwi.

Nie słuchała muzyki z iPoda, nie rozmawiała przez telefon, nie surfowała po necie ani nie blogowała na laptopie. Nie miała ze sobą żadnej książki ani czasopisma. Ubrana w ten sam top i stringi co wczoraj wieczorem, po prostu siedziała, wpatrując się w morze.

Słowem – wyglądała marnie.

Raz jeszcze ogarnęło mnie poczucie bezradności. Wiedziałam, że cierpienie mojej córki może złagodzić tylko czas i że od momentu, gdy dowiedziała się o śmierci Coopa, nie minął jeszcze tydzień. Zdawałam sobie też sprawę, że sposób, w jaki przekazano jej tę wiadomość, był zimny i nieludzki.

Spokojnie.

Przygotowując się w duchu, wyszłam na werandę.

– Jak leci, małe dzieci? Za bary ze światem?

Takie tam czułe słówka z jej dzieciństwa.

– Gotowa do walki w barażach. – Rzucone bez wyrazu.

– Gdzie dzisiaj byłaś?

Opadłam na krzesło obok Katy.

– Nigdzie.

– Co porabiałaś?

– Nic.

– Masz jakiś pomysł w związku z kolacją?

– Nie jestem głodna.

– Musisz coś jeść.

– Wcale nie.

Jeden zero dla Katy.

– Z pewnością w kuchni znajdzie się coś na ząb. Danny wykupił cały sklep.

– Wszystko mi jedno.

– Albo mogę skoczyć do Kailua po więcej sushi.

– Posłuchaj, mamó. Wiem, że chcesz dobrze. Ale na myśl o jedzeniu wszystko się we mnie wywraca.

Musisz jeść. Nie powiedziałam tego na głos.

– Mogę coś zrobić, żebyś odzyskała animusz? Udać Groucho? – Uniosłam wysoko brwi i strzepnęłam popiół z wymyślanego cygara.

– Po prostu daj mi spokój.

– Tak mi przykro.

– Nie na tyle, żeby przebywać ze mną w domu.

Zabolało jak policzek. Musiał to zdradzić wyraz mojej twarzy.

– Przepraszam.

Dłoń Katy uniosła się do jej ust, zamarła, jakby niepewna, w jakim celu się tam znalazła.

– Nie chciałam tego powiedzieć.

– Wiem.

– Po prostu... – Jej palce się zacisnęły. – Czuję ogromny gniew i nie mam na co go skierować. – Uderzyła pięścią w kolano. – Na tego osła Coopa za to, że pojechał do Afganistanu? Na talibów, że go zastrzelili? Na Boga, że do tego dopuścił? Na samą siebie, że tak to przeżywam?

Katy obróciła się ku mnie. Oczy miała suche, ale jej twarz była chorobliwie blada i napięta.

– Wiem, że gniew i użalanie się nad sobą nie mają sensu, że są przeciwnie skuteczne, samodestrukcyjne, bla, bla, bla. I naprawdę staram się wyrwać z tego przygnębienia. Naprawdę. Tylko że chwilowo życie wydaje mi się do dupy.

– Rozumiem.

– Naprawdę? Czy widziałaś kiedyś, jak kogoś po prostu zdmuchnięto z powierzchni ziemi? Kogoś, na kim ci rzeczywiście zależało?

Widziałam. To była moja najlepsza przyjaciółka, Gabby. To byli gliniarze, z którymi

pracowałam i na których mi zależało. Eddie Rinaldi w Charlotte. Partner Ryana, Jean Bertrand. Ale nie powiedziałam nic.

– Posłuchaj, mamó. Wiem, że przyjechałaś tu pracować. I wiem też, że śmierć Coopa to nie twoja wina. Ale nie ma cię cały dzień, a potem wracasz rozpromieniona i okazujesz współczucie jak z harlekina. – Uniosła w górę obie ręce. – Nie wiem. Jesteś pod ręką, dlatego ci się dostało.

– Dostawałam gorzej.

Nikły uśmiech.

Katy odwróciła się. Zaczęła teraz nerwowo bawić się sznurkiem otaczającym jej talię, nawijając go na palec i rozwijając.

Nad naszymi głowami wiatr poruszał liśćmi palm. W dole, nad wybrzeżem, skrzeczały mewy.

Katy miała rację. Ciągnęłam ją tu przez tysiące kilometrów, aby potem porzucić samą w jakimś zupełnie obcym dla niej miejscu. Owszem, liczyła już sobie dwadzieścia cztery lata, była dużą dziewczynką. Ale w tej chwili bardzo mnie potrzebowała.

Stary, dobrze mi znany dylemat znów dał o sobie znać. Jak pogodzić macierzyństwo i pracę?

Mój umysł intensywnie pracował w poszukiwaniu rozwiązania.

Może pojawiać się w CIL co drugi dzień? Albo na pół dnia?

Niemożliwe. Przyjechałam do Honolulu na koszt JPAC. Platon Lowery niecierpliwie oczekiwał rezultatów.

Zabierać Katy ze sobą do CIL?

Zdecydowanie zły pomysł.

Zaczęłam mówić.

– Może mogłabym...

– Nie, mamó. Musisz chodzić do pracy. Nie powinnam była powiedzieć tego, co powiedziałam.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybyś miała jakieś zajęcie – dodałam delikatnie.

Napięłam się w oczekiwaniu na gniewną reakcję. Nie nastąpiła.

– Tak – powiedziała Katy. – To prawda.

Nagła myśl zaświtała w mej głowie.

Nie! – zakrzyknęła mądra część moich szarych komórek. *Daj jej czas. I przestrzeń.*

Wstałam i objęłam Katy za ramiona. Potem weszłam do domu, przebrałam się w szorty i udałam spacerkiem na plażę.

Słońce stało nisko, nasycając widnokrąg i ocean mandarynkowo-różowymi barwami. Pod stopami czułam miękki i ciepły piasek, bryza delikatnie pieściła moją skórę.

Gdy tak wędrowałam wzdłuż granicy wody, mój mózg wypełniały wspomnienia z dzieciństwa. Wakacje na Pawleys Island. Moja siostra, Harry. Babcia. Moja matka, Katherine Daessee Lee.

Daisy.

Pobudzone pięknem otoczenia oraz niedawną rozmową z Katy synapsy eksplodowały obrazami i emocjami.

Oczy matki, zielone jak moje. Czasem promienne. Czasem chłodne, odmawiające bliskości.

Zdumienie i niepewność dziecka.

Kim matka była naprawdę?

Kobietą z aspiracjami, pragnącą awansu społecznego? Bywania w najnowocześniejszych spa, najmodniejszych restauracjach, na imprezach charytatywnych, o których pisze się w rubryce towarzyskiej.

Kobietą żyjącą w izolacji? Zatrzaśnięte okiennice, drzwi sypialni zamknięte na klucz, a w środku szloch lub cisza.

Jakże nie cierpiałam gorączkowego, imprezowego życia Daisy. Jakże nienawidziłam, gdy wycofywała się do swojej pachnącej liliami celi.

Stopniowo zamknięte drzwi i nieobecne oczy stawały się normą.

Jako dziecko kochałam moją mamę gorąco. Jako osoba dorosła zadałam sobie wreszcie pytanie: czy moja matka kochała kiedykolwiek mnie?

I stanęłam twarzą w twarz z odpowiedzią.

Brzmiała: nie wiem.

Matka kochała mojego młodszego brata, Kevina. Oraz mego ojca, Michaela Terrence'a Brennana. Miałam osiem lat, gdy obaj zmarli, jeden na zapalenie płuc, drugi pijany za kierownicą. Ta podwójna tragedia zmieniła wszystko.

Doprawdy? A może Daisy zawsze była szalona?

Ta sama odpowiedź. Nie wiem.

Pragnęłam bliskości z moją córką, takiej, jakiej nie otrzymałam od matki. Irracjonalność zachowania Katy nie miała więc żadnego znaczenia, podobnie jak nieadekwatność jej potrzeb. Chciałam być przy niej.

Ale jak?

Rytmiczny szum fal nie przynosił rozwiązania.

Kiedy wróciłam do domu, Katy nie było już na werandzie. Pojawiła się, gdy myłam nogi pod prysznicem ustawionym na zewnątrz.

– Masz rację. Zamartwianie się jest głupie.

Czekałam.

– Jutro wybieram się na parasailing.

– Brzmi ciekawie.

Wcale tak nie brzmiało. Wołałam, kiedy Katy stała bezpiecznie na nogach, a nie dyndała w powietrzu trzydzieści metrów nad ziemią.

– Albo zapiszę się na jeden z tych lotów helikopterem nad wulkanem.

– Hm.

Chyba poruszyłam lawinę.

– Słuchaj, mam. Naprawdę jestem ci wdzięczna za tę wycieczkę. Hawaje są super.

– A ja jestem wdzięczna, że tu jesteś.

– Wyjęłam z zamrażarki kilkanaście krewetek.

– Mam rozpalić grill?

Staralam się jak najlepiej imitować akcent australijski.

– Tak jest, marynarzu.

Katie uniosła dłoń. Przybiłam piątkę.

Z kilkunastu krewetek ostatecznie zrobiło się ponad dwadzieścia.

12

Birdie gonił bardzo dużego psa po bardzo białej plaży. Pies miał na sobie skomplikowaną uprząż, z której wystawały liny przyczepione do jaskrawoczerwonego spadochronu wysoko na niebie.

Katy dyndała pod spadochronem, do góry nogami, jej długie jasne włosy szarpał wiatr. We łzach spływających po jej policzkach odbijało się słońce.

Zaskrzeczała mewa.

Pies zatrzymał się.

Spadochron Katy sflaczał i pomknął ku ziemi.

Szybko. Zbyt szybko.

Skrzek mew przeszedł w bardzo donośne brzęczenie.

Półprzytomna uniosłam jedną powiekę.

W pokoju panowała ciemność. Nocny stolik wibrował.

Namacałam BlackBerry i wcisnęłam klawisz.

Don Ho śpiewał *Aloha Oe*.

– Jak się ma moja śliczna róża z Maunawili?

Męski głos. Nie należał do Dona.

Czyżbym znowu zapadała w marę senną?

Nie. Oczy miałam otwarte. Jednemu udało się ustawić ostrość na tarczy zegara.

– Wiesz, która tu jest godzina?

Można odnieść wrażenie, że jest to zwyczajowy początek rozmów telefonicznych na Hawajach.

– Siódma.

– Zrób sobie powtórkę z matmy, Ryan.

– Poproszę o jakieś wskazówki.

– Prawidłowa odpowiedź zawiera cyfrę pięć. A nawet dwie. Małe zielone cyferki pokazują teraz 5:59.

– Ups. Sorry.

– Hm.

– To znaczy, że cię obudziłem.

– I tak musiałam oprzytomnieć, żeby odebrać telefon.

– Bardzo leciwy dowcip.

– Jest o wiele za wcześnie, żeby wymyślić coś oryginalnego.

– Pomyślałem, że cię to zainteresuje. Pływający Florence oddał swoje DNA.

– Pływający Florence?

– Florence Nightingale^[5]. Jak ta pielęgniarka. Nieboszczyk z Hemmingford. Twoi koledzy z laboratorium wykonali STR. Cokolwiek to znaczy.

– Short. Tandem. Repeat. Krótkie powtórzenia tandemowe.

– Sorry. Trochę. Rąbnięte.

– Daj spokój, Ryan. Metoda STR była już znana w latach dziewięćdziesiątych.

– Tak jak klonowanie. Ale nadal nikt nie potrafi tego zrozumieć.

– To standardowe badanie w większości laboratoriów sądowych zajmujących się analizą DNA.

Ryan był bystry, a w niektórych sprawach nawet genialny. Jednak wiedza naukowa nie należała do jego mocnych stron. Milczenie oznaczało, że nie bardzo kapował, o czym mówię.

Świetnie. Rozmowa jak w serialu medycznym, tyle że o świtanii.

– Każda cząsteczka DNA składa się z dwóch długich łańcuchów nukleotydów, które łączą się ze sobą jak szczeble drabiny. Każdy nukleotyd zbudowany jest z cukrów, fosforanów oraz jednej z czterech zasad: adeniny, cytozyny, guaniny bądź tyminy. A, C, G lub T. Ważna jest sekwencja zasad. Na przykład dana osoba może mieć kolejność CCTA, inna zaś CGTA. Metodą STR analizuje się powtórzenia czterech lub pięciu sekwencji.

– Po co?

– Krótsze sekwencje powtórzeń mogą być obarczone błędem. Ponadto niektóre choroby genetyczne mają związek z powtórzeniami trinukleotydów. Na przykład choroba Huntingtona. Dłuższe sekwencje powtórzeń są bardziej narażone na degradację. I nie potęgują się wskutek reakcji łańcuchowej polimerazy (PCR), jak krótsze sekwencje.

– Opisz w maksymalnie dziesięciu słowach, na czym polega STR, dobrze?

– Dziesięciu?

– Wytrzymam dwadzieścia, ale nie więcej.

– Najpierw z próbki wyodrębnia się jądro DNA. Następnie amplifikuje się poszczególne rejony polimorficzne...

– Żółta kartka. Wykroczenie polegające na nadużywaniu żargonu naukowego.

– Rejony genomu, w których występuje zmienność, wariantywność. Amplifikuje się je, wiesz, jakby rozmnaża. Następnie ustala, ile w danej sekwencji STR występuje powtórzeń.

Upraszczałam sprawę ze względu na Ryana. Ale chyba zadziałało.

– Kiedy już posiadasz charakterystykę genetyczną podejrzanego albo osoby niezidentyfikowanej, jak w przypadku topielca z Hemmingford, możesz ją porównać z charakterystyką któregoś z członków rodziny, prawda? – zapytał.

– Nawet lepiej, porównuje się próbki materiału pobranego od podejrzanego albo osoby niezidentyfikowanej z inną próbką pobraną od niej przed jej śmiercią. Z zębami mlecznymi, które przechowano, albo z wcześniej wyrwanymi. Ze śliną obecną na szczoteczce do zębów. Wydzieliną na chusteczce.

– Więc naszym kolejnym krokiem będzie potarcie wnętrza policzka Platona albo znalezienie smarków Pajaka.

– Sympatyczne.

– Sama to powiedziałaś.

– Ze znacznie większą finezją.

– Ale z podobną konotacją. Myślisz, że tatuś Platon zgodzi się rozdziawić szeroko buźkę i powiedzieć: aaa?

– Nie wiem – przyznałam. – Wątpliwe, by spodobały mu się wyniki.

– Bardzo wątpliwe – zgodził się Ryan.

Przez kilka sekund na linii słychać było szum powietrza. Potem Ryan zapytał mnie

o Katy.

– Wciąż jest załamana – odpowiedziałam.

– Nigdy nie wspominałaś, że miała chłopaka. Wiedziałaś, że była w nim zakochana po uszy?

– Nie.

Przez nieobecność? Niepoświęcanie uwagi? Jakakolwiek była przyczyna, moja niewiedza na ten temat świadczyła o braku bliskości.

– Dojdzie do siebie.

– Tak. Jak Lily?

– Chodzi na terapię grupową i spotyka się z psychologiem. Nabrała rumieńców i wydaje mi się, że także trochę ciała.

– Nie mów jej tego.

Próba wykazania się dowcipem. Wypadła blado.

– Niby zachowuje się normalnie. Ale sam nie wiem. – Ryan wziął głęboki oddech, potem wypuścił powietrze. – Czasem odnoszę wrażenie, że jest jej wszystko jedno. Mówi mi to, co jej zdaniem chcę usłyszeć.

Niedobrze. Instykt Ryana był z reguły nieomylny.

– Ona i jej matka są jak woda i ogień. Lutetia się stara, ale cierpliwość nie należy do jej mocnych stron. Lutetia coś powie, Lily reaguje na to z przesadą, Lutetia się wścieka, potem obie wybuchają, a wtedy ja muszę stawiać czoła skutkom.

– Wygląda na to, że powinny od siebie odpocząć.

– Masz słuszość. Ale Lily nie może zamieszkać u mnie. Na tym etapie terapii ktoś musi być przy niej na okrągło. A mnie przeważnie nie ma w domu, często także w nocy. Sama wiesz.

Wiedziałam.

Dzyng!

Zły plan.

Idealny.

– Przylećcie tutaj.

Powiedziałam to, zanim mądrzejsza część szarych komórek zdążyła zareagować.

– Co?

– Przywieź Lily na Hawaje. Katy jest sama cały dzień. Są w mniej więcej podobnym wieku, mogą stanowić dla siebie towarzystwo.

Dwadzieścia cztery. Dziewiętnaście. Z mojej perspektywy wyglądało to na wynik jakiegoś meczu.

– Zwariowałam.

– Możecie w trójkę bawić się w turystów, a ja będę sobie pracować. A potem wieczorem imprezujemy.

– Nie mogę.

– Przecież zgromadziłeś jakieś pięćdziesiąt lat zaległego urlopu. Cały koszt do poniesienia to zakup dwóch biletów. A tu jest mnóstwo miejsca.

Naciskałam, chociaż sama już powątpiewałam w sensowność tego pomysłu.

– Zmiana klimatu dobrze wam zrobi. Lily urodziła się na Bahamach. Może Hawaje przypomną jej o domu.

– Uгода zawarta z sądem zabrania Lily wyjazdów poza granice prowincji.

– Oj tam. Będzie z tobą, zaprzysiężonym funkcjonariuszem. Z pewnością znasz jakiegoś sędziego, który to przyklepie.

Bardzo długa pauza.

– Oddzwonię.

Danny'ego nie było, gdy pojawiłam się w CIL. Był za to Dimitriadus. Skinął mi lodowato głową i zniknął w swoim gabinecie.

Aloha z tobą, słoneczko.

Założyłam laboratoryjny fartuch i zajęłam się sprawą 2010-37 od etapu, na którym wczoraj skończyliśmy. Pod kranem kolejny fragment niechętnie ujawnił szew kostny, falistą linię, w której kość potyliczna spotkała się kiedyś z lewą kością ciemieniową w tylnej części czaszki.

Oho?

Delikatnie potarłam ją szczoteczką do zębów. Ukazał się jakiś detal.

Do diabła.

Przypomniałam sobie o szczęce górnej i wróciłam do stołu.

Do diabła.

Znajdowałam się znów przy zlewie, kiedy gdzieś w oddali rozległ się głośny śmiech Danny'ego, nieokiełznany sopran, zaraźliwy jak tyfus.

Po paru chwilach już kroczył w moim kierunku. Obok szedł człowiek-żyrafa, wysoki i muskularny, o słoniowych uszach.

– Dobrze cię widzieć, Tempe.

Craig Brooks, stomatolog z CIL, wyciągnął ku mnie dłoń.

– Ciebie też miło zobaczyć – rzekłam, podając mu swoją. – Danny twierdzi, że odnalazłeś zaginioną kopalnię złota w Arizonie.

– Prawie.

Znów dziewczęcy chichot.

– Znaleźisko Tempe jest rozmiaru fistaszka.

– Przyjrzyjmy się mu.

Craig długo stał przy mikroskopie, obracając na wszystkie strony nasz grzybowo-kaczkowy przedmiot, ustawiając i regulując dwie punktowe świetlówki. Wreszcie opadł na krzesło.

– Danny ma rację. Ten materiał to złoto.

– Fragment plomby albo wypełnienia? – spytałam.

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Widziałem już mnóstwo metalowych wypełnień dentystycznych, a to coś żadnego z nich nie przypomina. Doszło do pewnego zniekształcenia pod wpływem wysokiej temperatury, ale tylko od strony zaokrąglonej krawędzi. Pozostała część wydaje się nienaruszona, jeśli chodzi o kształt. I nie wygląda to ani na rekonstrukcję zęba, ani na koronkę.

– Dlaczego?

– Po pierwsze, jest o wiele za cienkie. Po drugie, z jednej strony ma gładką powierzchnię, ale z obłą wypukłością. Z drugiej zaś powierzchnia jest chropowata, lecz płaska.

– Więc co to jest? – zapytałam.

Craig uniósł i opuścił ramiona.

– Nie mam pojęcia. – Wstał. – Ale zastanowię się nad tym.

Gdy Craig wyszedł, powiedziałam Danny’emu, że mam mu coś do pokazania. Spytał, czy możemy poczekać dziesięć minut. Musiał wykonać telefon przed godziną dziewiątą.

Szłam właśnie w kierunku zlewu, gdy odezwała się moja komórka. Rzuciłam okiem na wyświetlacz, spodziewając się ujrzeć numer Ryana. Połączenie było miejscowe, ale nie z domu przy plaży w Lanikai.

Zaciekawiona – odebrałam.

^[5] Florence Nightingale – angielska pielęgniarka, działaczka społeczna i publicystka. Jest uważana za twórczynię nowoczesnego pielęgniarstwa.

13

– Aloha. – Jak się wejdzie między wrony... wiadomo, prawda?

– Aloha. Poproszę z doktor Temperance Brennan.

Głos w słuchawce informował o wielu latach palenia papierosów bez filtra. Nie wiedziałam, czy należy do mężczyzny czy kobiety.

– Przy telefonie.

– Mówi Hadley Perry.

Świetnie. Imię i nazwisko typu unisex. Przyciągnęłam sobie krzesło w pobliże materiałów ze sprawy 2010-37 i usiadłam.

– Patolog sądowy.

T a Hadley Perry. Nigdy nie poznałyśmy się osobiście, ale znałam jej reputację. Główny patolog sądowy miasta i okręgu Honolulu od ponad dwudziestu lat, której wyskoki stały się legendarne i stanowiły pożywkę dla prasy.

Kiedyś Perry kazała przewieźć okryte kocami ciała na parking przed jej zakładem, aby zaprotestować przeciwko ciasnocie panującej w prosektorium. Okazało się później, że na wózkach leżały dmuchane manekiny. Innym razem wystawiła świadectwa zgonu dla dwóch stanowych senatorów, twierdząc, że ich sprzeciw wobec zwiększenia środków dla jej zakładu świadczy niewątpliwie o śmierci mózgowej obu panów.

– Mam nadzieję, że nie ma mi pani za złe, że dzwonię na prywatny numer.

– Oczywiście, że nie.

W istocie miałam jej to za złe. Jednak ciekawość zwyciężyła.

– Słyszałam, że jest pani najlepszym antropologiem sądowym na półkuli zachodniej.

W głowie zadźwięczał mi ostrzegawczy dzwonek.

Danny i ja od wielu lat płataliśmy sobie różne kawały. Już pięć dni przebywałam na jego terenie, a jak dotąd ani jednego psikusa.

OK, kozaku. Dawaj.

– Tak, proszę pani. To ja.

Cisza. Po chwili znowu się odezwała:

– Mam tu cholernie trudną sprawę. Potrzebowałabym pani pomocy.

– Jakiś garbus z implantami?

– Słucham?

– Transgenderysta?

– Chodzi o morderstwo.

– Uduszony zboczeniec?

Bingo.

– Myślę, że ofiara jest młoda i płci męskiej, ale nie jestem pewna. Odzyskano niewiele fragmentów ciała.

Ostry ton. Musiałam to przyznać. Babka była dobra.

– Jakich fragmentów? Drugi żołądek? Skrzydełko?

Śmiałam się jeszcze z własnego dowcipu, gdy pojawił się Danny.

– Sprytne zagranie – wykrzywiłam usta, wskazując na telefon.

– Co takiego?

– Hadley Perry – znów się skrzywiłam i przewróciłam oczami.

Danny wyglądał na naprawdę zdezorientowanego.

– Proszę chwilę poczekać. – Przycisnęłam słuchawkę do piersi. – O rany, na linii jest jakaś kobieta, która podaje się za Hadley Perry.

– To pewnie jest Hadley Perry.

– Nie uda ci się.

– O czym ty mówisz?

– Zemsta za pokazanie tego slajdu podczas zjazdu AAFS^[6].

Za pomocą Photoshopa przeniosłam głowę Danny'ego na korpus orangutana ubranego w strój kąpielowy i płetwy.

– Przejrzałam cię.

– Kiedyś cię dopadnę. Masz to jak w banku. Ale odpowiednia zemsta wymaga czasu i misternego planowania.

– Daj spokój. Nie wypaliło.

– Co nie wypaliło?

– Ta twoja mała farsa.

– Jaka farsa?

– Numer z kobietą, która ma do mnie zadzwonić i udawać głównego patologa.

– Pomyłka. – Danny rozcapierzył palce na swojej piersi. – Na widok Perry robię w gacie.

Poczułam, jak coś mnie zapiekło w żołądku.

– Mówisz poważnie?

– Całkowicie.

O-ła.

– Czy jest tam pani jeszcze, doktor Perry?

– Tak.

Odparła lapidarnie.

– Fatalna jakość połączenia. Mogę do pani oddzwonić?

Podawała mi swój numer.

Rozłączyłam się i wybrałam go.

– Aloha. Patolog sądowy Honolulu.

– Doktor Brennan z rozmową zwrotną do doktor Perry.

Twarz mi płonęła.

– Proszę zaczekać.

Perry odebrała natychmiast.

– Bardzo przepraszam. To, co usłyszałam, nie miało żadnego sensu. Bóg jeden wie, co pani słyszała po swojej stronie.

Nerwowy śmiech.

– Ten telefon zniekształca wszelkie dźwięki, kiedy sygnał jest słaby.

Dobry Boże, więc uznała, że bredzę.

– Jak mogę pani pomóc?

Perry powtórzyła to samo, co mówiła wcześniej. Morderstwo, fragmenty ciała, młody mężczyzna, współpraca.

– Czy ktoś z miejscowego personelu nie może pani wesprzeć?

– Nie.

Czekałam. Nie rozwinęła swojej wypowiedzi.

– W CIL pracuje wielu certyfikowanych antropologów sądowych.

Rzuciłam okiem na Danny'ego. Bardzo się starał wyglądać na zatopionego w aktach sprawy numer 2010-37, ale wiedziałam, że słucha.

– I często mi pomagają, doktor Brennan. Tym razem proszę panią.

– Będę w Honolulu bardzo krótko.

– Wiem o tym.

Och? Odchyliłam się na krzesło do tyłu.

– Doktor Perry, moim zadaniem jest rozwiązanie pewnej sprawy w CIL.

– To instytucja wojskowa. Funkcjonują we wczesnych godzinach porannych. Potem może pani pracować ze mną, po godzinach.

Wybrawszy jakąś długą kość, Danny ruszył w kierunku zlewu.

– Dlaczego ja?

– Pani jest najlepsza. Sama pani powiedziała.

– Żartowałam.

– Proszę o osobistą przysługę.

Gdzieś w oddali na łączach rozbrzmiewał ledwie słyszalny głos, jakby jakiś duch przemawiał w świecie równoległym. Albo bezimienna ofiara domagająca się sprawiedliwości.

Rzuciłam okiem na Danny'ego. Na akta numer 2010-37.

– Przyjadę o wpół do szóstej – powiedziałam. – Ale tylko na godzinę.

Rozłączyłam się i spojrzałam ponownie na Danny'ego. W linii jego ramion widać było napięcie, jak u kogoś, kto jest zły albo przestraszony.

– Podśluchiwałaś?

– Co nieco.

– Zakładam, że ty i ona niezbyt dobrze się dogadujecie.

– Powiedzmy, że Hadley Perry nie będzie w najbliższym czasie zapraszana na posiłki do mojego domu. Ale to nie znaczy, że nie powinnaś jej pomóc.

– Chcesz mi coś więcej powiedzieć?

– Nie lubię jej, z wzajemnością, i zostawmy to już.

Danny podreptał w kierunku stołu. Ja za nim. Świeżo oskrobany piszczel położył obok innych kości człowieka z Lumberton.

Przez chwilę oboje gapiliśmy się na w połowie oczyszczony szkielet.

– Co takiego chciałaś mi pokazać? – spytał Danny.

– Być może nic ważnego. – Wygrzebałam fragment potylicy. – Spójrz na ten szew.

Wskazałam na falistą linię.

– Skomplikowana, z licznymi guzkami.

To znaczy maleńkimi wysepkami kości, które zostały uwięzione w obrębie szwu.

Podaliśmy mu bryłę żuchwy, z której wypadł nasz grzybowo-kaczkowaty przedmiot.

– Szerokie podniebienie. Prosty szew poprzeczny, bez wybruszeń ponad linię pośrodkową.

Oglądał kość od przodu.

– Szew jarzmowo-szczękowy jest odgięty, nie ma kształtu litery S.

Danny obrócił kość tak, aby dziura po brakującym nosie była skierowana w niebo.

– Kości policzkowe cechowały się prawdopodobnie pewnym rozszerzeniem.

Danny zajrzał mi w oczy.

– Sądysz, że ten facet mógł być Wietnamczykiem?

Potrząsnęłam głową.

– Masz rację; te cechy wskazują na mongoloidalne pochodzenie. Ale inne z kolei na kaukaskie. Wysoki grzbiet nosa, wąska szczelina nosowa, umiarkowanie ukształtowana czaszka, ani nie wydłużona, ani zawężona, ani krótka, ani szeroka.

– Czyli mieszaniec?

– Euroazjata albo Euroindianin.

– Mieliśmy tam żołnierzy, którzy mogliby pasować do tego wzoru. Indianie amerykańscy, Portorykańczycy, Meksykanie, Filipińczycy. Niezbyt wielu, ale byli tam i walczyli za nas.

– A co z tym zaginionym członkiem załogi? Dowiedziałeś się, czy kiedykolwiek odnaleziono czwarte ciało?

– Jeszcze nie.

– Jak się ten człowiek nazywał?

– Ciągle czekam na odpowiedź na moje zapytanie.

Przez resztę dnia zdrapywaliśmy zwęglone tkanki i zbutwiałe włókna z kości.

Przed godziną piątą na stole leżał całkowicie oczyszczony szkielet.

Nie nastąpił żaden przełom.

Patolog sądowy Honolulu ma swą siedzibę w białym budynku o krzywych liniach przy Iwilei Road, w odległości krótkiego spaceru od Chinatown. Tuż obok znajduje się największy oddział Armii Zbawienia, jaki kiedykolwiek widziałam.

Dokładnie o wpół do szóstej przejechałam pod łukiem bramy i zostawiłam samochód na małym parkingu koło budynku. Hadley Perry osobiście wyszła mi na spotkanie, gdy nacisnęłam dzwonek. Zdjęcia, które widziałam wcześniej w gazecie „Honolulu Advertiser”, nie przygotowały mnie na ten widok.

Perry była szczupłą kobietą o nieproporcjonalnie dużych piersiach. Przejawiała także

skłonność do czegoś, co Katy określała „makijażem luksusowej dziwki”. Jej krótkie czarne włosy postawione na żel wyglądały jak kolce, a kilka z nich odznaczało się czerwienią wozu strażackiego.

– Hadley Perry.

Wyciągnęła ku mnie dłoń.

Podąłem jej swoją.

Uścisk Perry mógłby zmiażdżyć hartowaną stal.

– Bardzo dziękuję, że pani przyjechała.

– Nie wiem, czy potrafię pomóc.

Poruszałam palcami, żeby sprawdzić, czy nie mam złamań.

– Ale na druzgocącą krytykę panią stać, co? – Perry dała mi sójkę w biceps, która naprawdę zabolęła. – Bierzmy się do roboty.

Boże święty. Co to za kobieta?

Poszłam za Perry przez podwójne drzwi wypastowanym korytarzem wykładanym terakotą, opierając się chęci rozmasowania pulsującego mięśnia. Minawszy wielką salę do przeprowadzania sekcji zwłok, z pięcioma stołami, weszliśmy do małego pomieszczenia przypominającego trochę *salle 4* w LSJML. Oszklone szafki, kontuar, mikroskop, waga.

Na stalowym wózku znajdowała się przykryta plastikową folią bryła. Mała i nieforemna, której kształt w ogóle nie przypominał zarysu ludzkiego ciała.

Bez słowa obie przywdziałyśmy fartuchy i włożyłyśmy rękawice.

Niczym kelner prezentujący gastronomiczną specjalność lokalu, Perry ściągnęła folię.

^[6] American Academy of Forensic Sciences – Amerykańska Akademia Nauk Sądowych.

Z trudem przełknęłam ślinę.

Na szczątki składało się pięć bezkształtnych brył oraz liczący czterdzieści pięć centymetrów fragment kończyny dolnej. Skóra była pomarszczona i zielonkawa, tkanka podskórna szara i zwłókniona niczym duszone mięso.

Zrobiłam krok w kierunku stołu i nachyliłam się, by lepiej widzieć.

Odciętą nogę gdzieś porastały krótkie, ciemne włosy. Głęboko pod warstwą mięśni widać było kości, część udowej oraz – poniżej – fragment piszczela i kości strzałkowej. Wszystkie trzy zostały zniszczone przez jakieś ostre narzędzie. Kości, skórę i mięśnie pokrywały nacięcia, złobienia i równoległe rany cięte.

– To kolano, prawda? – zapytała Perry.

– Lewe. Szczątki przebywały w oceanie?

– Tak. Proszę zobaczyć zdjęcia rentgenowskie.

Perry podeszła do dwurzędowego iluminatora, nacisnęła dwa przełączniki i stuknęła palcem w błonę leżącą na poziomym wyświetlaczu. Przyłączyłam się do niej.

Na tle fragmentu ciała jasno odznaczał się jakiś przedmiot wielkości ziarnka fasoli. Wyglądał jak spieniona morska fala z kreskówki.

– Ząb rekina – powiedziałam.

– Tak. Jest ich więcej.

Pomalowany na niebiesko paznokieć dźgnął dwie kolejne błony.

– Podejrzewa pani śmierć wskutek ataku rekina?

Perry machnęła ręką. *Może tak, może nie.*

– W tkankach nie widać wybroczyn.

Martwe serca nie pompują krwi. Krew na miejscu zdarzenia oznacza z reguły, że ofiara żyła w momencie doznania urazu. Brak krwi oznacza zwykle, że cios zadano już po śmierci.

– Czy brak wybroczyn można tłumaczyć faktem, że zwłoki leżały w słonej wodzie?

– Oczywiście.

– Więc rozczłonkowały je żerujące zwierzęta już po śmierci?

– Widywałam już takie przypadki.

Przyglądałam się zdjęciom, z których każde zostało zrobione pod innym kątem. Podobnie jak kolano, także trzy inne fragmenty ciała zawierały części składowe szkieletu.

– To kość łonowa i kawałek kości kulszowej.

Wskazałam zdjęcie z elementem przedniej części miednicy.

– Przydatne podczas seksu?

– Ale nie dzisiaj.

– Słuszna, kurwa, racja.

Gotowałam się na cios w ramię. Nie nastąpił.

– Kąt podłonowy w kształcie litery V, bryłowata okolica łonowa oraz szeroka gałąź kulszowo-łonowa wskazują na mężczyznę.

Perry skinęła głową.

– To kawałek grzebienia biodrowego.

Wskazałam na fragment zakrzywionej górnej części lewej połówki miednicy.

– Tylko częściowo łączy się z kością biodrową. Zakładając płć męską i zachowując bezpieczny margines, powiedziałabym, że ofiara była w wieku od szesnastu do dwudziestu czterech lat.

– Niech to jasna cholera weźmie.

– To fragment kości udowej sięgający prawie od trzonu po szyjkę. Lewej, podobnie jak w przypadku kolana i miednicy.

Wskazywałam na zdjęcie przytwierdzone do pionowego oświetlacza. Mój palec przesunął się teraz na sąsiednią fotografię.

– A to część lewej stopy i kostki. To pozostałości kości piszczelowej, kości skokowej i pomniejszych kości śródstopia, moim zdaniem kości łódkowatej oraz trzeciej i drugiej kości klinowatej.

– Czy na ich podstawie może pani określić wzrost?

Zastanowiłam się.

– Nie. Mogłabym metodą regresji statystycznej dokonać obliczeń na podstawie częściowych pomiarów kości nogi, ale wynik mieściłby się w tak szerokim zakresie, że byłby bezużyteczny.

– Ale potrafi pani stwierdzić, czy ten chłopak był bardzo duży, czy bardzo mały?

– Tak. Zaczepy mięśniowe wskazują na mocną budowę.

– A rasa?

– Nie ma szans. Skóra wydaje się blada, ale to może być wynik wybielenia lub degradacji *post mortem*, wywołanej działaniem słonej wody. U człowieka pigment znajduje się wyłącznie w naskórku, czyli warstwie zewnętrznej skóry. Bez naskórka wszyscy wyglądamy na Skandynawów, co często jest powodem błędnych interpretacji dokonywanych przez osoby nienawykłe do widoku zwłok wyciągniętych z wody.

Perry wiedziała o tym. Ja wiedziałam, że ona wie. Moja odpowiedź padła pod wpływem impulsu. Zbyttno byłam skoncentrowana na szczątkach.

Powróciwszy do stołu, przyjrzałam się teraz każdej z mięsistych brył.

– Gdzie to znaleziono? – wykonałam ruch ręką ponad tym przerażającym zbiorem.

– Chodźmy, wtajemniczę panią.

Perry zdjęła rękawice i wyprowadziła mnie z powrotem na korytarz. Po drodze spotkałyśmy tylko jedną osobę – Hawajczyka w starszym wieku z wiadrem i mopem. Mężczyzna spuścił wzrok, gdy przechodziłyśmy. Perry nie zauważyła jego obecności.

Biuro głównego patologa wyglądało jak gabinet Danny’ego Tandlera na hajcu. Akta i papiery zajmowały każdą powierzchnię poziomą – biurko, stolik do kawy, siedzenia krzeseł, parapety okienne, szafki na dokumenty, podłogę. Książki, czasopisma i reprinty chwiały się w stosach. Otwarte segregatory leżały grzbietami do góry, pękając pod naporem rzuconych na nie egzemplarzy pism.

Okno zasłaniały tanie metalowe żaluzje. Na ścianach zawieszono fotografie imponująco wielkiego czarnego psa, prawdopodobnie labradora. Do pozostałych elementów dekoracyjnych należał wiszący szkielet, para muszli, obecnie miejsce przechowywania gumek recepturek i spinaczy do papieru, kilka popielniczek z Vegas, sztuczna paprotka oraz zbiór plastikowych figurek z komiksów, których ubiór i uzbrojenie nic mi nie mówiły.

Perry gestem wskazała krzesło, które akurat nie było zagracone.

Usiadłam.

Okrążywszy biurko, moja gospodyni opadła na jeden z tych skrzydlastych ażurowych foteli zaprojektowanych dla NASA z myślą o misji na Marsa.

– Miły psiak – odezwałam się. W istocie pies wyglądał na zaniedbanego i złośliwego. Ale wychowane na Południu damy powinny okazywać życzliwe zainteresowanie także ludziom nieznanym. Mechanikom, recepcjonistkom, praczkom. Każdemu. Córy Południa mają na podorędziu ciepło dla wszystkich.

Doktor Hadley Perry nie miała niczego na podorędziu.

– Przedwczoraj para licealistów nurkowała w zatoczce Halona, między zatokami Blowhole i Hanauma. Zna ją pani?

Zatoczka Halona stanowiła scenerię słynnego filmowego pocałunku Lancastera i Kerr. Tubylcy nazywali ją „Plażą Stąd do Wieczności”. Nad wąskim przesmykiem wznoszą się niebosiężne klify, mieszkają tam orki i bywa bardzo mało turystów. Można tam dojść jedynie stromą kamienistą ścieżką, co sprawia, że miejsce to ukochały tutejsze nastolatki mające nadzieję napchać sobie majtki piaskiem w stopniu o wiele większym niż Deborah i Burt.

Przytaknęłam.

– Dzieciaki zauważyły coś na dnie, jakieś cztery metry pod poziomem wody, w jednej ze skalnych szczelin. Wyciągnęły to coś i zadzwoniły na dziewięć-jeden-jeden, kiedy zdały sobie sprawę, że ich wyłowiony skarb to ludzkie kolano. Gliniarze zadzwonili z kolei do mnie. Wezwałam nurków i sama pojechałam na miejsce. Dziewczyna ciągle wymiotowała. Jej chłopak próbował udawać macho, ale słabo mu szło.

Perry przedarła się rażąco barwnym paznokciem przez bibułę, po czym zrzuciła wiórki wierzchem dłoni na podłogę.

– Nurkowie szukali przez ponad dwie godziny. Znaleźli to, co właśnie pani widziała.

– Są jakieś zawiadomienia o zaginięciach pasujące do profilu?

Perry podniosła kartkę z wydrukiem i przeczytała:

– Anthony Simolini, data urodzenia czternasty grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy. Haole.

– To znaczy „biały”.

– Przepraszam. Tak. Szatyn, piwne oczy, metr osiemdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt pięć kilogramów wagi. W dniu drugiego lutego bieżącego roku około godziny dwudziestej drugiej Simolini wyszedł z restauracji Zippy’s na Kamehameha Highway w Pearl City. Zmierzał do domu, ale nigdy tam nie dotarł. Chodzi do starszej klasy licealnej, jest liczącym się sportowcem. Według przyjaciół i rodziny ucieczka z domu nie wchodzi w grę. Jason Black, data urodzenia dwudziesty drugi sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt cztery. Blondyn, niebieskie oczy,

metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, siedemdziesiąt dwa kilogramy wagi.

– Haole – powiedziałam.

– W dniu dwudziestego siódmego stycznia bieżącego roku Black pokłócił się z rodzicami, wypadł z domu jak burza i zniknął. Chłopak ma kartotekę, w której odnotowano narkotyki i problemy w szkole. Koledzy mówią, że często się odgrażał, iż ucieknie na kontynent. Ethan Motohiro, data urodzenia dziesiąty maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt trzy. Azjata, czarne włosy, piwne oczy, metr sześćdziesiąt trzy wzrostu, pięćdziesiąt pięć kilogramów wagi. We wrześniu Motohiro wybrał się na przejażdżkę rowerową dookoła wyspy. Jakiś motocyklista widział go na autostradzie Kalaniana'ole, niedaleko zjazdu na Makapu'u Point, prawdopodobnie na siódemkę. Wtedy widziano go po raz ostatni.

– Makapu'u Point leży blisko zatoczki Halona, prawda?

– Tak. Motohiro miał stałą dziewczynę, był świetnym uczniem, planował studiować na uniwersytecie.

– Czyli nie pasuje do modelu kogoś, kto ucieka z domu. A poza tym jest chyba za drobny. Sądzę, że tamten młodzieniec był dość potężny.

Ponowne spojrzenie na wydruk.

– Isaac Kahuna'iole, data urodzenia dwudziesty drugi lipca tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt siedem. Hawajczyk, tubylec, czarne włosy, piwne oczy, metr dziewięćdziesiąt wzrostu, sto dwadzieścia pięć kilogramów wagi. Pracował jako nocny ochroniarz w Centrum Handlowym Ala Moana, mieszkał w domu rodziców wraz z czworgiem spośród sześciorga rodzeństwa. W dniu dwudziestego drugiego grudnia, dwa lata temu, Kahuna'iole wsiadł do autobusu jadącego do Ala Moana. Nigdy nie dojechał na miejsce. Koledzy z pracy mówią, że był wesoły, lubiany, trzymał się zasad.

– Może pasować. Rozmiary się mniej więcej zgadzają.

– Czterech mężczyzn w wieku od szesnastu do dwudziestu dwóch lat. Przypuszczam, że granicę wiekową mogłabym poszerzyć. Albo ramy czasowe. Brałam pod uwagę tylko dwa poprzednie lata.

– Mając na względzie ilość zachowanych tkanek miękkich, wątpię, czy chłopak nie żyje od tak dawna.

Perry prychnęła. Dźwięk nie był zbyt miły.

– Jeśli ciało spoczywa odpowiednio głęboko, wszystkie reguły dotyczące normalnego rozkładu zwłok można zawiesić na haku. Do tego dochodzą jeszcze rekiny, nie zapominajmy. Zajmowałam się kiedyś samobójstwem pewnego poety z Perth. Widziano, jak skacze w dół z Makapu'u Point. Śmigłowce dotarły na miejsce po godzinie. Rekiny zdążyły już urządzić sobie ucztę. Faceci z helikopterów obserwowali, jak te dranie ogryzają ciało do gołych kości. Miesiąc

później odebrałam telefon. Jakiś rybak znalazł fragment ludzkiej ręki w żołądku rekina.

– Umarły poeta?

– Aha. Wciąż miał swój grawerowany zegarek. Oprócz niego znalazłam w środku siedem kolb kukurydzy, budzik, butelkę po whisky Cutty Sark oraz tylną łapę psa.

Zanotowane w myślach: zapoznać się z zagadnieniem trawienia u rekinów.

– Do diabła, jeśli w grę wchodzi morderstwo, chłopak mógł być przez jakiś czas zagrzebany. Albo przechowywany w zamrażarce, potem stamtąd wyciągnięty i wrzucony do wody.

– Szukała pani wśród pasażerów zaginionych łodzi i samolotów?

– Po kolizji z „Ehime Maru” nigdy nie odnaleziono jednego ciała.

W dwa tysiące pierwszym roku okręt podwodny klasy Los Angeles, USS „Greeneville”, uderzył w japoński szkoleniowy kuter rybacki „Ehime Maru” na południe od Honolulu. Wraz ze statkiem utonęło trzydziestu pięciu uczniów i członków załogi.

Po jakimś czasie Marynarka Wojenna USA wydobyła wrak „Ehime Maru” spoczywający na głębokości siedmiuset metrów, na którego pokładzie wciąż znajdowała się większość ciał; pozostałe ofiary odnaleźli nurkowie. Dzięki pracy patologów sądowych z Honolulu zidentyfikowano wszystkich członków załogi prócz jednego.

– Mało prawdopodobne – powiedziałam.

– Zgadza się – odparła.

Popatrzyłam na Perry. Ona popatrzyła na mnie. Z holu dobiegały dźwięki mopa uderzającego o wiadro, a następnie chlaszczącego o podłogę.

Rzuciłam okiem na zegarek.

– Co teraz?

Perry zignorowała oczywiste przesłanie tego gestu albo go nie zauważyła.

– Kiedy już pani zrobi wszystko, co można, czyli zdjęcia, pobranie próbek et cetera, proszę oczyścić kości. Kiedy będą gotowe, czekam na telefon.

Wstałam.

Perry też.

Demonstracyjnie chwyciłam teczkę prawą ręką, w lewej trzymałam kluczyki. Sorry,

żadnych palców do zmiżdżenia.

W pobliżu Kailua Beach South Kalaheo Avenue ostro zakręca, przechodzi mostem nad Kaelepulu Stream już jako Lihiwai i biegnie drugim brzegiem jako Kawaiiolo.

Ryan zadzwonił, gdy wjeżdżałam na most. Nie tracił czasu na zbędne pogawędki.

– Platon Lowery to uparty skurczybyk.

– Och?

– Ten stary cap odmawia pobrania próbki DNA.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia.

– Nie podał powodu?

– Mówi, że nie musi.

Lowery miał rację. Nie musiał.

Mój umysł błędził po omacku, szukając jakiegoś pomysłu, a tymczasem stopa lekko zsunęła się z pedału gazu. Jadący za mną samochód zatrąbił. To tyle, jeśli chodzi o postawę typu aloha.

– Czy są jacyś inni krewni? – spytałam. – Platon chyba wspominał coś o jakimś kuzynie.

– Nikogo nie znaleźliśmy.

Klakson zabrzmiał ponownie. Spojrzałam w lusterko wsteczne. Zwalisty SUV znajdował się tuż za moim zderzakiem.

– Podczas prac ekshumacyjnych w Lumberton obecny był szeryf z okręgu Robeson. Nazywa się Beasley. Zadzwon do niego, przekonaj się, czy ma jakieś sugestie.

– Warto spróbować.

W tonie Ryana brzmiał umiarkowany optymizm.

Gdy dotarłam do domu, słońce zniżało się ku morzu.

Nastrój Katy bardzo się poprawił od wczoraj. Podobnie jak jej apetyt. Sprawiała nawet wrażenie głodnej jak wilk. Restauracja ze stekami u Buzza była całkiem niedaleko, więc tam się wybrałyśmy.

Hawajscy bogowie okazali się łaskawi. Udało nam się dostać stolik na tarasie z widokiem na Kailua Beach. Zamówiłam mahimahi. Katy wybrała kurczaka teriyaki.

Gdy jadłyśmy, opowiedziałam jej o moim dniu. Ona natomiast rano latała helikopterem, a po południu plażowała na Lanikai Beach.

– Stosowałaś dużo opalacza z filtrem?

– Tak, mamo.

– Kapelusz?

– Mhm.

Rak skóry. Zmarszczki. Bla. Bla. Bla.

Przewrócenie oczami.

– OK. Zaczniemy od początku. Jak dotarłaś do śmigłowca?

– Pojechałam autobusem. Tutaj mówią na niego TheBus. Podoba mi się. Bezpośrednie.

– Co zobaczyłaś?

– Centrum Honolulu, port, jakąś wieżę z targowiskiem.

– To Aloha Tower przy nabrzeżu numer 9. Jeden ze znaków rozpoznawczych stanu Hawaje.

– Pilot coś o tym wspominał.

– Od lat dwudziestych dwudziestego wieku ta latarnia morska naprowadza statki pływające po morzu oraz wita gości i imigrantów w Honolulu.

– O tym też mówił. Porównał ją do Statuy Wolności.

– Słuszna analogia. Czym Pani Wolność jest dla Nowego Jorku, tym Aloha Tower jest dla Honolulu. Od czterdziestu lat stanowi najwyższą budowlę na Hawajach.

– Pilot wspominał także o sklepach i restauracjach.

– Targowisko przy Aloha Tower zostało otwarte w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Ale to tylko jedna z atrakcji. Znajduje się tam również Hawajskie Centrum Morskie oraz zabytkowy okręt „Falls of Clyde”. Czytałam gdzieś, że port w Honolulu jest jedynym w kraju, w którym w tym samym miejscu znajdują się atrakcje turystyczne, sklepy i restauracje oraz normalnie pracujące instalacje portowe o znaczeniu komercyjnym.

– Tak samo jest chyba w Baltimore. W słuchawkach trochę szumiało. Nie słyszałam wszystkiego, co mówił. Lecieliśmy też nad czymś, co nazywa się Punchbowl. Waza z ponczem.

Narodowy Cmentarz Wojskowy nad Pacyfikiem. Miejsce wiecznego spoczynku amerykańskich żołnierzy. Nie powiedziałam tego na głos.

– I widzieliśmy jeszcze jedną latarnię.

– W Makapu'u Point?

– Chyba tak. A także Mount Olomana. Fajna nazwa. Łatwo zapamiętać.

– To tutaj, po nawietrznej stronie wyspy.

– Pilot mówił, że na szczyt prowadzi niesamowity szlak. Może spróbuję tamtędy pójść. Lecieliśmy też nad miejscem, w którym jakiś hawajski król wygrał bitwę, jednocząc wszystkie wyspy. Nie załapałam jego imienia ani z kim walczył. Ale wydaje mi się, że wygrał.

– Nu'uaniu Pali. Jesteś gotowa na odrobinę historii?

– A mam jakiś wybór?

– W roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym król Kamehameha I wyruszył ze swojej rodzinnej Wyspy Hawajskiej na czele armii liczącej około dziesięciu tysięcy żołnierzy. Zdobywszy wyspy Maui i Molokai, zmierzał dalej na Oahu. Obrońcy Oahu pod wodzą Kalanikupule wpadli w zasadzkę przy Nu'uaniu Pali. Kamehameha kazał zrzucić ponad czterystu z nich z klifów, pewna śmierć.

– Brutalne.

– Ale skuteczne.

– Czy to pytanie będzie podczas quizu?

– Tak.

Na deser zamówiliśmy do spółki cocolatę: kreację z wanilii, lodów i orzechów kokosowych, która nami wstrząsnęła. Nasz kelner, Fabio, poinstruował nas, w jaki sposób polać tę konstrukcję świeżo wyciśniętym sokiem z limonek.

Och tak. Fabio. Tlenione włosy, rozpięta koszula, naszyjnik puka i tak dalej.

Jadąc do domu, zrywałyśmy boki ze śmiechu.

W środę zjawiłam się w CIL już przed dziewiątą.

Danny był w swoim gabinecie, zgarbiony nad biurkiem. Kiedy weszłam, wykonał pełny obrót na fotelu.

– Aloha.

Promieniał.

– Wyglądasz jak jeden z tych nieznośnych uśmiechniętych emotikonów.

W nocy źle spałam, obudziłam się z łoskotem bębnow w głowie. Jazda do Honolulu nie sprawiła, że poczułam się lepiej.

– Jestem szczęśliwy.

Danny rozłożył szeroko ręce i nogi.

– Śliczny, słodki, wesolutki?

Spychając na bok jakieś czasopisma, opadłam na małą sofę, która najlepsze lata miała już dawno za sobą.

– Mamy dziś muchy w nosie?

– Głowa mnie boli.

– Czy panie miały wczoraj przyjemny wieczór poza domem?

– Katy opróżniła dziesięć galonów mai tai, ja nie. – Masowałam sobie skronie kolistymi ruchami. – Z jakiegoż to powodu taka radość dźwięczy w twoim świecie?

– Wreszcie dostałem cynk w sprawie katastrofy śmigłowca.

– Helikoptera transportującego Pajaka Lowery'ego z Long Binh?

– Tej samej.

– I?

– Według REFNO piątego ciała nigdy nie odnaleziono.

Danny użył skróconej wersji terminu „numer referencyjny”. Kartoteki REFNO zawierają

informacje o nieszczęśliwych wypadkach ze skutkiem śmiertelnym, do jakich doszło w wojsku, z uwzględnieniem nazwisk zabitych, nazwisk osób, które przeżyły, czasu i miejsca, rodzaju statku powietrznego, odnalezionych przedmiotów – słowem wszystkich faktów dotyczących danego wydarzenia.

– Kim był ten zaginiony członek załogi?

– Mechanikiem pokładowym.

– Masz jego nazwisko?

Danny wyszczerzył zęby tak szeroko, że myślałam, iż głowa przedzieli mu się na dwie części, przy czym górna zaraz odpadnie, jak w jednej z tych animacji Monty’ego Pythona. A może po prostu była to tylko moja projekcja?

Niecierpliwym gestem zażądałam informacji.

– Luis Alvarez.

Znaczenie tych dwóch słów nie od razu przebiło się przez mój ból.

– Facet był Latynosem?

– Na to wygląda.

Wyprostowałam się na kanapie.

– Pokaż mi to.

Danny wręczył mi faks.

– Powiedziano mi, że akta osobowe dotrą niedługo.

Była to dość skąpa informacja, ale ważna.

– Specjalista drugiego stopnia Luis Alvarez, mechanik pokładowy. Data urodzenia dwudziesty ósmy lutego tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku – przeczytałam.

– Gdy helikopter się rozbił, Alvarezowi brakowało miesiąca do dwudziestki.

– Wzrost metr siedemdziesiąt pięć, waga siedemdziesiąt pięć kilogramów. Miejsce przechowywania akt Bakersfield w Kalifornii.

Zaczęłam się wciągać.

– Alvarez znajduje się na liście KIA/BNR.

Czyli: „zabity podczas akcji, ciała nie odnaleziono”.

Danny skinął potakująco głową.

– Oto moje zdanie. Lowery dopiero co wyszedł z więzienia, dlatego personel kostnicy w Tan Son Nhut założył, że ofiara bez szarży na mundurze to on. Profil pasuje, miejsce i czas też, wszystko się więc zgadza. Ale chrzanią sprawę. Tak naprawdę te spalone zwłoki to Alvarez.

– Skoro Alvarez wciąż znajdował się na liście zaginionych, dlaczego twoim zdaniem nie wzięto go pod uwagę?

– Ty i ja wiemy, że szczątki numer 2010-37 odznaczają się budową charakterystyczną dla mieszańca dwóch ras. Ze względu na stan zwłok faceci z Tan Son Nhut nie mogli dostrzec tego, co my zobaczyliśmy. A może ktoś dysponujący dość ograniczoną wiedzą o anatomii kości dopatrywał się w twarzoczaszce wyłącznie cech kaukaskich. Tak czy owak, doszli do wniosku, że facet był biały.

– Czyli że to Lowery.

– Założę się, że w aktach osobowych Alvareza znajduje się słowo Latynos.

Zgodziłam się z tym.

– Doktor Brennan, chyba nam się udało.

– Doktorze Tandler, chyba tak.

– Och, Sherlocku. – Danny uniósł dłoń.

– Och, Watsonie. – Przybiłam piątkę.

Wydaliśmy okrzyk radości. Aż zabolalo.

– Ale jest coś, czego nie rozumiem. – Danny zaczął okręcać się na krześle to w jedną, to w drugą stronę. – Alvarez zostaje ostatecznie pogrzebany w Karolinie Północnej. Lowery umiera podczas masturbacji gdzieś w Quebecu. O co tu chodzi?

Nie miałam wytłumaczenia.

Mijały sekundy. Obserwowanie, jak Danny kręci się tam i z powrotem, przyprawiało mnie o chorobę morską.

Przeniosłam spojrzenie na biurko. Przypomniał mi się ten złoty wihajster zamknięty na klucz w szufladzie.

– Czy Craig wpadł na jakiś pomysł w sprawie tego kaczkowato-grzybowego przedmiotu?

- Jeśli nawet, to się nim nie podzielił.
- I co teraz? – spytałam.
- Teraz czekamy na akta Alvareza.
- I?
- Zrekonstruujemy czaszkę na podstawie fragmentów.

Tak zrobiliśmy. Ja to zrobiłam. Danny przez prawie cały poranek zajęty był spotkaniem dotyczącym zamknięcia jakiejś sprawy.

Gdy tak układałam i kleiłam odłamki, ogarniały mnie różne uczucia. Jeśli mieliśmy rację co do pomyłki i zamiany tożsamości w roku sześćdziesiątym ósmym, rodzina Alvarezów otrzyma wreszcie informacje o zakończeniu dochodzenia. Platon zaś będzie zmuszony zaakceptować rzeczywistość taką, jaka jest.

Jak to w życiu. Dla jednych coś pozytywnego, dla drugich przeciwnie.

W mojej bolącej głowie tłoczyły się obrazy, domagając się dla siebie uwagi. Platon kartkujący album ze zdjęciami w moim samochodzie. Zmrużone od słońca oczy na cmentarzu w Lumberton.

Zastanawiałam się. Najwyraźniej cieszyłam się jego zaufaniem. Jak teraz mam powiedzieć staremu człowiekowi, że w grobie, nad którym opłakiwał przez tyle lat swego syna, nigdy go nie było?

Ugniatałam właśnie plastelinę, żeby wykonać kawał kości czołowej, gdy nagle uderzyła mnie pewna myśl.

Ręce mi zamarły.

Pająk Lowery pochodził z Lumberton w Karolinie Północnej. Okręg Robeson.

Nieosiągalne.

Przywołałam w głowie obraz Platona.

Twarze w jego albumie.

Chłopiec na fotografii z biurka Jeana Lauriera.

Więc jednak możliwe?

Wróciłam do gabinetu Danny'ego i zajrzałam do akt Pajaka.

Tam, gdzie w formularzu znajdowała się rubryka „rasa”, w małym kwadraciku widniał ptaszek przy słowie „biała”. Odręczna notka w kartotece dentystycznej opisywała Lowery’ego jako „Cauc.”. Typ kaukaski.

A jednak.

Spojrzałam na zegar. Dwunasta czterdzieści.

Poszłam do kuchni, gdzie spożyłam jogurt i batonik zbożowy. Popiłam dietetyczną colą. Zastanawiałam się.

Z powrotem do klejenia.

Nieustannie obracałam w myślach jedną prostą prawdę.

Ludzie nie wypełniają formularzy zgodnie z faktami. Mężczyźni podają, że są wyżsi, niż są naprawdę. Kobiety piszą, że są szczuplejsze i młodsze.

Ludzie kłamią.

Pierwsza trzydzieści.

Niezbyt późno.

Wystukałam numer na moim BlackBerry. Kierunkowy 910.

Dwanaście sygnałów, potem cisza.

Rozłączyłam się i wybrałam inny zestaw cyfr. W laboratorium było wprawdzie chłodno, jednak pot zrosił mi czoło.

– Dom Pogrzebowy Sugarmana – zamruczał głos słodki jak syrop.

– Poproszę z Silasem Sugarmanem. Mówi Temperance Brennan.

– Proszę zaczekać.

„Taniec błogosławionych duchów” z opery *Orfeusz i Eurydyka*? Miało brzmieć kojąco, ale jeszcze bardziej mnie podkreśliło.

– Doktor Brennan. Jaka miła niespodzianka. Wróciła pani już z Hawajów?

– Dzwonię z Honolulu.

– Czym mogę służyć?

– Pilnie potrzebuję informacji na temat Pająka Lowery’ego.

– Może powinna pani porozmawiać z jego ojcem?

– Platon nie odbiera telefonu.

– Zrobię, co w mojej mocy – odparł. – Oczywiście w granicach wyznaczonych przez etykę.

– Oczywiście. Czy rodzina Lowerych to rdzenni Amerykanie?

Sugarman nie odpowiadał tak długo, że pomyślałam, iż poczuł się obrażony moim pytaniem. Albo uznał je za naruszenie prywatności.

– Czyli Indianie?

– Tak, proszę pana.

– Ależ do diabła, panienko, większość ludzi w okręgu Robeson posiada w swoim drzewie genealogicznym jakieś indiańskie dziecko albo dwoje. Moja własna prababcia była Indianką, niech spoczywa w pokoju.

– A rodzina Lowerych?

– Pewnie, że też. Plato to półkrewi Lumbee, podobnie jak jego żona. Pochodzą z okolic Pembroke.

Sugarman mówił o plemienu Lumbee, grupie rdzennych Amerykanów, którzy przyjęli nazwę od rzeki Lumber.

Lumbee, potomkowie głównie ludów Cheraw i związanych z nimi szczepów posługujących się językiem siouan, zamieszkują obecny okręg Robeson od osiemnastego wieku. To największe plemię w Karolinie Północnej, największe na wschód od rzeki Missisipi i dziewiąte pod względem liczebności w całych Stanach.

I chyba najbardziej poszkodowane.

Lumbee zostali oficjalnie uznani przez stan Karolina Północna za odrębne plemię w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym. Trzy lata później zaczęli się domagać podobnego uznania ze strony rządu federalnego. Jak dotąd odnieśli umiarkowany sukces.

W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym Kongres przyjął ustawę uznającą lud Lumbee za Indian, odmawiając im jednak pełni praw przysługujących plemionom. W rezultacie nie mogą liczyć ani na wsparcie finansowe, ani na programy pomocowe Biura do spraw Indian, z których korzystają szczerze uznane oficjalnie.

Co budzi niemałą złość u czterdziestu siedmiu tysięcy ludzi.

– Tylko proszę mnie źle nie zrozumieć.

– Oczywiście, że nie.

Chciałam jak najszybciej zakończyć tę rozmowę.

– Dziękuję panu bardzo.

Danny ciągle siedział na spotkaniu zamykającym dochodzenie.

Cholera. Byłam ostro podniecona.

Powrót do sklejanania fragmentów.

Gdy Danny się wreszcie wyrwał, niemal siłą zawlekłam go do jego gabinetu.

Opowiedziałam mu o swoich wątpliwościach, on natychmiast zagłębił się w aktach Pająka, tak jak wcześniej ja.

– Cechy mongoloidalne. Alvarez był bez wątpienia Latynosem. Lowery miał w sobie indiańską krew. Wracamy więc chyba do punktu wyjścia. Twój chłopak to Lowery albo Alvarez.

– Odciski palców wskazują, że Lowery zmarł w Quebecu.

– Może to w FBI zawalili sprawę, nie w Tan Son Nhut.

– Może.

Zamyśliłam się na chwilę.

– A jeśli numer 2010-37 to żaden z nich?

– Żaden?

– Ani Alvarez, ani Lowery.

Brwi Danny'ego wystrzeliły w górę.

– Czy w rejonie katastrofy śmigłowca zarejestrowano jeszcze kogoś oznaczonego BNR – „ciała nie odnaleziono”?

– Mógłbym sprawdzić w REFNO, stosując kryterium geograficzne. Co sądzisz?

– Sądzę, że potrafisz zaimponować – odpowiedziałam.

– Ty też.

– Ja?

– Nie zapominaj – Danny mrugnął okiem – że widziałem cię naga.

Poczułam, że policzki mi płoną.

– A może pogrzebię w dokumentach dotyczących wypadków w ciągu miesiąca przed wydarzeniem, z którego mamy szczątki numer 2010-37?

Danny znów skupił się na pracy.

– To chyba miałyby sens, zwłaszcza biorąc pod uwagę, co pracownik kostnicy napisał o stanie rozkładu zwłok.

– Ale może trochę potrwać.

– Zajmę się robótkami z plasteliny.

Danny nie przesadził. Pojawił się wreszcie dopiero na kwadrans przed piątą. Jedno spojrzenie wystarczyło, bym wiedziała, że coś ma.

– Trafiony, zatopiony? – spytałam.

– Nie. Ale znalazłem to.

Danny pomachał jakimś papierem. Wyciągnęłam rękę, lecz trzymał go poza moim zasięgiem.

– Zwłoki w stanie rozkładu zostały znalezione siedemnastego sierpnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku niecałe pół kilometra od miejsca styczniowej katastrofy śmigłowca. Szczątki dostarczono i przechowywano w Tan Son Nhut. Mężczyzna rasy białej, między dwudziestym piątym a trzydziestym piątym rokiem życia. Denat został przetransportowany do Stanów jako numer katalogowy 1968-979.

– I?

– Nie ma żadnego „i”.

– Zidentyfikowano go?

– Nie.

– Gdzie są kości?

– Tutaj.

Danny ruszył w kierunku Czerwonego Swetra, który siedział za swoim biurkiem.

Obserwowałam, jak składa zapotrzebowanie. Czerwony Sweter zniknął za ruchomymi regałami.

Czas mijał. Dużo czasu.

Czerwony Sweter wyłonił się, niosąc coś, co wyglądało na bardzo stare pudło. Miało inny kolor, a na rogach karton nosił ślady zadrapań i był wyraźnie zniszczony.

Danny przyjął pudło, machnął swoją odznaką i wrócił do mnie. Razem przeszliśmy do odpowiedniego stołu.

Przez mózg przelatywały mi różne pytania.

Czy Luis Alvarez był Latynosem, na co wskazywało jego nazwisko?

Czy numer 2010-37 to Luis Alvarez?

Czy Luis Alvarez to raczej numer 1968-979? A jeśli tak, to czemu szczątki Alvareza nie zostały rozpoznane już w sierpniu sześćdziesiątego ósmego?

Gdyby numer 1968-979 rzeczywiście okazał się Alvarezem, to kim jest 2010-37? I w jaki sposób człowiek ten został uznany za Pajaka Lowery'ego i przetransportowany do Lumberton w Karolinie Północnej?

Rodzina Lowerych miała w sobie domieszkę indiańskiej krwi. A może numer 2010-37 to jednak Pajak?

Przecież ciało przetransportowane z Long Binh i zwłoki w stawie w Hemmingford nie mogły być jednocześnie Pajakiem Lowerym.

Danny uniósł wieko pudła z napisem 1968-979.

Oboje pochyliliśmy się nad nim.

Mijały sekundy.

Nasze oczy się spotkały.

Odbijał się w nich podwójny szok.

Czaszka leżała wciśnięta w kąt pudła, resztę szkieletu zapakowano obok i ponad nią. Każdy fragment kości miał żółto-brązowe cętki. Nic szczególnego. Ekspozycja na światło słoneczne wybiela kości. Kontakt z glebą i roślinnością przeciwnie.

To nie stan szczątków tak nas zszokował.

Powodem był przedmiot wetknięty za składany brzeg kartonu biegnący wzdłuż wewnętrznej krawędzi pudła.

– Czy to nieśmiertelnik? – spytałam.

– Tak.

– Nie powinien się tu znajdować.

– Tak sądzisz? – Sarkazm wcale nie był skierowany w moją stronę.

Wysupławszy nieśmiertelnik z pudła, Danny zdjął okulary, potarł oczy i przysunął sobie ów mały metalowy prostokąt pod sam nos.

– Potrafisz odczytać nazwisko? – spytałam.

– Nie.

Paznokciem kciuka zadrapał nieśmiertelnik, po czym obrócił go na drugą stronę i ją też zadrapał.

– Na powierzchni z obu stron grube nawarstwienia. Spróbujmy użyć wody.

Nad zlewem Danny szorował nieśmiertelnik twardą ryżową szczotką i znów wykonał ten sam szereg czynności: okulary–zmrużenie oczu–spojrzenie z bliska.

– Jeśli wypukłe litery zostały starte albo zmiażdżone, zwykle udaje mi się odczytać je z drugiej strony. Ale to paskudztwo jest jak z cementu. Dajmy mu kopa w sonikatorze ultradźwiękowym.

Sonikatorów używa się do oczyszczania biżuterii, urządzeń optycznych, monet, zegarków, sprzętu dentystycznego, medycznego, elektronicznego oraz samochodowego. Ustrojstwo to działa na bazie ultradźwięków, zwykle w zakresie 15–400 Mhz. Żadna kosmiczna technologia. Dodaje się trochę płynnego środka czyszczącego i po prostu wytrząsa to, co znajduje się pod brudem.

Danny umieścił nieśmiertelnik w stalowym koszyku, polał roztworem wody z octem

i zamknął drzwiczki. Po czym nastawił czasomierz.

Oboje gapiliśmy się na obiekt, co było akurat zupełnie bez sensu, gdy nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Kto ostatni zajmował się tą sprawą?

– Doskonałe pytanie.

Danny podszedł do Czerwonego Swetra. Wyjaśniał mu, czego potrzebujemy, a w tym momencie mój BlackBerry zasygnalizował przyjście esemesa.

Katy.

Inwazja!

Mrówki? Maszerująca armia?

Niedługo wracam do domu – odpisałam.

Szybko.

Co się dzieje?

Jest fatalnie.

Świetnie. Nowy kryzys.

Problem?

Niewiarygodny.

???? Nie miałam najmniejszego pojęcia, skąd się bierze aktualne niezadowolenie u Katy.

Koniec wakacji – odpowiedziała.

???? – napisałam raz jeszcze.

Minęła minuta bez odpowiedzi.

Co, u diabła?

Zadzwoniłam na komórkę Katy.

Poczta głosowa.

Cudownie. Wyłączyła telefon albo ignorowała mnie.

Przypinałam komórkę do paska, gdy wrócił Danny. Miał zafrasowany wyraz twarzy.

– Dimitriadus – powiedział. – W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku.

– Czy Dimitriadus mógł nie zauważyć nieśmiertelnika?

– Być może został wciśnięty gdzieś głęboko pod krawędź pudła. Gdy karton poluzował się z powodu upływu lat, nieśmiertelnik stał się widoczny. – Ale w jego głosie nie było słyhać przekonania.

Danny wyjął metalową tabliczkę z sonikatora i ponownie podszedł do zlewu, by po raz kolejny potraktować go szczotką.

Mijały sekundy. Cała minuta.

Szorowanie.

Zdjęcie okularów.

Zmrużenie oczu.

Założenie okularów.

Szorowanie.

Jeszcze raz.

Ponieważ byłam trochę wytrącona z równowagi esemesami od Katy, miałam ochotę wyrwać mu ten nieśmiertelnik z ręki.

Wreszcie okulary zostały zdjęte, oczy krótkowidza zwężyły się.

– Jasna cholera.

Danny rzadko się tak wyrażał.

– Co jest? – spytałam.

Danny przeczytał na głos.

– Pokaż mi to. – Wyciągnęłam rękę.

Danny podał mi tabliczkę.

Miał rację. Odcisnięte znaki łatwiej było odczytać z drugiej strony.

Obróciłam w myślach litery i cyfry, niczym w lustrze.

John Charles Lowery

477 38 5923

Grupa kr. A Bapt

Czy u baptystów krew grupy A występuje powszechnie?

Głupie, ale właśnie takie pytanie jako pierwsze przyszło mi do głowy.

– To numer ubezpieczenia społecznego, prawda?

Danny skinął potakująco głową.

– Wojsko zaczęło ich używać zamiast numerów własnych gdzieś w latach sześćdziesiątych.

– To nie może być n asz John Lowery.

Mówiąc to, wiedziałam, że się mylę. Jednak jakie było prawdopodobieństwo?

– Sprawdźmy.

Popędziliśmy do gabinetu Danny’ego.

Wyciągnęliśmy akta Pająka.

Numer ubezpieczenia należał do Johna Charlesa Lowery’ego z Lumberton w Karolinie Północnej. Do Pająka.

Ale Pająk Lowery zmarł w Quebecu.

Czterdzieści lat po katastrofie śmigłowca w Long Binh.

Matko Przenajświętsza, czyżby sprawa miała się jeszcze bardziej skomplikować?

– Rozkładamy faceta na stole?

W głosie Danny’ego było niewiele entuzjazmu.

Moje spojrzenie powędrowało w kierunku zegarka.

Piąta pięćdziesiąt.

Niecierpliwiłam się, żeby wrócić do domu, do Katy. I chciałam się dowiedzieć, czy Ryan

znalazł alternatywne źródło DNA dla sprawy Pajaka.

– Zajmiemy się tym od razu jutro rano.

– Jesteśmy umówieni.

– Nie ma sprawy, stary – puściłam do Danny’ego oko, jak on wcześniej do mnie. – Ale oboje będziemy cały czas w ubraniach.

Wołałam i szukałam.

Katy nie było w domu.

Ani przy basenie.

Ani na werandzie.

Nie znalazłam żadnej karteczki z informacją.

Zeszłam na plażę.

Nic.

Przebierałam się w szorty, gdy trzasnęły drzwi.

Do mojego pokoju doleciał dźwięk rozmowy. Głosy. Jeden męski, jeden kobiecy, ale nie mojej córki.

Czyżby Katy zdążyła się z kimś zaprzyjaźnić?

– Katy?

– Wybrała się pojeździć na rowerze – zawołał męski głos.

Bingo!

Teraz esemesy Katy nabrały sensu.

Czy zapytałam ją wtedy o zdanie?

Byłam półprzytomna, zaspana, działałam impulsywnie.

Nieźle kretynstwo, Brennan.

Czy w ogóle ją uprzedziłam?

Samej siebie nie uprzedziłam.

Fatalnie.

Ślizgając się na sandałach, popędziłam na parter.

Ryan miał na sobie koszulę w turkusowe banany i lawendowe palmy. Jego spodenki były barwy morelowej, z koślawym napisem *Billabong* na obu pośladkach. Dodajmy do tego japonki, hawajskie okulary przeciwsłoneczne, czapkę bejsbolówkę tudzież dwudniowy zarost, a uzyskamy pełny obraz. *Miami Vice* pod rękę z *Hawaii 5.0*.

Lily w obu rękach trzymała po jednej tekturowej torbie na zakupy. Dzięki połączonym wysiłkom jej spódniczka mini oraz obcisły walcowaty top zakrywały w sumie jakieś 30 centymetrów tułowia. Do tego buty na gigantycznych obcasach, makijaż lolitki i usta barwy maraschino.

O rany.

– Aloha, *madame*. – Ryan zmiądzzył mnie w swym niedźwiedzim uścisku. – *Comment ça va?*

– Dobrze. – Uwolniłam się i zwróciłam do Lily. – Jaki mieliście lot?

Lily wzruszyła jednym bardzo nagim ramieniem.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy tym najściem – rzekł Ryan.

– Jak nas znaleźliście?

Ryan uśmiechnął się szeroko i poruszył brwiami.

Wiedziałam, co to oznacza.

– Jesteś śledczym. Śledzisz.

– Katy wydawała się trochę podenerwowana, kiedy nas ujrzała – powiedział Ryan.

– Chyba zapomniałam jej wspomnieć o waszym przyjeździe.

Wywróciwszy oczami otoczonymi szczelnie tuszem do rzęs, Lily wysunęła do przodu jedno biodro.

– Wszystko działa się tak szybko, na ostatnią chwilę: zgoda sędziego, rezerwowanie miejsc, szybka jazda do Dorval – mówił Ryan. – W całym tym zamieszaniu zapomniałem naładować komórkę. I zdechła na lotnisku.

– Tak się często zdarza – powiedziała Lily.

– Katy was rozłokowała? – spytałam.

– Owszem. Ja śpię na dole, Lily w sypialni dla gości na piętrze. Nawiasem mówiąc, mieszkanko zabójcze.

– Mogę już iść? – zapytała Lily. Może nie marudnie, ale prawie.

Ryan spojrzał na mnie przepaszająco.

Rzuciłam okiem na zegarek. Szósta trzydzieści.

– Katy powinna lada chwila wrócić. – Proszę, Panie Boże. – Może spotkamy się wszyscy o wpół do ósmej i wybierzemy razem na kolację?

– Ja stawiam – powiedział Ryan.

– Nie ma mowy – odparłam.

– Nalegam – uparł się.

– Katy może dać ci popalić – powiedziałam. – Sprawdza kolumnę po prawej stronie menu i wybiera w nim najdroższą pozycję.

– Dlatego właśnie Bóg dał nam karty kredytowe.

Ryan uśmiechnął się i poklepał po tylnej kieszeni.

Kwestia wyboru restauracji sprowokowała stymulujący dialog. Lily miała ochotę na stek. Katy unikała spożywania czerwonego mięsa. Katy pragnęła ryby. Lily przekroczyła już normę spożycia rtęci. Katy proponowała tajskie jedzenie. Zbyt ostre. Lily zaproponowała indyjskie. Katy nie miała nastroju.

Kompromisowo zgodziliśmy się na kuchnię japońską.

Podczas kolacji ani Katy, ani Lily nie zachowywały się jawnie niegrzecznie, ale na naszym stole mogłyby się łatwo utworzyć sople lodu. Po powrocie do Lanikai obie poszły prosto do swoich pokojów.

Ryan i ja napiliśmy się jeszcze czegoś na werandzie – ja wody Perrier, on piwa Big Wave Golden Ale.

Ryan przepaszwał za bezczelne zachowanie Lily. Nie miała wcale ochoty na tę wycieczkę. Nalegał, ale nie uzyskał w tej sprawie wsparcia od Lutetii. Podejrzewał, że Lily jest zakochana, być może w jakimś facecie z jej grupy odwykowej. Albo co gorsza w kimś z jej przeszłości, gdy jeszcze brała.

Tłumaczyłam, że Katy jest ciągle przybita z powodu śmierci Coopa, ale że chyba zaczyna

dochodzić do siebie.

Zgodziliśmy się, że nasze córki są mistrzyniami w zadawaniu sobie szturchnięć pod lukrem uprzejmości. I że mój pomysł z zastosowaniem terapii w oparciu o nawiązanie siostrzanych więzi nie wygląda zbyt obiecująco.

Przedstawiłam Ryanowi najnowsze fakty i ustalenia poczynione w CIL. Mongoloidalne cechy twarzoczaszki u 2010-37. Indiańscy przodkowie Pajaka Lowery'ego. Luis Alvarez, mechanik pokładowy, który zginął w katastrofie razem z Pajakiem w roku sześćdziesiątym ósmym. Sprawa numer 1968-979, rozkładające się zwłoki znalezione nieopodal Long Binh osiem miesięcy po rozbiciu śmigłowca. Nieśmiertelnik Pajaka Lowery'ego w pudle numer 1968-979.

Ryan przekazał mi doniesienia z Montrealu. I z Lumberton. Okazało się, że moja sugestia dotycząca Beasleya, choć sensowna, niczego nie wniosła. Szeryf był chętny do współpracy, ale jak dotąd nie powiedział nic godnego uwagi.

Śluchając Ryana opisującego swoją rozmowę z szeryfem, doznałam małego olśnienia. Przypomniał mi się komentarz wygłoszony przez Platona podczas naszej rozmowy nad albumem ze zdjęciami.

– Ryan, posłuchaj. Matka Pajaka zmarła z powodu choroby nerek pięć lat temu. To dość dawno, ale być może szpital, w którym ją leczono, ma jeszcze jakieś próbki, wiesz, wymazy czy coś. A ponadto Pajak miał brata, który zginął kilka lat wcześniej.

– Dawno temu to lepiej niż nigdy nic. Zajmę się tym jutro z samego rana, poproszę Beasleya, żeby trochę pomyszkował.

Ryan zaproponował, że nazajutrz weźmie Katy i Lily do Pearl Harbor. Życzyłam mu powodzenia.

O jedenastej oboje udaliśmy się do naszych osobnych sypialni.

Przez ścianę słyszałam, jak Lily rozmawia przez komórkę.

Nasze słoneczka wciąż jeszcze spały, gdy następnego dnia o ósmej rano weszłam do kuchni. Ryan wkładał parę butów Nike, żeby pobiegać po plaży. Plan zakładał, że razem z naszymi córkami spędzi dzień w Pearl Harbor, zwiedzą okręt-pomnik USS „Arizona” oraz zajrzą na pancernik USS „Missouri” i okręt podwodny USS „Bowfin”. Życzyłam mu powodzenia w mrocznych otchłaniach ponurego królestwa kobiecych animozji. Po czym wyruszyłam do CIL. Przez całą drogę rozmyślałam o nieśmiertelniku. To wszystko po prostu nie miało sensu.

Gdy zaparkowałam pod JPAC, zaraz za mną wjechał Dimitriadus. Razem przeszliśmy przez parking. W milczeniu. Zastanawiałam się, jak patolog zajmujący się identyfikacją kości mógł przeoczyć nieśmiertelnik w kartonie. Kiedy był trzy metry od budynku, nagle przyspieszył kroku i z impetem wpadł do środka, pozwalając, żeby drzwi nieomal walnęły mnie w twarz.

Wczoraj wieczorem obojętne wzruszenie ramion Lily. Dziś rano Dimitriadus. Zaczynałam się czuć jak klasowy parias.

Danny był w swoim gabinecie.

– Dimitriadus zachowuje się tak, jakbym zabiła mu pieska.

– Wejdz. – Uśmiech Danny’ego zniknął. – Zamknij drzwi.

Zaskoczona zrobiłam, co kazał.

– Zwalniamy Dimitriadusa.

– Jezu. Facet pracował tu – ile? – dwanaście lat? Dlaczego?

– Z wielu powodów. Ostatnio ponownie nie zdał egzaminu ABFA.

Danny mówił o egzaminie niezbędnym do uzyskania certyfikatu Amerykańskiego Towarzystwa Antropologii Sądowej, bez którego nie można wykonywać tego zawodu.

– Nieśmiertelnik?

– Decyzję podjęto, zanim ta sprawa wyszła na jaw, zatem nie.

– I co on teraz robi?

Danny rozłożył ręce. Kto to wie?

– Ta informacja jest tylko dla ciebie. Jak dotąd wie o tym tylko Dimitriadus, Merkel, ty i ja.

Skinęłam głowę.

Minęła chwila.

– Dobra wiadomość na dzisiaj jest taka, że J-2 ma dane Alvareza.

J-2, sekcja archiwum kartotek połączonych komend, posiada dostęp do informacji na temat poległych żołnierzy i członków personelu wojskowego od pierwszej wojny światowej.

– Miałem właśnie pójść tam po te akta. Jackson pytał o ciebie. Chodź ze mną, facet się ucieszy.

– Kapral Jackson? Ten sam, który przekonywał wszystkich, że linie telefoniczne mają być zgodnie z planem wyczyszczone mopem parowym, dlatego wszystkie słuchawki trzeba włożyć na godzinę do szczelnych plastikowych worków?

– Teraz już sierżant Jackson.

– Pracuje tu dość długo.

– Właściwie to znów go tutaj przydzielono.

– Nie mam już uprawnień do J-2.

– Chodź za mną, mała squaw.

Mała squaw?

Poszłam z Danny'm korytarzem biegnącym obok biur zarządu ku drzwiom na tyłach budynku; weszliśmy do dużego pomieszczenia z przepierzeniami, w których ustawiono biurka. Przy większości z nich siedzieli cywile – jak było mi wiadomo – analitycy i historycy. Na przeciwległym końcu sali znajdowały się kolejne drzwi, prowadzące do strefy zastrzeżonej, pełnej ruchomych regałów podobnych do tych, w których w laboratorium CIL przechowuje się kości. Tu jednak magazynowano setki niewielkich szarych pojemników, z których każdy opatrzony był osobnym numerem katalogowym. REFNO.

Przy kontuarze pogadaliśmy chwilę z sierżantem Diksem Jacksonem, czarnym mężczyzną o ramionach rozmiaru sekwoi z plamami koloru morwy na twarzy. Nie trzeba dodawać, że nikt nigdy nie śmiał wspomnieć o owych plamach.

Jackson i ja rzuciliśmy się w wir wspomnień, zasypując się wzajemnie starymi dowcipami i kawałami, które robiliśmy sobie w przeszłości. Okazał się w tym lepszy, przypominając historię z udziałem Danny'ego, boksu toaletowego, palącej się torby i wiader z deszczówką. Udając obrażonego, Danny wypełnił zapotrzebowanie na akta o sygnaturze 1968-979, czyli szczątki odnalezione koło Long Binh w roku sześćdziesiątym ósmym.

Jackson przeczytał formularz.

– Na kiedy pan tego potrzebuje, doktorze?

– Na wczoraj.

– Załatwione.

Danny podpisał i dostał akta osobowe Alvareza.

Zaczęliśmy odchodzić.

– Doktorze?

Oboje zawróciliśmy.

– Nie musi się panu aż tak bardzo spieszyć do tych akt, spokojnie. W tym miesiącu nie mamy w planie ćwiczeń przeciwpożarowych.

W biurze Danny’ego zrobiliśmy miejsce na sofie oraz stoliku do kawy.

Koniec żartów. Oboje byliśmy całkowicie skoncentrowani na pozyskaniu maksymalnej ilości informacji na temat specjalisty drugiego stopnia Alvareza.

Przygotowawszy sobie miejsce do pracy, usiedliśmy. Danny zdjął opaski, wyjął akta z pojemnika i wyłożył ich zawartość.

Przełknęłam ślinę.

Przez wszystkie lata pracy w charakterze konsultantki CILHI zawsze największe wrażenie robiły na mnie zdjęcia, większe niż cokolwiek innego. Fotografie Alvareza leżały na samym wierzchu.

Stare czarno-białe zdjęcie przedstawiało mężczyznę o wyglądzie Latynosa w wojskowym mundurze. Miał ciemne włosy, ciemne oczy i rzęsy, które oznaczały zmarnowany chromosom Y.

Na drugim zdjęciu widać było dziewięciu żołnierzy z włosami klejącymi się od potu do skroni i brwi. Wszyscy ubrani byli w robocze mundury z podwiniętymi rękawami. Jeden paradował w kapeluszu wędkarskim, wabik na ryby miał przypięty do dziarsko podwiniętego randa.

Nazwisko *Alvarez* zostało napisane wyblakłym niebieskim atramentem na piersi trzeciego mężczyzny od prawej. Trzeciego chłopca od prawej.

Alvarez nie był ani duży, ani mały. Jako jedyny z grupy nie patrzył na aparat. Miał odwróconą twarz, jakby coś chwilowo i niespodziewanie zwróciło jego uwagę.

Cóż to mogło być?, zastanawiałam się. Przelatujący ptak? Przebiegający pies? Jakiś ruch

w zaroślach?

Czy był tylko zaciekawiony? Zaskoczony? A może obawiał się o życie?

– *Ay, caramba!* – Danny spoglądał na kartę powołania Alvareza. – Nasz dżentelmen to Amerykanin meksykańskiego pochodzenia.

– To pasuje do profilu 2010-37. Jakies dane medyczne, stomatologiczne?

Danny szybko przejrzał stertę.

– Tak. Zostawmy to sobie na koniec.

Przebiegł wzrokiem kartkę z zeszytu w niebieską kratkę, takiego, w jakim piszą dzieciaki w podstawówce.

– List od Fernanda Alvareza, ojca Luisa – powiedział. – Czytasz po hiszpańsku?

Skinęłam potakująco głową.

Danny wręczył mi kartkę papieru.

List napisano schludnym, niemal kobiecym charakterem pisma. Nie było nagłówka z nazwiskiem adresata. Data: dwudziesty dziewiąty lipca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Angielski kończył się po słowach „Szanowny Panie”.

Wiadomość była przejmująca w swej prostocie.

Czytałam takich wiele. Każda z nich bez wyjątku zrobiła na mnie głębokie wrażenie.

– Co pisze? – spytał Danny, mimo że wiedział.

– *Mój syn był bohaterem. Odnajdźcie go.*

Dalej leżały wycinki z jakiejś hiszpańskojęzycznej gazety. Jeden informował o ukończeniu przez Luisa Alvareza szkoły średniej. Zdjęcie przedstawiało młodszą wersję człowieka w mundurze. Biret. Pompon. Posępny uśmiech.

Kolejny artykuł mówił o wyjeździe Alvareza do Wietnamu. Następny donosił o przyznaniu mu statusu MIA, czyli „zaginiony w akcji”.

Danny podniósł blankiet telegramu. Nie musiałam go czytać. *Z przykrością informujemy.* Maria i Fernando Alvarezowie zostali powiadomieni o zaginięciu ich syna.

Dalej znajdowały się zeznania świadków katastrofy śmigłowca. Strażnik udający się z więzienia Long Binh do swoich koszar. Motocyklista podróżujący szosą do Sajgonu. Pracownik techniczny na lądowisku dla helikopterów. Jeden z żołnierzy wyrysował nawet

odręcną mapkę.

W aktach znajdował się też standardowy formularz Ministerstwa Obrony z opisem wypadku oraz odtajnione dokumenty opracowane przez analityków próbujących ustalić, co się stało z Alvarezem.

Dwie godziny po wyjściu z kanciapy J-2 zajęliśmy się z Dannyem kartoteką medyczną i stomatologiczną Luisa Alvareza.

Co przyniosło nam tylko rozczarowanie.

Nic w danych rejestrowanych za życia nie pozwalało jednoznacznie powiązać zaginionego specjalisty drugiego stopnia z kośćmi zebranymi pod numerem katalogowym 2010-37. Albo Alvarez cieszył się najlepszym zdrowiem na świecie, albo – podobnie jak Lowery’ego – jego akta były niekompletne.

– Maria Alvarez zmarła w roku osiemdziesiątym siódmym – odczytałam na głos. – Żaden inny krewny ze strony matki nie dostarczył materiału do próbek DNA.

– Chyba jednak nie uda nam się ustalić sekwencji DNA człowieka z 2010-37 – stwierdził Danny.

Zgodziłam się.

– Chyba nie.

– Nie ma niczego, co by wykluczało Alvareza jako twojego faceta z Lumberton.

Znów musiałam się zgodzić.

– Nie ma. Ani tego, że numer 1968-979 to nie on.

Zamyśliłam się na chwilę.

– Myślisz, że warto spróbować namierzyć tych świadków? Może któryś z nich widział coś, co nigdy nie znalazło się w aktach.

Danny ponownie zajrzał do zeznań. Przeczytał.

– Pracownik obsługi technicznej to facet nazwiskiem Harlan Kramer z Abilene w Teksasie. Kramer był zawodowym wojskowym. Jeśli nie odszedł z armii, dość łatwo byłoby go znaleźć.

Danny zrobił notatkę.

– Gotowa do zabawy? – zapytał.

Skinęłam głowę.

Przeszliśmy do laboratorium.

Choć niektóre kości uległy uszkodzeniu wskutek erozji, urazów i działalności zwierząt, większość szkieletu z pudła numer 1968-979 znajdowała się w całkiem dobrym stanie. Gdy Danny zakładał nową kartotekę sądowo-patologiczną, ja rozkładałam na stole części składowe człowieka – jak zwykle.

Czaszka. Szczeka. Ramiona. Nogi. Mostek. Obojczyki. Żebra. Kręgi. Brakowało tylko rzepek kolanowych oraz niektórych fragmentów kości dłoni i stóp.

Nie miało to znaczenia. Wiedziałam teraz ponad wszelką wątpliwość, że numer 1968-979 nie był ani Pajakiem Lowerym, ani Luisem Alvarezem. Danny również o tym wiedział.

– Ten gość był wielkoludem.

Skinęłam głowę, potwierdzając.

– Lowery i Alvarez mierzyli po sto siedemdziesiąt pięć centymetrów. Ten człowiek był znacznie wyższy.

– Co on tu, u diabła, robi z nieśmiertelnikiem Pajaka Lowery'ego?

Nie potrafiłam tego wyjaśnić.

– Tu mamy uzębienie. – Danny dotknął szczęki. – Dwa zęby trzonowe oraz drugi ząb przedtrzonowy w części prawej. Dwa trzonowce z lewej. – Odwrócił czaszkę i ustawił ją podniebieniem do góry. – Dwa trzonowce po prawej, dwa po lewej i drugi przedtrzonowiec. Dziesięć zębów. Zrobię zdjęcie rentgenowskie.

Wibracja w okolicach biodra. Spojrzałam na moją komórkę.

– To Katy.

– Odbierz. Zajmę się inwentaryzacją.

– Cześć, kochanie.

– Wyjeżdżam stąd. Pierwszym dostępnym lotem.

Świetnie.

– Lily jest kompletnie postrzelona.

– Gdzie jesteście? – Spodziewając się więcej niż nieprzyjemnej rozmowy, oddaliłam się trochę od Danny'ego.

– W Pearl Harbor.

– O co chodzi?

– Od czego mam zacząć? Najpierw ta wycieczka do miasta. Panna Wariackie Papiery musi zawsze podróżować na przednim siedzeniu, żeby nie było jej niedobrze. Zgadnij, kogo w takim razie upchnięto z tyłu? Następnie idziemy zwiedzać, a tam w kolejce czeka co najmniej milion osób. Zgadnij, kto musi siedzieć na ławce, żeby jej nie rozbolały nóżki? Co za niespodzianka, tak, ta dziewczyna! Nosi obcasy, które groziłyby śmiercią przeciętnej tancerce tańca na rurze. Po drugie...

– Katy.

– ...musieliśmy zjeść coś w tym zalanym zwierzęcym tłuszczem przybytku trupich jadów, ponieważ Lily nie może znieść...

– Katy.

– Co? – Podniesiony głos.

– Ona przechodzi zły okres.

– A ja nie?

– Czy Lily naprawdę jest tak bardzo do niczego?

– Ona jest stuknięta. A miałyśmy spędzić ten czas we dwie, ty i ja.

– Myślałam, że ucieszysz się z towarzystwa Lily.

– Och, pewnie. Ta suka jest taka super, że z zazdrości aż chce mi się wymiotować.

– Przykro mi. Powinam była spytać cię o zdanie, zanim ich zaprosiłam.

– Tak sądzisz?

Danny wyminął mnie, niosąc czaszkę i szczękę. Przypuszczalnie wybierał się zrobić im zdjęcia rentgenowskie.

– Gdzie jest Ryan? – spytałam.

– Reguluje rachunek.

– Zadzwoń do niego.

Odpowiedziała mi gniewna cisza.

Po szybkim lunchu sporządziliśmy z Danym profil biologiczny numeru 1968-979.

Płeć: mężczyzna.

Rasa: biała.

Wiek: dwadzieścia siedem do trzydziestu pięciu lat.

Wzrost: metr osiemdziesiąt pięć, plus minus pięć centymetrów.

Cechy charakterystyczne budowy kostnej: wygojone złamanie prawej gałęzi żuchwy, prawego obojczyka i prawej łopatki.

Cechy charakterystyczne uzębienia: fragment wypełnienia w pierwszym górnym zębie trzonowym lewym.

O trzeciej mieliśmy już zdjęcia rentgenowskie i potwierdzenie ustaleń stomatologicznych, a także starych urazów szczęki i ramienia.

Danny rozmawiał właśnie przez telefon z J-2, gdy mój BlackBerry ponownie zabzyczał.

Hadley Perry.

Patolog sądowa darowała sobie wszelkie wstępy.

– Nurkowie znaleźli jeszcze jeden kawałek nogi.

– Gdzie?

– W zatoczce Halona, leżał na krawędzi rafy koralowej, jakieś siedem metrów pod wodą.

Sprawdziłam godzinę. Piąta trzydzieści. Byłam niczym bohater filmu *Dzień świstaka*. Nowy dzień, ta sama sytuacja.

– Czy szczątki z wtorku zostały już oczyszczone?

– Co do każdej lśniącej kosteczki.

– Skontaktowała się pani z ekspertem od rekinów?

– Państwowa Straż Rybacka ma swoją siedzibę na Oahu. Zadzwoiłam do znajomego, który tam pracuje. Wyjechał poza wyspę, ale jutro o dziewiątej wpadnie do nas doktor Dorcas Gearhart.

– Będę w takim razie. Ale...

– Wiem. Nie może pani zostać długo.

Ten wieczór woleliśmy spędzić w domu. Przynajmniej Ryan i ja. Lily i Katy wprowadziły w proces podejmowania decyzji jedynie pewną dozę napięcia.

Ryan zakupił steki wołowe oraz filety z tuńczyka, które wspaniale przyrządziliśmy na grillu. Zdumiewające, ale wszystkie przeszkody natury dietetycznej nagle zniknęły. Obie dziewczyny pochłonęły wielkie ilości darów ziemi i morza, wraz z sałatką ziemniaczano-szpinakową.

Określenie konwersacji przy stole terminem „sztywna” byłoby tym samym, co uznanie reelekcji Ahmadineżada w Iranie za odrobinę kontrowersyjną. Ulubioną grupą Lily był zespół Cake. Katy uznała ich muzykę za infantylną. Katy uwielbiała klasycznego bluesa, Ettę James, Billie Holiday, T-Bone Walkera. Lily oświadczyła, że to dziadostwo tylko ją usypia. Lily pachniała perfumami Sung od Alfreda Sunga. Katy uznała ich zapach za przesadnie słodkawy. Katy wolała L'eau d'Issey od Issey Miyake. Lily, kiedy je czuje, kicha. iPhone. BlackBerry. PC. Mac.

Sami rozumiecie.

Ryan i ja z uporem zachowywaliśmy wobec siebie dobre maniery. Ale jedna rzecz nie ulegała wątpliwości. Nasze latorośle nie tylko różniły się gustem i zdaniem, stawały się też mistrzyniami w okazywaniu sobie wzajemnie wzgardy.

Po kolacji podałam świeże krążki ananasa. Ryan zaproponował na jutrzejsze popołudnie kolejny wypad. Do Punchbowl albo – być może pod wpływem mojego deseru – na plantację Dole.

Katy oświadczyła, że woli spędzić dzień w Waikiki Beach. Lily chciała jechać do Ala Moana. Katy, że to idiotyczne przebyć cały cholerny Pacyfik tylko po to, żeby zrobić zakupy. Lily, że to głupie leżeć na plaży i mieć pełno piachu na całym tyłku. W tym momencie wybuchła otwarta wojna. Na szczęście wykupiłam wcześniej dodatkowe ubezpieczenie i wpisałam Katy jako kierowcę upoważnionego do prowadzenia mego wynajętego cobalta. Po długiej dyskusji osiągnięto kompromis. Katy wysadzi Lily przy centrum handlowym, spędzi popołudnie w Waikiki, po czym odbierze Lily o uzgodnionej godzinie i w ustalonym miejscu.

Gdy naczynia zostały już umyte, obie walczące strony wycofały się do swoich pokojów. Poszliśmy z Ryanem na spacer po plaży. Przekazałam mu najnowsze wieści o moich dwóch sprawach w CIL, a także informacje o tej, w którą zostałam zaangażowana przez głównego patologa sądowego Honolulu.

– Hadley Perry? – zapytał.

– Znasz ją?

– Owszem.

To mnie zaskoczyło. Ale nie drążyłam dalej.

– Perry umówiła się na jutro rano z ekspertem od rekinów – rzekłam.

– To powinna być pewna odmiana.

– Po czym?

– Po kościach. Robalach.

– Po fizyce kwantowej.

– Też. – Ryan zrobił pauzę. – Miałem dziś wiadomości od szeryfa Beasleya.

– I?

– Czasem mi imponujesz.

– Tylko czasem?

– Czasem bardziej niż zwykle.

– Co powiedział Beasley?

– Że zdążyłaś w ostatniej chwili.

Czekałam, aż Ryan rozwinie swoją wypowiedź. Nie rozwinął.

– Czerpiesz perwersyjną przyjemność z mieszania mi w głowie? – zapytałam.

– Zdecydowanie czerpię przyjemność z mieszania w twojej...

– Beasley?

– Południowo-Wschodnie Regionalne Centrum Medyczne. Zwykle karty pacjentów przechowuje się przez pięć lat.

– Szpital coś ma? – Nie mogłam w to uwierzyć.

– *Oui, madame.* Karta ostatniej rejestracji Harriet Lowery. Gdy teraz sobie rozmawiamy, materiał leci do AFDIL. – Wojskowego Laboratorium Identyfikacji DNA. – A może już tam dotarł. I sądzę, że jakaś próbka została przesłana także do naszych chłopców od DNA w Montrealu.

– Ja cię kręcę.

– No ja cię kręcę.

Piasek pod stopami był chłodny. Fale biły o brzeg. Cudownie być na powietrzu. Czuć sól na wargach i wiatr we włosach.

Być z Ryanem?

Noo. OK. Być z Ryanem.

Nie wziął mnie za rękę. Ja nie dotknęłam jego dłoni. A jednak. Oboje to czuliśmy. Ogromnego słonia ciężko stąpającego obok nas po plaży.

– Chętnie bym posłuchał, co ma do powiedzenia.

Zatopiona w rozmyślaniach nie rozumiałam, o co Ryanowi chodzi.

– Kto co ma do powiedzenia?

– Ten facet od rekinów.

– Czemu?

– Kto wie, co pewnego dnia może okazać się przydatne w tej pracy?

– Ale ty pracujesz w Quebecu.

– Rekiny to diabelnie przebiegłe stworzenia.

Czy Ryan tak naprawdę interesował się rekinami? Czy też raczej ekscentryczną, ale ujmującą doktor Hadley Perry?

Wszystko jedno.

– Pewnie – powiedziałam. – Jedź ze mną.

Gdy przybyliśmy do siedziby patologa, Dorcas Gearhart znajdowała się już w holu. Ryan się pomylił. Okazało się, że facet od rekinów jest tej samej płci co ja.

Gearhart miała kędzierzawe siwe włosy, przytrzymywane po bokach przez różowe plastikowe klamerki. Nosiła okulary w drucianych oprawkach, które spoczywały nisko na nosie. Na oko mierzyła półtora metra i była nieco pod sześćdziesiątkę.

Wymieniliśmy się alohami, nazwiskami i uściskami dłoni. Zastanawiałam się, co Katy i Lily powiedziałyby na temat długiej kolorowej hawajskiej sukni pani doktor, jej adidasów i kardiganu. Ciekawa też byłam, o czym obie dziewczyny rozmawiały w drodze do miasta.

Czekając na Perry, Ryan spytał Gearhart, w jaki sposób trafiła do branży rybackiej.

Kierując się wyglądem tej kobiety, spodziewałam się długiej przemowy oraz manier w stylu dobrej babci. Nic bardziej mylnego.

– Przez pierdolony pech. – Śmiech Gearhart dobiegał z głębin jej solidnej tuszy. – A może miałam szczęście. Kto wie? Zdawałam na medycynę, nie dostałam się. Profesor, z którym sypiałam, polecił mi studia podyplomowe z biologii morskiej. Wydawało się to lepsze niż wyjść za mąż i niańczyć dzieci.

– Dlaczego rekiny? – Ryan nie stracił rezonu.

– Jeden fajansiarz ubiegł mnie w walce o członkostwo w towarzystwie lubiącym delfiny.

Miałam właśnie zadać pytanie, gdy pojawiła się Perry. Dziś kolce jej włosów były szmaragdowe, a powieki seledynowe.

Kolejne powitania i prezentacje. Obserwowałam oblicze Ryana. Dyskretnie. Twarz Perry. Żadne z nich nie dało po sobie poznać, że się znają.

Perry oświadczyła, że kazała już dostarczyć szczątki z chłodni.

Poszliśmy gęsiego do tej samej sali sekcyjnej, którą odwiedziłam we wtorek.

Na stalowym wózku leżał czarny plastikowy worek. Mały.

Perry, Gearhart i ja założyłyśmy rękawice. Ryan się przyglądał.

Perry otworzyła worek i wyciągnęła kawałek kości oraz tkanki miękkiej wprost na wózek.

Zapach soli i rozkładającego się ciała wypełnił salę.

Podniosłam ową rozmiękłą masę i przyjrzałam się jej.

Rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że trzymam fragment ludzkiej łydki. Widać było kawałek kości strzałkowej, wysmukłej zewnętrznej kości podudzia. Piszczel, czyli goleń, był w lepszym stanie. Dawało się rozpoznać kostkę mimo masy splątanych ścięgien i gnijących mięśni.

Obie kości nosiły ślady płytkich nacięć, głębsze bruzdy i długie rysy. Obie miały do czynienia z ostrymi narzędziami.

Podniosłam wzrok. Sześcioro oczekujących oczu.

– To fragment ludzkiego podudzia. Stopień rozkładu ten sam co szczątków, które badałyśmy we wtorek.

– Więc robota rekina, tak? – zapytała Perry.

Podchodząc do wózka, Gearhart dała mi niezbyt delikatnego kuksańca w bok. Odsunęłam się.

– No tak. To był rekin.

– Może pani stwierdzić jaki? – spytała Perry.

– Jest tu jakieś szkło powiększające?

Perry wręczyła jej ręczną lupę.

Wszyscy skupiliśmy się wokół Gearhart. Jej niski wzrost pracował na naszą korzyść.

– Spójrzcie tutaj, na wnętrze tego rowka. – Gearhart ustawiła szkło. – Widzicie wyraźne i regularnie przebiegające prążki? To znaczy, że zęby miały wypustki, jak ząbkowany nóż. Moim zdaniem mówimy tu o *Galeocerdo cuvier* albo *Carcharodon carcharias*.

Powszechny brak reakcji jednoznacznie sugerował pytanie.

– Tygrysi albo biały – powiedziała Gearhart.

W mojej głowie natychmiast zabrzmiało kilka taktów ścieżki dźwiękowej ze *Szczęk*. Nie mogłam temu zaradzić.

– Żarłacze białe są w hawajskich wodach dość rzadkie, więc postawiłabym pieniądze na tygrysię. W oparciu o odległości pomiędzy prążkami powiedziałabym, że to maleństwo miało od czterech do pięciu metrów.

– Jezu.

Ryan.

– Do diabła, to jeszcze nic. Raz osobiście spotkałam okaz długości ponad siedmiu metrów, widziałam go z bliska. Ta mamuśka musiała ważyć z dziewięćset kilo.

Szybkie obliczenia. Tysiąc dziewięćset funtów. Miałam nadzieję, że Gearhart przesadza.

– Czy żarłacze tygrysie faktycznie zasługują na taki paskudny hollywoodzki wizerunek? – spytał Ryan.

– Ooooch tak. Tygrysie ustępują tylko żarłaczom białym, jeśli chodzi o ilość udokumentowanych ataków na ludzi. I nie są, że tak powiem, skłonne do dyskryminacji swoich ofiar. Te łajdaki jedzą wszystko, ludzi, ptaki, żółwie morskie, armaturę sanitarną. Na ogół żarłacze tygrysie są ospałe, ale jeśli coś zaciekawia ich kubki smakowe, potrafią się ruszać naprawdę niezłe. Jeśli się takiego zobaczy w wodzie, lepiej zabierać dupę w troki.

– A kiedy można je zobaczyć? – spytałam.

– Żerują przeważnie nocą.

No tak. Jedna z pierwszych scen filmu *Szczęki*.

– Żarłacze mają często do czynienia z ludźmi, ponieważ lubią wpływać na płytkie wody raf, lagun, portów i tak dalej. Żeby się najeść.

Najczęściej po zmroku.

Perry przerwała tę lekcję przyrody.

– Może pani stwierdzić, czy ofiara żyła, gdy rekin ją pożerał?

Gearhart przesuwiała szkłem powiększającym ponad szczątkami.

– Nieregularne ślady zębów sugerują, że noga stała się obiektem żerowania. Żarłacze tygrysie najpierw wbijają się w ciało, a następnie nim potrząsają, przez co ich podobne do piły zęby rwą mięso na kawałki. Mięśnie szczęki są zdumiewające. Tak silne, że mogą przecinać kości oraz pancerze żółwi.

Miałam głęboką nadzieję, że Katy jednak wybrała się do centrum handlowego z Lily.

– Więc nie może pani stwierdzić, czy tego chłopaka rekin zabił, czy po prostu pożywił się jego ciałem? – naciskała Perry.

– Nie.

Gdy Perry i Gearhart rozmawiały, ja przyglądałam się nodze.

– A potrafi pani stwierdzić, czy został zabity w zatoczce Halona, czy może gdzieś indziej, a potem tam wymiotowany?

– Nie.

Obróciłam ów żaloszny kawałek ciała na drugą stronę.

– Proszę posłuchać, pani doktor. – Głos Perry brzmiał ostro. – Muszę rozstrzygnąć, czy w grę wchodzi zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego. Czy powinnam zamknąć tę plażę?

– Moim zdaniem nie. Nie na podstawie jednego odosobnionego przypadku.

Używając jednego palca, odsunęłam mięsień zasłaniający kość piszczelową.

Moje serce biło w tym samym rytmie, który rozbrzmiewał w mojej głowie.

– To znaczy? – spytała Perry.

– Jeśli będzie pani miała więcej niż jednego zabitego, wtedy możemy mówić o samotniku.

– Samotniku?

– Oportuniście. Rekinie, który wyrobił w sobie upodobanie do ludzkiego mięsa.

Uniosłam głowę i napotkałam spojrzenie Ryana. Zmarszczył brwi, ujrawszy mój wyraz twarzy.

– Złe wieści – stwierdziłam.

19

– To nie jest ten sam chłopak.

– Co pani ma na myśli? – Perry zrobiła krok w kierunku wózka.

– Proszę spojrzeć. – Wskazałam na trójkątny występ w dolnej części kości piszczelowej.

– To kostka przyśrodkowa, którą czujemy we wnętrzu kostki u nogi. Łączy się za pomocą stawów z kością skokową, co zapewnia nam stabilność.

– A zatem?

Ustawiłam kończynę w odpowiednim położeniu.

– Oto właściwa pozycja anatomiczna.

Perry przyglądała się krótkiemu fragmentowi łydki. Po czym powiedziała:

– Jasna cholera.

– Co takiego? – Ryan i Gearhart zadali to pytanie równocześnie.

– To jest część lewej nogi – stwierdziłam. – We wtorek też znaleziono fragmenty lewej nogi, w tym kawałek kostki przyśrodkowej.

– Pieprzone zduplikowanie. – Perry potrząsała niedowierzająco głową.

Gearhart zrozumiała.

– Człowiek nie ma dwóch lewych stóp. Ta musiała należeć do innej osoby.

Czekałam, aż Ryan zrobi niewybredny żart z motywem tancerki. Litościwie zaniechał tego.

– Dwie ofiary ataku rekina w tej samej zatoce. – Głos Perry przeszedł w wyższe tony niż zazwyczaj.

– To może zmieniać sytuację.

– Tak pani sądzi? – Perry natarła na Gearhart. – No więc? Mam zamknąć tę plażę?

– To pani decyzja, pani doktor.

– Czy ta pierdolona ryba znów zaatakuje?

Gearhart uniosła brwi i obie ręce.

– Mogę co najwyżej zgadywać.

Gearhart przeniosła ciężar ciała na jedno biodro. Zagryzła wargę. Westchnęła.

– Ale jeśli ten rekin poluje, a nie tylko się pożywia tym, co znajdzie, to cholerny skurczybyk może znów zaatakować.

Perry wzięła się pod boki. Uznała jednak ów manewr za niezadowolający. Opuściła obie dłonie. Zwróciła się teraz do mnie.

– Co może mi pani powiedzieć o drugiej ofierze? – Podbródkiem wskazała wózek.

– Ten człowiek jest mniejszy niż tamten pierwszy. Poza tym kompletnie nic. Nie ma nad czym pracować.

Perry przeszła przez salę do telefonu na ścianie i wybrała numer.

Mijały sekundy.

– Mam nadzieję, że nie przerywam pokerka – odezwała się ostro.

Słyszałam przytłumiony szum odpowiedzi. Perry przerwała ją.

– Proszę dostarczyć mi kości z zatoczki Halona. Cito.

Słuchawka uderzyła o widelki z głośnym trzaskiem.

Niecałą minutę później łysy młody człowiek wtoczył przez drzwi kolejny wózek.

– Coś jeszcze, doktor Perry? – Łysawy unikał kontaktu wzrokowego ze swoją szefową.

– Pozostań w pobliżu.

Łysawy czmychnął.

Na wózku znajdowało się co następuje: fragmenty bliższego i dalszego końca lewej kości udowej, odłamek bliższego końca lewej kości strzałkowej, dwa fragmenty lewej kości piszczelowej, jeden z bliższego końca, drugi z dalszego, w tym poszarpana kostka przyśrodkowa; odłamek lewej kości miednicy od kości łonowej aż do pęcherza; kość skokowa, kość łódkowa oraz trzecia i druga kość klinowata z lewej stopy.

Dolną półkę wózka zajmowały dwie wielkie brązowe koperty.

– Proszę jeszcze raz sprawdzić – rozkazała Perry. – Musi być pani pewna, że obie są lewe.

Sprawdziłam.

Były.

Mimo krzykliwe kolorowych włosów i takiegoż makijażu oblicze patolog sądowej wyglądało nieszczęśliwie.

Mogłam sobie wyobrazić walkę, jaka toczyła się w głowie Perry. Recesja uderzyła w gospodarkę Hawajów. Przylatywało coraz mniej samolotów, turystyka siadła. Jeśli zamknie się plażę z powodu ataków rekinów, rezerwacje hotelowe znikną jak poranna mgiełka. Z drugiej strony, gdy znów ktoś zginie, mieszkańcy kontynentu wybiorą się raczej do parku Shenandoah czy do Disneylandu. Konsekwencje byłyby gorsze niż w przypadku zamknięcia plaży.

Postąpisz słusznie – stracisz dolary. Postąpisz niesłusznie – narazisz ludzkie życie i dolary też stracisz.

A Perry musiała działać szybko.

Moje podejrzenie? Że kwiecista patolog sądowa z Honolulu jeszcze raz wkurzy paru ludzi.

Obracałam ów nowy kawałek nogi dookoła jej osi, gdy zauważyłam na niej pewną nieregularność, mniej więcej pięć centymetrów ponad zniszczoną kostką przyśrodkową. Usunęłam z niej tkankę miękką i stwierdziłam, że znajduje się tam otwór z wybrzuszoną krawędzią zewnętrzną, o kształcie zbyt idealnie okrągłym, żeby był naturalny.

– Może to coś nam da – powiedziałam.

Perry porwała szkło powiększające i przystawiła je do miejsca, które wskazywałam.

– Niech mnie cholera. Myśli pani, że to śruba chirurgiczna?

Skinęłam potakująco głową.

– Umiejscowienie ma sens. Szkoda, że nie mamy kości piętowej.

– Tak – zgodziłam się.

– Czy ktoś zechce oświecić nas, tumanów medycznych? – spytał Ryan.

Trzymałam palec wciąż w tym samym miejscu, gdy Perry wręczyła mu szkło powiększające.

– Ta mała dziurka? – zapytał.

– Ta mała dziurka.

Ryan przekazał szkło Gearhart.

– Ktoś wie, co to jest wyciąg szpitalny? – spytałam.

Gearhart przytaknęła.

Ryan wzruszył ramionami. Raczej nie.

– W ortopedii wyciągów używa się w leczeniu złamań kości oraz do korygowania nieprawidłowości ortopedycznych – wyjaśniłam Ryanowi. – Wyciąg nastawia złamaną kość, utrzymując kończynę w pozycji wyprostowanej. Zmniejsza też nacisk na końcówki kości, pozwalając na odprężenie mięśni.

Ryan strzelił palcami.

– Stara sztuczka z nogą w powietrzu. Pamiętacie tę scenę z *Paragrafu 22*? Facet leży na wyciągu, cały zagipsowany, nie porusza się i nie mówi...

Patrząc na niego, ostrzegawczo zmrużyłam oczy.

Oblicze Ryana przybrało wyraz totalnej niewinności. O co chodzi?

– Mój bratanek był na takim wyciągu, kiedy złamał sobie nogę. – Gearhart znów wpatrywała się w szkło powiększające. – Wwiercili mu śrubę bezpośrednio w kość udową.

– Kiedy już część metalowa zostanie założona w odpowiednim miejscu, doczepia się ciężarki i linki, które mają zapewnić stosowne obciążenie. W wyciągach ortopedycznych obciążenie może wynieść od jedenastu do osiemnastu kilogramów.

– Jak długo śruba pozostaje w ciele? – pytanie Ryana było całkiem na miejscu.

– Przez parę tygodni, czasem miesięcy. Tę usunięto lata temu.

Gearhart szturchnęła swoje okulary, które zsunęły się na sam koniec jej nosa. – Jaka jest pani opinia, pani doktor?

– Podejrzewam złamanie kości piszczelowej z przemieszczeniem. Dalszy koniec kości piszczelowej został zespolony z kością piętową.

– Której nam brakuje – dodała Perry.

– Jak doszło do złamania? – zapytała Gearhart.

– Na nartach? Podczas jazdy na rowerze? W wypadku samochodowym? Bez pozostałych fragmentów nogi nie sposób tego stwierdzić.

– A może katastrofa promu kosmicznego. – Perry zaczęła spacerować.

– Proszę posłuchać – powiedziałam. – Mimo wszystko jesteśmy w posiadaniu potencjalnie wartościowych informacji. Ofiara przeszła terapię medyczną, prawdopodobnie przebywała w jakimś szpitalu. Policja albo któryś z pani śledczych mogą sprawdzić karty szpitalne pod kątem implantów chirurgicznych w złamaniach dalszego końca kości piszczelowej.

Perry zatrzymała się.

– W jakich ramach czasowych?

– To, co widzimy, to już zaledwie blizna, wynik przemiany kostnej wskutek zastosowania śruby chirurgicznej. Uraz nie jest świeży. Zaczęłabym od okresu co najmniej pięć lat wstecz i szukała dalej w przeszłości. Najszybciej będzie, licząc na odrobinę szczęścia, przekazać listę z nazwiskami osób zaginionych do miejscowych szpitali z pytaniem, czy coś odpowiada opisowi, albo też skontaktować się z członkami rodzin tych ludzi z prośbą o informacje o złamaniach nóg.

Perry w napięciu skinęła głową.

– Ma pani jakieś nowe tropy w sprawie pierwszej ofiary? – spytałam.

– Nie, ale mamy nowych zaginionych. W styczniu pewien student został zmyty z pokładu jednego z tych wielkich morskich żaglowców. Sprawdzamy tę sprawę. Latem z hotelu w Waikiki Beach zniknął handlowiec sprzedający mydła. W pokoju zostawił wszystkie rzeczy osobiste. Możliwe samobójstwo, utonięcie, ucieczka od rodziny.

– Ile miał lat?

– Trzydzieści dwa.

Potrząsnęłam głową. – Mało prawdopodobne.

Perry z frustracją zamachała rękami.

– Trudno, żeby gliniarze nieustannie zajmowali się tysiącami turystów, którzy co roku przylatują na wyspy. Aspekt medyczny sprawy może wpłynąć na nich stymulująco. Albo powinnam się po prostu pomodlić do jakiegoś łaskawego boga, żeby oszczędził nam trudu z szukaniem pasującego DNA.

Schwyciwszy skalpel leżący na tacy, Perry przekręciła nogę tak, że mięso okrywające kostkę stało się wyraźnie widoczne. Wszyscy obserwowaliśmy, jak ostrze wbija się w mięsień.

Nagle zatrzymała się.

Perry odłożyła narzędzie i wyciągnęła przed siebie rękę.

– Dajcie mi soczewkę.

Gearhart podała jej szkło powiększające. Perry złapała je.

Kilka sekund obserwacji. Perry podeszła do zlewu i namoczyła gąbkę. Wróciwszy do wózka, delikatnie obmyła tkanki, ścierając wszelkie pozostałe złuszczenia naskórka.

– Chyba mamy tu tatuażyk.

Gearhart i ja wymieniliśmy spojrzenia.

Tatuaż, powiedziałam bezdźwięcznie.

Usta Gearhart uformowały literę O.

Jeszcze trochę czyszczenia i Perry zaprosiła nas do siebie, z ramionami odrzuconymi do tyłu.

Podeszliśmy jednocześnie niczym uczniowie gromadzący się wokół nauczyciela przeprowadzającego eksperyment.

Perry pokazywała przez szkło powiększające ledwie widoczne odbarwienie znajdujące się na kawałku ciała, który usunęłam z kości przyśrodkowej. Zauważyłam tę maleńką plamkę już wcześniej, ale – zaskoczona odkryciem, że mamy do czynienia z drugą ofiarą – zignorowałam ją.

– Niech mnie diabli – powiedział Ryan.

Perry pstryknęła zdjęcia tatuażu, po czym robiąc nacięcia skalpelem, dokonała ekstrakcji. Obiema dłońmi rozciągnęła i spłaszczyła ów strzęp skóry na metalowym stole.

– Zgaście światło.

Ryan pstryknął przełącznik na ścianie.

W sali zapanowała ciemność.

Słyszałam otwieraną i zamykaną szufladę. Kliknięcie.

W strzęp skóry uderzył niebieski promień.

W świetle ultrafioletowym tatuaż stał się wyraźniejszy. Mogłam rozróżnić czarne i czerwone zawijasy wewnątrz jakiegoś sierpowatego kształtu. Z obu końców sierpa wychodził filigranowy pasek.

– To tradycyjny symbol rekiniego zęba. – Głos Gearhart dobiegał z mojej lewej strony.

– Jest pani pewna? – spytała Perry. – Niewiele tu widać.

– Absolutnie. Zbieram różne obrazki dotyczące rekinów. Malarstwo. Druki. Tatuaze. Widziałam ich całe dziesiątki.

Perry odchrząknęła głęboko w gardle.

– To chyba musi być fragment *tapuvae* – powiedziała Gearhart. – Tatuazu na kostce u nogi. Jedyne niezwykle elementy to te trzy dziwactwa.

Gearhart wskazała na dwie odwrócone litery C oraz znajdujący się między nimi kształt U, wystający z filigranowego paska.

Minęła pełna minuta, znów włączono światło.

Nie pytając, czy chce jeszcze popatrzeć, Perry zdjęła ze stołu kawałek skóry i wrzuciła go do słoja z formaliną. Unosząca się w przezroczystej cieczy tkanka miała upiornie blady odcień.

– No i proszę bardzo, sportowcy. – Perry zapisywała markerem numer sprawy na pokrywie słoja. – Wygląda na to, że Pan Rekin zjadł tatuazyk razem z kulawą lewą nogą.

Zimno, pomyślałam.

– Policja może sprawdzać w szpitalach i w salonach tatuazu, a ja rozpytam rodziny zaginionych.

– Może warto spróbować powiększyć to na komputerze – powiedziałam. – Żeby uwidocznić jak najwięcej szczegółów tego wzoru.

– Lub też porobić zdjęcia w wysokiej rozdzielczości albo w podczerwieni – dodał Ryan.

– Tak zrobimy. – Perry zdjęła rękawice. – No cóż. Niezła robota o poranku. Biorąc pod uwagę, że ofiara jest rozmiarów pieczeni wieprzowej.

Nadepnąwszy na dźwignię podnoszącą wieko kosza na odpady biologiczne, Perry wrzuciła doń rękawice.

– *Mahalo*, doktor Gearhart. Prześlę pani zdjęcia, a pani da mi na piśmie swoją opinię, dobrze?

– Nie ma problemu.

Perry zwróciła się do mnie.

– Zajmie się pani przez chwilę tym pierwszym chłopakiem?

– Tak, ja...

Do Ryana.

– Chodź ze mną, mistrzu. Postawię ci drożdżówkę i będę się zastanawiać, czy zamknąć tę plażę.

Gdy całe trio ustawiło się w szeregu do wyjścia, zobaczyłam skierowane w swoją stronę niebieskie spojrzenie. Słowa wystrzeliły spod mego języka, zanim zdołałam je powstrzymać.

– Pomyśl o ataku rekina. Mistrzu.

Moja irytacja zaskoczyła mnie samą. Czy naprawdę czułam się zagrożona przez Hadley Perry?

Rozbawiło to Ryana. Uśmiech, który rozbłysnął w jego oczach, tylko podsycił moje rozżalenie.

Ponowne zbadanie oczyszczonych kości nie przyniosło niczego nowego.

Pół godziny później Ryan i ja wyszliśmy z budynku. Nie starałam się przyglądać ani jemu, ani Perry w poszukiwaniu ukrytych uczuć.

Jechaliśmy po Iwilei Road, gdy zabrzączał mój BlackBerry.

Danny.

– Wpadniesz dzisiaj?

– Właśnie wyjeżdżam z biura patologa sądowego.

– Czy Perry była jak zwykle przepyszna?

Czując, że odpowiedź jest zbędna, darowałam ją sobie.

– Mam informacje o 1968-979.

– Dobrze czy złe wieści?

– Tak.

Wiedziałam, że Ryan słucha.

– Katy wzięła mój samochód. Detektyw Ryan był uprzejmy zaproponować, że mnie podwiezie.

Ustaliłam wcześniej z Dannym, że Ryan może nocować w domu na Lanikai. Znając dzieje naszej relacji, zacytował kilka wersów z piosenki *Let's Get It On*. Marvin Gaye^[2] to on nie jest.

– Dziewczyny przestały już drzeć koty? – spytał Danny.

Wcześniej opowiadałam mu także o tarciach między Lily i Katy. W tej chwili jednak nie chciałam o tym rozmawiać.

– Czy Ryan będzie mieć problem z przejechaniem przez bramę? – zapytałam.

– A czy *monsieur le détective* ma plany na dzisiaj?

– Czemu?

– Poręczę za niego. Może tu trochę posiedzieć, jeśli chce. Możemy wymienić się pomysłami, zrobić burzę mózgów. Świeże spojrzenie, wiesz.

– Zaczekaj.

Przyciskając telefon do piersi, spytałam Ryana, czy byłby zainteresowany wizytą w CIL. Ku memu zaskoczeniu z entuzjazmem pokazał dwa kciuki skierowane w górę.

I dobrze.

Burza mózgów okazała się bardzo pożyteczna.

^[7] Tytuł utworu Marvin'a Gaye'a można rozumieć jako wezwanie: „Idźcie do łóżka”.

W nocy Danny wpadł na pewien pomysł. Cały ranek spędził w kanciapie J-2.

– Poszukiwanie metodą zataczania okręgów. – Danny uśmiechnął się i odchylił do tyłu, zaplatając palce na piersi.

Ryan i ja wpatrywaliśmy się w niego, nie rozumiejąc.

– Cywile. – Danny kiwał głową, udając, że czuje niesmak.

– Też jesteś cywilem – wypomniałam.

– OK. – Uniósł dłonie. – Powoli, spokojnie. Po pierwsze, zdobyłem mapę topograficzną i ustaliłem siatkę koordynatów katastrofy śmigłowca z Lowerym na pokładzie. Jak dotąd wszystko jasne?

Skinęliśmy z Ryanem głowami.

– Potem kazałem analitykowi z J-2 ustalić, ilu żołnierzy zostało uznanych za zaginionych w akcji w promieniu piętnastu kilometrów od tych koordynatów – w powietrzu, na ziemi, na wodzie, wszędzie. Następnie kazałem mu zawęzić poszukiwania do zdarzeń między dwudziestym trzecim stycznia sześćdziesiątego siódmego roku a siedemnastym sierpnia sześćdziesiątego ósmego.

– Czyli od roku przed katastrofą śmigłowca aż do okresu, gdy znaleziono 1968-979 – wyjaśniłam Ryanowi.

– Bingo. – Danny sięgnął ręką do segregatorów leżących w stercie na sofie. – Oto osoby, które zaklasyfikowano jako KIA/BNR w tym okresie.

Ryan spojrzeniem poprosił o przetłumaczenie.

– Zabici w akcji, ciała nie odnaleziono. Ilu? – spytałam.

– Osiemnastu – odparł Danny. – Właśnie podpisałem listę wypożyczeń akt.

– Przez telefon mówiłeś, że masz nowe informacje w sprawie 1968-979.

– Gdy szczątki w stanie rozkładu, obecnie oznaczone numerem 1968-979, pojechały w sześćdziesiątym ósmym do Tan Son Nhut, personel kostnicy znalazł w worku z ciałem nieśmiertelnik Johna Lowery'ego. Ale Lowery'ego zidentyfikowano już wiele miesięcy wcześniej i odesłano do kraju.

– Spalone zwłoki, które pogrzebano w Karolinie Północnej – powiedział Ryan.

– Tak – potwierdziłam. – A teraz ekshumowane i objęte dochodzeniem jako sprawa numer 2010-37.

– Ponieważ owe rozłożone szczątki, czyli 1968-979, nie mogły być – według tamtejszego personelu wojskowego – Lowerym, a w tym sektorze żaden inny żołnierz z kategorią MIA, zaginiony w akcji, nie odpowiadał charakterystyce zwłok, pozostały one w Tan Son Nhut jako NN aż do siedemdziesiątego trzeciego roku. Potem wysłano je do CIL-THAI. W siedemdziesiątym szóstym zostały przetransportowane na Hawaje. Od tego czasu leżą u nas na półce.

Na wargach Danny’ego pojawił się uśmiech.

– No co? – ponagliłam go.

– Z wyjątkiem jednego krótkiego urlopu naukowego. Jeszcze w Tan Son Nhut pobrano próbki włosów i tkanek miękkich i zamknięto je w szczelnych słojach. W roku dwa tysiące pierwszym, z powodu podobieństw do sprawy, którą prowadzono w tamtym okresie, próbki te wykorzystano do wykonania testów DNA.

– Jądrowego czy mitochondrialnego? – spytałam, mając na myśli dwa typy standardowych badań ludzkiego genomu.

– Starego, dobrego jądrowego DNA. – Danny jeszcze bardziej wyszczerzył zęby. – Profil numeru 1968-979 znajduje się w aktach. Potrzebujemy tylko kogoś z rodziny do porównania.

Spojrzałam na segregatory. Cztery dziesięciolecia. Czy gdzieś tam wciąż żyje jakaś rodzina, czeka i ma nadzieję? Czy może wszyscy już dawno się poddali i żyją własnym życiem?

– Bierzemy się do roboty – powiedziałam.

Po krótkim instruktażu Ryan szybko nabrał biegłości w odczytywaniu akt. Dwie godziny po lunchu znalazł nam idealnego kandydata.

Alexander Emanuel Lapasa. Xander dla rodziny i przyjaciół.

Segregator Lapasy był najcieńszy ze wszystkich.

Dlaczego? Xander Lapasa nigdy nie odsłużył ani dnia w wojsku. Wszystko się jednak zgadzało.

Alexander Emanuel Lapasa był dwudziestodwujętnym białym mężczyzną, mierzącym metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, o wadze dziewięćdziesięciu kilogramów. Matka Lapasy zgłosiła jego zaginięcie w marcu sześćdziesiątego ósmego, dwa miesiące po tym, jak cotygodniowe listy od niego przestały przychodzić z Wietnamu.

Ryan podał Danny’emu fotografię. Ten przekazał ją mnie.

Zdjęcie przedstawiało wysokiego młodego mężczyznę od pasa w górę. Ciemne kręcone włosy miał zatknięte za odstające uszy. Szeroki na kilometr uśmiech odsłaniał proste białe zęby.

Lapasa ubrany był w koszulę w paski z odpiętymi górnymi guzikami, na ramieniu miał mały plecak. Obie dłonie trzymał na biodrach, łokcie skierowane były w bok.

– Wygląda, jakby miał u swoich stóp cały świat – powiedział Ryan.

– Albo uważał, że wkrótce będzie mieć – rzekł Danny.

Zwróciłam zdjęcie. Danny studiował je przez chwilę.

– Podobny do Josepha Perrina – oświadczył.

– Do kogo? – spytaliśmy z Ryanem jednocześnie.

– Tego aktora. Czasem występował w *Rodzinie Soprano*. Nieważne.

– Nie wiedziałem, że w latach sześćdziesiątych wysyłano do Nam cywilów – powiedział Ryan.

– Ależ oczywiście – odparł Danny. – Pracowników cywilnych zatrudnionych w systemie zmiennym w różnych jednostkach wojskowych, personel pomocniczy, wolontariuszy, misjonarzy, dziennikarzy. Sprawdź listy. Całkiem sporo osób z personelu niewojskowego.

– Czy wiadomo, z jakiego powodu Lapasa znalazł się w Nam? – spytałam.

Ryan przerzucił kilka stron i przeczytał.

– Według matki, Theresy-Sophii Lapasy, Xander, cytuję, zajmował się interesami, koniec cytatu. Brzmi koszernie?

– Och tak – rzekł Danny. – Wtedy w Wietnamie działało wielu oportunistów szukających łatwego zarobku. Wiedzieli, że walki kiedyś się skończą, dlatego niektórzy idący na całość handlarze starali się wypracować sobie pozycję na czas powojennego bumy. Kilku prowadziło bary i restauracje w Sajgonie.

– Skąd Lapasa pochodził? – Sama nie wiem, czemu zadałam to pytanie. Miejsce zamieszkania nie miało przecież większego znaczenia. Był to zapewne mój sposób podchodzenia do spraw.

Ryan kartkował strony. Czytał. Kartkował kolejne. Aż nagle:

– *Ke aloha nô!*

Danny wyszczerzył zęby w uśmiechu. Powstrzymałam chęć przewrócenia oczami.

– Lapasa był tutejszy. – Ryan znów mówił po angielsku. – Honolulu, Hawaje.

– Masz adres? – zapytałam.

Ryan odczytał na głos numer domu przy Kahala Avenue.

– Dzyń, dzyń! – udałam odgłos kasy fiskalnej. Czy coś takiego.

Ryan spojrzał na mnie.

– Na Kahala znajdują się jedne z najdroższych nieruchomości w Honolulu.

Uśmiech Danny’ego zgasł i powoli zniknął. Popatrzył w dół, potem w lewo, jakby szukając czegoś w głębinach pamięci. W milczeniu zrobił jakąś notatkę.

– Mamy dane medyczne sprzed śmierci? – spytałam.

– Służę uniżenie. – Ryan wręczył mi segregator.

Obaj mężczyźni przyglądali mi się, jak kartkuję dokumenty.

Liczne pisma matki Lapasy adresowane do armii. Parę kolejnych zdjęć. Zeznania świadków, którzy widzieli albo przebywali z Lapasą przed jego zniknięciem. Ostatnie nosiło datę drugiego stycznia sześćdziesiątego ósmego. W dniu Nowego Roku w sajgońskim hotelu Rex Lapasa rozmawiał przez telefon z niejakim Josephem Prudhomme, członkiem inicjatywy zwanej programem CORDS^[8].

Według Prudhomme’a Lapasa planował podróż do Bien Hoa i do Long Binh jeszcze w styczniu. Zapewne dlatego właśnie znalazł się w kręgu poszukiwań zakreślonym przez Danny’ego.

Na samym końcu segregatora umieszczono kartonową teczkę. Przejrzałam jej zawartość. Wykresy. Relacje. Mała brązowa koperta. Zaglądnęłam do środka i zobaczyłam niewielkie czarne kwadraty, które miałam nadzieję ujrzeć.

– Tu są dane stomatologiczne, włącznie ze zdjęciami rentgenowskimi. – Odczytałam końcową stronę akt. – Ostatnia wizyta Lapasy u dentysty miała miejsce dwunastego kwietnia sześćdziesiątego piątego roku.

Cofnęłam się. Przebiegłam wzrokiem po dokumentach.

– Theresa-Sophia Lapasa stwierdza w liście datowanym na szesnastego listopada siedemdziesiątego drugiego roku, że może dostarczyć materiał do badań medycznych. – Uniosłam głowę. – Dlaczego więc tego nie zrobiła?

– Bo wtedy wszystko okazałoby się zbyt prawdziwe – powiedział Danny.

Uniosłam brwi w niemym pytaniu.

– To forma wyparcia. Czasem rodzina nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy, że ktoś z ich ukochanych naprawdę nie żyje.

Przeczytałam kilka spośród listów, które Theresa-Sophia napisała przez te wszystkie lata.

– W końcu kobiecina chyba pogodziła się z rzeczywistością. W roku dwutysięcznym pani Lapasa wyraziła pragnienie przekazania próbki swojego DNA.

– Naprawdę?

Poszukałam. Nigdzie nie było raportu z laboratorium. Potrząsnęłam głową.

Wszyscy zamilkliśmy, oddając się tym samym smutnym rozmyśleniom. Czy Theresa-Sophia Lapasa umarła, nie dowiedziawszy się, co się stało z jej synem?

Ryan odezwał się pierwszy.

– Lapasa nie był żołnierzem. Więc jakim cudem znalazł się w tym śmigłowcu?

– Cywile łapali się na stopa bez przerwy – rzekł Danny.

– A twój CIL-1968... coś tam? – Ryan zakreślił w powietrzu okrąg.

– 1968-979.

Ryan przytaknął.

– 1968-979 został znaleziony ćwierć mili od miejsca katastrofy siedem miesięcy później w stanie rozkładu zbyt posuniętym, by można go było zidentyfikować wzrokowo albo daktyloskopijnie, z nieśmiertelnikiem, ale bez szarży wojskowej?

– Ludzie z kostnicy w Tan Son Nhut uznali, że zwłoki zostały obrabowane.

– Tak jak numer 2010-37 – powiedziałam.

Danny skinął potakująco głową.

– Najwyraźniej to się często zdarzało w tych okolicach.

– Dlaczego zostawili nieśmiertelnik? – zapytał Ryan. – Można by sądzić, że dla rabusiów to bardzo cenna rzecz, priorytet.

Dobre pytanie, pomyślałam.

– Kto to wie? – rzekł Danny.

– Czegoś tu nie rozumiem – powiedział Ryan. – Pająk Lowery był żołnierzem armii lądowej. A przecież Tan Son Nhut to chyba baza lotnicza?

Danny skrzyżował ramiona.

– Długa czy krótka wersja?

– Krótka.

– Po pierwsze, personel wojsk lądowych bez przerwy przemieszczał się pomiędzy różnymi instalacjami sił powietrznych. Tą drogą się przecież tam dostali. Ale oprócz tego w początkowej fazie amerykańskiego zaangażowania w Wietnamie ilość ofiar śmiertelnych była niska, dlatego zabezpieczeniem kostnic zajmowały się siły powietrzne. W bazie lotniczej Clark na Filipinach pracował cywil powołany do tymczasowej służby wojskowej, który odpowiadał za pracę kostnicy i pogrzeby; w Wietnamie zaś przeprowadzano tylko wstępne przygotowanie zwłok. W owym czasie kostnica w bazie lotniczej Tan Son Nhut składała się jedynie z dwóch pomieszczeń.

Nie ulegało wątpliwości, że Danny udzielał już wcześniej podobnych wyjaśnień.

– Do roku sześćdziesiątego trzeciego w kostnicy w TSN pracował cywilny patolog zatrudniony w wojskach lotniczych, a także podoficer armii zajmujący się rejestrowaniem grobów oraz kilku tubylców. Gdy liczba ofiar wzrosła, kostnicę powiększono, pojawił się balsamista zwłok oraz kilku dodatkowych urzędników od rejestracji miejsc pochówku. W sześćdziesiątym szóstym roku lotnictwo przekazało kontrolę operacyjną nad kostnicą armii, co zapoczątkowało zmiany. Podczas dotychczasowych konfliktów zbrojnych zakładano tymczasowe cmentarze, gdzie zabici spoczywali aż do zakończenia działań wojennych. Następnie szczątki ekshumowano i przekazywano rodzinie albo – na prośbę krewnych – przenoszono na stałe amerykańskie cmentarze wojskowe za granicą. Balsamowanie odbywało się na cmentarzu. Kiedy armia przejęła Nam, doszło do podobnego przekazania zadań. Zwłoki zbierano w punktach zbornych i przewożono do kostnicy w Tan Son Nhut albo w Da Nang, gdy ta została już zbudowana. Tam je identyfikowano, balsamowano i przewożono do kraju. Cały proces trwał kilka dni, a nie miesiące czy lat jak w przypadku starego systemu z tymczasowymi cmentarzami.

– To dość szybko.

– W większości wypadków ciało zabitego w akcji transportowano helikopterem z pola walki do najbliższego punktu zbornego w ciągu paru godzin. Po upływie niecałej doby zwłoki spoczywały już w jednej z dwóch wietnamskich kostnic.

– Przypuszczam, że w tamtejszym klimacie trzeba było działać szybko.

– Zgadza się. Upał i wilgotność powodowały, że skóra szybko ulegała martwicy, zwłoki obrzmiewały i robiły się dwukrotnie większe. Zwłaszcza w okresie monsunów. A robactwo i inne zwierzęta zabierały się za ciało, zanim jeszcze zdążyło upaść na ziemię. Dzięki Bogu w punktach

zbornych i w kostnicach działały chłodnie.

– Ale to nie pomogło numerowi 1968-979.

– Nie licząc wybrzeża, Wietnam jest niemal całkowicie pokryty dżunglą – powiedziałam.
– Poległych nie zawsze odnajdywano od razu.

– I weź pod uwagę, w jakim okresie to się wydarzyło – dodał Danny. – Ulepszona kostnica w TSN została oddana do użytku dopiero w sierpniu sześćdziesiątego ósmego, czyli w tym miesiącu, w którym znaleziono szczątki numer 1968-979.

– Zrobiłeś zdjęcia rentgenowskie zębów numeru 1968-979? – spytałam Danny’ego.

Uniósł małą brązową kopertę leżącą dotąd na jego notatniku.

– Popatrzemy? – Podnosiliśmy się z miejsc, gdy zadzwonił mój BlackBerry.

Odebrałam, a w tym momencie komórka Ryana zaświergotała piosenką z *Ulicy Sezamkowej*.

^[8] Program CORDS (Civil Operations and Revolutionary Development Support) stanowił projekt połączenia cywilnych badań społecznych nad obszarem Indochin oraz militarnej aplikacji tychże badań w działania wojska amerykańskiego podczas konfliktu w Wietnamie.

21

– Cześć, cukiereczku. – Szłam za Dannym w kierunku skrzynki podświetlacza ulokowanej na lewej ścianie laboratorium.

– Nie cukiereczkuj mi tutaj. Nie mogę uwierzyć, że dałam się na to nabrać.

W głosie Katy dźwięczało święte oburzenie.

– To miały być fajne wakacje. Surfing. Nurkowanie. Aloha. Pamiętasz? Alo-Ha! A ja tu robię za pieprzoną taksówkę!

W tle słyszałam odgłosy ruchu ulicznego. Ryk jakiegoś bluesa z radia.

– Gdzie jesteś?

– Jak to gdzie jestem? Jadę do domu. Sterczałam tu tak długo, że chyba powinnam dostać za to medal.

Spojrzałam na zegarek. Czwarta czterdzieści. Nie ulegało wątpliwości, że rendez-vous niezbyt się udało.

– Gdzie jest Lily?

– Nie mam pojęcia. Guzik mnie to obchodzi.

– Nie spotkałyście się?

Za plecami słyszałam, jak Ryan prowadzi w istocie taką samą rozmowę.

– Och, znalazłam ją. Ale wcześniej prażyłam się w samochodzie przez prawie godzinę.

Jak można prażyć się tak długo i jednocześnie mówić takim lodowatym tonem? Nie zadałam tego pytania na głos.

– Klimatyzacja wysiadła?

– Nie o to chodzi – powiedziała Katy.

Usłyszałam strzęp rozmowy prowadzonej przez Ryana.

– Katy, ścisz muzykę.

Poziom hałasu spadł o jeden mikrodecybel.

– Zostawiłaś Lily w centrum handlowym?

– Masz pojęcie, ile czasu czekałam? Dotarłam punktualnie, a nawet trochę wcześniej. Lily nie ma. Krążę, myśląc, że może coś źle zrozumiałam z jej instrukcji. Lily nie ma. Czekam jeszcze trochę. Godzinę po wyznaczonej porze spotkania ta mała suka przychodzi sobie spacerkiem. Śmieje się, ma wszystko gdzieś. I słuchaj. Jest z jakimś frajerskim kolesiem spędzającym czas tylko w galeriach, któremu wydaje się, że jest jak 50 Cent.

– Odjechałaś i zostawiłaś ją?

Moje spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Ryana. Słyszałam odgłos wściekłego oburzenia dobiegający z jego telefonu.

– Jeśli o mnie chodzi, to panna Miss Diva może sobie spędzić resztę życia, sprzedając swoją małą czarną dupcię.

– Katy!

– *Ex-cuuus-e-moi!* Lily to ćpuńkarska primadonna i wszyscy się nad nią użalają. Moim zdaniem zmierza do ostatecznej konfrontacji ze mną.

– Skończyłaś?

Cisza.

– Masz zrobić to, co teraz powiem.

Wciąż cisza.

– Słyszysz mnie?

– A mam jakiś wybór?

Nie reaguję zbyt pozytywnie na takie sceny. Według mnie tego rodzaju akty dramatyczne to strata czasu i energii. Dobitnie świadczył o tym mój ton, a Katy doskonale to rozumiała.

– Zawróć. Wracaj do Ala Moana. Już.

– Straszne korki. Będę jechała całą wieczność.

– Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

– Jesteś w mieście, prawda?

– Tak, jestem.

– Możesz po nią skoczyć.

– Owszem, mogę. – Znacząca pauza. – Wracaj. Odbierz Lily. Zawieź ją do Lanikai.

Ryan udzielał swoje córce równoległych instrukcji.

– Jej tam nie będzie...

– Będzie – odparłam ostro. – Ryan i ja wracamy do domu o wpół do szóstej. Po czym wszyscy utniemy sobie małą przyjemną pogawędkę.

Rozłączyłam się i spojrzałam na Ryana. Pokiwał tylko głową.

Danny ułożył już zdjęcia rentgenowskie numeru 1968-979 obok zdjęć wyjętych z kartoteki Xandra Lapasy.

Jedno spojrzenie wystarczyło.

W obu przypadkach w pierwszym górnym zębie trzonowym po lewej stronie lśnił biały punkcik. Mimo że na zdjęciu wykonanym po śmierci widać było pewne spłaszczenie, ów punkt, wciąż tkwiący w trzonowcu, był nieomal identyczny z górną połową zęba na błonie zdjęcia żywego pacjenta.

– Wygląda jak stan Illinois – powiedziałam.

– Z wyjątkiem kawałka terytorium na południe od Springfield. – Danny długopisem wskazał za zgryz. – I popatrzcie tutaj.

Popatrzyłam.

Przez prawą gałąź żuchwy biegła ciemna linia, w pobliżu poziomych i pionowych części szczęki.

Danny wystawił jedno biodro. Ja uderzyłam w nie swoim.

Jesteśmy stuknięci, wiem. Ale lubimy tak robić.

– Co jest? – spytał Ryan.

– Badając numer 1968-979, zauważyliśmy coś, co naszym zdaniem stanowiło ślady po dawnych złamaniach. Jedno w rejonie barku, drugie w szczęce. – Stuknęłam palcem w strzępiastą linię. – A to jest właśnie zagojone złamanie.

– Fajnie – rzekł Ryan. – A co z danymi stomatologicznymi?

– Pasują – powiedziałam. – Oczywiście będzie to musiał jeszcze zweryfikować dentysta, ale numer 1968-979 to bez wątplenia Alexander Lapasa.

Nieźle. Jeden trafiony.

Ale pozostawały jeszcze pytania bez odpowiedzi.

Czy Lapasa znajdował się w śmigłowcu, który rozbił się w pobliżu Long Binh? Jeśli tak, to dlaczego?

Czy na pokładzie tego helikoptera był również Pająk Lowery?

Dlaczego Lapasa miał na sobie nieśmiertelnik Lowery'ego?

Dlaczego ów nieśmiertelnik został włożony do pudła z kośćmi numeru 1968-979, a nie przekazany odpowiednim służbom?

Jeśli Lowery był w tym śmigłowcu, to jakim cudem zginął dopiero w Quebecu?

Jeżeli Lowery zmarł w Quebecu, na co wskazują odciski palców, to kim był numer 2010-37, człowiek, którego ekshumowałam w Karolinie Północnej? Luisem Alvarezem? A skoro tak, to kto tu nawalił?

Ryan i ja mieliśmy odmienne spojrzenie na niemal wszystko, co nie było związane z pracą. Mimo to byliśmy niczym atomy w przestrzeni wchodzące z sobą w interakcje, przyciągając się wzajemnie pozytywnymi i negatywnymi ładunkami, zderzając się z sobą. Aż do czasu pojawienia się Lutetii, oczywiście.

Czy pod zastygłą powierzchnią wciąż tlił się dawny ogień? Czy to on był powodem mojej zgryźliwości u patolog sądowej?

Może. Ale żadną miarą nie zamierzałam tego sprawdzać, gdy w pobliżu znajdowały się nasze córki.

Tego wieczoru byliśmy z Ryanem absolutnie zgodni. Katy i Lily stanowiły podwójny wrzód na tyłku.

Po drodze do Lanikai kupiliśmy sushi, artykuł o dziwo akceptowany przez obie wojujące strony domowego frontu.

Po długiej dyskusji oboje opowiedzieliśmy się za zmianą polityki. Ponieważ dobrowolne odosobnienie dziewczyn skończyło się katastrofalnie, zamierzaliśmy teraz wdrożyć obowiązkowe przebywanie w swoim towarzystwie.

Decyzja ta okazała się wielce niepopularna.

Kolacja minęła w lodowatej ciszy. Potem było oglądanie filmu *Hawaje*, przy czym każda z dziewczyn znajdowała się w możliwie najodleglejszym punkcie salonu względem drugiej. Coś jakby nieudane wesele. Pan młody po lewej, panna młoda po prawej.

Katy podobała się Julie Andrews. Lily stwierdziła, że Julie jest cienka, za to Max von Sydow cudowny. Katy uważała, że Max jest zniewieściały.

Ryan przysięgał, że widział w tym filmie Bette Midler spacerującą po pokładzie statku pasażerskiego.

Przyjęłam to sceptycznie. W sześćdziesiątym szóstym? Musiałaby być bardzo młoda.

Przed jedenastą wszyscy znajdowaliśmy się w naszych pokojach.

Może zjadłam za dużo tuńczyka w panierce. Albo sałatki z krabami i mango. Tej nocy miałam jeden z najdziwniejszych w życiu snów.

Gdy Katy miała dziesięć lat, pojechała na obóz jeździecki. Jej koń, mała kasztanka z białą gwiazdką na głowie i białymi skarpetami, nazywał się Cherry Star.

We śnie jechałam na Cherry Star na oklep po długiej białej plaży. Czułam mięśnie kłaczy pulsujące pode mną, gorące słońce prażące mnie w plecy.

Woda obok nas była czysta i spokojna, ciągnęła się aż po widnokrąg. Tuż pod jej powierzchnią unosiły się spętlone wodorosty barwy ciemnej zieleni.

Kopyta galopującej Cherry Star rozpryskiwały wodę na wszystkie strony. Wielkie krople padały mi na twarz niczym płatki śniegu w zimie.

Na horyzoncie ukazała się mała czarna plamka. Rosła. Nabierała kształtu. Katy, na koniu. Na Cherry Star.

Pomachałam. Katy nie odmachwała.

Ale przecież to ja jechałam na Cherry Star.

Zdezorientowana spojrzałam pod nogi.

Szłam pieszo.

Uniosłam głowę.

Cherry Star pędziła w moją stronę. Widziałam, jak gwiazdka na jej czole rośnie i rośnie. Staje się żółta. Żółta. Słońce odbijało się od błyszczącej metalowej powierzchni.

Oślepiąca wyciągnęłam przed siebie rękę.

W aureoli rozproszonego światła połyskliwa gwiazdka na głowie Cherry Star zmieniła swój kształt. Diament. Półksiężyc. Odwrócony grzyb z rozdwojoną nóżką.

Nagle Cherry Star znalazła się przy mnie. Była bez jeźdźcy. Wodze ciągnęły się po

piasku.

Nastąpi na nie i wyłamie sobie ząb!

Skoczyłam do przodu, ale nie mogłam dosięgnąć wlekących się skórzanych pasów.

Czułam zapach końskiego potu, słyszałam powietrze wciągane i wydmuchiwane przez nozdrza.

Cherry Star odrzuciła łeb do tyłu. Otworzyła pysk w bezgłośnym krzyku.

Zobaczyłam bursztynowe zęby. Wywinięte wargi. Spienioną ślinę spadającą lśniącymi strumieniami.

Serce waliło mi młotem, spróbowałam biec. Z każdym krokiem coraz głębiej zapadałam się w piasku.

Sen się zmienił.

Znajdowałam się w wodzie.

Używając obu ramion, obróciłam się w kierunku brzegu.

Łąd był bardzo daleko.

Otaczały mnie wodorosty.

Widziałam, jak ich zielonoczarne gromady powoli łączą się ze sobą. Ciemny okrąg zamykał się.

Coś otarło się o moją stopę.

Spojrzałam w dół.

Zobaczyłam pysk. Oczy przesłonięte błoną. Zimne. Prymitywne. Rekin rozdziawił szczęki, ukazując ostre jak brzytwa zęby.

Obudziłam się mokra od potu, z paznokciami żłobiącymi w dłoniach małe półksiężyce.

Niebo było szare. Przez okno wpadała do domu wilgotna bryza.

Spojrzałam na zegar. Za piętnaście siódma.

W domu panowała cisza.

Zwinęłam się w kłębek. Naciągnęłam kołdrę pod brodę.

Mimo że bardzo chciałam, senność nie powracała.

Próbowałam wszystkich znanych mi metod relaksacyjnych, ale mój umysł nie mógł przestać koncentrować się na śnie.

Moje nocne fantazje nie wymagają zazwyczaj freudowskich interpretacji.

Na oklep na koniu? OK. Większość z nas wie, o co chodzi.

Katy? Świetnie. Martwiłam się o nią.

Złota gwiazdka? Wodorosty? Rekin?

O ósmej poddałam się i zesłam do kuchni.

Ryan zdążył już odpalić maszynę do espresso. Dobrze. Byłam nieźle wystraszona tym wszystkim.

– Perry zamknęła plażę. – Ryan wskazał na strony poświęcone sprawom lokalnym gazety „Honolulu Advertiser”. – Trzeba to przyznać tej pani. Jest kimś. I całkiem dobrze wygląda.

Tylko jeśli się patrzy penisem. Tym razem nie powiedziałam tego na głos.

Przeczytałam artykuł pobieżnie. Donosił, że zatoczka Halona została zamknięta dla kąpiących się aż do odwołania, ale bez wyjaśnienia przyczyn.

Sącząc kawę i chrupiąc grzankę, opracowaliśmy z Ryanem plan.

Najpierw zwiedzimy Punchbowl. Dziewczyny raczej nie będą zachwycone. Trudno. Tak chciał Ryan. Dobry pomysł. Ja już tam kiedyś byłam.

Punchbowl to wygasły stożek z tufu wulkanicznego, usytuowany w samym środku miasta Honolulu. Krater powstał, gdy gorąca lava zaczęła się wydostawać przez szczeliny w rafie koralowej, sięgające aż do podnóża Gór Koolau.

Gorąca lava?

Spokojnie. Erupcja miała miejsce sto tysięcy lat temu.

Istnieje wiele różnych interpretacji hawajskiej nazwy Punchbowl, czyli Puowaina. Najczęściej tłumaczy się ją jako Wzgórze Ofiarne. Podobno rdzenni Hawajczycy składali w tym miejscu swoim bogom ofiary z ludzi. Według legendy zabijano tu również tych, którzy naruszali tabu. W późniejszych czasach król Kamehameha Wielki kazał nad krawędzią krateru ustawić działa, aby wystrzałem armatnim oddawać salut szacowniejszym gościom i rozpoczynać różne ważne święta.

W latach trzydziestych dwudziestego wieku Hawajska Gwardia Narodowa

wykorzystywała Punchbowl jako strzelnicę. Pod koniec drugiej wojny światowej w koronie krateru wykopano tunele pod baterie strzegące portów na wyspie: Honolulu i Pearl Harbor.

W późnych latach czterdziestych, pragnąc znaleźć miejsce ostatecznego spoczynku dla żołnierzy poległych w czasie drugiej wojny światowej, a spoczywających na tymczasowym cmentarzu na wyspie Guam, Kongres Stanów Zjednoczonych przyznał fundusze na utworzenie narodowej nekropolii. Tu także pochowano ośmiuset nieznanych żołnierzy z wojny koreańskiej. W połowie lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku doszli jeszcze zabici w Wietnamie.

W Punchbowl spoczywa między innymi Ernie Pyle^[2]. Podobnie jak pierwszy astronauta z Hawajów, Ellison Onizuka, który zginął w katastrofie „Challenger”.

Po zwiedzeniu Punchbowl pojechaliśmy na północne wybrzeże, udaliśmy się na plażę i spróbowaliśmy słynnego hawajskiego sorbetu lodowego.

Wreszcie, po wielu godzinach spędzonych w przyjacielskiej atmosferze, Lily i Katy zostały razem w domu, dorośli natomiast wybrali się spędzić wieczór w mieście. Było nam to potrzebne.

Mimo że naszej grupki nie dałoby się raczej pomylić z bohaterami serialu *Brady Bunch*, dzień należało uznać za całkiem udany.

Jego punktem kulminacyjnym miał się okazać wieczór dla dorosłych.

^[2] Ernest Taylor Pyle – amerykański dziennikarz, korespondent wojenny z okresu II wojny światowej, laureat nagrody Pulitzera z 1944 r.

Ryan wybrał restaurację. Jego kryteria? Bliskość Waikiki to jedyne, co przychodzi mi do głowy.

Znaleźliśmy się w restauracji Ha'aha'a Seafood and Steakhouse, takim hawajskim gastronomicznym Walmarcie. Już przy zajmowaniu stolika naszły mnie złe przeczucia.

Siedzieliśmy w ciemnym kącie, kilka centymetrów od zespołu, którego repertuar powstał jeszcze chyba w szkole średniej – tak na moje oko ukończonej gdzieś w okolicach roku sześćdziesiątego piątego.

Po raz drugi wątpliwości ogarnęły mnie podczas studiowania menu. Sześć z jego dziewięciu stron poświęcono drinkom, których nazwy w większości stanowiły niesamowicie głupie kalambury. Son of Beach Daiquiris. I Lava Party Bacardis. O'Lei Margaritas.

Ryan zamówił piwo kona i zwykłą doradę. Ja zadowoliliam się koktajlem bezalkoholowym o nazwie virgin colada oraz krewetkami z kolendrą.

Drink nie był zły. Trudno schrzanić sok ananasowy połączony z kremem kokosowym.

Czekając na jedzenie, rozmawialiśmy. Właściwie przekrzykiwaliśmy się. Ponad takimi niezapomnianymi przebojami jak *My Waikiki Mermaid* czy *Pearly Shells*.

Ryan przeprosił za Lily. Ja przeprosiłam za Katy. Zaproponował, że przeniosą się z domu w Lanikai do jakiegoś hotelu. Powiedziałam, że to nie będzie konieczne.

Nad naszymi głowami lustrzana dyskotekowa kula błyskała migotliwym światłem wokół całej sali. Odjazd.

– Nie najlepszy sposób, żeby trafić do serca dziewczyny. – Twarz Ryana stała się szafirowa, gdy kolorowy reflektor, który powinien być skierowany na scenę, oświetlił nasz stół.

– To zależy jakiej dziewczyny. Dlaczego wybrałeś akurat to miejsce?

– Wspaniałe owoce morza i steki. Co mogło być nie tak?

– Jestem prawie pewna, że po hawajsku „wspaniałe” pisze się *ha'aohea*. – Widziałam kiedyś to słowo napisane po angielsku i hawajsku na jakimś nagrobku w Punchbowl. – Natomiast wyraz *ha'aha'a* tłumaczy się jako „skromne”.

– Och.

Zespół podjął grę. Wokalista zawodził: „Och, jak ona mogła jaki haki łąki łąki tu”.

Neonowe brwi Ryana wspięły się na jego neonowe czoło.

Po czterdziestu minutach od złożenia zamówienia zostaliśmy obsłużeni przez innego kelnera niż ten, który przyniósł nam drinki. Aktualny kelner miał wytatuowanego na bicepsie skaczącego tygrysa oraz jeden z siekaczy inkrustowany czymś, co wyglądało na szkliste złoto. Na jego identyfikatorze widniało imię Rico.

– Ostrożnie. – Rico przybliżył trzymane przez ściereczkę talerze do naszego stolika. – Skurczybyki są gorące.

Wątpliwe. Moje krewetki znajdowały się w pułapce skrzepniętego tłuszczu.

– Coś jeszcze? – zapytał Rico.

Ryan zamówił kolejne piwo.

– Przyjemnej zabawy.

Skinęliśmy uprzejmie głowami.

– To muzyka hapa haole.

– Absolutnie nie podejrzewałem, że śpiewają tu gospel.

Oboje z Rico zmarszczyliśmy brwi, spoglądając na Ryana.

– Naprawdę? – posłałam Rico mój najbardziej rozbijający uśmiech. – Co to jest muzyka hapa haole?

Rico wzruszył jednym, ozdobionym podobizną kota ramieniem.

– Czasem jakiś kawałek ma tradycyjny rytm, wie pani, cztery na cztery, ale słowa są po angielsku, dlatego piosenka jest pół angielska, pół hawajska. A czasami słowa są po hawajsku, ale rytm jest powolny, i mamy już hapa haole. – Zamyślił się na chwilę. – Nie wszystkie hawajskie piosenki ze słowami haole są hapa haole. Czasem słowa są hawajskie, a muzyka nie.

No dobra.

Potrawa okazała się zgodna z tym, czego się spodziewałam.

Gdy żułam krewetki o konsystencji zimowych opon, zespół grał kawałek, którego nie mogło zabraknąć: *Tiny Bubbles*.

– Wiedziałaś, że Don Ho służył w lotnictwie? – zapytał Ryan.

– Tak – odpowiedziałam.

– A wiedziałaś, że miał dziesięcioro dzieci? – Ryan wypowiadał słowa między kęsami spożywanej przez siebie, spalonej niemal na popiół ryby.

– Imponujące – stwierdziłam.

– Ja też jestem imponujący.

– To fakt.

Ryan wyciągnął rękę i musnął mnie w brodę. Mój puls podskoczył, jakby jego palce sparzyły mnie żywym ogniem.

– Zastanawiałaś się, czy nie dać temu jeszcze jednej szansy?

– Temu? – przełknęłam.

– Nam.

A Lutetia? Hadley Perry? Powstrzymałam się, ale z wielkim, wielkim trudem.

– Hm. Opowiedz mi więcej o Donie Ho – odparłam, pragnąc znaleźć się na bezpieczniejszym gruncie.

Ryan rozparł się w krzesło.

– Ho zaczął karierę wokalisty w barze o nazwie Honey's gdzieś w Kaneohe. Knajpa należała do jego matki.

– Honey^[10] – upewniłam się.

– Tak, najdroższa?

Gra słów. Jakby rozżarzony pręt uderzył w samo serce. Jaskry. Słodki groszek. Choć zawsze karciałam Ryana za te jego zwariowane czułe słówka, w skrytości ducha uwielbiałam je. Zastanawiałam się, kogo jeszcze nimi obdarza.

– Bar *Honey's* był lokalem dla żołnierzy piechoty morskiej z tamtejszej bazy – kontynuował Ryan, nieświadomy emocji, jakie wywołał. – Ho przeniósł interes na Waikiki w latach sześćdziesiątych.

– Sądziłam, że występował w knajpie U Duke'a. – Mój spokojny głos nie zdradzał niczego.

– To było później. Dopiero gdy stał się znany.

– A reszta jest historią.

– Tak jest.

Zrezygnowałam ze skorupiaków i odłożyłam widelec.

– Czy Ho wciąż żyje?

Ryan potrząsnął głową.

– Zmarł dwa lata temu.

I w tym momencie sekwencja niepowiązanych ze sobą zdarzeń w wielkim kontinuum czasoprzestrzeni, które nazywamy widzialną rzeczywistością, zwarła się i połączyła w mojej głowie w jedno.

Gdy Rico kładł obrotową podkładkę na nasz stół, na jego zębie zatańczyła wirująca cząsteczka światła. Spojrzałam w dół i zobaczyłam na podkładce samotny element zdobniczy, tandetny falliczny totem, dość anachroniczny w wyrazie.

Bingo!

W moim mózgu wyświetlił się wczorajszy sen. Biała gwiazdka na pysku konia staje się złota. Końskie zęby.

Pojawiały się kolejne obrazy.

Fragment szczęki.

Złuszczony tłuszczowosk wirujący wokół odpływu w zlewie.

Asymetryczny złoty okruch z dwoma czubatymi punktami.

Kaczka z otwartym dziobem.

Grzyb ze sterczącą nóżką.

Rico.

Złapałam Ryana za nadgarstek.

– O Boże! Wiem, co to jest!

– Moje przedramię?

Zwolniłam uścisk.

– Ten złoty przedmiot, który znaleźliśmy z Dannym. Który ja znalazłam. – Byłam niezwykle podekscytowana. – Ten fragment, o którym myśleliśmy, że to kawałek wypełnienia

zęba. No cóż, właściwie to ja tak myślałam. Danny nie był pewien. Ale dentysta w to wątpił. Craig Brooks. Miał rację. Miał rację i mylił się. To było od zęba, ale nie wypeł...

Kładąc widelec na talerzu, Ryan uniósł obie dłonie w uspokajającym geście.

– Weź oddech.

Wzięłam.

– A teraz powoli. Po angielsku. Albo francusku. Ale tak, żebym zrozumiał.

Zespół przeszedł do przesadnie brzękliwego wykonania kawałka *Hawaii Calls*.

Uporządkowałam myśli.

– Założę się o ten podest, że znaleziony przez nas przedmiot przy numerze 2010-37 to ułamana inkrustacja dentystyczna.

– Jaki podest?

– Popatrz. – Zakręciłam obrotową podkładką i wskazałam na widniejące na niej logo. – Co to jest?

– Sex symbol „Playboya”.

– Ten cały atrybut „Playboya” jest już dzisiaj *passé*, ale w latach sześćdziesiątych był świetnie znany. Zauważyłeś ząb u Rica?

– Jestem nim wstrząśnięty, ale nie zmieszany.

Wywróciłam oczami, co niestety nie zostało zauważone w tych ciemnościach.

– W Karolinie Północnej prowadziłam sprawę, w której ofiara miała koronkę dentystyczną ze złotym sex symbolem od „Playboya”. Tylko dzięki temu udało nam się ją wreszcie zidentyfikować.

– Czy miał także wytatuowane hasło *Jadaj u Joego* na swoim...?

– Koronka służyła wyłącznie do ozdoby. Rozeznałam sprawę. Dowiedziałam się, że można sobie zamówić koronki z czystego złota z wygrawerowanymi różnymi motywami, na przykład krzyżem, kielichem, gwiazdami, półksiężycem...

– To zawsze jest popularne.

– Tak. Możesz też zamówić tak zwaną iskierkę. To koronka akrylowa, która wygląda jak prawdziwy ząb, ze złotym elementem przymocowanym z przodu.

– Czy te klejnociki są już na stałe?

– Jak sobie zażyczysz. Hartowane iskiereki umieszcza się na zębie na stałe. Te delikatniejsze można zakładać i wyjmować, kiedy się chce.

– Żeby uzyskać ów szczególny wygląd w rodzaju „idę na miasto” – powiedział ze wzgardą.

– Różni ludzie, różne gusta.

– J. Edgar uwielbiał boa z piór. Ale to nie znaczy, że w mojej szafce na buty będą same puszyste pantofelki.

Zignorowałam to.

– Ten facet z Karoliny Północnej był imigrantem zaginionym w sześćdziesiątym dziewiątym roku. Latynosem. Według przeprowadzonych przeze mnie badań chęć noszenia złotych ozdób na zębach przejawia się często wśród narodów hiszpańskojęzycznych. Niektóre źródła mówiły o prekolumbijskich korzeniach tego zwyczaju.

– Majowie wrywali ludziom serca. Co nie znaczy, że musimy to brać pod uwagę.

– To byli Aztekowie.

Ryan chciał coś powiedzieć. Nie pozwoliłam mu.

– Śmigłowiec z Pajakiem Lowerym rozbił się, mając na pokładzie czterech członków załogi. Trzech z nich odnaleziono i zidentyfikowano na miejscu. Czwarty, ów mechanik, przepadł.

– Domyślam się, że był Latynosem.

– Luis Alvarez. Amerykanin meksykańskiego pochodzenia.

– Czy w danych stomatologicznych Alvareza wspomina się coś o złotych ozdobach zębowych?

– W jego aktach brak danych medycznych i stomatologicznych. A poza tym, gdyby Alvarez sprawił sobie iskierekę już po ostatniej wizycie u dentysty, w aktach nie byłoby o tym żadnej informacji.

– Albo może kazał to sobie zdjąć, kiedy zgłosił się do służby.

– Właśnie.

Przy stoliku pojawił się Rico.

Ryan poprosił o rachunek.

Rico wyciągnął notes. Gdy liczył, próbowałam dojrzeć jego ząb. Bez szans. Wargi miał mocno zaciśnięte, pochłonięty całkowicie wyższą matematyką.

W końcu na stole pojawił się świstek papieru.

Sięgnęliśmy po niego równocześnie. Spór. Nasz zwykły rytuał.

Wygrałam. Wręczyłam Ricowi moją kartę Visa.

Uśmiechnąwszy się ironicznie do Ryana, Rico oddalił się.

– Co z Pajakiem Lowerym? – zapytał Ryan.

– To znaczy?

– Czy też mógłby się skusić na jakieś złoto? Mógł sobie coś wybrać w Nam.

– Niewykluczone.

– A może miał taki mały drobiazg jeszcze przed wyjazdem, ale w obecności mamusi i tatusia go zdejmował.

– Kolejna możliwość.

– Czy był ktoś, komu mógł się zwierzać? – zapytał Ryan. – Jakiś kolega? Rodzeństwo?

Przypomniała mi się sesja z przeglądaniem zdjęć w moim samochodzie.

– Jego brat nie żyje, ale Plato mówił, że Pajak trzymał się blisko ze swoim kuzynem. W szkole średniej grali w tej samej drużynie bejsbolowej.

– Ten kuzyn wciąż mieszka w Lumberton?

– Nie wiem.

– Może warto to sprawdzić telefonicznie. Wiesz, trzeba chwytać każdą nitkę. – Fakt.

Zespół zaczął grać utwór *If I Had a Hammer*, a wokalista bardzo się starał naśladować Triniego Lopeza, szło mu jednak fatalnie.

– Ale przecież Pajak Lowery zmarł w Quebecu – powiedziałam.

– A może to FBI schrzaniło sprawę z odciskami palców. Moim zdaniem najpierw trzeba by stwierdzić, czy faktycznie ten twój kaczkowato-grzybowy złoty wihajster jest ułamaną iskierką. To powinien być punkt wyjścia.

Znów racja.

Rico wrócił z moją kartą. Podpisałam i dodałam napiwek. Duży, w nadziei, że zobaczę uśmiech.

Niestety. Mamrocząc „*mahalo*”, Rico odszedł.

– Czy w aktach Alvareza są jakieś zdjęcia? – zapytał Ryan.

– Kilka.

– Jakież fotki z uśmiechem?

Przywołałam w głowie trzy czarno-białe fotografie.

Portret od pasa w górę młodego mężczyzny w mundurze.

Ziarnista reprodukcja ukazująca absolwenta szkoły średniej.

Dziewięciu spoconych żołnierzy, jeden patrzący gdzieś indziej niż na aparat.

Spojrzałam na Ryana.

Nagle strasznie zapagnęłam raz jeszcze przyjrzeć się temu zdjęciu.

^[10] Gra słów: „honey” oznacza m.in. „kochanie”.

Niedzielny świt był chłodny i deszczowy. Obudziłam się, sprawdziłam pogodę i wróciłam do łóżka. Najwyraźniej moja grupka zareagowała podobnie. A może nawet nie raczyła otworzyć oczu.

O wpół do dziesiątej przytłumione grzechotliwe dźwięki kazały mi wstać ponownie. Założywszy na siebie szorty i T-shirt, zeszałam do kuchni.

Ryan przygotowywał francuskie grzanki i bekon. Zapach był orgazmiczny.

Wyciągnęłam panny z łóżek. W czwórkę zjedliśmy kolejny niełatwy posiłek. Tymczasem deszcz stracił na sile, a słońce zaczęło wgrzyzać się w chmury.

Po śniadaniu każdy udał się w swoją stronę: Ryan i Lily oglądać rybki pod szklanym dnem łodzi wycieczkowej, a Katy i ja nurkować i czytać na plaży.

Wzięłam swojego BlackBerry, planując wykonanie paru telefonów podczas leżenia na piasku. Wiedząc, że Danny nie należy do rannych ptaszków, kontakt z nim odłożyłam na później. Bardzo zależało mi na rozmowie z Platonem Lowerym.

Platon znów nie odebrał telefonu. Silas Sugarman też nie.

Sfrustrowana gapiłam się na mój aktualny wygaszacz ekranu, którym było zdjęcie Birdiego siedzącego na klatce Charliego. Fotografia zwykle wywoływała uśmiech na mojej twarzy. Nie tym razem.

Małeńkie cyferki na wyświetlaczu poinformowały mnie, że na wschodnim wybrzeżu jest teraz szósta trzydzieści wieczorem.

Szukałam natchnienia we własnej głowie. Kto może pracować w niedzielny wieczór w Lumberton w Karolinie Północnej?

Pomysł. Czemu nie? Facet już wcześniej okazał się użyteczny.

Numer znalazłam przez Google. Wklepałam go.

– Biuro szeryfa okręgu Robeson. – Głos był wyraźny, akcent bardziej nowojorski niż południowy.

– Poproszę z szeryfem Beasleyem.

– Nie ma.

– Może pani przekierować połączenie do niego?

– Niemożliwe.

– Mówi doktor Temperance Brennan. Czy mogłaby pani przekazać szeryfowi mój numer i poprosić, żeby do mnie oddzwonił? To dość pilne.

– W jakiej sprawie chce pani złożyć skargę?

– Nie chcę złożyć skargi. Jedenastego maja przeprowadziłam w Lumberton ekshumację. Szeryf był przy niej obecny. Potrzebuję informacji dotyczących ekshumowanych zwłok.

– Szeryf jest strasznie zajęty.

– Ja też. – Kobieta zaczynała mnie wkurzać.

– Pani numer?

Podalam.

W czasie przerwy, która teraz nastąpiła, zaskrzeczała nagle jakaś mewa. Miałam nadzieję, że ten dźwięk nie przeniósł się na drugi koniec linii telefonicznej.

– Przekażę pani prośbę.

Kliknięcie.

– Zrób to – zawołałam do ciszy w słuchawce.

Katy uniosła głowę. Pomachałam jej ręką. Wróciła do lektury swojej książki.

Telefon zadzwonił po dziesięciu minutach.

– Szeryf Beasley. – Wysoki głos, zaciągająca wymowa, podobna jak u Barneya Fife'a^[11].

– Dziękuję, że pan oddzwonił. Przepraszam, że zakłócam niedzielny wieczór.

– Właśnie oglądam, jak drużyna Bravesów dostaje ostro w tyłek.

– Dzwonię w sprawie człowieka pochowanego na cmentarzu Gardens of Faith jako John Charles Lowery.

– Najpierw ten detektyw, teraz pani. Pająk musiał chyba wsadzić kij w mrowisko, skoro cieszy się takim zainteresowaniem.

– Tak, proszę pana. Znał go pan? – spytałam. – Osobiście?

– Stykaliśmy się od czasu do czasu.

– Co może mi pan o nim powiedzieć?

– Pająk był w szkole trzy klasy niżej ode mnie. Po liceum ja wstąpiłem do policji. – No tak. Niczym zastępca szeryfa z programu telewizyjnego. – W pierwszych latach służby musiałem zajmować się jego wybrykami.

– Wybrykami?

– Właściwie Pająk nie był taki zły. To ten cały jego kuzyn. To był zawadiacki mołojec. – Bardzo długie „o” w wyrazie mołojec.

– A nazywał się?

– Reggie Cumbo. Chłopak miał policyjną kartotekę dłuższą niż moja ręka.

– Dlaczego?

– Bo był palantem.

Nie odezwałam się. Jak wielu innych w takiej sytuacji, Beasley poczuł się w obowiązku wypełnić ciszę.

– Pijaństwo i zakłócanie porządku, najczęściej.

– Co się z nim stało?

– Zniknął w dniu rozpoczęcia nauki w szkole średniej. Oczywiście Reggie nie zamierzał ubiegać się o świadectwo maturalne.

– Nie udało mu się ukończyć szkoły?

– O ile dobrze pamiętam, to nie.

– Gdzie Reggie jest teraz?

– Może jest burmistrzem Milwaukee? Skąd mam wiedzieć? Bardziej prawdopodobne, że nie żyje. Nigdy nie miałem o nim żadnych wieści. – Tyle, jeśli chodzi o przepytanie Reggiego w sprawie górnego uzębienia Pajaka.

– Czy zauważył pan kiedykolwiek jakieś złote ozdoby na zębach Pajaka Lowery’ego?

– Znaczą koronkę czy coś takiego?

Wyjaśniłam, co to jest iskierka.

– Może w późniejszym okresie, gdy Pająk wstąpił do wojska? Na jakimś zdjęciu, które

przysłał do domu z Nam? Może pokazywali je panu Platon lub Harriet? Albo na tym, które przesłali do gazety? Lub zamieścili w Internecie? – Wiedziałam, że szukam na oślep.

– Nie. Dlaczego zęby Pająka są takie ważne? Myślałem, że macie gotowe DNA Harriet.

– Tak zwana iskierka może okazać się pomocna w zidentyfikowaniu ciała, które ekshumowałam. Zakładając, że nie należało ono do Pająka. A poza tym wymazy szpitalne od Harriet mają już pięć lat. Sprawdzam inne opcje na wypadek, gdyby próbki okazały się nieprzydatne do sekwencjonowania.

– Nie wiem, co pani powiedzieć. Pająk był – Beasley zawahał się – inny. Ale wątpię, żeby robił coś tak głupiego jak ozdabianie sobie zębów złotem.

– Co pan pamięta, jeśli chodzi o Pająka?

Beasley wydmuchał powietrze z policzków.

– Pamiętam, że w liceum zaofiarował swojej mamie nerkę. Harriet urodziła się z wadą obu nerek, to chyba ją ostatecznie zabiło. Muszę przyznać, że uważam to za wspaniałe poświęcenie. Ale Pająk nie był odpowiednim dawcą, nie ta grupa krwi czy coś takiego. Jego brat, Tom, też chciał oddać nerkę. Oczywiście wiele lat później. I w tym wypadku się nie udało. Nie wiem, czy ja bym coś takiego zrobił.

– A coś o samym Pająku?

Beasley nie odpowiedział od razu. Po chwili się odezwał:

– Pamiętam, że przygotowywał do szkoły projekt naukowy na temat pajaków. Piętnaście albo dwadzieścia wielkich białych plansz wypełnił zdjęciami, wykresami i drobnymi adnotacjami. Miał wszelkiego typu oznaczone nalepkami słoje mieszczące pająki. Zdobył pierwszą nagrodę. Zrobiono mu wystawkę w bibliotece. Nadal od czasu do czasu wyciągają te plansze. Oczywiście samych pajaków już dawno nie ma.

– Coś jeszcze?

– Pamiętam, jak pojechał na wojnę. Pamiętam, jak wrócił martwy. Przykro mi.

Żadne kolejne pytanie nie przychodziło mi do głowy. Podziękowałam Beasleyowi i rozłączyłam się.

Danny zatelefonował, gdy wraz z Katy oglądałyśmy pod wodą meduzy, blaszecznicę i jedną, szczególnie żałośnie wyglądającą rurecznicę.

Wygrzebując z torby ręcznik, zauważyłam na moim BlackBerry'ym mrugającą ikonkę otrzymanej wiadomości.

Wiadomość była krótka. *Zadzwoń.*

Zadzwoiłam.

– Co słyhać?

– Pomyślałem, że zechcesz o tym wiedzieć. Dowiedziałem się czegoś o rodzinie Xandra Lapasy. Jego rodzice, Alexander senior i Theresa-Sophia, nie żyją.

Słyszałam szelest papieru.

– Alexander Emanuel, czyli Xander, był pierwszym dzieckiem z sześciorga, to znaczy czterech chłopców i dwóch dziewczynek. Jedna z sióstr, Mamie Waite, mieszka w Maui, jest rozwiedziona i ma jedną córkę. Druga siostra, Hesta Grogan, mieszka w Nevadzie, jest wdową i ma dwóch synów. Jeden z braci, Mar vin, był niepełnosprawny umysłowo i umarł młodo, w latach siedemdziesiątych. Dwaj pozostali, Nicholas i Kenneth, wciąż mieszkają w okolicach Honolulu. Obaj są żonaci, Kenneth z pierwszą żoną, Nicholas z czwartą. Mają łącznie jedenaścioro dzieci i osiemnaścioro wnuków.

Dokonałam szybkich obliczeń. Jeśli w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym, gdy zniknął, Xander Lapasa liczył sobie dwadzieścia dziewięć lat, to znaczy, że urodził się w trzydziestym dziewiątym roku.

Danny chyba czytał mi w myślach.

– Żyjące rodzeństwo ma dziś powyżej sześćdziesiątki.

– Opowiedz mi o ojcu. – Nie wiedziałam, dlaczego historia rodziny wydaje mi się ważna, ale Danny sprawiał wrażenie, że bardzo chce się ze mną podzielić swoimi ustaleniami.

Alex Lapasa przyjechał na Oahu w pięćdziesiątym szóstym roku, dostał pracę na stacji benzynowej we wschodnim Honolulu. Po dwóch latach właściciel stacji zmarł. Wypadek samochodowy. Według ręcznie sporządzonego testamentu stacja przechodziła na własność Lapasy.

– Dość dziwne.

– Gliny nie znalazły nic, co wskazywałoby na związek Lapasy z tym wypadkiem. Ofiara nie miała żadnych krewnych, którzy głośno domagaliby się sprawiedliwości, trudno więc powiedzieć, czy śledztwo prowadzono z należytą starannością.

Darowałam sobie komentarz.

– Dziewięć miesięcy po przejęciu przez Lapasę spadku stacja paliw została zdmuchnięta z powierzchni ziemi przez huragan. Nie mając żadnych innych źródeł dochodu oraz – najwyraźniej – nie przejawiając przesadnej miłości do benzyny, Lapasa zajął się handlem nieruchomościami. I zobaczył w tym potencjał. Zorientował się, że wyż demograficzny sprawi, iż wzrośnie popyt na tanie domy. Lapasa wszedł więc w budownictwo mieszkaniowe dla

niezamożnych. Stawiał jeden parterowy domek, sprzedawał go, stawiał dwa kolejne itd. Kiedy w roku pięćdziesiątym dziewiątym Hawaje stały się amerykańskim stanem, branża budowlana rozkwitła. Lapasa wykorzystał okazję, rozszerzył działalność, zarobił miliony. Ciągłe dywersyfikował firmę, od lat sześćdziesiątych aż po dziewięćdziesiąte. Dzisiaj imperium Lapasy ma więcej macek niż ośmiornica.

– Wygląda na to, że stary Alex to niezły spryciarz.

– Tak.

W głosie Danny'ego zadźwięczało coś jakby wahanie.

– Co jest? – spytałam.

– Lapasa zawsze był, powiedzmy, kontrowersyjny. Niektórzy mówią, że miał dotyk Midasa. Inni, że to po prostu farciarz. Ale wszyscy się zgadzają, że był cholernie bezwzględny.

– Kiedy zmarł?

– W dwa tysiące drugim.

– Kto teraz prowadzi interes?

– Syn numer dwa, Nicholas.

W mojej głowie wielki dzwon wybił swoje *gong!* Już wcześniej wiele razy widziałam to nazwisko w gazecie „Honolulu Advertiser”, kilka razy poprzedzone epitetem „cwany” lub „sprytny”. Jak wtedy, gdy mówiono o Nixonie.

– T e n Nickie Lapasa?

– Ten Nickie Lapasa.

Mgłiście przypomniała mi się informacja w wiadomościach o śmierci Aleksa Lapasy, którą usłyszałam podczas jednej z moich wizyt w CIL. Ceremonia pogrzebowa wyglądała jak podrzędne przedstawienie teatralne.

– Czy wtedy w sprawie Lapasy nie prowadzono dochodzenia na podstawie naruszenia ustawy RICO?

Miałam na myśli federalną ustawę skierowaną przeciwko skorumpowanym, nieuczciwie spekulującym organizacjom, uchwaloną przez Kongres w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym roku.

– Tak. I to nie pierwszy raz. Krążyły słuchy, że Alex ma powiązania z mafią. Niczego mu nigdy nie udowodniono.

Zamyśliłam się na chwilę.

– Czy Kenny Lapasa nie jest przypadkiem radnym miejskim Honolulu?

– Jest.

Xander zniknął. Marvin zmarł. Nickie i Kenny żyli i prosperowali. Zastanawiałam się nad siostrami.

– Czy Mamie i Hesta są zaangażowane w ten rodzinny interes?

Danny prychnął.

– Zdecydowanie nie byłoby to w stylu Lapasów.

– To znaczy?

– Dziewczynom wstęp wzbroniony.

– Ale to przecież Theresa-Sophia korespondowała z armią w sprawie zaginięcia Xandra.

– Stary uważał pewnie, że pisanie listów to coś poniżej jego godności.

– Dlaczego twoim zdaniem Xander pojechał do Nam?

– Krążyły pogłoski o zaangażowaniu się Lapasy w przerzut narkotyków. Może wysłał swojego syna do Azji Południowo-Wschodniej, żeby zrobił rekonesans w sprawie możliwości, jakie otworzą się po wojnie. Rozumiesz, źródła pozyskiwania dragów, możliwości transportu.

– Z kim rozmawiałeś? – zapytałam.

– Z Tricky Nickie. Łatwiej byłoby przebić się do Obamy.

– Jak zareagował?

– Początkowo sceptycznie. Powiedziałem mu, że rozpoznanie na podstawie uzębienia, choć nieoficjalne, ma solidne podstawy, i spytałem, czy Xander doznał kiedyś jakichś złamań kości. Odparł, że w wypadku samochodowym Xander miał pękniętą szczękę i obojczyk. Stało się to latem, w trakcie wakacji po pierwszej klasie szkoły średniej. Opisałem mu wygojone pęknięcia kości, które zauważyliśmy podczas badań oraz na zdjęciach rentgenowskich.

– Przekonało go to?

– Nie całkiem. Powiedziałem, że aby być pewnym pokrewieństwa, trzeba porównać DNA, ale można zrobić to po pobraniu próbek albo od niego, albo od kogoś z jego rodzeństwa. Facet stracił panowanie nad sobą, powiedział, że nie ma mowy, by jakiś rządowy sługus wtykał próbnik w członków jego rodziny. Tłumaczyłem, że proces jest bezbolesny, zwykle potarcie

wnętrza policzka. Wkurzył się jeszcze bardziej, oszczędzę ci szczegółów, a potem się rozłączył.

– Jeśli interesy Aleksa Lapasy były naprawdę tak podejrzane, jak plotkowano, to może Nickie ma powody obawiać się o swoją prywatność. Przestępcy raczej nie udostępniają DNA.

– Może. Ale przecież Nickiego nigdy nie wiązano z jakimiś nielegalnymi posunięciami. W każdym razie po godzinie oddzwonił do mnie, zirytowany perorował o niekompetencji, głupocie, wykroczeniu służbowym. Groził, że zatelefonuje do swojego kongresmena, do swojego senatora, Amerykańskiej Unii Praw Obywatelskich, szefa połączonych sztabów, prezydenta, CNN, Jessego Jacksona, do Rusha Limbaugh, a może nawet do Nelsona Mandeli.

– Nie wierzę, żeby tak powiedział.

– Może nie wspomniał o Mandeli.

– Skąd ta wściekłość?

– Trzymaliśmy jego brata na półce przez ponad cztery dekady.

Racja, pomyślałam.

– Ponownie zaproponowałem przeprowadzenie testów porównawczych, mówiąc, że w roku dwa tysiące pierwszym zabezpieczono sekwencję DNA ze szczątków. Zażądał zniszczenia tych danych. Stwierdził, że nie życzy sobie, aby ktokolwiek z jego rodziny znajdował się – głos Danny’ego zabrzmiał szorstko – w jakiejś gównianej rządowej bazie danych.

– Coś jeszcze?

– Powiedział, że spadną głowy.

– Najpierw Platon Lowery, teraz Nickie Lapasa. Dziwne.

– Miałem do czynienia z dziwniejszymi sprawami.

Zmieniając temat, podzieliłam się z Danny’em moją teorią na temat naszego kaczkowato-grzybowego przedmiotu pogrzebanego w Lumberton razem ze szczątkami numer 2010-37, a potem opisałam mu moją rozmowę z szeryfem Beasleyem.

– Nigdy nie słyszał o iskierekach nazębnych?

– Nie.

– Ale pewnie Beasley musiałby się natknąć na coś takiego przynajmniej raz, gdyby pojawiło się w jakimś prowadzonym przez niego postępowaniu – powiedział Danny.

– Niewykluczone, że szła na iskiarki ominął okręg Robeson. – Zamyśliłam się na chwilę.
– Może to ślepy zaułek, ale spróbujmy zlokalizować Reggiego Cumba.

– Tego kuzyna – powiedział Danny.

– Tak.

– Facet, którego ekshumowałaś w Lumberton, to musi być Luis Alvarez – rzekł Danny. – Alvarez nadal figuruje jako zaginiony. Jego profil biologiczny jest identyczny z profilem Lowery’ego i pasuje do szczątków. Alvarez to Amerykanin meksykańskiego pochodzenia. Amerykanie meksykańskiego pochodzenia uwielbiają iskierki nazębowe.

– W dzisiejszych czasach – powiedziałam. – Ale czy również w latach sześćdziesiątych?

– Nie jestem pewien, ale chyba tak. – Danny na chwilę zamilkł. – Powinniśmy jeszcze raz przyjrzeć się zdjęciom z akt Alvareza.

– Powinniśmy – zgodziłam się.

– Pierwsza rzecz na jutro.

– Pierwsza rzecz.

Szykowała się więc kolejna randka.

^[11] Bernard „Barney” Milton Fife – fikcyjna postać z amerykańskiego programu telewizyjnego *The Andy Griffith Show*. Barney Fife to zastępca szeryfa w sennym południowym miasteczku Mayberry w Karolinie Północnej.

W niedzielę wieczorem za główną „atrakcję” mieliśmy „wojnę dzwoneków telefonicznych”. Nasze gusta muzyczne stały się przedmiotem emocjonalnych dysertacji.

Obecnie ulubionym kawałkiem Lily był *Super Freak* Ricka Jamesa. Katy jako dzwonka używała *Minnie the Moocher* Caba Callowaya. Ja zaś, jako niepoprawna optymistka, lubiałam temat z piosenki *Happy Days*. Ryan wciąż korzystał z dźwięków z *Ulicy Sezamkowej*.

Kolację ponownie przygotowaliśmy na grillu. Gdy zmywaliśmy naczynia, Cab obwieścił połączenie przychodzące. Katy przeprosiła. Wróciła po paru minutach zadumana, choć starała się szeroko uśmiechać.

Jedno moje pytanie sprawiło, że powiedziała wszystko.

Do Katy zadzwonił starszy brat Coopa, Jed. Jed z namaszczeniem przeproszał ją za sposób, w jaki została potraktowana. Śmierć Coopa odbiła się szerokim echem, dlatego rodzina Coopertonów musiała się bronić przed najazdem dziennikarzy, życzliwych nieznajomych oraz ekscentryków protestujących przeciwko wojnie. Jako człowiek, który sam się mianował obrońcą rodzinnej prywatności, wuj Jeda, Abner, wziął na siebie odpowiedzialność za odbieranie telefonów. Jego strategia: odprawić z kwitkiem każdego dzwoniącego, którego nie zna osobiście.

Jed powiedział też Katy, że ma coś, co jego zdaniem Coop chciałby jej przekazać. Katy czuła się zakłopotana, ale też wyraźnie zadowolona. I najbardziej zrelaksowana od czasu zamordowania Coopa.

Kolejny był Ryan. Mimo radosnego dzwonka jego komórki wiadomości miały się okazać zupełnie nieradosne. Gdy przekazywał mi je później w kuchni, jego głos brzmiał ponuro.

Lutetia zamierzała wyjechać z Montrealu do rodzinnego domu w Nowej Szkocji. Ryan miał się zajmować Lily, dopóki nie otrzyma dalszych informacji. Pa, pa. Adios.

Wywołało to we mnie mieszane uczucia. Wiedziałam wprawdzie, że odejście Lutetii będzie bolesne dla Lily i przysporzy Ryanowi niesamowitych kłopotów, nie mogę jednak powiedzieć, żeby było mi przykro z powodu pożegnania się z eks Ryana. W sensie metaforycznym, oczywiście. Nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

Jako pierwsza zadzwoniła do mnie Hadley Perry. Opowiedziała mi o trzech sprawach.

Po pierwsze, nie miała żadnych trafień wśród rodzin osób figurujących w rejestrze zaginionych. Po drugie, detektywi z policji w Honolulu, Lō i Hung, jutro z samego rana zaczną rozpytywanie w szpitalach. Po trzecie, zebrała baty od burmistrza i rady miejskiej za zamknięcie zatoczki Halona.

Przyciszonym głosem podzieliłam się informacjami od Perry z Ryanem, tym razem na

werandzie.

Kącki ust Ryana drgały, gdy jego umysł przetrawiał dane, z którymi mój już się zdążył uporać.

– Lô jest Wietnamczykiem, nad literą „o” stawia się mały daszek. Hung jest pochodzenia chińskiego. Pracują jako partnerzy od dziewięciu lat, nie reagują już na komentarze dotyczące ich nazwisk.^[12]

Spodziewając się po mnie typowej w tych razach reakcji, Perry skutecznie zablokowała wszelkie żarciki, jakie mogłyby mi przyjść do głowy. Tę samą taktykę zastosowałam teraz wobec Ryana.

– Myślałam, że przyjechałaś tutaj ze względu na jakiegoś koleśia, który zmarł w latach sześćdziesiątych – powiedziała Katy.

Odwróciliśmy się z Ryanem zaskoczeni. Żadne z nas nie usłyszało Katy wchodzącej przez rozsuwane drzwi.

– To prawda. A nawet ze względu na kilku koleśiów – odparłam. – Ale miejscowy patolog sądowy poprosił mnie o konsultację w lokalnej sprawie, którą prowadzi. Nie sędzę, żebyś chciała poznać szczegóły. – Biorąc pod uwagę śmierć Coopa. Nie powiedziałam tego głośno.

Katy spoglądała to na mnie, to na Ryana.

– Pewnie, że chcę.

Ryan wstał.

– Panie wybaczą, ale od paru dni nie sprawdzałem maili. – Naciągane, ale Ryan słusznie się domyślał, że Katy czuje się wykluczona.

Katy umościła się w fotelu, który wcześniej zajmował Ryan. Opowiedziałam jej o Hadley Perry, fragmentach ciał, śladach zębów, śrubie chirurgicznej oraz kawałku skóry z tatuażem.

– Przeżyć każdy dzień, jakby cały czas trwał Tydzień Rekinów.

Co takiego?

– Tracy Jordan. *Rockefeller Plaza 30*.

Wciąż nie wiedziałam, o co chodzi.

– Sitcom emitowany przez stację NBC? Postać grana przez Tracy’ego Morgana mówi o serialu na Discovery Channel. Nabijanie się z hasełek motywacyjnych. Nieważne. Głupi komentarz z mojej strony. Nieładnie żartować sobie z ofiar.

Klepnęłam ją w rękę.

– Nie obraziłam się.

Przez chwilę obie wsłuchiwałyśmy się w szum liści palmowych i odgłosy łagodnych fal. Katy odezwała się pierwsza.

– Dużo czasu poświęcam swojemu blogowi.

– O czym piszesz?

– O głupocie wojny.

– Brzmi sensownie.

– Zamierzam pisać o związanym z tym braku wrażliwości. – Zastanawiała się przez moment. – O tym, że czasem tracimy z oczu fakt, że każda śmierć to tragedia.

– Bardzo chętnie poznam twoje przemyślenia.

– Musisz tak mówić. – Wstała gwałtownie i musnęła mój policzek. – Jesteś moją matką.

Zanim zdążyłam zaprotestować, wbiegła do domu.

Jako drugi zadzwonił Tim Larabee, medyk sądowy z Charlotte. W składowisku piasku przy wiejskiej drodze w okręgu Cabarrus znaleziono zwłoki w stanie rozkładu. Larabee znajdował się na miejscu zdarzenia od północy. Istniało podejrzenie, że są to szczątki pewnej gospodyni domowej, która zaginęła minionej jesieni. Konieczna była konsultacja antropologa. Był ciekaw, kiedy wracam, ale nie naciskał.

Happy Days. Szczęśliwe dni.

Telefon Lily zadzwonił o wpół do jedenastej. Skończyłam już czytać Stephena Kinga, zaczynałam właśnie powieść Grishama. Ryan oglądał CNN. Katy blogowała w swoim pokoju albo była na Tweeterze, czy jak to się tam nazywa.

Sprawdziwszy, kto dzwoni, Lily odebrała i pobiegła na piętro.

Spojrzałam uważnie na Ryana, zauważyłam zmianę w twarzy, napięcie w linii ramion. Zrozumiałe. Podejrzał, że to Lutetia dzwoni do Lily, i przygotowywał się na łzy córki.

Lily wróciła po półgodzinie. Była spokojna, niemal uśmiechnięta. Zwinęła się w kłębek na sofie i nie odezwała ani słowem.

Moje oczy spotkały się ze wzrokiem Ryana. Uniósł brwi w niemym pytaniu.

Głową wskazałam w kierunku Lily.

Grymas na twarzy Ryana był prawie niewidoczny. Prawie.

Ponownie poruszyłam głowę, tym razem mocniej.

– To była mama? – Ryan odezwał się do córki, diabelnie zdawkowo.

– Nie.

Udawałam, że jestem całkowicie pochłonięta książką.

Mijały sekundy. Pełna minuta.

– Anderson Cooper ma naprawdę świetną fryzurę. – Oczy Lily były przyklejone do telewizora. – Ale słyszałam, że jest niski.

W poniedziałek Ryan zgodził się zawieźć Lily na północne wybrzeże. Chciała zobaczyć kurort w Zatoce Żółwi, gdzie kręcono sceny do filmu *Chłopaki też płaczą*. On zaś pragnął spędzić trochę czasu sam na sam z córką.

Katy została w domu, żeby zająć się swoim blogiem.

Ruch w mieście zasupłał się w jeden gigantyczny korek. Zanim dotarłam do Hickam, minęła akurat ósma.

Nic się nie stało. Danny wjechał na parking przed JPAC o dwa auta przede mną. Czekał, aż zaparkuję i wysiądę z mojego cobalta.

– Aloha.

– Aloha.

– Wózek pierwsza klasa – dokuczył mi.

– Bardzo śmieszne.

– Może zadzwoń do Avisa, poproś o upgrade.

– Nie warto. Mam kolejną sprawę w Karolinie Północnej, więc chyba za jakiś dzień, dwa wyjeżdżam.

– Dopiero przyjechałaś.

– Jestem tutaj już dziesięć dni.

– A co ze sprawą, nad którą pracujesz dla Perry?

– Sprawami.

Idąc, opowiedziałam mu o drugiej ofierze rekina, otworze po śrubie chirurgicznej oraz fragmencie tatuażu na kostce u nogi.

– Jedno lub drugie powinno pomóc Perry trafić na jakiś ślad – rzekł Danny.

– Chyba tak. Ponieważ nie ma żadnych innych szczątków, nie mam już nic do roboty.

– Tutaj też wykonałaś zadanie.

– Tutaj też wykonałam zadanie. Albo dopiero tak będzie. Najpierw musimy zobaczyć zdjęcia Luisa Alvareza.

Zauważyłam, że na zuchwie Danny'ego sypie się coś, co jest nierozzerwalnie związane z męską połową populacji.

– Zapuszczasz brodę? – spytałam.

– Daję jej szansę. – Uniósł podbródek i obracał nim na wszystkie strony. – Co sądzisz?

– Facet musi być facetem.

Podbródek opadł.

Znajdowaliśmy się w korytarzu prowadzącym do skrzydła CIL, kiedy w holu po drugiej stronie szyby ukazał się Gus Dimitriadus z kartonowym pudłem na rękę, przyciśniętym do piersi. Z pudła wystawała palemka w doniczce i jakiś puchar.

Dimitriadus miał mars na czole. Szokujące.

Danny otworzył drzwi na oścież i przytrzymał je.

Ukazała się głowa Dimitriadusa. Jego mars przekształcił się w pełnowymiarowy wyraz niezadowolenia.

– Pomóc ci? – zaoferował się Danny.

– Nie trzeba.

– Słuchaj, wcale nie musisz brać tego osobi...

– Naprawdę? Nie muszę?

Co za palant, pomyślałam, i natychmiast poczułam się źle. Bądź co bądź facet właśnie został pozbawiony czegoś, co bez wątpienia uważał za pełną perspektyw pracę.

– Jeśli masz więcej pudeł, my chętnie...

– Nie wątpię, że chętnie. – Przerwał mi Dimitriadus.

Spojrzałam mu w oczy.

Ujrzałam w nich skierowaną ku mnie czystą nienawiść.

Bez słowa Danny i ja odsunęliśmy się.

Przechodząc przez drzwi, Dimitriadus wystawił łokieć i szturchnął mnie w pierś. Mocno.

Kompletnie zaskoczona zatoczyłam się lekko.

– Dupek – powiedział Danny do znikających pleców Dimitriadusa. Po czym zwrócił się do mnie: – W porządku?

– Czuję się świetnie.

– Palant zrobił to specjalnie.

– Chciał się wyładować – powiedziałam. – A ja jestem łatwym celem.

– To żadne usprawiedliwienie.

– Facet właśnie stracił pracę.

– Stracił jaja, jeśli jeszcze raz tak się zachowa.

Sir Danny, Mściciel Dziewic Zdzielonych po Piersiach.

Danny poszedł po kawę, a ja rozgościłam się w jego gabinecie i wzięłam akta Alvareza.

Właśnie tak zapamiętałam te czarno-białe fotografie.

Rzuciłam pobieżnie okiem na zdjęcie umundurowanego szeregowego Alvareza, przedstawiające go od pasa w górę. Bez szerokiego uśmiechu. Więc bezużyteczne.

Wyszukałam fotkę z dziewięcioma spoconymi żołnierzami ubranymi w kombinezony robocze z podwiniętymi rękawami i długo przyglądałam się człowiekowi, na którego piersi ktoś napisał atramentem nazwisko *Alvarez*.

Poczułam w sobie wibracje podniecenia.

Alvarez stał z twarzą odwróconą od aparatu, jakby w chwili opadnięcia migawki uwagę nagle skierował gdzie indziej. Nie uśmiechał się, lecz w zaskoczeniu – a może zaciekawieniu lub przestraszaniu – ściągnął kąciki ust.

Ukazując duży fragment górnych przednich zębów.

Szukałam szkła powiększającego, gdy zjawił się Danny.

– Przyfarciło? – Postawił na biurku dwa parujące kubki.

– Może. Gdzie masz ręczne szkła powiększające?

– Skorzystajmy z jednej z lamp warsztatowych Luxo.

Popędziliśmy do laboratorium.

Danny włączył fluorescencyjną żarówkę umieszczoną w zaokrąglonym, przymocowanym do stołu powiększaczem. Ustawiłam zdjęcie w odpowiedniej pozycji, a potem tak długo manipulowałam wysięgnikiem, aż usta Alvareza znalazły się dokładnie pod soczewką. Pochylił się oboje; głowa Danny'ego była tak blisko mojej, że czułam, jak jego ucho dotyka mojego.

I zobaczyliśmy to. Cień o kształcie przypominającym królika na prawym siekaczu Alvareza. Od muszki królika odbiła się iskierka światła.

– Hej, ho!

– Hej, ho!

Znów zderzyliśmy się biodrami niczym futboliści, którzy stykają się piersiami po zdobyciu punktu.

– Nasi magicy od komputerów powiększą ten obrazek, tak żeby uzyskać zdjęcie zęba w skali jeden do jednego, z tym kawałkiem iskiereki, który znalazłaś. Wtedy będą mogli przeprowadzić nałożenie. Biorąc pod uwagę okoliczności katastrofy śmigłowca, a także fakt, że profil biologiczny szczątków idealnie pasuje do Alvareza, oraz dowody z uzębienia, ostateczna identyfikacja powinna mieć solidne podstawy.

– A wy możecie spróbować jeszcze sekwencjonowania DNA mitochondrialnego, zakładając, że uda się pozyskać próbki od krewnych.

– Zgadza się.

Za szklaną szybą, która oddzielała laboratorium od pozostałej części budynku, zauważyłam Dimitriadusa przechodzącego przez hol z kolejnym kartonowym pudłem. Tym razem wyglądało na ciężkie, pewnie zawierało książki. Kiedy zniknął z pola widzenia, wróciliśmy z Dannym do jego gabinetu.

Kawa była już letnia. Mimo to sączyliśmy ją.

– Więc Alvareza znaleziono niedługo po katastrofie i pochowano w Karolinie Północnej jako Pająka Lowery’ego – powiedziałam. – Lapasa został odnaleziony osiem miesięcy później, mniej więcej na tym samym terenie, z nieśmiertelnikiem Pająka Lowery’ego. A ponieważ Lowery już figurował jako zidentyfikowany, Lapasę przekazano do Tan Son Nhut jako NN, następnie do CIL-THAI, a w końcu tutaj.

– A teraz, dzięki nam, Luis i Xander wracają do domu.

– Pająk też – dodałam.

– Dobra robota. – Danny promieniał.

Stuknęliśmy się kubkami.

Kilka łyków.

Czy naprawdę dobra? Coś mi się tu irytująco nie zgadzało.

– Mogę zrozumieć tę zamianę Alvareza na Lowery’ego. Ale dlaczego Lapasa miał przy sobie nieśmiertelnik Pająka?

– Dobre pytanie.

– I czy Lapasa znajdował się w tym helikopterze? A jeśli tak, to dlaczego?

– To są właściwie dwa pytania.

– I jak to się stało, że Pająk zginął w Quebecu?

– Jest ich więc cztery! Ponieważ zapominasz o najbardziej intrygującym pytaniu ze wszystkich.

Posłałam Danny’emu spojrzenie typu „mów dalej”.

– Jak mogliśmy pozwolić, żeby między nami do niczego nie doszło?

– Przestań, Danny. Nie żartuj sobie.

– Może wcale nie żartuję?

Łał!

– Przecież kochasz swoją żonę.

– Do szaleństwa – odparł. – I w tym problem.

Zapadła niezręczna cisza. Potem powiedział:

– Wyglupiam się tylko.

Wielki gamoniowaty uśmiech.

– Ciągłe myślę o tej mojej rozmowie z Nickiem Lapasą. – Dłoń Danny’ego bawiła się długopisem, przykładając do notatnika raz obsadkę, raz przycisk po jego drugiej stronie. – Dlaczego Nickie był tak bardzo przeciwny pomysłowi badań DNA, dzięki którym możliwe byłoby pozytywne zidentyfikowanie szczątków jego brata?

– Jeśli pogłoski o zorganizowanej przestępczości są prawdziwe, to moje pierwsze skojarzenia były chyba trafne.

– Chyba tak.

Klep. Klep. Klep.

– Wiesz co? – Celował we mnie długopisem. – I tak to zrobię.

– Co zrobisz?

– Porównanie DNA.

– Skąd weźmiesz próbkę porównawczą od członka rodziny?

– Coś wymyślę. – Jednym palcem postukał się w skroń, jak wtedy pod domem w Lanikai, gdy przyjechałyśmy. – Dziś po południu mamy ceremonię powitalną, ale zaraz po jej zakończeniu rzucę się na to jak jastrząb.

Melodyjka *Sunday, Monday, happy days!*

Spojrzałam na mojego BlackBerry.

Hadley Perry.

Nie chcąc zmącić dobrego nastroju Danny’ego, wolałam odebrać telefon od patolog sądowej w holu.

Przebiwszy się przez stosy książek i dokumentów, zauważyłam jakiś cień przesuwający się po płytkach podłogi pod otwartymi drzwiami gabinetu. Wyszłam na korytarz i popatrzałam w prawo, potem w lewo. Pusto.

Czy ktoś nas podsłuchiwał? Dimitriadus? A jeśli nie on, to kto? I dlaczego?

Nowiny przekazane przez Perry sprawiły, że natychmiast przestałam sobie zadawać powyższe pytania.

^[12] Hung Lo – amerykański aktor porno pochodzenia azjatyckiego.

– Przed chwilą dzwonił Lô. Znalazł piętnastolatka, który złamał lewą kość piszczelową i strzałkową w roku dwa tysiące trzecim. Francis Kealoha. Chłopaka hospitalizowano w Centrum Medycznym Queen's.

– Zastosowano wyciąg?

– Tak, proszę pani. Śruby usunięto po roku.

– Szybkie efekty.

– Szpital Queen's to jedyny na Hawajach wyspecjalizowany ośrodek zajmujący się urazami, dlatego Lô zaczął właśnie tam. Przycisnął jakąś tamtejszą laskę, żeby przeszukała bazy danych według naszych kryteriów. Kartoteka Kealohy pojawiła się natychmiast.

– Czy Lô skontaktował się z rodziną?

– Matka zmarła w dwa tysiące siódmym, ojciec zniknął wiele lat temu. Udało mu się jednak namierzyć siostrę. Glorię. Prawdziwy majstersztyk. Gloria powiedziała, że ostatni raz widziała brata albo z nim rozmawiała trzy lata temu. Tak sądzi.

– Czy Lô dowiedział się o jakichś kolegach z pracy, o kimkolwiek, kto mógłby zauważyć zniknięcie Kealohy?

– Gloria przysięga, że nie zna żadnych przyjaciół brata i nie ma pojęcia, gdzie przez ostatnie kilka lat mieszkał. Ani czym się zajmował. Lô pracuje nad tym. Jadę teraz do szpitala Queen's. Może chce się tam pani ze mną spotkać?

– A może Lô podrzuci te karty szpitalne do mojego biura?

– Lekarz prowadzący to palant. Mówi, że nie wyda żadnej dokumentacji bez zgody rodzica albo opiekuna. Albo świadectwa zgonu.

– Kretynstwo.

– Tak.

– Ile lat ma Gloria?

– Trzydzieści dwa.

– Więc w czym problem? Lô może wydobyć zgodę od niej.

– Gloria to prostytutka, nie przepada za glinami. Telefon od Lô musiał ją wystraszyć,

ponieważ przestała odbierać kolejne. Pojechał tam, nikt mu nie otworzył, cisza, żadnej reakcji.

– Czego dowiedział się Hung w salonach tatuażu?

– Wygląda na to, że ten motyw z rekinem jest dość popularny. Jedynym niezwykłym elementem były te dziwadła wzdłuż jego górnej granicy. Zdaniem jednego tatuażysty zostały prawdopodobnie dodane później. Ten cały tatuaż na kostce może się okazać po prostu spartaczony.

– Jak się nazywa lekarz Kealohy?

– Sydney Utagawa, ortopeda.

– Gdzie ma się pani z nim spotkać?

– W jego gabinecie w szpitalu Queen's. Możemy zajrzeć do karty, ale tylko na miejscu.

– Proszę mi powiedzieć, jak tam trafić.

Powiedziała.

– Będę za dwadzieścia minut.

Gdy kapitan James Cook natknął się na Wyspy Hawajskie w roku tysiąc siedemset siedemdziesiątym ósmym, zamieszkiwało je około trzystu pięćdziesięciu tysięcy ludzi. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym czwartym roku, kiedy na tron wstępował Alexander Liholiho, znany jako król Kamehameha IV, liczba ta spadła do mniej więcej siedemdziesięciu tysięcy. Takie skutki miało przywleczenie tu mikroorganizmów ze świata Zachodu.

Od dnia koronacji król K. wraz z małżonką, królową Emmą Naea Rooke, walczyli o stworzenie systemu opieki zdrowotnej dla tutejszych Polinezyjczyków. W roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym dziewiątym marzenia pary królewskiej zostały zrealizowane w postaci maleńkiego, liczącego osiemnaście łóżek lazaretu. Rok później na działce zwanej Manamana, u stóp Punchbowl, wzniesiono większy, stale funkcjonujący ośrodek zdrowia, który nazwano Szpitalem Królowej (Queen's Hospital).

Z biegiem lat placówka rozrastała się i teraz zajmowała już nie tylko koralową skałę, jak u swego zarania. Przybywały kolejne budynki, z sekwoi, wywalczone przez ich wysokości. Szpital zmienił nazwę na Centrum Medyczne Queen's. Obecnie stanowi megakompleks składający się z wysokościowców, wielopoziomowych parkingów, ośrodków badawczych i terapeutycznych różnych specjalności, biurów z gabinetami lekarskimi, bibliotek medycznych i centrów konferencyjnych.

Po opuszczeniu Hickam zabłądziłam, ostatecznie jednak szczęśliwie trafiłam na Vineyard Boulevard. Zgodnie ze wskazówkami uzyskanymi od Perry skręciłam na Lusitana Street i znalazłam parking przy Biurowcu Lekarskim numer 1. Można odnieść wrażenie, że lekarze w nazywaniu swoich habitatów są nie bardziej kreatywni niż wojskowi.

A może po prostu ktoś nazywał rzeczy po imieniu. Biurowiec Lekarski numer 1 był jakimś kamiennym blokiem o architekturze pozbawionej jakichkolwiek cech szczególnych. Tyle że z jednej jego strony rosło sobie ładne drzewo. Baobab? Sterkulia? Nie znam się na dendrologii.

Idąc w kierunku wejścia, zauważyłam główną kredowobiałą wieżę szpitala wystającą z głębi. W jej tle widać było stal i szkło drapaczy chmur wznoszących się w centrum miasta.

Wjechałam na górę windą, w towarzystwie dwóch mężczyzn i jednej kobiety – wszyscy w fartuchach szpitalnych ze stetoskopami sterczącymi z kieszeni. Kobieta przeglądała kartę pacjenta. Mężczyźni wpatrywali się w lampki z numerami pięter, które rozbłyskiwały kolejno w miarę, jak się wznosiliśmy. Dyskretnie odczytałam nazwiska na identyfikatorach.

Nussbaum. Wong. Bjornsen.

Zróznicowanie kulturowe. Honolulu to jest to.

Gabinet Utagawy mieścił się na trzecim piętrze. Perry już tam była, siedziała tyłem do drzwi. Kolce jej włosów nosiły aktualnie barwę gustownie karmazynową.

Za biurkiem tkwił mężczyzna w okularach z drucianymi oprawkami oraz wianuszkami włosów wokół głowy. Przypuszczałam, że jest to nieustępliwy doktor Utagawa.

Jego oblicze pokrywały plamy, co mogło wskazywać na zdenerwowanie. Albo trądzik różowaty. Znając Perry, stawiałam na to pierwsze.

Gdy weszłam, Utagawa wstał. Zbyt szybko, jakby ciesząc się z odsieczy. Jego lewa dłoń spoczywała na aktach, tworząc kopułkę, a rozstawione, wymanikiowane palce przypominały nogi pająka. Poza segregatorem na biurku nie było niczego więcej.

Podaliśmy sobie dłonie, wymieniliśmy się nazwiskami. Utagawa gestem wskazał mi krzesło obok pani patolog. Usiadłam. On też.

Utagawa wyrównał akta względem krawędzi biurka. Zaplótł na nich palce.

– Właśnie wyjaśniałem doktor Perry, podobnie jak wcześniej detektywowi, z którym rozmawiałem, że ta sprawa dotyczy małoletniego. Dopóki nie otrzymam zgody rodzica lub opiekuna, albo też nakazu sądu, mogę o zawartości tych akt mówić tylko tyle, na ile pozwala mi etyka zawodowa.

Utagawa skrzyżował ramiona, gotując się do boju.

– Przecież od czasu, gdy leczył pan tego chłopaka, minęło parę lat...

– Oczywiście – przerwałam Perry. – Absolutnie to rozumiemy i nie chcemy, żeby czynił pan cokolwiek, co naruszałoby zasadę poufności w relacji lekarz–pacjent.

Mars na czole Utagawy powoli łagodniał. Przytaknął moim słowom, chociaż bardziej ruchem powiek niż głowy.

– Proszę – posłałam mu swój najbardziej zniewalający uśmiech – powiedziec nam tyle, ile pan może.

Oczy Utagawy prześliznęły się na moment ku Perry, potem jego spojrzenie wróciło do mnie. Spuścił wzrok. Otworzywszy segregator, zaczął podawać fakty, które mógł ujawnić z czystym sumieniem.

– W dniu trzynastego sierpnia dwa tysiące trzeciego roku piętnastoletni Francis Kealoha został przywieziony karetką pogotowia na oddział pomocy doraźnej Centrum Medycznego Queen's. Kealoha doznał urazu lewej nogi podczas surfowania na desce. – Utagawa poprawił okulary. Przesuwał wzrokiem po karcie. – Lekarz pogotowia wykonał zdjęcia rentgenowskie i stwierdził, że wskazana będzie konsultacja ortopedyczna. Miałem akurat dyżur.

Wiele stron pominiętych.

– Po zbadaniu pacjenta skierowałem go na zabieg chirurgiczny. – Utagawa zacisnął wargi. Skończył.

– Kealoha miał złamanie dalszej przysady kości piszczelowej? – zasugerowałam.

– Między innymi.

– Ponieważ kość piszczelowa była niestabilna, zastosował pan leczenie za pomocą śruby dopiętowej i wyciągu, prawda?

– A następnie założyłem na kończynę gips. Nie było problemów infekcyjnych wywołanych przez śrubę chirurgiczną, złamanie wygoiło się do całkowitego zrostu.

– Jak długo zajmował się pan leczeniem pana Kealohy po jego wypisaniu ze szpitala?

– Aż do zdjęcia gipsu. Doradzałem kontynuowanie terapii, ale pacjent nie zgłosił się więcej. Podczas ostatniej wizyty skarżył się na lekką wtórną sztywność w stawie skokowo-piętowym.

– Posiada pan zdjęcia rentgenowskie pana Kealohy?

Oszczędne skinięcie głową.

– Czy mogłybyśmy porównać fotografie lewego podudzia pana Kealohy ze zdjęciami naszego NN?

Utagawa wstał i skierował się ku skrzynce podświetlacza zamontowanej na ścianie. Perry i ja poszliśmy za nim. Wielki czarny prostokąt błony rentgenowskiej znajdował się już na

miejscu.

Gdy Utagawa wciskał przełączniki uruchamiające lampy fluorescencyjne, Perry wyjęła przyniesione przez siebie zdjęcie rentgenowskie i umocowała je obok fotografii, którą Utagawa kazał wykonać w roku dwa tysiące trzecim. Utagawa ustawił oba filmy w równej linii.

Wszyscy przenosiliśmy spojrzenia ze zdjęcia wykonanego za życia pacjenta na fotografię szczątków i z powrotem, i jeszcze raz, porównując szczegóły budowy anatomicznej kości i ich mikrostrukturę.

Wszystko się zgadzało. Kształt i wielkość kostki. Średnica i obrys jamy szpikowej. Gęstość i zorientowanie wnek kostnych. Ilość i układ otworów.

Wielkość, głębokość, położenie oraz wygięcie śruby chirurgicznej.

– O rany – Utagawa przemówił za nas wszystkich.

Kilka minut później szliśmy już z Perry przez parking. Niosła ze sobą dwie duże brązowe koperty.

– Czy Lô i Hung planują przepytac sąsiadów Glorii Kealohy? – zapytałam. – Dowiedzieć się, czy Francis był znany w dzielnicy?

– Właśnie teraz się tym zajmują. Jeśli ktoś przypomni sobie zniknięcie Kealohy, to może będzie pamiętał, że w tym samym czasie zniknął również inny koleś. Cholernie by mi ułatwiły pracę takie dwie pieczenie na jednym ogniu. A Bóg dobrze wie, jak bardzo przydałoby mi się trochę wolnego. Dostaję mocno w tyłek za zamknięcie zatoczki Halona.

– Komu to przeszkadza?

– Wszystkim.

Życząc Perry powodzenia, skierowałam się do mojego samochodu.

Powrót do CIL nie miał raczej sensu. Ryan i Lily pojechali do Zatoki Żółwi.

Wybrałam numer telefonu komórkowego mojej córki.

Katy była podekscytowana. Jej nowy wpis na blogu wywołał masę reakcji. Chciała przez kilka kolejnych godzin dalej się nim zajmować, a potem wyskoczyć na plażę.

Nawietrzna część Oahu rozciąga się na przestrzeni około sześćdziesięciu pięciu kilometrów od Kahuku Point na północy do Makapu'u Head na południu, skąd do Lanikai, które leży między zatokami Kaneohe i Waimanalo, jest mniej więcej trzy czwarte tego dystansu.

Zastanawiałam się przez chwilę. Podjęłam decyzję.

Zamiast jechać na zachód do Pali, a potem na wybrzeże, wybrałam dłuższą drogę do domu, okrążającą wyspę w kierunku jej najdalej na południe wysuniętego krańca, a następnie zawracającą na północ. Widoki powinny zapierać dech w piersiach, a przy odrobinie szczęścia może uda mi się nawet zobaczyć wieloryby. Albo paru zapalonych surferów.

Kohola i *goli kane* nie stanowili dla mnie jedynych wchodzących w grę atrakcji. Moja trasa przebiegała bowiem obok zatoczki Halona, czyli miejsca, gdzie odnaleziono kostkę u nogi należącą do Francisa Kealohy. Byłam tam już wcześniej, jednak niezbyt rozglądałam się po okolicy. Teraz chciałam przyjrzeć się temu miejscu bliżej.

Zapiąwszy pas, wyjechałam z parkingu i włączyłam się do ruchu.

Minęłam Waikiki, skierowałam swojego cobalta ku Diamond Head i przemknęłam przez dzielnicę wypasionych domów jednorodzinnych. Kahala. Tereny rodzinne Lapasów.

Za Kahalą droga H-1 kurczy się do wąskiej dwupasmówki, nazywanej szosą Kalaniana'ole. To droga krajowa numer 72. Tego dnia hawajskie tropiki były wręcz idealne. Odkręciłam szybę w oknie i pozwoliłam, aby wiatr bawił się moimi włosami.

Jadąc szosą Kalaniana'ole dalej, mijałam Hawaii Kai, zatokę Hanauma oraz Koko Head. Zatrzymywałam się przy każdym miejscu widokowym po drodze. Po czterdziestu minutach zaparkowałam przy tarasie panoramicznym nieopodal Makapu'u Beach Park i wysiadłam z samochodu. Na małym parkingu tłoczyło się ponad dwadzieścia pojazdów.

Po prawej wyrastały w oddali urwiste klify Makapu'u Point. Po lewej turyści z wycelowanymi aparatami fotograficznymi otaczali kapryśny gejzer Halona, czekając, aż wytryśnie.

Daleko w dole, przy najdalej na południe wysuniętym cyplu, leżała zatoczka Halona, złoty półksiężyc otulony potężnymi czarnymi klifami. Plaża *Stąd do wieczności*.

Na piasku nie było widać ani jednego wysmarowanego olejkami do opalania ciała. Ani jednego spalonego na brąz surfera szybującego po falach zatoczki Halona. Świeżo ustawione znaki blokowały wąską ścieżkę wijącą się w dół klifu. *Kapu! Wzbronione!*

Stałam przez chwilę, zastanawiając się, w jaki sposób Francis Kealoha i jego nieznany z nazwiska towarzysz skończyli swe życie w zatoczce. Czy zeszli tym kamienistym szlakiem w dół, aby popływać? Aby łowić ryby? A może zmarli w innym miejscu, a ich ciała zostały tu przyniesione przez wody i wciśnięte w skały? Czy rekiny zaatakowały, gdy mężczyźni jeszcze żyli? A może tylko pożywiały się ich szczątkami, kiedy martwi znaleźli się w wodzie?

Nie znałam odpowiedzi. Co dziwne jednak, poczułam się lepiej, odwiedzając to miejsce.

Za Makapu'u Point okrążyłam zatokę Waimanalo; znajduje się tu najdłuższa na Oahu piaszczysta plaża, ciągnąca się nieprzerwanie przez pięć i pół kilometra. *Makai*, czyli „w kierunku oceanu”, huk fal rozbijających się o skalistą linię brzegową, krople słońca rozbłyskujące na ich grzbietach. *Makau*, czyli „ku lądowi”, wyniosłe góry, chłodne i zielone,

jakby chciały zainspirować Moneta albo Gauguina.

Przyglądałam się kolejce pojazdów z chętnymi do surfowania, gdy nagle poczułam lekkie stuknięcie, a mój cobalt zakołysał się.

Nacisnęłam pedał hamulca. Spojrzałam w lusterko wsteczne.

Na ogonie siedział mi czarny SUV. Miał przyciemniane szyby, popołudniowe słońce odbijało się od szkła.

Zmrużyłam oczy, starając się zobaczyć osoby we wnętrzu pojazdu. Zwalistość sylwetek kierowcy i jego towarzysza wskazywała, że są to mężczyźni.

– No cóż, tobie też wszystkiego dobrego. – Wpatrując się w lusterko, zredukowałam prędkość.

SUV się oddalił.

Moje oczy skierowały się z powrotem na drogę.

Kilka sekund później poczułam kolejne uderzenie, tym razem silniejsze.

Przez otwarte okna słyszałam ryk silnika.

I znów oczy pomknęły ku lusterku, a stopa do hamulca.

Z przerażeniem obserwowałam, jak SUV gwałtownie skręca, lekko hamuje i wali w mój tylny błotnik od strony kierowcy.

Światła stopu rozprysły się.

Tył cobalta zarzuciło w prawo.

Ogarnął mnie gniew, szybko zastąpiony przez strach, gdy prawe tylne koło wypadło z drogi na pobocze.

Ściskając z całej siły kierownicę, walczyłam o kontrolę nad pojazdem.

Niedobrze. Lewe koło też poza jezdnią.

Świat kołysał się na boki, ja buksowałam.

SUV zniknął gdzieś za łukiem drogi po mojej prawej. Masywne ramię machnęło mi z okna od strony pasażera.

Nie było to wprawdzie urwisko, ale i tak wyspa opada tu do morza dość stromo, brzeg jest skalisty. Barierek ochronnych brak.

Za mną tłukła się fala przyboju.

Puściłam hamulec i wcisnęłam pedał gazu.

Silnik zawył, ale samochód nie ruszył się z miejsca.

Nacisnęłam mocniej. Koła wypluwały żużel w powietrze.

Cobał zaczął się z wolna ześlizgiwać.

Łomot serca. Szukam zwalnicza pasa bezpieczeństwa.

Klamra wysunęła mi się z rąk.

Samochód wciąż ześlizgiwał się w dół, z każdym metrem pod coraz większym kątem.

Gorączkowo podjęłam kolejną próbę.

Metalowe ustrojstwo dało się chwycić, wyskoczyło.

Cholera!

Starając się uspokoić drżące dłonie, ostrożnie uniosłam bolec zamka.

Kliknęło, zapadki puściły.

Z nagłym przechyłem tylna oś zsunęła się w tył. Samochód nabierał szybkości. Zrzucając z siebie pas bezpieczeństwa, szarpnęłam za klamkę.

Za późno!

Zaskrzypiał metal. Samochód gwałtownie spadał.

Adrenalina zalała moje ciało.

Jedna sekunda? Dwie? Tysiąc?

Bagażnik cobalta walnął o skałę, uderzyłam głową o kierownicę.

Przez chwilę auto utrzymywało równowagę, przód chłodnicy sterczał ku niebu.

Gdy teraz o tym myślę, przypominają mi się samochody zaparkowane na poboczu. Gapie o szeroko otwartych oczach i ustach w kształcie okrągłej litery O. Ale w owej chwili nie zwróciłam najmniejszej uwagi na ten widok.

Minęły wieki, a potem, jakby w zwolnionym tempie, cobalt sturlał się do morza.

Grawitacja albo wstrząs wzięły mnie we władanie. Uderzyłam kręgosłupem o drążek skrzyni biegów, a potem poleciałam na drzwi od strony pasażera. Jakimś cudem nie tracąc przytomności.

Woda wsiąkała w moje ubranie i włosy. Wyżej, przez okno od strony kierowcy, widziałam niebo i chmury.

Uchwyciwszy prawą ręką kierownicę, a oparcie fotela lewą, podciągnęłam się w górę ponad centralną częścią deski rozdzielczej ku drzwiom od strony kierowcy. Samochód zachybotał się.

W mojej głowie krzyczał jakiś głos.

Wychodź!

Ale jak? Jak obniżyć do połowy otwarte okno?

Nie ma zasilania!

Spróbować się przecisnąć?

Utknę tam i utonę!

Dolna część cobalta nabrała już kilkanaście centymetrów wody.

Otworzyć drzwi?

Śmiało!

Zdesperowana pociągnęłam za klamkę i obiema rękoma popchnęłam mocno w górę.

Znajdowałam się chyba pod niewłaściwym kątem. Albo moje ręce były zbyt słabe. Drzwi nie drgnęły.

Do moich uszu dotarł bulgoczący dźwięk. Spojrzałam w dół.

Dwadzieścia pięć centymetrów.

Myśl!

Oczy przeszukiwały niewielką przestrzeń, w której byłam uwięziona. Unoszące się w wodzie okulary przeciwsłoneczne. Mapa. Żadnej torebki.

Tak!

Wyszarpnęłam kluczyki ze stacyjki i zaklinowałam klamkę drzwi w pozycji otwarte. Następnie, stękając z wysiłku i strachu, chwyciłam rękoma kierownicę oraz oparcie fotela, zgięłam kolana i uderzyłam obiema stopami.

Drzwi wystrzeliły w górę, huśtawką opadły w dół. Błyskawicznie złapałam je, uniemożliwiając zatrzaśnięcie się zamka.

Fotel po stronie pasażera był już do połowy zanurzony w wodzie.

Wypchnąwszy drzwi bardziej, podciągnęłam się w kierunku otworu i wyrwałam do góry, na zewnątrz.

Swobodny spadek, potem uderzenie. Słona woda wypełniła mi usta i uszy. Zamknęła się ponad moją głowę.

Wypłynęłam, zaczerpnęłam powietrza. Napór fali najpierw przesunął mnie w kierunku brzegu, a następnie wciągnął z powrotem w morze.

Mrugając oczami i starając się utrzymać na wodzie, oceniłam odległość dzielącą mnie od lądu. Tylko kilka metrów, ale przyływ był bardzo silny.

Gorączkowo wykonałam parę zamachów ramionami. Brak gruntu.

Nie walcz z prądem! Płyn z nim!

Ignorując instynkt kładący mi płynąć do brzegu, położyłam się na plecach. Wiedząc, że fale nadchodzą w równych odstępach, czekałam na chwilę ciszy. Testowałam.

Za głęboko.

Za głęboko.

Za głęboko.

W końcu moja stopa dotknęła dna.

Spróbowałam stanąć, ale straciłam oparcie dla nóg na pokrytych algami kamieniach. Fala przyboju rzuciła mną. Ból przeszył ogniem policzek i kolano.

Jeszcze jedna próba.

Znów mną rzuciło, tym razem na wielki głaz. Fale uderzały w moje ciało. Nie mogłam się stamtąd wyrwać. Nie mogłam oddychać.

Znikąd pojawiła się ręka, która chwyciła mnie za ramię. Silna.

Jeszcze jedna.

Odpychając się rękoma i nogami, jakby były z gumy, odsunęłam się od kamienia. Stałam w wodzie po pas.

Dwie obce twarze. Męskie. Młode.

– Nic pani nie jest?

Potwierdziłam, łykając powietrze.

– Może pani chodzić?

Ponownie skinęłam głową.

– O rany, proszę pani. To był niezły numer.

– *Mahalo* – wychrypiałam.

Ruszyliśmy w kierunku brzegu.

Gdy dotarliśmy na suchy ląd, moi wybawcy nalegali, by wezwać karetkę. Oświadczyłam, że nic mi nie jest. Naciskali. Odmówiłam i poprosiłam, żeby zadzwonili na policję z zawiadomieniem o wypadku drogowym z udziałem jednego samochodu, bez rannych.

Gdy młodzi mężczyźni odjechali, usiadłam, starając się zapanować nad trzęsącymi się kończynami. Moje wałące serce. Moje znękane nadnercza.

Nieustannie zadawałam sobie pytanie, o co w tym wszystkim chodzi. W jaki sposób ciąg wydarzeń, począwszy od śmierci w trakcie aktu autoerotycznego w okolicach Montrealu, doprowadził mnie do sytuacji, w której niemalże zginęłam na hawajskiej szosie? Czy wypadek ten miał związek z ofiarą znaną w Hemmingford? Z Platonem Lowerym z Lumberton w Karolinie Północnej? Ze sprawą prowadzoną w CIL? A jeśli tak, to z którą? Lowery'ego? Alvareza? Lapasy? A może z wylanym z pracy antropologiem Gusem Dimitriadusem? Z tym, czym zajmowałam się na prośbę Hadley Perry? Z Francisem Kealohą – ofiarą z zatoczki Halona ze śrubą chirurgiczną w kości? Z jego nieznanym nam towarzyszem? A może kolizja z SUV-em była ot, po prostu wypadkiem drogowym? Znalazłam się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie?

Gdy na powrót zaczęłam nad sobą panować, ruszyłam w kierunku gapiów. Jakaś młoda kobieta pożyczyla mi swój telefon. Susie. Ładne włosy. Bardzo nieładne zęby.

Katy nie miała samochodu. Danny był zajęty ceremonią powitalną. Perry zbierała cięgi od możliwych tego świata.

Bardzo niechętnie wybrałam numer Ryana.

Zdenerwował się. Spodziewałam się tego.

– Myślisz, że ci dranie specjalnie zepchnęli cię z drogi?

– Prawdopodobnie. Poczułam trzy kolejne, mierzone uderzenia.

– Rozpoznałaś ich?

– Nie.

– A samochód?

– Nie.

– Pamiętasz numer rejestracyjny?

– Nie.

– Byli pijani?

– To nie była jeszcze pora na drinka.

– Na pewno nie jesteś ranna?

– Nic mi nie jest. – Czwarty raz. – Ale cobalt do kasacji.

– Cholera. Lily właśnie pojechała na lekcję SUP.

– SUP?

– Stand-up paddlingu. Pływa się na czymś w rodzaju deski surfingowej w pozycji stojącej i wiosłuje. Nie pytaj mnie, jaki to ma sens. W każdym razie będzie niedostępna przez najbliższe dwadzieścia minut. – Poirytowane westchnienie. – Słuchaj, mogę podjechać po ciebie, zabrać cię do Lanikai i wrócić tu, gdzie jestem...

– A gdzie jesteś?

– W Wailei.

– To co najmniej godzina drogi stąd.

– Może mógłbym...

– Ryan, nic poważnego się nie stało.

Tak naprawdę czułam się okropnie. Byłam przemoknięta, kolano bolało jak diabli, po kontakcie z wulkaniczną skałą twarz wyglądała jak kotlet siekany oraz – oczywiście – nie miałam ani auta, ani pieniędzy.

– Jak dostaniesz się do domu?

– Gliny pewnie każą mi wypełniać stosy papierów. A może się zlitują. Albo wezwą dla mnie taksówkę. – Gdyby samarytanką Susie odjechała wraz ze swoim telefonem.

– Firma wypożyczająca samochody nie przyśle kogoś po ciebie?

– Słusznie. Stanę się *très* popularna w firmie Avis. – Obawiałam się tej rozmowy telefonicznej.

– Wypadek nie z twojej winy.

– Ta wiedza na pewno da im satysfakcję.

– Hej?

Odwrociłam się.

Z radiowozu wołał do mnie gliniarz. Starszy facet, jakieś pięćdziesiąt lat. Palenik. Funkcjonariusz policji Palenik też pewnie uzna mnie za osobę *très* wiarygodną. Żadnego dokumentu tożsamości. Brak prawa jazdy. Samochód trzy metry pod wodą.

– Sprawdzają pani relację – wrzasnął Palenik, budząc zainteresowanie gapiów. – Może byśmy się zabrali do roboty?

– Zaraz przyjdę – odkrzyknęłam i odezwałam się do Ryana: – Słuchaj, muszę lecieć. Spotkamy się w domu.

Miałam rację. Tolstoj zużył mniej papieru na napisanie *Wojny i pokoju*, niż policja Honolulu przeznaczona na jeden wypadek drogowy.

Kończyłam wypełniać ostatni formularz, kiedy biały ford crown victoria wykonał zgrabny zwrot w kształcie litery U i zatrzymał się na poboczu po naszej stronie. Było już puste, nie licząc radiowozu, w którym siedziałam z Palenikiem.

Kierowca crown vica wysiadł i ruszył w naszym kierunku, podciągając spodnie. Białe. Jego wyłożona na spodnie hawajska koszula była niebiesko-czerwona. W lewej ręce ścisnął sportową torbę.

Patrząc na jego posturę, miałam wątpliwości, czy to dorosły facet.

Palenik, nie ruszając się, obserwował go znad kierownicy.

Nie ma alarmu. OK. Też czułam się wyluzowana.

Kwestia wieku wyjaśniła się, kiedy się zbliżył. Nasz gość mierzył metr sześćdziesiąt i mógł ważyć maksymalnie pięćdziesiąt pięć kilo. Po przyjrzeniu się jego twarzy z bliska doszłam do wniosku, że przekroczył czterdziestkę. Wystające kości policzkowe oraz schowana górna warga wskazywały na azjatyckie pochodzenie. Turkusowe oczy i rudawe włosy sugerowały też obecność innego rodzaju genów.

Mężczyzna oparł się ramieniem o dach nad oknem od strony kierowcy, pochylił i odezwał do Palenika.

– Aloha, Ralph.

– Aloha, detektywie.

Detektywie?

– Jak leci?

– Nie narzekam.

Turkusowe oczy spoczęły na mnie.

– Doktor Brennan, jak sądzę^[13]?

Palenik wyszczerzył zęby. Jako pierwszy.

– Długo pan czekał, żeby zacytować kiedyś te słowa?

– Fajnie jest dodać do starych klasycznych sentencji własne zabarwienie.

Detektyw Bezimienny też uśmiechał się szeroko.

Ubranie kleiło mi się do ciała. Po twarzy ściekał makijaż. Na głowie miałam słonawą, mokrą płataninę włosów. Samochód nadawał się do kasacji. Nie było mi do śmiechu.

– Więc tak, Ralph. Wiemy, kim ja jestem. I wiemy, kim ty jesteś. – Mój wściekły wzrok przeniósł się z Palenika na twarz wiszącą ponad oknem. – Może wskazana byłaby jakaś prezentacja?

Mężczyźni wymienili się uśmiezkami i spojrzeniami w rodzaju my-z-testosteronem-się-rozumiemy, po czym detektyw Bezimienny wyprostował się, okrążył radiowóz i otworzył moje drzwi.

– Ivar Lô. – Drobną dłoń wyciągnął w moją stronę.

Nie zdołałam ukryć zaskoczenia.

– Hung i...

Ręka się cofnęła.

– Mój partner zajmuje się teraz awanturą domową.

– Skąd pan wiedział...

– Detektyw Ryan pomyślał, że będą pani potrzebne suche rzeczy. – Lô cisnął sportową torbę na moje kolana. – Sorry, ale nie ma bielizny.

Powinam czuć się wdzięczna. Tymczasem byłam niemal wkurzona. I zawstydzona.

Lô wrócił do Palenika.

– Dostaliśmy telefon od faceta z tej samej branży, z wydziału zabójstw z Montrealu. Utknął na północnym wybrzeżu. Nie może się stamtąd ruszyć. Prosił, żeby to dostarczyć damulce w wyznaczone miejsce schadzki.

Dostarczyć damulce?

– To jej szczęśliwy dzień. Wygrała atrakcyjny obywatelski przejazd policyjnym radiowozem wraz z obsługą.

Lô posłał mi uśmiech.

Przejazd radiowozem? Z jednej strony Ryan bawił się w rycerza na białym koniu, z drugiej Lô traktował mnie jak głupawego telewidza fabularyzowanych programów o gliniarzach. W mózgu zapaliła mi się dobrze znana lampka rodzącej się złości.

Zapanowałam nad sobą. Nie było sensu zrażać do siebie tego małego durnia.

– Zupełnie wystarczy mi wezwanie taksówki.

– I czym pani zapłaci?

– Jestem pewna, że ...

– Skończyła pani ten formularz?

Wręczyłam Palenikowi twardą podkładkę pod papier.

– Ryan powiedział, że ma pani jechać ze mną. – Lô mówił do mnie zgięty w pasie.

– Doprawdy? – Zimno prosto z tundry. – Nie potrzebuję obywatelskiej przejażdżki radiowozem, detektywie Lô. Mnóstwo czasu spędziłam, uczestnicząc w policyjnych dochodze...

– Może się pani przebrać w moim samochodzie.

– Nie mam zamiaru...

– Pomoc drogowa już jedzie. – Przerwał mi Palenik. Właściwie czemu nie? Lô już tak zrobił. – Załatwię odholowanie.

– Mam u ciebie dług, stary – rzekł Lô.

Palenik uruchomił silnik. Subtelny gość z tego Ralpha.

Ściskając torbę sportową od Lô, wysiadłam z radiowozu i trzasnęłam drzwiami. Mocno.

Lô wskazał na swój samochód.

– Zaczekam tutaj.

– I dokąd będzie ta obywatelska przejażdżka radiowozem policyjnym? – Zapytałam niezbyt uprzejmie.

– Pani partner spotka się z nami w Kalihi Valley.

Och?

– Mój informator twierdzi, że Francis Kealooha został zamordowany.

^[13]Nawiązanie do słów Henry’ego Stanleya, który w roku 1871 w wiosce tubylców nad jeziorem Tanganika odnalazł zaginionego Davida Livingstone’a, podróżnika. Stanley zwrócił się do Livingstone’a słynnymi słowami: *Dr Livingstone, jak sądzę?* (ang. *Dr Livingstone, I presume?*), chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że ma do czynienia z poszukiwanym podróżnikiem, gdyż w promieniu wielu kilometrów nie było żadnego innego Europejczyka.

Wnętrze crown vica śmierdziało sosem sojowym i czosnkiem.

Lô prowadził jak Ryan. Gaz. Hamulec. Gaz. Hamulec.

A może to tylko galon wody z oceanu chlupotał mi w brzuchu.

Po piętnastu kilometrach zaczęłam mieć mdłości.

Podjeżdżałam, że mam na sobie ubrania należące do Lô. Koszulka z papugą i pasek leżały prawie jak ulał, ale nogawki spodni kończyły się 7 centymetrów nad moimi rozmemłanymi sandałami.

Na policzku miałam świeżą ranę, a na czole guz wielkości śliwki. Włosy na głowie splątane. Kiepska sprawa. Nie miałam przy sobie grzebienia. Jedynie chusteczki, żeby usunąć rozplływający się tusz do rzęs.

Ponętna, nie ma co.

Radio wydało z siebie gwizd i wypluło to, co zwykle słycać w policyjnym radiu.

Lô założył okulary lennonówki. Czasami zerkałam w jego stronę.

Ostatecznie moje zaciekawienie okazało się aż nadto wyraźne.

– Norweska matka, wietnamski ojciec.

Natychmiast skierowałam wzrok przed siebie.

– I na szczęście mam wzrost po staruszku.

Znów spojrzałam na Lô.

– Ludzie się mnie boją – dodał z kamienną twarzą.

– Myślałam, że raczej pana koszulki.

– Tego też, taki mały bonusik.

Przez następny kilometr samochód wypełniała cisza. Wreszcie odezwał się Lô:

– Ten Ryan wygląda na ludzi.

– To królewicz z bajki.

– Twierdzi, że kręcicie ze sobą.

Nie odpowiedziałam.

– Mówi, że jest pani OK.

Mimo że nie potrafię sobie sama zorganizować transportu do domu. Odgryzłam się tą ciętą ripostą.

Prawdę mówiąc, bardziej byłam zła na siebie za to, że skontaktowałam się z Ryanem, niż na Ryana za wzięcie sprawy w swoje ręce. Wiedziałam przecież, jaki ma styl działania. A i tak zadzwoniłam. Moja wina. Ale do licha – mimo że to ukrywałam, cała się w środku trzęsłam.

– Rozczarowała mnie pani – powiedział Lô.

– Ja rozczarowałam pana?

– Ryan przysięgał, że określenie „damulka” spowoduje wylanie kubła pomyj na moją głowę.

– Doprawdy?

– Termin „obywatelski przejazd” to mój wymysł.

– Taki drobny bonusik.

– Otóż to.

– Powinien pan grywać w komediach, detektywie Lô. Albo załatwić sobie pracę autora tekstów dla Tiny Fey^[14].

– No, to miałoby sens. – Lô powoli kiwał głową, jakby poważnie rozważał moją sugestię.

– Ale najpierw zapuszczuję tego gnoja, który wysłał pani wóz na orbitę.

– Sądzi pan, że celowo?

– Mam zamiar to ustalić. – Lô obrzucił mnie szybkim spojrzeniem. – Jeśli pani chce, mogę panią zawieźć do Lanikai.

– Czuję się znacznie lepiej, niż wyglądam. – To nie była prawda, wołałabym jednak zjeść własny język, niż przyznać się do słabości.

Lô wzruszył ramionami.

– Jak pani chce.

– Proszę mi opowiedzieć o Francisie Kealohu.

– Jego siostra mieszka niedaleko Kalihi Valley. KPT. Piękny kawał ziemi pod zabudowę.

Kuhio Park Terrace to największy na Hawajach kompleks mieszkalny budownictwa społecznego. Kalihi Valley Homes, kolejne wielkie monstrum, znajduje się całkiem niedaleko. Nie dziwi fakt, że większość przybywających do tego stanu osiedla się na początek w pobliżu Kalihi Valley. Czytałam, że ponad osiemdziesiąt procent mieszkańców tych terenów to Azjaci oraz mieszkańcy wysp Pacyfiku, z czego chyba połowa w wieku poniżej dwudziestu lat.

– Gloria. Świetna młoda dama. – Lô wyłączył radio jednym stuknięciem kciuka. – Wpadniemy na chwilę do siostruni, a potem pogadamy z moim informatorem. Ryan dojedzie tam do nas.

– Pański informator nie będzie miał nic przeciwko obecności kogoś obcego?

– Zrobi to, co mu każę.

– A jeśli Glorii nie ma w domu?

– Jest w domu. A tak przy okazji, niech pani udaje powietrze, gdy będę rozmawiał z tymi cwaniaczkami.

Pół godziny później Lô zaparkował samochód koło kompleksu wysokich budynków, które wyglądały jak koszmar żywcem przeniesiony z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Postawione w czasach, gdy celem budownictwa społecznego było odizolowanie i separowanie, KPT odznacza się ciepłem i urokiem baraków w gułagu.

Po dziesięciu minutach oczekiwania, podczas których Lô stał spokojnie ze skrzyżowanymi ramionami, a ja dreptałam w miejscu, oplakując stratę mojego BlackBerry, dostaliśmy się do zatłoczonej windy towarowej, która zawiozła nas na piętnaste piętro.

Betonowy balkon biegł wzdłuż zsypów na śmieci, z których wystawały rozerwane reklamówki z supermarketów i aptek. Roilo się od owadów – ponad aluminiowymi puszkami, butelkami, brudnymi pieluchami jednorazowymi, kośćmi kurczaków, zgniłymi artykułami spożywczymi, zmiętymi chusteczkami.

Lô zatrzymał się przy mieszkaniu numer 1522 i uderzył w drzwi otwartą dłonią.

Żadnych odgłosów poza brzęczeniem much.

Jeszcze jedno walnięcie, głośniej.

– Policja Honolulu. Wiemy, że tam jesteś, Gloria.

– Idźcie sobie. – Stłumiony głos należał do kobiety, przypominał mamrotanie.

– Nie ma mowy.

– Nie jestem ubrana.

– Zaczekamy.

Mijały sekundy, po czym trzasnęły zamki i drzwi otworzyły się do środka.

Gloria Kealoha była wielka. Bardzo wielka. Miała skórę barwy gałki muszkatołowej i tlenione blond włosy, na twarzy zaś tyle makijażu, że wystarczyłoby dla całej wsi.

Klepiąc się po kieszeniach, Lô odszukał odznakę i pokazał ją.

– Detektyw Lô. Rozmawialiśmy już wcześniej w sprawie twojego brata.

– I powiedziałałam wszystko, co wiem.

– Francis nie żyje, panno Kealoha. Przykro mi z powodu pani straty.

– Pierdzielone życie. – Gloria zaciągnęła się głęboko do połowy wypalonym camelem sterczącym jej z palców.

– Ale pytania pozostają.

– I co z tego? Mam wystąpić w *Jednym z dziesięciu*? – Śmiech palaczki był kompletnie pozbawiony radości.

– Muszę znać nazwiska kolegów Francisca.

– Sorry, misiaczki, nie mogę teraz.

– To nie jest rozmowa towarzyska, Gloria. Pogadamy tutaj albo w centrum miasta.

– Jezu, kto umarł i uczynił cię Bogiem?

– Mój wujek.

– Pieprzę cię.

– Nie, dziękuję.

Oczy Glorii spoczęły na mnie.

– Kim jest ta haole?

– Doktor Brennan zidentyfikowała twojego brata.

– Co jest, dziewczyno, kurna? Zatrzymywałaś tą buźką pociąg?

– Przykro mi z powodu śmierci bliskiej ci osoby – powiedziałam.

– Jesteś jakimś koronerem czy coś? – Gloria szarpała się za stanik bez ramiączek. Tatuaż w kształcie pączka róży, który sygnalizował swą obecność w czeluściach głęboko wciętego dekoltu, teraz ukazał się ponad elastycznym materiałem jako kwiat rozciągnięty i przywiedły.

– Chcę znać nazwiska kolegów twojego brata. – Lô sprowadził znów rozmowę na właściwe tory.

– Już mówiłam. Wystarczy.

– Gdzie mieszkał Francis?

Gloria zaciągnęła się camelem, wydmuchała dym i rozwiąła go sprzed twarzy wymanikiowaną dłonią.

– Słyszałam, że pojechał do Kalifornii dwa lata temu. Kiedy ostatni raz miałam wiadomości, nadal tam był.

– Nie wiedziałaś, że Francis wrócił do Honolulu?

– Nie należeliśmy do takich, co wysyłają sobie kartki na święta.

– Jest coś, co możesz nam powiedzieć? – Głos Lô pobrzmiwał ostrzeżeniem w rodzaju „nie podskakuj mi tutaj”.

– Słuchajcie. – Gloria wzięła macha, rzuciła niedopałek i zmiażdżyła go podeszwą klapka. – Ja nic nie wiem. Chłopak był o dziesięć lat młodszy ode mnie. Dorastaliśmy w osobnych światach. Frankie nie miał jeszcze sześciu lat, kiedy ja wyfrunęłam z domu. Przysięgam uczciwie przed Bogiem, że tak naprawdę dobrze go nie znałam.

– Kop głębiej. Daj mi coś.

Gloria zdjęła sobie z wargi odrobinę tytoniu, przyjrzała się jej, po czym strzepnęła ją z palca.

– OK. Oto historia z naszego życia. Kiedy miałam czternaście lat, a Frankie cztery, mama zostawiła tatę dla faceta, którego poznała, pracując jako pokojówka w hotelu. Dwa miesiące później nasz stary utonął, miał wypadek na łódce.

Gloria zamilkła. Lô czekał w nadziei, że coś ją skłoni do rozwinięcia tematu. Nie doczekał się.

– Mama wyszła za straszego fagasa. Przysposobił nas. Półtora roku potem dupek zwiął. Chyba gotowa rodzina do wzięcia niezbyt mu w sumie leżała.

– Jak się nazywał?

– Sammy Kealoha.

Lô przyglądał się Glorii badawczo, gdy mówiła. Ja przyglądałam się Lô.

– Gdzie on teraz jest?

– To ty jesteś detektywem, ty mi powiedz.

– Jaki był stosunek twojego brata do niego?

– Nienawidził go z całej siły.

– Czemu?

– Frankie obwiniał Sammy'ego o to, że spieprzył mu życie.

– To znaczy?

– Cholera, sam sobie odpowiedz. Winił go za to, że zniszczył rodzinę, za to, że mieszkamy na takim osiedlu, za utonięcie taty, za to, że mamie odbiło, za wysypkę na dupie.

Gloria zgiętą ręką sięgnęła ku swojej twarzy, po chwili odbił się na niej wyraz zaskoczenia z powodu braku w ustach camela.

– Po odejściu Sammy'ego mama pracowała, gdy miała pracę, a jak nie miała, to piła. Gdy tylko skończyłam szesnaście lat, wyrwałam się do Kona robić mój interes.

– Twój interes?

Gloria skrzyżowała ramiona.

– Masaż terapeutyczny.

– Aha. Pamiętasz, czy twój brat miał jakieś tatuaże?

– Pewnie. Puszystego francuskiego pudelka na samym fiucie. Nazywał go...

– Powiedz mi coś, Gloria. Ten masaż terapeutyczny. Miałaś na to pozwolenie?

Lô wyciągnął z kieszeni zdjęcie. Gdy podawał je Glorii, rozpoznałam zbliżenie motywu z rekinem wytatuowanego na kostce u nogi znalezionej w zatoczce Halona.

Ledwie rzuciwszy na nią okiem, Gloria zwróciła fotkę.

– Pracuję dla Picassa.

– Czy Francis złamał sobie kiedyś nogę?

– No. Złamał. – Zaskoczenie w głosie Glorii brzmiało autentycznie. – Zapomniałam o tym.

Lô wykonał kolisty ruch ręką znaczący „powiedz mi coś więcej”.

– Kiedy był w szkole średniej.

Ponowny ruch ręki.

– Nie ma za dużo do gadania. Frankie napił się, poszedł na deskę, spadł. Wylądował w Queen’s. Matka zaliła się na to w paru listach. Była tak wkurzona, że aż żal mi się zrobiło dzieciaka i wysłałam mu pocztówkę.

Przez krótką chwilę w oczach Glorii pojawił się błysk wewnętrznego poruszenia. Szybko zgasł.

– Wtedy jeszcze mama pisywała do mnie. – Wzruszenie ramion. – A potem zmarła.

– Przykro mi – rzekł Lô.

– Co tam, kurwa. Najważniejsze, że mam za co być babce wdzięczna. – Mięiste ramię uczyniło zamach, wskazując zapuszczone otoczenie. – Dzięki mamie żyję w amerykańskim śnie.

Lô wyjął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją Glorii.

– Jeśli coś ci się przypomni, zadzwoń.

Ignorując wizytówkę, Gloria cofnęła się.

– I dopóki sprawa nie zostanie rozwiązana, nie wyjeżdżaj nigdzie bez powiadomienia nas – dodał Lô.

– No cóż, zdrańcy. Wybieram się do Monte Carlo popływać jachtem.

Gloria zamknęła drzwi.

Zamki się zatrzasnęły.

Gdy odjeżdżaliśmy, obejrzałam się za siebie.

Wieże Kuhio Park Terrace sterczały posępnie i beznadziejnie na tle idealnie błękitnego nieba.

Podobnie jak uwięzieni w nich mieszkańcy miałam smutne myśli.

^[14] Elizabeth Fey – amerykańska aktorka i scenarzystka, gwiazda serialu *Rockefeller Plaza 30*.

Gdy z Kuhio Park Terrace jechaliśmy do McDonald'sa naprzeciwko Centrum Handlowego Kapalama, Lô szkicował mi obraz człowieka, z którym za chwilę mieliśmy się spotkać. Nie pytałam, dlaczego odczuwał potrzebę podzielenia się ze mną tymi informacjami.

Informator Fitch był drobnym przestępcą, którego Lô uratował kiedyś przed aresztowaniem. Jako ćpun uważany za niegroźnego poruszał się swobodnie pośród gangsterów, kokainistów, alfonsów, dilerów narkotykowych, dziwek oraz narkomanów zaludniających półświatek Honolulu. W zamian za jedzenie i pieniądze dostarczał czasem Lô jakichś typowań albo oferował punkt widzenia człowieka z branży.

O czwartej po południu na parkingu przed McDonald'sem znajdowało się tylko parę samochodów.

Gdy kroczyliśmy przez asfalt, jakaś postać w wyblakłym żółtym T-shircie i podwiniętych spodniach od dresu w stylu LL Cool J przecięła nam drogę i pchnęła drzwi wejściowe tuż przed nami. Daszek o wiele za dużej czapki zasłaniał twarz, jednak owłosione łydki wskazywały na pleć męską.

Instynkt podpowiedział mi, że właśnie spotkaliśmy Fitcha.

Spojrzawszy najpierw w lewo, potem w prawo, informator policyjny ruszył w kierunku osobnego pomieszczenia na tyłach restauracji. Podobnie jak Lô, był niski i żyłasty. Jego wiek oceniałam na dwadzieścia parę lat.

Lô podszedł do kontuaru. Ja za nim.

Lô zamówił Big Maca, frytki i dwie cole.

Ja zamówiłam colę dietetyczną. Dziewczyna spojrzała na mnie dziwnie, ale nic nie powiedziała.

Lô zapłacił. Gdy czekaliśmy, zapach smażonego tłuszczu sprawił, że moje mdłości osiągnęły maksimum.

Tacę z naszym jedzeniem Lô zaniósł do osobnego kantorka na tyłach. Usiadłam i przysunęłam się do ściany. Lô opadł na siedzenie obok mnie.

Oczy policyjnego informatora poruszały się niespokojnie pod daszkiem czapki, sprawdziły restaurację, mnie, po czym spoczęły na Lô. Źrenice były brązowo-czarne, białka tej samej barwy wyblakłej żółci co T-shirt.

– Co to za laska?

– Myrna Loy.

– Co tu robi?

– Nie przejmuj się tym, Fitch.

– Co jej się, kurwa, stało?

– Wojownicy ninja.

Lô zdjął dwa napoje, jeden podał mnie, po czym pchnął mocno tacę. Za pomocą obu rąk Fitch przyciągnął ją do siebie.

– Nie podoba mi się to. – Krawędź stołu zaczęła stukać w ścianę. Ukryte pod nim kolano Fitcha podskakiwało niczym tłok.

– Trudno – powiedział Lô.

– Tego nie było w umowie. – Oczy Fitcha znów omiotły wnętrze. Przeciągnął ręką po szczęce.

– To moja impreza. – Lô wskazał na ścianę. – Przesuń się. Spodziewam się kolejnych gości.

Fitch otworzył usta, chwilę się zastanawiał, po czym przemieścił w lewo. Wszystkie ruchy tego człowieka były szybkie i nerwowe, jak kraba złapanego w sieć.

Lô i ja sączyliśmy colę.

Fitch zatopił zęby w swoim hamburgerze.

Lô wyjął z kieszeni mały notatnik i otworzył go. Kliknął długopisem na znak gotowości.

Gdy Fitch jadł, na zużyte opakowanie po hamburgerze spadały przywiedle kawałki sałaty. Odrobina pomidora. Kawałek sera.

– To moje zdrowie tutaj narażamy. – Gdy Fitch mówił, w jego ustach przewalały się przeżute kęsy wołowiny.

– Sam opychasz się tym świństwem – odparł Lô.

– Wiesz, o co mi chodzi. – Wargi i podbródek informatora pokrywał tłuszcz.

– A może przejdziemy do rzeczy? Przyglądanie się jak jesz nie należy do moich ulubionych zajęć.

Fitch wyciskał na frytki trzecią torebkę keczupu, gdy coś za naszymi plecami przykuło

jego uwagę.

Odwróciliśmy się. Lô i ja.

W naszą stronę szedł Ryan.

– Kto to jest, do diabła? – wysyczał Fitch.

– William Powell.

– Glina? – Fitch albo nie zauważył, albo zignorował drugi superzarcik Lô.

– No, Fitch. Glina.

– Szpicel? – Lewe kolano pompowało z szaloną energią.

– Aloha – powiedział Ryan.

– Aloha – odpowiedzieliśmy z Lô.

Ryan zeszywniał, widząc moją twarz. Ale nie powiedział ani słowa.

Z gniewnym grymasem Fitch przesunął się jeszcze bardziej w lewo.

Ryan wśliznął się do środka.

Ze wzrokiem skierowanym w dół Fitch przyciągnął tacę do siebie i dalej opychał się frytkami.

Lô sprawdzał, czy długopis działa, szybkimi ruchami rysując krótkie kreski.

– Więc co tam masz? – zapytał.

Fitch przełknął, pociągnął łyk napoju, chwycił papierową serwetkę i zgniótł ją. Jego oczy przesuwały się powoli między Ryanem, mną a Lô.

– To jest popierdalone, człowieku.

Lô nie odpowiedział.

– Jak ktoś się dowie...

– Nie dowie się.

Fitch stuknął się w pierś.

– To w końcu moja dupa...

– Jeśli nie chcesz pomóc, to spadam, mam sporo do załatwienia.

– Wiem, jak pracują gliny. – Głos Fitcha wpadł w wysokie, jęklive tony. – Wykorzystają człowieka i wyplują go na ulicę jak gumę do żucia.

Zwinięta w kulę serwetka trafiła w tacę i przetoczyła się w kierunku Lô.

– Uspokój się, Fitch, do kurwy nędzy.

Informator opadł na oparcie i skrzyżował ramiona.

– Cholera.

Jakaś kobieta podjechała z dziecięcym wózkiem do stolika obok nas, za przepierzeniem. Wyglądała na mniej więcej sześćdziesiątkę. Nie mogłam dostrzec dziecka, zastanawiałam się, czy jest jej. Dziwne, ale się zastanawiałam.

Oczy Fitcha przeniosły się na kobietę. Potem znów przeczesały restaurację.

– Nie mam zamiaru wyprawiać tu moich urodzin. – Lô żadną miarą nie starał się skrywać zniecierpliwienia. – Masz coś dla mnie czy nie?

– Gotówka? – zapytał Fitch.

Lô skinął twierdząco głową.

Pochyliwszy się do przodu, informator umieścił oba przedramiona na stole i zaczął stukać kciukami w brzegi tacy.

– OK. Twój facet wrócił jakieś pół roku temu...

– Francis Kealoha?

– Ta, ta.

– Wrócił skąd?

– Z Kalifornii. San Fran, chyba. Może Los Angeles. Tego nie jestem pewien.

– Lepiej, żeby to były solidne informacje.

– Ta, ta. Kealoha wrócił razem z koleśkiem zwanym Logo.

– Znasz prawdziwe nazwisko Logo?

Fitch potrząsnął głową.

Lô zapisał coś w notatniku. Potem odezwał się:

– Jesteś pewny, że to był Francis Kealoha?

– Ta, ta. Wychowaliśmy się razem w KPT. To był on.

– Mów dalej.

Kciuki Fitcha pstrykały i opadały.

– To wszystko. Frankie i Logo wrócili razem. Kilka miesięcy później zniknęli.

– Daj mi jakieś daty.

– Wyglądam na ich biuro podróży?

Spojrzenie Lô mogłoby zatrzymać globalne ocieplenie.

– OK. Wydaje mi się, że przestałem ich widywać jakieś trzy, cztery tygodnie temu.

Lô obrócił się ku mnie. Ramy czasowe się zgadzały, biorąc pod uwagę stan szczątków z zatoczki Halona.

Skinęłam głową.

– Gdzie Kealoha mieszkał?

– Słyszałem, że w Waipahu.

Lô zrobił kolejną notatkę. Potem rzucił:

– Kontynuuj.

– To wszystko.

– Więc niech twoja koścista dupa sama zapłaci za tego hamburgera.

Mijały sekundy.

Cała minuta.

Kciuki Fitcha opadły miękko, krawędzie tacy wydały skrzypiący dźwięk.

– To, co mówiłem, zasługuje na więcej.

– Nie czytasz gazet? To zły okres, jeśli chodzi o premie.

Fitch wskazał podbródkiem najpierw mnie, a potem Ryana.

– To ja tutaj ryzykuję.

Lô zastanawiał się przez chwilę. Potem powiedział:

– Jeśli to rzeczywiście będzie coś warte, to zobaczymy.

Dziecko obok zaczęło płakać.

Oczy Fitcha wykonywały swój taniec po otoczeniu.

– Chodzi o to, że Kealoha robił interesy tam, gdzie nie powinien.

– Czym handlował?

– Koka, zioło. To co zwykle.

– Komu się wciął?

– L'il Budowi.

Lô skinął głową, co wskazywało, że to nazwisko nie jest mu obce.

– Mów dalej.

Fitch wciągnął powietrze. Wydmuchał je. Pociągnął się za nos. Nachylił się jeszcze mocniej ku Lô.

– Na ulicy gadają, że L'il Bud wynajął płatnych cyngli.

– A gadają, kto to jest?

– Pinky Atoa. Ted Pukui.

Lô nagryzmołił nazwiska. Ponownie z jego zachowania można było wywnioskować, że je zna.

– Jak to się stało?

– Słyszałem, że zastrzelono ich w Makapu'u Point.

Wyobraziłam sobie urwiste skalne klify. Poszarpane przez rekiny szczątki w zatoczce Halona.

Przypomniała mi się też opowieść Perry o poecie samobójcy z Perth.

Przeszły mnie ciarki.

– Ma pani pytania, pani doktor?

Zrozumiałam, że Lô zwraca się do mnie. Po raz pierwszy odezwałam się do jego informatora.

– Ile lat miał Logo?

Fitch przyglądał mi się z twarzą bez wyrazu.

– Mniej więcej. Dwadzieścia? Czterdzieści? Sześćdziesiąt?

– Cholera, nie wiem. Może trochę więcej niż Kealoha.

– Opisz go.

– Ciemne włosy, ciemne oczy. Ciało jak wieloryb.

– To znaczy?

– Facet był wielki.

– Jak wielki?

– Metr osiemdziesiąt trzy, jakieś sto trzydzieści pięć kilo. Typowy Hamo. Dlatego kumali się ze sobą. Ci faceci są potężni.

Chwilę trwało, zanim pojęłam wagę tego komentarza.

– Kealoha to hawajskie nazwisko – powiedziałam.

– Zmienił je.

– Zmienił? – W moim umyśle zaczynała się materializować pewna myśl.

– Kiedy stara Kealohy tu przyjechała.

– Przyjechała skąd?

– Z Tafuny.

Przypomniała mi się żartobliwa uwaga Glorii na temat amerykańskiego snu. Sądziłam wtedy, że chodzi jej o Honolulu. A miała na myśli Stany Zjednoczone jako takie.

– Przedtem wiedli inne życie – rzekł Fitch.

Spoglądałam to na jednego detektywa, to na drugiego.

Wyraz twarzy Lô dowodził, że połączył ze sobą te same punkty co ja.

Lekki łuk brwi u Ryana powiedział mi, że nic mu się nie łączy. Ale dzielnie powstrzymał się od pytań.

– Czy mogę zobaczyć zdjęcie z sekcji zwłok, to od Perry? – udało mi się powiedzieć spokojnym głosem.

Lô wyjął z kieszeni fotkę w rozmiarach pięć na siedem i położył ją na stole.

Przyglądałam się zdjęciu uważnie.

Wewnątrz półksiężycowego kształtu widać było czarne i czerwone zawijasy. Z obu stron sierpa wychodziły filigranowe paski, sprawiając, że całość wyglądała jak *tapuvae*, tatuaż na kostce podobny do bransoletki.

Przy górnej krawędzi owej bransoletki tkwiły trzy dziwne elementy. Prawdopodobnie dodane później. Dwie odwrócone litery C oskrzydłające U.

Wiedziałam już, czym są.

– Papier i pióro poproszę – czułam ogromne podniecenie.

Lô podał mi swój długopis oraz kartkę z notatnika.

Ułożyłam kartkę papieru tak, aby jej dolna krawędź biegła wzdłuż przyciętej górnej granicy tych małych dziwnych elementów, a następnie pociągnęłam linię od każdego C w górę i do lewej, po czym skręciłam w prawo, zmieniając odwrócone C w S.

Lô obserwował to bez komentarza.

Zamknęłam U od góry, zmieniając je w literę O. SOS.

Lô patrzył przez chwilę na moje dzieło, a następnie sięgnął po telefon. Obróciłam zdjęcie i rysunek tak, aby Ryan mógł je zobaczyć.

– *Tabarnac*^[15] – powiedział.

^[15] Fr. „cholera” – przekleństwo używane w Quebecu.

Z telefonem przy uchu Lô wybiegł na zewnątrz. Fitch obserwował go niczym psiak pragnący nagrody.

Czekaliśmy.

Czułam, że Ryan ocenia moje obrażenia.

Trzy gimnazjalistki, chichocząc, przepychały się do toalety, każda z plecaczkiem na ramieniu.

Kobieta obok nas skończyła jeść i odjechała z wózkiem.

Fitch rozglądał się w pełnej napięcia ciszy.

Wreszcie Ryan głową wskazał kogoś za moimi plecami.

– Wrócił.

Wstaliśmy i przyłączyliśmy się do Lô na parkingu.

– Mój partner zamierza skontaktować się z Kalifornią, dowiedzieć się, co mają na Kealohę, i sprawdzić w bazie danych o gangach, kto to jest Logo.

– Pamiętaj, ani słowa o mnie.

Lô zignorował swojego informatora.

– Później Hung i ja zajmiemy się tropieniem tych dwóch: Atoi i Pukui.

– Słuchaj, muszę lecieć. – Fitch przerzucał masę ciała z jednej nogi na drugą. Nie było tego wiele do przerzucenia.

Lô wyszarpnął z tylnej kieszeni portfel i odliczył pięć dwudziestek.

Fitch wyciągnął łapę po banknoty.

Lô cofnął rękę.

– Będziemy w kontakcie?

– Ta, ta.

Lô wysunął dłoń do przodu.

Fitch chwycił pieniądze i szybko zniknął z pola widzenia.

– Dziwny koleś – rzekł Ryan.

– Facet jedzie na amfie.

– Jak większość donosicieli.

– Tak. – Lô spojrział na mnie. – SOS. Synowie Samoa. – Na jego ustach zaigrał prawie niewidoczny uśmiech. – Masz rację. Damulka jest niezła.

– Bywa genialna – rzekł Ryan.

Nie ma mowy, żeby damulka dała się w to wciągnąć. Nie odezwałam się.

– Gangsterski tatuaż. – Lô powoli pokiwał głową. – Przegapiłem tę możliwość.

– Honolulu ma jakieś problemy? – zapytał Ryan.

– Jeszcze niedawno odpowiedziałbym, że nie. Pewnie, że mamy tu gangi. Samoańczycy trzymają się razem, to oczywiste. Pewnie, że wszyscy zachowują się jak pieprzone gnojki. Ale jak dotąd tutejsza przestępczość przypominała walkę gangów z West Side Story. – Lô wsunął lennonówki na nos. – Ostatnio problemy przybrały na sile.

– W jaki sposób? – spytałam.

– Nie tak dawno temu pewien gangster o ksywce Lingo został zastrzelony w Chinatown. Tydzień później doszło do morderstwa przez pchnięcie nożem.

– Odwet?

Lô skinął twierdząco głową.

– Obie ofiary to Samoańczycy. Świadek zdarzenia stwierdził, że jeden ze sprawców krzychał „KPT SOS”.

– Kuhio Park Terrace. Synowie Samoa – wyjaśniłam Ryanowi.

– Może to wojna gangów – powiedział Ryan.

– Dwa gnojki z Oakland przyjechały tu wykonać wyrok – rzekł Lô. – Podejrzewamy, że handlarze z zachodniego wybrzeża chcą wejść na nasz teren.

– A miejscowi są temu przeciwni – stwierdził Ryan.

– I nie chcą ustąpić.

– W takim razie informacje od Fitcha to potwierdzają.

– Tak – powiedział Lô. – To prawda.

O szóstej Ryan i ja wciąż staliśmy w korku. Ciężka harówka, naprawdę.

Z telefonu Ryana zadzwoniłam do Katy, powiedziałam jej o wypadku i że właśnie jedziemy do domu.

Chciała znać szczegóły. Starając się uniknąć większości pytań, zapewniłam ją, że czuję się dobrze. zaproponowała, że przygotowuje coś szybkiego na kolację.

Następnie zrelacjonowałam Ryanowi rozmowę Lô z Glorią Kealohą.

– Ale aż do spotkania z Fitchem nie wiązałaś sprawy z Samończykami – stwierdził.

– Nie.

– Co cię naprowadziło na trop?

– Hamo. Tafuna. Waipahu – powiedziałam.

– Klaatu. Barada. Nikto – rzucił.

– Co takiego?

– *Dzień, w którym zatrzymała się Ziemia?*

Nie rozumiałam.

– Jaskierku. – Udawane rozczarowanie. – Rok pięćdziesiąty pierwszy? Michael Rennie i Patricia Neal? Neal wypowiada te trzy słowa do Gorta i Ziemia zostaje ocalona. Nieważne. Prawdopodobnie nie możesz się skupić, bo jestem przystojny i pełen uroku. Jak na podstawie relacji Fitcha trafiłaś na trop Synów Samoa?

– Trzy sprawy. Po pierwsze, użył terminu Hamo. W slangu oznacza to Samończyka.

– Myślałem, że to rodzaj mielonki, która dobrze smakuje z serem.

Zignorowałam to.

– Samoński należy do polinezyjskiej rodziny językowej. W niektórych dialektach litera „h” występuje zamiennie z „s”. Dlatego Samoa staje się Hamoa.

– Stąd Hamo. Nie wiedziałem o tym.

– Po drugie, Tafuna to miasto w Samoa Amerykańskim. Fitch mówił, że rodzina Kealoha przyjechała stamtąd.

– Tyle że tam u siebie nie nazywali się Kealoha. – Ryan milczał przez chwilę. – W jaki sposób kobieta z dwoma nieletnimi, bez pracy ani zawodu, zdołała wyemigrować do USA?

– Wprawdzie nie są obywatelami amerykańskimi, ale osoby urodzone na Samoa Amerykańskim są traktowane jako Amerykanie, mogą podróżować po całych Stanach Zjednoczonych i terytoriach zależnych.

– OK. A po trzecie?

– Waipahu. Na Oahu istnieją dwa całkiem spore skupiska Samończyków, jedno nieopodal Kalihi Valley, drugie w Waipahu.

– Kealoha mieszkał w Waipahu.

– *Voilà.*

– Ale jak udało ci się to wszystko powiązać z Synami Samoa?

– Pamiętasz tego chłopaka, którego zidentyfikowałam jakieś półtora roku temu? Tego z tatuażem na całym ciele?

– Latynoskiego Króla zadżganego przed barem w Sainte-Anne-de-Bellevue?

– Tak. Spędziłam wiele godzin, badając tatuaże gangsterskie, żeby wyjaśnić tę sprawę.

– Czapki z głów, Brennan.

Zanim zdołałam podziękować, Ryan wykonał typową dla siebie operację gwałtownej zmiany tematu, od której może zakręcić się w głowie.

– Opowiedz mi o wypadku.

– Już mówiłam.

– Zrób to jeszcze raz.

– Jakiś wóz stuknął w mój zderzak, zakręciło mnie raz, potem drugi, zajechał mnie znowu, wałnął w lewy tył. Skręciłam gwałtownie...

– Jaki samochód?

– Czarny SUV.

– Rocznik? Marka?

– Wszystko działa się za szybko.

– Ile osób w środku?

– Dwie. Chyba. Szyby były przyciemniane. Nie widziałam dobrze.

– Mężczyźni czy kobiety?

– Tak.

Ryan rzucił mi spojrzenie, w którym nie było śladu rozbawienia.

– Pasażer był z całą pewnością mężczyzną – powiedziałam.

– Skąd wiesz?

– Pomachał do mnie.

Ryan pozwolił, by minęło kilka chwil. Potem się odezwał:

– Lô uważa, że to nie był wypadek.

Ja też tak uważałam. Nie chciałam jednak zastanawiać się nad implikacjami tego faktu.

– Co podejrzewa? – spytałam.

– Że to celowe działanie – odpowiedział sarkastycznie.

– Świetnie – odparłam. – Adwokat diabła. Kto chciałby mi zrobić krzywdę albo przynajmniej mnie nastraszyć?

– Zacznijmy od tego, co nieprawdopodobne, i drążmy dalej.

Ryan zabębnił niespokojnymi palcami po kierownicy.

– Oto teoria numer jeden. Wkurzyłaś lokalnego mafiosa, domagając się, aby udostępnił próbkę swojego DNA.

– Nickiego Lapasę? To śmieszne.

– Naprawdę? A jak stary Lapasa rozpoczął swoją karierę?

– Nikt nigdy mu nie udowodnił, że tamten wypadek samochodowy...

– OK. To może inny pomysł. Pewien stuknięty antropolog sądowy uważa, że stracił przez ciebie pracę.

– Dimitriadus może jest stuknięty, wątpię jednak, żeby uciekał się do przemocy.

– Potraktował cię łokciem.

Przypomniawszy sobie scenę w JPAC, musiałam przyznać, że Dimitriadus był wtedy bardzo zdenerwowany.

– I możesz nazwać mnie wariatem, ale przecież niedługo zidentyfikujesz dwóch ludzi zamordowanych w trakcie wojny narkotykowej.

– Prawdopodobnie zamordowanych.

Kolejne krytyczne spojrzenie Ryana.

– Ponadto nikt jeszcze o tym nie wie – dodałam.

– Słusznie. Gangi uliczne słyną z fatalnej siatki komunikacyjnej.

– Jeszcze inna teoria. – Zabrzmiało to bardziej zgryźliwie niż zamierzałam. A może nie. – Weszłam w paradę dwójce pijaczków.

– Aha – rzekł Ryan.

Spodziewałam się, że nasze córki jak zwykle blogują osobno na swoich komputerach. Ku memu zaskoczeniu Katy i Lily były w kuchni razem. Z głośników leciała muzyka zespołu *Tool*, obie śpiewały kawałek *Vicarious* do drewnianych łyżek udających mikrofony.

Zobaczywszy nas, Katy rzuciła się ku mnie pędem.

– O Boże!

Lily gapiła się z otwartymi ustami, łyżka zawisła w powietrzu.

– Powinniście zobaczyć tego drugiego gościa – powiedziałam, uwalniając się z objęć córki.

Nikt się nie roześmiał.

– Co na kolację? – spytałam żwawo.

– Mówiłaś, że to była kontrolowana stłuczka. – Ton głosu Katy zabrzmiał surowo. – Teraz tak się nazywa skasowanie samochodu?

– Nic mi nie jest – oświadczyłam. Po raz enty tego dnia.

– Gdyby nic ci nie było, nie włożyłabyś tej koszuli.

– Lubię ptaki.

– Masz mokre włosy. Twoja twarz to totalna masakra.

– Cóż to za bajeczny zapach?

– Przygotowałyśmy sos marinara – powiedziała Lily. – I krewetki.

– Pozwólcie, że się przebiorę. Nakarmcie mnie makaronem, a potem wam wszystko opowiem.

Uniosłam obie ręce, niczym szpieg gotowy zeznawać.

Katy przyglądała mi się podejrzliwie, gdy wspinałam się po schodach.

Po kilku chwilach byłam z powrotem, ubrana w czystą koszulę i szorty.

Przedstawiłam im nagie fakty. Bez wspomnienia o teorii Lô. Gwałtowny skręt. Uderzenie. Spadek. Ratunek. W tej wersji woda miała pół metra głębokości.

Kiedy skończyłam, Katy wdała się w typowe dla niej przesłuchanie krzyżowe.

– Myślałam, że pojechałeś do JPAC.

– Bo pojechałam. Na szczęście tam już wszystko załatwione. Co porabiałaś dzisiaj?

– A co ty robiłaś na południowym krańcu wyspy?

– Po wizycie w JPAC spotkałam się z patologiem sądowym.

– W sprawie tych facetów, których zjadły rekiny?

– Rekiny? – Lily wybałuszyła oczy.

Obrzuciłam Ryana pytającym spojrzeniem.

– Ależ tak – oświadczył. – Możesz jej spokojnie powiedzieć.

– Kilka dni temu w zatoczce na południowym krańcu wyspy znaleziono ludzkie szczątki. Patolog sądowa poprosiła mnie o pomoc. Chyba udało nam się ustalić, kim byli ci dwaj mężczyźni.

– Możesz zdradzić troszkę więcej szczegółów. – Oczy Ryana spoczęły ciężko na córce.

– Ofiary to prawdopodobnie członkowie gangu o nazwie Synowie Samoa. Wygląda na to, że zostali zamordowani i zrzućeni z klifów.

– Za handel narkotykami – dodał Ryan.

– Kim byli? – zapytała Katy trochę łagodniejszym tonem.

– Wybacz, kotku. Nie mogę powiedzieć.

– Ile lat mieli ci mężczyźni? – Czasem fakt, że Lily spędziła dzieciństwo na wyspie, słychać było w jej zaśpiewie. Jak właśnie teraz, w tym pytaniu.

– Byli w twoim wieku. – Ponownie Ryan skierował swoje słowa bezpośrednio do córki.

– To się stało na południowym krańcu wyspy? – dopytywała Katy.

– W Makapu’u Point. Spotkanie z patologiem skończyło się dość wcześnie, dlatego postanowiłam pojechać do domu trasą widokową. – Smętny uśmiech. Zabolało. – Zła decyzja.

Katy i Lily spojrzały sobie w oczy. Nie miałam pojęcia, jaki komunikat przekazywały.

– Hej, ten sos jest wyśmienity – powiedziałam. – Według czyjego przepisu?

– Pochodzi ze słoika – rzekła Lily.

– W takim razie zdrowie tego, kto robił zakupy – wzniosłam kieliszek.

Tylko Ryan stuknął się ze mną swoim drinkiem.

– Słuchajcie – rzuciłam. – Popatrzmy na pozytywy. Dostaniemy lepszy wózek.

Katy wyraziła opinię, że cobalt był strasznym gratem. Lily się zgodziła.

Lily uznała, że powinnam wziąć długą gorącą kąpiel. Katy poparła jej sugestię.

Katy na ochotnika zgłosiła się do zmywania naczyń. Lily oświadczyła, że jej pomoże.

Lily zaoferowała się zawieźć Katy na jej poranną lekcję surfingu. Katy przyjęła ofertę.

Wymieniliśmy z Ryanem spojrzenia. Czyżby...?

Faktycznie wzięłam kąpiel.

Zanurzwszy się po samą brodę w pachnące glicynią bąbelki, dokonałam przeglądu moich działań od momentu przyjazdu do Honolulu.

Skasowałam samochód. Świetnie. Jeden minus.

Ustaliłam, że Pająk Lowery nie zginął w Wietnamie. Wiadomość ta zniszczy zapewne

świat Platona Lowery'ego, ale przynajmniej prawda wyjdzie na jaw.

Zidentyfikowałam człowieka pogrzebanego w Lumerton w Karolinie Północnej. Czterdzieści lat po śmierci w katastrofie śmigłowca Luis Alvarez miał w końcu wrócić do domu.

Zlokalizowałam szczątki Xandra Lapasy. A zatem rodzina Lapasów też otrzyma jednoznaczne informacje, choć może nie takie, o jakie im chodziło.

Pomogłam Hadley Perry zamknąć sprawę ciał z zatoczki Halona. I znów udostępnić plażę. Być może teraz morderców Loga i Kealohy uda się postawić przed sądem.

A Lily i Katy zaczęły się dogadywać.

Lily miała rację. Hydroaromaterapia odprężyła moje mięśnie i uspokoiła nerwy. Wyszłam z wanny, czując się cholernie dobrze.

Obudziłam się z uczuciem, że jestem obserwowana.

Otworzyłam oczy.

Pokój był pogrążony w cienistej szarzyźnie. Przez drzwi balkonowe widziałam niebieskawoszare chmury zbierające się nad oceanem.

Zegar pokazywał ósmą czterdzieści.

– Będzie z tego niezły strup.

Przewróciłam się na plecy.

Katy stała obok mojego łóżka.

Usadowiłam się na pupie, podłożyłam sobie poduszkę za głowę i poklepałam materac.

Katy usiadła obok mnie. Zauważyłam, że trzyma jakiś papier.

– Wcześniej wstałaś – powiedziałam.

– Chyba coś schrzaniłam.

– To znaczy?

– Wiesz, że zeszłej zimy zaczęłam prowadzić bloga, prawda?

– Prawda.

– W jakiś sposób powstało powiązanie między moim blogiem a wielkimi sławami, takimi jak BuzzFeed i BlogBlast, a nawet Huffington Post. Aż trudno uwierzyć, że mam tak wiele wejść i aż tyle osób zostawiających komentarze.

– To świetnie.

Katy westchnęła.

– Nie świetnie?

– Ostatnio blogowałam w sprawie Coopa. Chciałam porozmawiać o głupocie wojny, o młodych ludziach umierających gdzieś daleko od domu, w obcych krajach, rozumiesz.

– OK. – Nie miałam pojęcia, dokąd to zmierza.

– Blog stał się bardzo popularny. Tyle że ludzie zaczęli rozprawiać o wszystkim, o dzieciach zabitych przez pijanych kierowców, o ofiarach strzałów z jadących samochodów, o zastrzelonych przez gliny. – Mówiąc, Katy nakręcała na palec pasemko włosów. – A ostatnio, dwa dni temu, zainicjowano nowy temat. Gangi.

A-ha.

– To znaczy jest już chyba jakieś dwieście postów dotyczących młodych ludzi, którzy zginęli w wojnach gangów.

Katy przeciągnęła swoim kosmykiem włosów po górnej wardze. Odsunęła go do tyłu. Powtórzyła całą procedurę.

– Czy ty wiesz, ile gangów działa w samym Los Angeles? – W jej głosie słychać było zaskoczenie i konsternację.

– Powiedz mi, że nie pisałaś nic o sprawie, o której rozmawialiśmy wczoraj wieczorem.

Milczenie.

– Napisałaś?

– Nie mówiłaś, że nie wolno – odparła defensywnie. – Ale nie podałam nazwisk. Nie mogłabym. Nie znam żadnego.

– Och, Katy.

– Byli młodzi, ktoś ich zabił. To smutne, mamó. Nawet jeśli to dilerzy narkotykowi.

– Wspomniałaś o mnie?

– Nie – padła szybka odpowiedź. – Ale napisałam, że morderstwa miały miejsce tutaj.

– Podałaś nazwę gangu?

Katy skinęła twierdząco głową.

Cholera!

– Dziś rano znalazłam ten post na swojej stronie.

Wręczyła mi kartkę z wydrukiem.

**POWIEDZ DÓRNEJ PANI DOKTOR ŻE JAK DOPIERDALA POTENŻNEMU
GANGOWI TO POTENŻNY GANG DOPIERDOLI JEJ. I WSZYSTKIM WROGOM.
POTENŻNY GANG SOS. SYNOWIE SAMOA CRIP. PODSKOCZYSZ SOS TO ZGINIESZ!!!**

Moje serce wykonywało teraz dodatkowe uderzenia. Zmusiłam się do uśmiechu, z całych sił pragnąc zachować spokój ze względu na Katy.

– Pani doktor. Czy może chodzić o ciebie? – spytała Katy.

Objęłam ją ramieniem.

– Internet jest pełen wariatów.

A niektórzy z nich zabijają, pomyślałam.

– Czy to groźba?

– Raczej wiele krzyku o nic.

– Skąd oni wiedzieli? To znaczy, skąd wiedzieli o tobie?

– Spokojnie. – Staralam się chwilowo zbagatelizować sprawę. Post był niezbyt jasny, pisany przez półanalfabetę. Jakie było prawdopodobieństwo, że miał coś wspólnego z wczorajszą kolizją?

– Czuję się okropnie. Nigdy nie podejrzewałam...

– Hej.

Obie uniosłyśmy głowy. W korytarzu stała Lily, ubrana w top od bikini i dzinsowe szorty. Wyjątkowo krótkie.

– Dobra. – Klepnęłam Katy w nogę. – Masz teraz lekcję surfowania. A potem, dziewczyny, co macie zaplanowane na dzisiaj?

– Panna Zadarty Nosek zgodziła się spędzić dzień na plaży. Zamierza zaryzykować opaleniznę na swoim chudym czarnym tyłku.

– Przynajmniej ja się cieszę, że nie muszę tego ryzykować, bo od razu dostałabym czerwonej wysypki.

Katy uniosła kciuk do góry. Lily jej się zrewanżowała. Obie się uśmiechały.

A niech mnie.

– Gdzie twój tata? – zapytałam Lily.

– W kuchni.

– Robi śniadanie?

Skinęła głową.

– Chodźmy jeść – rzekłam.

Kończyliśmy naleśniki z kokosem i mango, przygotowane przez Ryana, gdy zadzwonił telefon stacjonarny.

– Odbiorę. – Lily wystrzeliła ze swojego krzesła.

– Kto zakarował Lily? – spytałam.

– Nikt. Sama uznała, że jej się tu podoba – odparła Katy.

Spojrzałam na Ryana. Jego oczy spoczywały nieruchomo na córce. Zobaczyłam w nich miłość. I coś jeszcze. Nadzieję? Podejrliwość? Lęk?

– To jakiś facet nazwiskiem LaManche. – Lily przyciskała słuchawkę do piersi.

– Podejdę – rzuciłam zaskoczona.

Ryan uniósł pytająco brwi. Dlaczego sam szef dzwoni z Montrealu? W odpowiedzi też uniosłam brwi. Nie mam pojęcia.

– Dzięki za śniadanie. Zanim znikniecie, chciałabym was o coś zapytać.

– Ja nie znikam – rzekł Ryan.

Lily wręczyła mi telefon.

– *Bonjour*. – Wstałam i wyszłam na taras. – *Comment ça va?*

– *Sacrifice*, ona żyje. Temperance, już nie raczysz odpowiadać na moje telefony?

– Zgubiłam mojego BlackBerry.

Opowiedziałam LaManche'owi o wypadku.

– Nie jesteś ranna?

– Nie, wszystko dobrze.

– *Bon*. Więc otrzymałaś cenną nauczkę.

– Nie prowadź samochodu zbyt blisko pobocza tuż nad morskim wybrzeżem?

– Że SUV zawsze ma przewagę nad cobaltem.

- Zanotowałam. Co słyszeć?
- Złe wieści.
- Nie cierpię, kiedy ludzie zaczynają rozmowę od tych słów.
- Ja nie zacząłem. Poskarżyłem się na brak komunikacji z tobą.
- Co to za złe wieści?
- Otrzymałem wyniki badań DNA dzentelmena znalezionego w stawie w Hemmingford.
- John Lowery. Pająk.
- Wygląda na to, że nie.
- Co takiego?
- Według raportu to nie jest *monsieur* Lowery.
- Jak to? – Słyszałam słowa LaManche’a, ale ich sens nie docierał do mnie.
- Sekwencja genowa nie pasuje.
- Próbką była w złym stanie?
- Próbką była w nie najlepszym stanie, ale technicy dali sobie z nią radę. Wyniki wykluczyły pokrewieństwo.
- Skąd LSJML wziął próbkę do analizy porównawczej? Platon Lowery nie zgodził się przecież na pobranie wymazu.
- Miejscowy stróż prawa z Karoliny Północnej okazał się bardzo chętny do współpracy. Szeryf, nazwiska nie pamiętam, był szczególnie uprzejmy.
- Beasley? – Oczywiście. Wiedziałałam. Nie miałam racji.
- *Oui. C’est ça.* Szeryf Beasley przypomniał sobie, że matkę Johna Lowery’ego krótko hospitalizowano przed śmiercią. Ustalił, że szpital zachował preparaty histopatologiczne. Jedną próbkę przesłano do AFDIL. Na naszą prośbę drugą przekazano do sekcji zajmującej się DNA w LSJML. Materiał okazał się wystarczający, a wyniki badań dowodzą, że ofiara z Hemmingford nie jest synem Harriet Lowery.
- Ale próbka uległa degradacji.
- Temperance, oni nie mają wątpliwości co do wyników. Sekwencja DNA nie pasuje.

Topielec-zboczeniec to nie Pająk Lowery? Jak to możliwe? Więc kto?

Czy wykluczenie pokrewieństwa w testach DNA oznaczało, że myliłam się co do tożsamości człowieka pochowanego na cmentarzu Gardens of Faith w Lumberton w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym? Czy był nim jednak Pająk Lowery, a nie Luis Alvarez?

I co z Xandrem Lapasą? Nadal nie wiedzieliśmy, dlaczego przy Lapasie znaleziono nieśmiertelnik Pajaka Lowery'ego.

– Przykro mi. Wiem, że nie to miałaś nadzieję usłyszeć.

– Faktycznie, sir. Nie to. Ale dziękuję za wiadomość.

Stałam z telefonem w ręku, kiedy Ryan pojawił się za moimi plecami.

– Złe wieści?

Przekazałam mu informacje od LaManche'a w sprawie analizy DNA.

– A co z faktem dopasowania przez FBI śladów daktyloskopijnych?

– No właśnie.

– *Tabarnac.*

– No właśnie.

Już miałam opowiedzieć Ryanowi o blogu Katy, gdy nagle zadzwięczała jego komórka.

Katy i Lily zaśpiewały unisono w kuchni.

Sunny day. Keeping the clouds away.

– Mówi Ryan. – Machnięcie uciszające chichoty. – Mhm.

Ryan poklepał się po koszulce do golfa. Nie znalazł w niej kieszeni. Wykonał gest pisania piórem.

Podaliśmy mu papier i długopis z kontuaru kuchennego.

– OK. Wal.

Nagryzmolił na kartce coś, co wyglądało jak dwa nazwiska. Nastąpiła długa pauza.

– Kiedy?

Pauza.

– Jaki jest tam adres?

Kolejna notatka Ryana.

– Zaraz będziemy.

– Dzwonił Lô. – Przypiął sobie telefon do paska. – Przez ostatnie trzy lata Francis Kealoha zadawał się z gangiem SOS, z główną siedzibą w Oakland. Znany był jako Francis Olopoto.

– To pewnie jego oryginalne samoańskie nazwisko.

– A Logo nazywał się George Faalogo.

– Też samoańskie.

– Ted Pukui zniknął bez śladu, ale złapali Pinky’ego Atoę. Teraz trochę go przetrzymają, żeby zmiękł, a potem zgrillują. Hadley Perry też jest w to zaangażowana. A ponieważ reprezentujesz ją w tej sprawie, Lô zaprosił nas w roli obserwatorów.

– Czy to tutaj normalne postępowanie?

– Skąd mam wiedzieć? – Ryan zniżył głos. – Może ten mały facecik ma jakieś plany względem twojej niesamowitej pupci.

Ściągnęłam brwi i głową wskazałam w kierunku naszych córek.

– W takim razie po co zapraszał ciebie? – wyszeptalam.

– Bo wie, że mam prawo pierwszeństwa.

Przewróciłam oczyma w stylu, który powinien przynieść mi medal olimpijski.

– Czy Atoi postawiono już zarzuty? – spytałam.

– Nie. Facet jest właścicielem pitbula, podobno groźnego jak jadowity wąż. Wabi się Gata.

– *Gata* oznacza chyba właśnie węża.

– Wygląda na to, że Gata zabił pieska chihuahua należącego do jakiejś sąsiadki. Atoa myśli, że został wezwany właśnie w tej sprawie. Lô i Hung przez chwilę będą rozmawiać z nim głównie o psie, a potem przeskoczą do Kealohy i Faaloga.

– Będę gotowa za dziesięć minut.

Wzięliśmy samochód Ryana, z wypożyczalni. Pontiac G6. On prowadził, a ja skorzystałam z jego komórki, żeby zadzwonić do Danny'ego. Z miejsca opowiedziałam mu o wypadku.

– Dlaczego nie zadzwoniłaś od razu?

– Byłaś na ceremonii powitalnej.

Potem przekazałam mu to, co usłyszałam od LaManche'a. Danny był równie zszokowany jak ja.

– Chyba żartujesz.

– Chciałabym. Miałaś jakieś wiadomości od AFDIL w sprawie szczątków, które ekshumowałam w Lumberton?

– Powiedzieli, że nie ma mowy o zrobieniu testów DNA jądrowego, wątpili też, by udało się mitochondrialne. A poza tym brak materiałów porównawczych ze strony matki Alvareza. Wygląda na to, że możemy to sobie darować.

– LaManche mówił, że próbki od Harriet Lowery były w złym stanie. Myślę, że warto spróbować znaleźć inne źródło.

– Czy twoje laboratorium zapłaci rachunek za drugą rundę testów?

– Zostaw to mnie.

– Powinienem poprosić Platona jeszcze raz?

– A masz jakiś inny pomysł?

– Zadzwonię do niego – rzekł Danny.

– Co za zamieszanie – rzuciłam.

– Naprawdę zagadkowa sprawa.

W ciągu jednej ostatniej godziny wszystko wywróciło się do góry nogami.

Na szybach samochodu osiadała mgła. Jechaliśmy z Ryanem w kierunku miasta, a on cały czas bawił się wycieraczkami. Włączone. Wyłączone. Włączone. Wyłączone.

Komenda policji Honolulu mieści się przy Beretania Street w budynku z białego kamienia, który przypomina wielki kwadratowy statek. Jest oddalona zaledwie o kilka przecznic od Botox Spa, markowych sklepów i parasolek w jaskrawe paski na Waikiki Beach, ale zaludniają ją istoty z innego świata.

Udzielone przez Lô wskazówki doprowadziły nas na trzecie piętro. Wjechaliśmy tam windą zapchaną urzędnikami, detektywami, wchodzącymi i wychodzącymi gliniarzami w mundurach, niosącymi zaplombowane woreczki z dowodami albo wymykającymi się gdzieś na papierosa.

Wydział zabójstw zajmował duże otwarte pomieszczenie pełne biurek poustawianych w rzędy po dwa, trzy i cztery. Do Lô i jego partnera należały dwa biurka z tyłu.

Podobnie jak w przypadku Lô, wygląd Hung zupełnie mnie zaskoczył. Wysoka i muskularna, odznaczała się żółtawą barwą skóry oraz lśniącymi czarnymi włosami przyciętymi tuż nad uszami. Jej kasztanowe oczy kryły w sobie barwne plamki, które iskrzyły się niczym drobinki kolorowych szkiełek. Byłaby zachwycającą kobietą, gdyby nie z lekka garbaty nos. Podobało mi się, że go sobie nie zoperowała.

Lô dokonał prezentacji. Hung miała na imię Leila.

Podaliśmy sobie ręce. Lô przysunął nam krzesła, usiedliśmy.

Hung od razu przeszła do rzeczy. To też mi się podobało.

– Jeszcze w latach osiemdziesiątych Synowie Samoa stanowili przede wszystkim coś w rodzaju grupy towarzyskiej. Później przekształcili się w hawajski gang pełną gębą. Przez pewien okres było o SOS cicho, potem, koło roku dziewięćdziesiątego ósmego, odrodzili się jako gang więzienny zwany Rodziną USO albo po prostu USO, United Samoan Organization. To dość skomplikowane, ale słowo *uso* może w samońskim oznaczać brata.

– Jeśli jest się mężczyzną, w ten sposób określa się rodzeństwo płci męskiej – powiedziałam. – Ale może też oznaczać siostrę, jeśli kobieta mówi tak o swoim rodzeństwie płci żeńskiej.

Hung spojrzała na mnie. Gdzieś za nami zadzwonił telefon. Ktoś odebrał.

– To antropolog sądowy – rzekł Ryan.

– Nie wątpię. – Hung mówiła dalej. – Na początku do USO należeli tylko Samończycy,

jednak na podstawie zebranych informacji wiemy, że obecnie grupa jest mieszana pod względem rasowym i liczy około dwustu członków na samych Hawajach.

– USO w zasadzie ogranicza się do ludzi siedzących u nas w więzieniach – dodał Lô.

– Kealoha i Faalogo należeli do SOS – powiedział Ryan.

– Zgadza się. SOS rozciąga swoją działalność poza Hawaje, także na stany Kalifornia, Utah i Waszyngton. W części kontynentalnej kraju SOS przyjęła nazwę Crips.

Nie przerywałam, ale musiałam wyglądać na zdezorientowaną.

– Crips to nie jeden gang, lecz coś w rodzaju nadrzędnej struktury, którą inne gangi akceptują. Gangi Crips w różnych miastach mogą przejmować regionalne elementy kulturowe, które nie mają nic wspólnego z Los Angeles.

– Nie wiedziałam o tym – stwierdziłam, próbując przybrać wyraz twarzy mądrali, jak na początku.

Hung zajrzała do notatnika.

– Według statystyk prowadzonych przez Departament Zwolnień Warunkowych Okręgu Los Angeles w roku siedemdziesiątym drugim działało tam około ośmiu gangów Crips. Do roku siedemdziesiątego ósmego liczba ta wzrosła do czterdziestu pięciu. W osiemdziesiątym drugim było ich już sto dziewięć, a pod koniec lat dziewięćdziesiątych, jak podaje Streetgangs.com, w okręgu Los Angeles działało aktywnie sto dziewięćdziesiąt dziewięć różnych gangów Crips.

– Jezu – rzuciłam.

– Wydaje się, że ich namnażanie się w Los Angeles zostało zatrzymane, a nawet w niektórych rejonach nastąpił spadek ze względu na zachodzące obecnie zmiany demograficzne. Ale naśladowcze gangi Crips rozwijają się i mnożą w innych częściach Kalifornii, reszty Stanów Zjednoczonych, a także za granicą.

– *Tabarnac.* – Ryan potrząsnął głową.

Hung znów spojrzała na mnie, tym razem pytająco.

– To znaczy „cholera” – odpowiedziałam.

– W stanach kontynentalnych SOS ma złą opinię – rzekł Lô. – Zastraszenia, haracze, handel narkotykami, nawet morderstwa.

Usłyszałam, jak gdzieś za nami otwierają się drzwi, ktoś rozmawiał.

Hung szybko rozejrzała się po całym pomieszczeniu. Potem oczy pełne odbłasków znów spoczęły na nas.

– Uważamy, że Samoanie z kontynentu mają chrapkę na dystrybucję na Hawajach.

– Dystrybucję czego? – zapytał Ryan.

– Głównie koki i marychy. Trochę metamfeta miny.

– Kto jest tu majordomusem?

– Facet nazwiskiem Gilbert T'eo.

– Ksywka L'il Bud – dorzucił Lô.

Zadzwoił telefon na biurku Hung. Podniosła słuchawkę i umieściła ją sobie na ramieniu.

– Gdzie znajduje się kwatera główna T'eo? – Ryan zwrócił się z pytaniem do Lô.

– Aktualnie w Halawa. To więzienie o średnim rygorze tutaj na Oahu.

– Atoa i Pukui pracują dla T'eo? – spytałam.

Lô machnął ręką.

– Tak jakby.

Hung odłożyła słuchawkę na widełki.

– Wszystko gotowe. Zobaczmy, co pan Atoa ma do powiedzenia.

Pokój przesłuchań był zgodny z moimi wyobrażeniami: ciemne, małe pudełko bez gustu i ciepła. Ściany w obrzydliwie zielonkawym kolorze, a na płytkach podłogi rysy i zadrapania wryte przez całe pokolenia nerwowych stóp.

Środek tej niewielkiej przestrzeni zajmował szary metalowy stół. Jedno proste drewniane krzesło stało naprzeciwko dwóch innych, po drugiej stronie poobijanego stolika. Poza tym w pomieszczeniu był jeszcze tylko naścienny telefon oraz kamera.

Znajdowaliśmy się z Ryanem w sali na końcu holu i obserwowaliśmy wszystko na ekranie monitora. Dźwięk szedł z głośnika. Obraz był ziarnisty, czarno-biały, fonia pobrzmiwała metalicznie, dialogi czasem zakłócały jakieś odgłosy w tle.

Pinky Atoa wyglądał jak wysoki, chudy dwunastolatek. Ubrany był w typowy strój gangsta: wiszące w kroku spodnie, ogromny sportowy T-shirt i za dużą czapkę. Czerwone, wysokie sportowe buty wystukiwały na podłodze jednostajny rytm.

Rzecz jasna Hung i Lô jeszcze przed naszym przyjazdem podzielili się rolami. Lô odgrywał złego gliniarza, Hung dobrego.

Hung przedstawiła siebie, a potem swojego partnera. Atoa nie odrywał wzroku od własnych dłoni.

– Przesłuchanie jest nagrywane, dla pańskiego i naszego bezpieczeństwa.

Następnie Hung podała dane do dyktafonu: datę, godzinę i miejsce, własną tożsamość, tożsamość partnera oraz przesłuchiwanego. W tym czasie Atoa na przemian ogryzał kciuk albo bębnił w stół.

– Denerwujesz się czymś, Pinky? – zapytał Lô.

– Oddajcie mi psa.

– Ten pitbul to kawał paskudnego zwierza.

– Działał w samoobronie.

– A chihuahua ważył półtora kilo.

– To ten mały rzucił się na mojego.

– Pewnie potwornie go przeraził.

– Cholera. – Przesadne potrząsanie głową, w stylu: „Ludzie, czy wy nigdy nie odpuszczacie?”.

– Twoja sąsiadka wniosła skargę.

– Jebana kurwa.

– Chodzi nam tylko o nagie fakty, panie Atoa – odezwała się Hung, głos rozsądku.

Przez kilka minut Hung zadawała pytania dotyczące ataku psa. Atoa wydawał się z lekka odprężyć.

– Więc co? Muszę zapłacić grzywnę? Żaden problem. Mam forszę.

– Nie tak łatwo. Gata jest w tarapatkach.

– Co to, do diabła, znaczy?

Oboje detektywi wpatrywali się w niego ze smutkiem.

– Odpierdolcie się.

Kościste palce wznowiły swój taniec.

– W Honolulu obowiązują przepisy chroniące obywateli przed niebezpiecznymi zwierzętami domowymi – rzekł Lô.

– Ten mały gówniany pies nie żyje od miesiąca. Dlaczego, kurna, czepiacie się mnie dopiero teraz?

– Może właścicielka przechodziła przez różne etapy żałoby.

Kolejne wahnięcie głową.

– To było dobre. Zabawny jesteś, panie policjancie.

– Staram się.

– I co teraz? Cipa chce nowego szczeniaka?

Lô wzruszył ramionami.

– Więc dobra, kurwa. – Atoa rozłożył ręce. Uśmiechał się. – Kupię jej to szczenię.

– To nie rozwiąże nam problemu z Gatą, nieprawdaż? – Lô.

– Znaczy się?

– Zaczynij wybierać mu ładną urnę.

Atoa wystrzelił spoza stołu. Krzesło upadło z trzaskiem na podłogę.

Lô zerwał się na równe nogi.

– Nie zabijecie mojego psa, gnoje. – Ręce Atoi zacisnęły się w pięści.

Hung odezwała się tonem, który obliczony był na załagodzenie sytuacji.

– Uspokójmy się wszyscy. Panie Atoa, czy chciałby pan coś do picia?

Oczy Atoi zwęziły się chytrze.

– Co takiego? Więc chcecie dostać moje DNA? Nie jestem głupi.

– Po cholere nam twoje DNA, Pinky? – Głos Lô był pełen jadu.

– Wal się.

– Proszę, panie Atoa. – Hung okrążyła stolik i postawiła krzesło. – Proszę usiąść.

Atoa znieruchomiał na moment. Powiedział:

– Całkowicie wam odjechało.

Opadł na siedzenie krzesła i wyciągnął nogi przed siebie. Czerwone sportowe buty latały z prawej na lewą.

Lô i Hung wymienili spojrzenia ponad głową Atoi.

– Zaczyna się – rzuciłam do Ryana.

Hung odezwała się pierwsza, wróciwszy na swoje miejsce.

– Może da się coś zrobić w sprawie Gaty.

Lô rzucił partnerce szybkie spojrzenie.

Hung wykonała ręką gest „zaczekaj”. Lô skrzyżował ramiona z irytacją.

– *Quid pro quo*. To znaczy: ty pomożesz nam, my pomożemy tobie.

– Wiem, co to znaczy – podniósł głos Atoa.

– Dobrze. Możesz pomóc Gacie. A kto wie, może też sobie.

– Słucham. – Atoa ogryzał paznokcieć kciuka, unikając kontaktu wzrokowego.

Kolejne porozumiewawcze spojrzenie między Lô a Hung.

– George Faalogo. – Lô zrobił przerwę. – Frankie Kealoha.

Brak reakcji.

– Znasz tych facetów, Pinky?

Atoa potrząsnął głową.

– A może Teda Pukui?

– Kogo? – Mamrotanie.

– Popatrz na mnie – powiedział ostro Lô.

Atoa nie zareagował.

– Popatrz na mnie!

Głowa Atoi uniosła się lekko. Po raz pierwszy zobaczyłam w jego oczach strach.

– A może Gilberta T’eo?

– Każdy zna L’il Buda.

– Podobno ty i Pukui pomogliście T’eo rozwiązać pewien problem biznesowy.

Oczy Atoa zwróciły się ku Hung. Nie znalazły wsparcia.

– Faalogo i Kealoha – kuł żelazo Lô. – Makapu’ u Point.

– O czym ty, kurwa, mówisz?

– Kiedy rekiny skończyły, nie zostało zbyt wiele, ale nam wystarczy.

– Gównu prawda.

– Czyżby?

Atoa oblizwał wargi.

– Jak bardzo kochasz tego psa, Pinky?

Atoa obrzucił Lô spojrzeniem pełnym czystej nienawiści.

– Podobno jesteś cwany. Wiesz wszystko o DNA. Na pewno oglądasz *CSI* oraz *Prawo i bezprawie*. Może też *Kości*, ale to chyba nie na twoją głowę. Dziwne, ale ty i twój kumpel zachowaliście się niechlujnie, jeśli chodzi o odciski palców i pociski. Sam wiesz. Czemuż to?

Typowy policyjny blef. Właściwie Lô nie twierdził, że policja dysponuje śladami daktyloskopijnymi czy ekspertyzą balistyczną.

– Dajemy ci teraz szansę, Pinky. Współpracuj, a postaramy się ci pomóc.

– Nie zadzieram z L’il Budem. Masz mnie za wariata?

– Ile masz lat, mały?

Atoa nie odpowiedział.

– Ile masz lat? – warknął Lô.

– Osiemnaście.

– Twój koleś jest chyba ździebko starszy od ciebie.

– Pukui ma dwadzieścia jeden – powiedziała Hung. – Cztery razy był puszkowany.

– Opiszę teraz pewną hipotetyczną sytuację, a potem zadam ci pytanie – rzekł Lô. – Wiesz, co znaczy hipotetyczny?

– Nie jestem głupi.

– Przekonamy się. – Lô zrobił pauzę, jakby porządkował swoje myśli. – Mamy tu chłopaczka, który nic nie wie, i mamy faceta, który zna system. Obu oferujemy taką samą szansę. Haczyk polega na tym, że wygrywa tylko ten, który się zgłosi pierwszy.

Kolejny blef, sugestia, że Pukui też został zatrzymany.

– Oto pytanie. Z gatunku trudnych. Dasz radę?

Atoa nie odezwał się.

– Kto się tego podjął? Kto jest za to odpowiedzialny?

Atoa zacisnął mocno powieki i potrząsnął głową.

Lô czekał.

Otwierając oczy, Atoa pochylił się do przodu.

– Odpowiedź na twoje pytanie oznacza dla mnie śmierć.

– Złe wieści dla psa – rzucił Lô.

Atoa przejechał ręką po swojej twarzy i odrzucił głowę do tyłu. Jego widoczna przez skórę tchawica wyglądała jak pomarszczona tuba.

Lô i Hung spojrzeli po sobie, sprawiali wrażenie czekających w napięciu. Pierwsze słowa chłopaka miały im powiedzieć, czy wygrali, czy nie.

W końcu Atoa wyprostował się na krześle. Długo spoglądał na Hung, po czym się odezwał:

– Będę gadał z tobą, nie z nim.

– Nie ma sprawy. Ale on tu zostaje.

– Ja tylko prowadziłem wóz.

– Jeśli mówisz prawdę, zadziała to na twoją korzyść. – Hung starała się mówić bez emocji.

- Zajmiesz się moim psem?
- Teraz odczytam ci twoje prawa, Pinky.
- Cholera. Cholera. Cholera.

Hung czytała z małej kartki. Kiedy skończyła, spytała:

- Zrozumiałeś to, co przed chwilą usłyszałeś?
- Ta – rzekł Atoa. – Mam przejebane.
- Nadal chcesz z nami pogadać?
- A mam jakiś wybór?
- Tak, Pinky. Masz. I masz prawo do adwokata.
- Pierdolić to. Zaczynajmy.
- Kealoha i Faalogo. Opowiedz mi o nich – nakazała Hung.

– Faceci mieli przedziargane. – Atoa użył grypsery oznaczającej też tatuaże na ramionach.

- Po co cyngiel?
- Wiem tylko tyle, ile podsłuchałem.

Hung wykonała gest ręką „powiedz coś więcej”.

- L’il Bud powiedział Tedowi, że chce, aby sprawa stała się głośna.
- Tedowi Pukui.

Atoa skinął twierdząco głową.

- Chcesz powiedzieć, że T’eo wysyłał sygnał?
- Głucha jesteś czy co? Tak, to właśnie mówię.
- Jaki sygnał?
- Że niezdrowo jest wchodzić komuś w paradę.
- Dla kogo był przeznaczony?

– Dla faceta, który przysłał tutaj Kealohę i Logo.

– Kim jest ten facet?

Atoa sprawiał teraz wrażenie, jakby zmienił zdanie na temat współpracy. Hung powtórzyła pytanie.

– Jakiś gość z Kalifornii.

– Nazwisko?

Trzaski zakłóciły odpowiedź Atoi, więc nic nie słyszeliśmy.

Ale szok na twarzach Lô i Hung był oczywisty.

– Przeliteruj, proszę – powiedziała Hung.

Atoa przeliterował.

Zrobiło mi się gorąco na twarzy, pokój wokół mnie nagle bardzo się skurczył.

Poczułam na ramieniu czyjąś dłoń.

Podniosłam wzrok.

W dwojgu niebieskich oczu odbijała się dezorientacja równa mojej.

– Czy on powiedział Al Lapasa? – zapytał Ryan.

– Tak właśnie usłyszałam.

Z głośników wciąż dochodziło buczenie ludzkich głosów.

– Czy facet w pojemniku znajdującym się w JPAC nie nazywał się przypadkiem Alexander Lapasa?

Przytaknęłam ponuro.

– Ten facet z nieśmiertelnikiem Pająka Lowery’ego?

– To musi być jakiś zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności rozmiarów Sierra Leone.

– Pewnie na świecie są dziesiątki Alów Lapasów – powiedziałam. – A poza tym Atoa mówi o jakimś Samończyku z Kalifornii. Lapasa miał włoskie korzenie, ale pochodził z Honolulu.

Wróciliśmy z Ryanem do przesłuchania. Hung zadawała teraz pytania dotyczące L’il Buda T’eo.

– L’il Bud to wściekły pies. – Atoa poprawił się na krześle. – Jak ktoś go wkurzy, musi płacić.

– Mnie też ludzie wkurzają, więc ponoszą konsekwencje. – Nawet mimo słabej jakości transmisji głos L’o brzmiał zimno. – Ale nie każę ich od razu zastrzelić.

– Durna gadka. – Atoa znów potarł twarz.

– Porozmawiajmy o Alu Lapasie – rzuciła Hung.

– Mówię tylko to, co usłyszałem.

– A co słyszałeś?

– Lapasa to OG. Ma bar w Oakland.

Poczułam skurcz żołądka. OG. Original gansta. Stary gangster. Czy to znaczy, że Lapasa był starszy niż twoi koledzy z gangu?

– SOS? – zapytała Hung.

Atoa przytaknął skinieniem głowy. U nasady jego nosa pojawiły się teraz dwie pionowe bruzdy.

– Mów dalej – powiedziała Hung.

– Kealoha i Faalogo mieli powiązania z Lapasą.

– I?

– Tylko tyle słyszałem.

– Posiadasz coś, co nazywam słuchem wybiórczym.

Spojrzenie Atoi prześliznęło się ku Lô. Zatrzymało na nim. Detektyw nie odwrócił wzroku, jego twarz i ciało były idealnie nieruchome.

Usta Atoi rozciągnęły się w półuśmiechu, który miał sugerować rozbawienie.

– Myślałem, że gliny mają jakieś przepisy dotyczące minimalnego wzrostu.

– Stanowię wyjątek.

– Ta? Niby dlaczego?

– Ponieważ jestem paskudnym sukinsynem.

Atoa obniżył się w krześle i skrzyżował ramiona.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Teraz zastanów się dobrze. – Lô pochylił się do przodu i zaplótł palce na stoliku. – Słyszałeś kiedyś o Nickiem Lapasie?

Atoa wypchnął wargi i popatrzył na sufit.

– Nickie Lapasa jest w to zamieszany, Pinky. I nie mam na myśli, kurwa, mieszania w zupie. W grę wchodzi prawdziwe wredne gnoje mające wszystko gdzieś. I wiesz, co zrobiłeś, tępy dupku? Namieszałeś Nickiemu.

Atoa wciąż patrzył w górę, ale nerwowe podrygiwanie stóp zdradzało jego strach.

Lô spojrzał porozumiewawczo na partnerkę, po czym ruchem głowy wskazał na drzwi.

Hung sięgnęła ręką i wcisnęła przełącznik.

Obraz zniknął.

Ryan i ja spotkaliśmy się z Hung i Lô w holu.

– Dobrze zagrane – rzucił Ryan.

Lô i Hung uśmiechnęli się.

– Myślicie, że jest jakiś związek między Alem Lapasą w Oakland a Nickiem Lapasą w Honolulu? – zapytał Ryan.

Lô wzruszył ramionami.

– Może tak, może nie. Nie zaszkodzi zapytać o to Pinky'ego.

– Czy on zdaje sobie sprawę, kim jest Nickie?

– A kto to może wiedzieć?

– Co teraz? – spytał Ryan.

– Teraz dajmy temu małemu gnojce trochę czasu, żeby się zesrał ze strachu – powiedział Lô.

– Czy zdobycie danych o Alu Lapasie długo potrwa? – spytałam.

Hung spojrzała na swój zegarek.

– Idźcie po kawę. Ja zadzwonię do Oakland.

Kiedy dotarliśmy do jej biurka, Hung rysowała na kartce papieru małe ludziki, rozmawiając przez telefon. Słuchawka spoczywała na jej ramieniu – pewnie kazano jej czekać. Lô umieścił styropianowy kubek z kawą na podkładce. Zaczęła dziękować, ale zaraz przemówiła do słuchawki.

– Tak, jestem. – Przygotowała sobie długopis. – Proszę mówić.

Lô, Ryan i ja usiedliśmy i zdjęliśmy z naszych kubków wieczka.

Sączyłam kawę. Lura smakowała, jakby czerpano ją z bagna. Albo przynajmniej tak wyobrażałam sobie smak bagiennej brei.

Hung powiedziała „aha” oraz „OK”, po czym zadała kilka pytań. Wreszcie rzuciła:

– To wszystko?

Pauza.

Hung podziękowała osobie po drugiej stronie i rozłączyła się.

– Oto, co uzyskałam – odezwała się, włączając i wyłączając długopis. – Pełne nazwisko faceta brzmi Alexander Emanuel Lapasa.

Świat znów zawirował. To nie mogło się dzieć naprawdę. Najpierw Pająk. Teraz Lapasa.

– Obywatel amerykański, urodzony czternastego grudnia czterdziestego pierwszego roku, dokładnie tutaj, w cudownym mieście Honolulu.

Zamrugałam oczami. Jeszcze raz.

– Lapasa nie ma kartoteki, ale gliny z Oakland od kilku lat bacznie mu się przyglądają. Posiada bar o nazwie Savaii. Knajpa SOS. Uważają, że prowadzi sprzedaż narkotyków pod przykrywką baru.

– Miejscowi nie mogą go zwinąć? – Głos Lô był pełen niesmaku.

– Lapasa jest ostrożny, unika rozgłosu, odgradza się kordonem od ludzi z miasta.

– Od jak dawna jest w Oakland? – Mój głos zabrzmiał nieswojo, był wysoki i napięty.

– Nazwisko Lapasy zaczęło się pojawiać tu i tam w połowie lat dziewięćdziesiątych, kiedy kupił ten bar. Ale sądzę, że już wcześniej jakiś czas spędził na tym terenie.

– Macie numer jego ubezpieczenia społecznego?

Hung spojrzała na mnie dziwnie, ale odczytała numer z notatek. Zapisałam sobie cyfry.

– Należy do SOS? – zapytał Ryan.

– Tak, ale facet jest teraz po sześćdziesiątce.

Lô prychnął.

– Wzorowy obywatel ze sznaucerem na smyczy i ładnie przystrzyżonym trawnikiem.

– O psie nic nam nie wiadomo – rzekła Hung. – Ale za bar i swój apartament zapłacił gotówką.

– Co teraz? – zapytał Ryan.

– Teraz ściągniemy Ala zza oceanu i przymkniemy – odpowiedziała Hung.

– Na podstawie zeznań osiemnastoletniego ćpuna, który chce ratować własną dupę? – Lô rozparł się w krześle i umieścił jedną stopę na otwartej szufladzie biurka. – Nie dostaniemy nakazu aresztowania, a nie ma mowy, żeby Lapasa sam się ruszył.

– Chyba mam pewien pomysł – rzuciłam.

Wszystkie oczy zwróciły się ku mnie.

– Mogę skorzystać z twojego telefonu? – spytałam Ryana.

Zadzwoiłam do Danny'ego z holu. Przyciszonym głosem wyjaśniłam mu, gdzie jestem i co się stało.

– Jasna cholera. Masz jego datę urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego? – odczytałam je i czekałam, aż Danny sprawdzi akta Xandra Lapasy. Nie trwało to długo.

– To on.

Kim więc był numer 1968-979, ciało znalezione z nieśmiertelnikiem Pajaka Lowery'ego? Ani Danny, ani ja nie wypowiedzieliśmy tego pytania na głos.

Jedna rzecz mnie niepokoiła. Miałam różne uwagi do Ryana, ale sama też wyciągałam niewłaściwe wnioski.

– Czy Xander Lapasa był z pochodzenia Włochem? – spytałam.

– Dlaczego o to pytasz?

– Wspominałeś o pogłoskach, że Alex senior miał związki z mafią.

– Bo tak ogólnie miał związki. Ze zorganizowaną przestępczością. Ale nie z włoską mafią.

– Mówiłeś, że wyglądał jak jakiś facet z serialu *Rodzina Soprano*.

– Na tamtym zdjęciu owszem.

Mój błąd polegał na tym, że uległam stereotypom dotyczącym danej narodowości. Wyciągnęłam wnioski na podstawie wyglądu Xandra, brzmienia jego nazwiska oraz pogłosek o związkach z mafią.

– Pamiętasz tę historię, jak stary Alex przyjeżdża na Hawaje, otrzymuje w spadku stację benzynową, wchodzi w rynek nieruchomości?

– Tak – odparłam.

– Przyjechał do Honolulu z Samoa.

Potrzebowałam chwili, żeby przyswoić sobie tę wiadomość. Potem powiedziałam:

– Czy mogę opowiedzieć glinom, co wiemy o Xandrze Lapasie i szczątkach znajdujących się w JPAC?

– Ufasz im, że zachowają to dla siebie?

– Tak.

– Więc nie widzę problemu. Ale dlaczego? Co ci chodzi po głowie?

Naszkićowałam mu mój plan.

– Może się udać – rzekł Danny.

– Chyba będzie nam potrzebna twoja pomoc w skłonieniu Nickiego do współpracy – powiedziałam.

– Och, tak. Jestem Pan Przekonujący. Właśnie dostałem ponownego kosza od Platona Lowery’ego.

– Czy on wie o tych preparatach, które Beasley znalazł i dostarczył do badań?

– Nie.

– Tak czy owak zadzwonisz do Nickiego?

– No. Czemu nie.

– Nieźle się pochrzało, co, Danny?

– No. Nieźle.

– Merkel wie?

– Jeszcze nie. Będę cię o wszystkim na bieżąco informował. I, Tempe...

– Tak.

– Bądź ostrożna.

Kiedy wróciłam, wszyscy tkwili na swoich miejscach. Kubki z kawą też. Jestem

przekonana, że nikt nie pije tej policyjnej kawy. Nalewa się tę ciecz do kubków, a potem wylewa.

Opisałam sprawę z JPAC. Niezidentyfikowane kości w pudle. Ustalenie tożsamości numeru 1968-979 jako Xander Lapasa. Odmowa Nickiego Lapasy, by członkowie rodziny dostarczyli nam próbki DNA. Detektywi słuchali, nie przerywając.

Gdy skończyłam, pierwszy odezwał się Lô.

– Więc sądzicie, że Al Lapasa może być tym facetem, który zaginął w Wietnamie czterdzieści lat temu?

– Jego data urodzenia i numer ubezpieczenia społecznego odpowiadają tym w kartotece Xandra Lapasy.

– Jak dostał się z Nam do Kalifornii?

– Nie wiem. Ale samoloty często tam lądowały.

– Co pani proponuje? – spytała Hung.

– Wszyscy chcemy, żeby Al Lapasa znalazł się w Honolulu, prawda?

Skinięcia głów.

– Nie uda się dostać nakazu ekstradycji wyłącznie w oparciu o zeznania Atoi, a jest mało prawdopodobne, że facet dobrowolnie wybierze się w tę podróż.

Kolejne skinięcia.

– Więc nabierzemy go.

– Gość jest cwany – stwierdziła Hung sceptycznie. – Skoro zamierza poszerzyć swoją strefę dystrybucji o Hawaje, po co miałby tu przyjeżdżać i narażać się na ryzyko?

– Zwłaszcza że przez czterdzieści lat żył jakby pod przykryciem – w głosie Lô było tyle samo wątpliwości, co w słowach jego partnerki.

– Czy Lapasa może wiedzieć, że Kealoaha i Faalogo nie żyją? – zapytał Ryan.

– Mało prawdopodobne – odparłam. – W mediach nie było żadnych doniesień o znalezionych fragmentach ciała. A Perry nie zweryfikowała ich tożsamości.

– Ale jeśli wie o tym informator Lô, to chyba też cały gang SOS? – naciskał Ryan.

– L'il Bud T'eo i jego kumple należą do USO – powiedział Lô. – Lapasa i jego ludzie to SOS Crips. Między odrębnymi gangami wieści nie rozchodzą się aż tak szybko.

– Jaki jest pani plan? – spytała Hung.

– Postaramy się, żeby prawnik Nickiego Lapasy zadzwonił do Ala Lapasy z informacją, że jego klient szuka go od wielu lat. Powie, że Al został wymieniony w testamencie Theresy-Sophii.

– Dlaczego Nickie miałby się na coś takiego zgodzić?

– Powiemy mu, że Al to prawdopodobnie jego dawno zaginiony brat.

– Właśnie powiedzieliście mu, że jego dawno zaginiony brat spoczywa na półce w CIL.

– Oświadczymy, że od czasu, gdy Danny z nim rozmawiał, badacze w CIL stwierdzili, że mogła zajść pomyłka, że Xander to być może człowiek mieszkający w Oakland. Zagramy na ego Nickiego. Damy mu do zrozumienia, że zapewne we wszystkim miał rację.

– Dlaczego sądzi pani, że Nickie nie jest na bieżąco? Jeśli faktycznie ma jakieś powiązania z handlarzami narkotyków, a Al Lapasa działa w tym interesie, to czemu niby Nickie miałby nie wiedzieć, kim Al jest naprawdę? – zapytał Lô.

– Ponieważ Xander chciał, żeby Nickie się nie dowiedział. Niezależnie od powodu, przez czterdzieści lat krył się w cieniu. W dochodzeniu prowadzonym przez JPAC, a obejmującym cały ów okres, nie ma nawet najmniejszej wzmianki mogącej wskazywać, że ktoś z rodziny podejrzewa, iż Xander żyje. I wątpię, aby Nickie wiedział wszystko o każdym dilerze narkotykowym na zachodnim wybrzeżu.

– A wracając do naszej bajeczki, to w jaki niby sposób Nickie namierzył wreszcie Ala? – zapytał Lô.

– Wykonawca testamentu Theresy-Sophii zarządził poszukiwania osób dziedziczących. Trwały one przez wiele lat. W końcu natrafiono na Ala. Słuchajcie, warto spróbować. Jest szansa, że Al uwierzy, że ma przyjechać do Honolulu, spotkać się z wykonawcą testamentu i udowodnić swoją tożsamość. Jestem pewna, że adwokat potrafi to ubrać w prawniczy żargon, który będzie brzmieć przekonująco.

Przez kilka chwil wszyscy rozważali moją propozycję.

– Al urodził się w Honolulu – powiedziała Hung. – Nawet jeśli to nie jest wasz zaginiony Xander, facet może dojść do wniosku, że przecież ma tutaj krewnych, o których nic nie wie.

– Sprawdzi w Internecie, dowie się, że w Honolulu roi się do Lapasów, poczuje chrapkę i straci czujność – Lô zaczynał się przekonywać do pomysłu.

– A jeżeli faktycznie jest Xandrem Lapasą, jest jeszcze bardziej prawdopodobne, że łyknie tę bajkę – dorzuciłam.

Lô i Hung wymienili spojrzenia. Wiedziałam, o czym myśleli.

– Jeśli chcecie spróbować wykiwać tego gościa, nie mamy nic przeciwko – rzekł Lô. – Ale nie możemy narażać dochodzenia w sprawie Kealoha–Faalogo. Gdyby sprawa się sypla, a Al nie wyjechał z Oakland, będzie to problem wyłącznie dochodzenia prowadzonego przez CIL. Moja partnerka i ja nigdy o niczym nie słyszeliśmy.

– O niczym? – spytałam.

– Dobra – powiedział Ryan. – Kto zadzwoni do Nickiego?

– Zaraz wracam.

Znów skierowałam swe kroki do holu.

Danny domagał się ode mnie rewanzu. Wątpił wprawdzie w sukces mojego planu, ale był gotów zatelefonować do Nickiego, jeśli ja wykonam jeszcze jedno podejście do Platona Lowery'ego.

Zgodziłam się.

Po powrocie do pomieszczenia, w którym pracowali policjanci, pokazałam Lô i Hung podniesiony kciuk.

Rozmawialiśmy jeszcze przez chwilę, a potem wyszliśmy z Ryanem. Słyszeliśmy zapewnienia, że będziemy w kontakcie.

Nikt z nas nawet nie przeczuwał, jak szybko przyjdzie nam się znów spotkać.

Razem z Ryanem wstąpiliśmy na przekąskę do Chińskiego Centrum Kulturalno-Handlowego w Chinatown. Ryan oddał się wyborowi potraw z całej armady możliwości, ja tymczasem zadzwoniłam do Platona Lowery'ego.

– Ludzie, czy wy nigdy się nie poddajecie? Mówiłem już temu Francuzowi i mówiłem już temu wojskowemu. Nie. N. I. E. To jest nękanie.

– Przykro mi, że tak to pan odbiera.

– Właśnie tak to odbieram.

– Nie mieliśmy zamiaru się panu naprzykrzać. Po prostu zdumiewa nas pańska odmowa współpracy nawet w tak drobnej sprawie.

– Szczeka pani na niewłaściwe drzewo.

– Moi współpracownicy i ja chcemy, żeby wszystko było zrobione jak należy.

– Więc odeślijcie mojego syna do domu i dajcie nam spokój.

Słyszałam wokół siebie gwar rozmów. Szczękały szklane naczynia.

– Panie Lowery, czy mogę zapytać, dlaczego nie chce pan przekazać próbki do badań DNA?

– Nie. Nie może pani.

Przez okno widziałam posąg Sun Jat-sena. Z wyglądu sprawiał wrażenie równie nieugiętego co Platon przez telefon.

– Procedura nie jest bolesna – powiedziałam.

– Bolesna? Powiem pani, co jest bolesne. Gdy ktoś mówi, że twój syn to nie twój syn. To jest bolesne. Bolesne jak cholera.

– Ależ to nie...

– Ludzie, wy nie macie pojęcia, jaką krzywdę możecie wyrządzić.

Z każdym kolejnym słowem Lowery stawał się coraz ostrzejszy.

– Przez wszystkie te lata mówiłem sobie, że przeszłość to przeszłość. Ci lekarze i pielęgniarki z igłami i sondami, ładnymi słówkami. To było wariactwo. O n i byli niespełna rozumu. Przez tych durniów i ich cudaczne badania prawie straciłem rodzinę.

Głos starego człowieka syczał w słuchawce przy moim uchu.

– A co jest w tym najgorsze? I tak wszyscy umarli. Pająk. Tom. Harriet. Ostatecznie wszyscy ci wasi doktorzy i cała ta wasza nauka zdały się psu na budę.

Zauważyłam, że Ryan wpatruje się we mnie badawczo.

– A teraz armia się zjawia, żeby jeszcze raz wywrócić wszystko do góry nogami. Nie wierzyłem im wtedy, nie wierzę i teraz. Wszystko skończone. Pająk był moim synem. Zginął na wojnie. Koniec. Kropka. Kapuje pani?

Słyszałam już tylko szum pustki w telefonie.

– Chyba był troszkę podenerwowany – Ryan umieścił na moim talerzu pierożek.

– Troszkę. To największa ilość słów, jaką przy mnie kiedykolwiek wypowiedział.

– Co go tak poruszyło?

– Nie jestem pewna – umieściłam telefon Ryana na stoliku. – Połowa tego, co mówił, nie miała sensu.

– Na przykład?

Staralam się zrekonstruować w głowie wybuch Platona.

– Przede wszystkim nie ma zaufania do lekarzy ani do wiedzy naukowej.

– Domyślałam się, że nie da sobie pobrać wymazu.

– Zdecydowanie nie.

– Co teraz?

Uniosłam ręce w geście frustracji.

– Będziemy pracować z tym, co już mamy.

Danny zadzwonił, gdy Ryan regulował rachunek.

Wykonał swoje zadanie znacznie lepiej ode mnie.

Nickie Lapasa chce wiedzieć, co naprawdę stało się z jego bratem. Wraz ze swoim prawnikiem spreparuje przekonującą bajeczkę. Potem adwokat skontaktuje się z Alem Lapasą. Nickie zadzwoni, gdy tylko będzie mieć jakieś wieści.

Byłam zadowolona. Ale i zdumiona.

Ryan też. Czyżby Nickie miał jakieś inne powody do takiego zachowania niż tylko chęć odnalezienia Xandra?

Tego wieczoru chmury i mgła ustąpiły miejsca deszczowi. Po szklanych drzwiach balkonowych w moim pokoju spływały strumienie wody. Od czasu do czasu silny poryw wiatru szarpał framugą.

Danny zadzwonił o dziewiątej.

– Al Lapasa złapał przynętę.

– Żartujesz.

– Przylatuje do Honolulu jutro po południu.

– Niemożliwe!

– Chciwość to cudowna rzecz.

– Myślisz, że o to chodzi? – spytałam.

– Kto wie – odparł Danny.

Opowiedziałam o wszystkim Ryanowi, a potem zatelefonowałam do Lô.

Zareagował podobnie jak ja, ale nieco barwniejszym językiem. Miał zamiar porozmawiać o tym z Hung i dać mi znać, gdy coś ustalą.

Na koniec przekazałam najnowsze wieści Hadley Perry. Jej zaskoczenie objawiło się z równą ekspresją co w przypadku Lô. Podczas rozmowy wyczułam też u Perry jakby nutkę

irytacji. Ponieważ to ja miałam więcej bieżących wiadomości w jej sprawie? Ponieważ to ja przebywałam z Ryanem, nie ona? Ponieważ nadal zajmowała się tylko zeznaniami sądowymi, co trzymało ją z dala od głównego nurtu wydarzeń? Odpowiadając na pytania Perry, czułam z lekką złośliwą satysfakcją. Mała rzecz, a cieszy.

Tej nocy sen nie chciał przyjść. Mój umysł nieustannie przeżuwał dwie ostatnie szokujące informacje.

DNA Harriet Lowery nie pasowało do DNA topielca z Hemmingford.

Możliwe, że Xander Lapasa żyje.

Czy wraz z Dannym zbytnio zaufaliśmy swoim wnioskom z porównania zdjęć rentgenowskich uzębienia badanego, wykonanych za życia i po jego śmierci? Sugerując się częściowym wypełnieniem ubytku zębowego? Pęknięciami kości szczęki?

Dlaczego Nickie Lapasa zgodził się na mój plan? Co miał nadzieję uzyskać dzięki obecności Ala Lapasy w Honolulu? Czy faktycznie wierzył, że ten człowiek to jego brat?

Xander Lapasa zaginął w Wietnamie w sześćdziesiątym ósmym roku? Czy przeżył? Czy przez wszystkie te lata podawał się za Ala Lapasę? A jeśli tak, to dlaczego nigdy nie skontaktował się ze swoją rodziną?

A może jednak?

Co Xander robił w Wietnamie?

Kiedy Al Lapasa z Oakland wypłynął na powierzchnię? Gdzie przebywał do tej pory?

Co wiedział Nickie?

Czego chciał Nickie?

Dlaczego Nickie nie zgodził się na pobranie próbki DNA od któregoś z członków rodziny Lapasów i porównanie jej z DNA znajdujących się w JPAC szczątków o sygnaturze 1968-979, które prawdopodobnie należały do jego brata Xandra?

To samo pytanie do Platona Lowery'ego. Czemu odmówił dostarczenia próbki?

Tyrada Platona na temat śmierci jego żony wskazywała, że była to dlań sprawa bardzo bolesna. Czy choroba Harriet tak przeraziła starego człowieka, że zniszczyła jego wiarę w medycynę i odebrała mu zaufanie do szpitali?

Co takiego powiedział Plato? *Ostatecznie wszyscy ci wasi doktorzy i cała ta wasza nauka zdały się psu na budę.*

Odtwarzałam w głowie słowa Platona, próbując lepiej zrozumieć jego sposób myślenia.

Wydawało się, że jeden komentarz nie ma związku z innymi. *Przez tych durniów i ich cudaczne badania prawie straciłem rodzinę.*

Jakich durniów? Jakie badania?

Stracił rodzinę? Jak?

A teraz armia się zjawia, żeby jeszcze raz wywrócić wszystko do góry nogami.

Uznałam wtedy, że chodzi o śmierć Pajaka. A jeśli nie?

Uporządkowałam swoją skąpą wiedzę na temat Lowerych.

Harriet zmarła przed pięcioma laty. Przez całe życie cierpiała na chorobę nerek, w końcu doczekała się przeszczepu. Szeryf Beasley powiedział, że dawcą nie był żaden z jej synów.

Przypomniał mi się Plato ściskający swój album ze zdjęciami w moim samochodzie. Wałący się w pierś tak mocno, że aż się wzdrygnęłam. *Mój syn!*

Po raz kolejny tego dnia złapałam za telefon. *Pajak był moim synem!*

Obaj synowie zaproponowali matce swoją nerkę. Pajak w latach sześćdziesiątych, Tom wiele lat później.

Dlaczego żaden z nich nie mógł być dla niej dawcą tego organu?

Bliźniaki urodzone przez Harriet nie nadawały się na dawców z powodu niezgodności genetycznej. Czy właśnie ten fakt tak bardzo denerwował Platona? Czy badania wykazały coś, co bardzo nie spodobało się staremu?

Ta myśl uderzyła we mnie jak taran.

Ojcostwo.

Czyżby Plato dowiedział się, że nie jest ojcem bliźniaków Harriet? Czy desperacko próbował ukryć ów fakt?

Cyfry na moim zegarze wskazywały 2:18.

Deszcz wciąż spadał miękko do rynny nad moim balkonem.

Rozkładałam problem na części pierwsze, gdy nagle ciszę rozerwał krzyk.

Z wałącym sercem zrzuciłam z siebie pościel i wyskoczyłam z łóżka.

Ryan pędził po schodach, przesadzając dwa stopnie naraz.

Katy wypadła na korytarz ze swojego pokoju.

Wszyscy troje spotkaliśmy się w holu.

– Widziałam kogoś! – Twarz Katy była biała od adrenaliny. – Woda lała się do środka. Wstałam, żeby zamknąć drzwi, i zobaczyłam go.

– Gdzie? – przemówiliśmy z Ryanem jednocześnie.

– Na trawniku.

– Mężczyzna? Kobieta? – pytał Ryan.

– Mężczyzna. Chyba. Wyglądał na dość dużego.

– Co robił?

– Po prostu stał. Pod drzewem. Kiedy krzyknęłam, uciekł.

– Lily! – Ryan popędził do pokoju swojej córki.

Telewizor zabarwiał ściany i meble w pokoju upiornym błękitem. Na szklanych otwartych drzwiach balkonowych tańczyły kolorowe plamy, niewyraźne odbicia ruchu na ekranie.

Lily stała w cieniu między łóżkiem a wysoką komodą. W półmroku jej oczy wydawały się przesadnie wielkie.

Ryan rzucił się do przodu. Zatrzymał się przed córką w odległości wyciągniętego ramienia, niepewnie.

– Wszystko w porządku? – W jego głosie słychać było jednocześnie napięcie i łagodność.

Lily potwierdziła skinieniem głowy.

Ryan zlustrował pokój, oceniał sytuację. Pościel na łóżku była wprawdzie pognieciona, ale Lily miała na sobie kompletny ubiór.

Wraz z Katy patrzyliśmy na tę scenę z korytarza.

Lily stała, przylegając plecami do ściany.

Ryan wyszedł na balkon i obserwował otoczenie domu.

– Kto krzyczał? – spytała Lily.

– Zobaczyłam kogoś na dole, przy basenie – odpowiedziała Katy.

Ryan wrócił do pokoju i zamknął przesuwne drzwi. W szynie drzwiowej zapluskała woda.

– Matko święta! – krzyknęła Katy, a w jej głosie słychać było strach. – Ten wpis na blogu. Może mieć jakiś związek?

Ryan zatrzasnął zamek w drzwiach balkonowych, obrócił się i ze zmarszczonym czołem spojrzał na mnie.

Kurde!

Nie opowiedziałam mu o groźbie na blogu Katy.

– Jaki wpis? – zapytał.

Podalam skondensowaną wersję.

– A ty słowem nie wspomniałaś o tym drobnym incydencie, ponieważ...?

– Coś odwróciło moją uwagę.

– Odwróciło uwagę?

– Najpierw LaManche zadzwonił z sensacją na temat DNA Harriet Lowery. – Gdy tylko wymówka wyszła z moich ust, już wiedziałam, że jest słabiutka. – A potem jeszcze wiadomość o Alu Lapsie.

Ryan zwrócił się do Katy.

– Czy ten człowiek był sam?

– Chyba tak.

– Dokąd pobiegł?

– Nie widziałam. Ja... Przepraszam. Zachowałam się jak bohaterka hollywoodzkich filmów klasy B.

– Możesz go opisać? – Rozpoznałam zmianę tonu. Ryan wchodził w rolę gliniarza.

Katy potrząsnęła głową.

– Było ciemno.

Ryan podszedł do córki i położył jej ręce na barkach.

– Popatrz na mnie.

Lily przewróciła oczami.

– Dlaczego jesteś ubrana o drugiej nad ranem?

– Zasnęłam przed telewizorem.

– Co oglądałaś?

Lily wzruszyła ramionami.

– Nic specjalnego. Takie tam.

– Domyślasz się, kim mógł być intruz?

– Nie widziałam tego faceta.

Minęło kilka uderzeń serca.

– Sprawdzę bramy i obejrzę dom. – Ryan posłał spojrzenie w moją stronę. Gniewne? Niespokojne? Zawiedzione? – A wy wszystkie idźcie spać.

Gdy się obudziłam, świt ledwo zaznaczał się bledością nad widnokrzem. Moje myśli natychmiast wróciły do tematu, który rozważałam przed krzykiem Katy.

Czy rozpoznałam ukryty powód, dla którego Platon tak stanowczo nie chciał przekazać próbki swojego DNA? Czy obawiał się, że ojcem jego synów jest inny mężczyzna?

Zrzuciwszy z siebie kołdrę, przeszłam przez pokój i otworzyłam drzwi na balkon. Oddychałam głęboko.

Nocny deszcz ustał. Powietrze pachniało solą, wilgotnym listowiem i mokrym piaskiem.

Była 6.37.

Według czasu na wschodnim wybrzeżu przedpołudnie.

Bardzo pragnąc poznać odpowiedzi na moje pytania, darowałam sobie kawę, wzięłam tylko z kuchni dietetyczną colę i wróciłam do swojego pokoju.

Znalazłam numer.

Wybrałam go.

Szeryf Beasley był w swoim biurze i odebrał telefon.

Od razu przeszłam do rzeczy.

– Platon nadal nie zgadza się na pobranie próbki DNA. Uważam to za podejrzane.

– Jakże podaje powody?

– Żadnych.

– Platon to cudak.

– Od czasu do czasu spotykam ludzi, którzy nie chcą przekazywać swoich płynów fizjologicznych do badań. Niekiedy z powodów religijnych. Niekiedy z ignorancji. Czasem dlatego, że są winni jak cholera. Wydaje mi się, że w przypadku Platona nie chodzi o żadną z tych rzeczy.

Brak odpowiedzi.

– Szeryfie Beasley, czy pan coś ukrywa przede mną?

– O czym pani mówi? – odpowiedział zachowawczo.

– Niech pan mi to powie.

– Proszę mówić jaśniej, panienko.

Beasley marnował mój czas. Ci, którzy marnują mój czas, nie mogą się cieszyć słoneczną stroną mojego usposobienia.

– Może zapytam w ten sposób. Czy jeśli poszperam trochę w kwestii przeszczepu nerki Harriet Lowery, to dokopię się do jakichś interesujących faktów?

Beasley milczał przez dłuższą chwilę, zanim znów przemówił.

– Jeśli potrzebne są pani informacje medyczne, proszę porozmawiać z lekarzem Harriet.

– Może wie pan przypadkiem, jak się nazywa? – odparłam lodowato.

Kolejne zawahanie, a potem:

– Patricia Macken.

– Czy zna pan może przypadkiem dane kontaktowe doktor Macken?

Beasley głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Chwileczkę.

Szeryf trzymał mnie na linii przez prawie pięć minut.

– OK. – Podał mi numer.

– Dziękuję. – Głęb. Nie powiedziałam tego na głos, ale dzielny szeryf na pewno usłyszał to w moim tonie.

Już miałam się rozłączyć, gdy Beasley nagle przemówił.

– Być może Platon faktycznie jest uparty i niedouczony, ale jest uczciwy i ciężko pracuje, jeśli da mu się szansę.

– Wierzę.

– To jest Lumberton. – Na wypadek gdybym zapomniała. – Starajmy się zachować możliwie największą dyskrecję w tej sprawie.

Poczułam w piersiach dreszczyk ekscytacji. Słowa Beasleya dowodziły, że jestem na właściwym tropie.

– Oczywiście.

Rozłączyłam się i wybrałam numer Macken.

Odebrała jakaś kobieta, która powiedziała, że pani doktor przyjmuje w gabinecie i nie wolno jej przeszkadzać.

Wyjaśniłam, że dzwonię w sprawie byłej pacjentki. Podkreśliłam, że to bardzo pilne.

Kobieta obiecała przekazać wiadomość.

Rozsiadłam się na krześle zadowolona, że niedługo poznam odpowiedź.

Dwadzieścia minut później nerwowo spacerowałam po pokoju. Przecież w dzisiejszych czasach lekarze nie mogą poświęcać pacjentom aż tyle czasu. Osiem minut na pacjenta? Dwie? Jedno uderzenie serca? Ile czasu Macken może przeznaczyć dla jednej osoby?

Ubrałam się. Umyłam zęby. Spięłam z tyłu włosy. Rozpuściłam je. Sprawdziłam telefon, upewniając się, że jest sygnał na linii. Przejrzałam pocztę elektroniczną. Jeszcze raz.

O ósmej czterdzieści ten cholerny telefon wreszcie zadzwonił.

Porwałam słuchawkę.

– Mówi Patricia Macken. – Głos, chociaż mocny, niewątpliwie należał do starszej osoby. Urodzonej na Południu. – Dostałam wiadomość, że mam oddzwonić pod ten numer. Pielęgniarka powiedziała, że może chodzić o niezwłoczną interwencję medyczną.

– Niekoniecznie. Ale dziękuję, że pani dzwoni. Jestem doktor Temperance Brennan. Pracuję w biurze patologa sądowego w Charlotte. – Staralam się mówić jasno i zrozumiale. Nawet przesadnie łopatologicznie. W razie potrzeby mogę rozwinąć temat, dodać szczegóły. – Dzwonię w sprawie pacjentki nazwiskiem Harriet Lowery.

– Tak? – W jej głosie zabrzmiała podejrzliwość.

– Podobno pani Lowery leczyła się u pani na dolegliwości nerkowe aż do swojej śmierci pięć lat temu.

– Jak się pani nazywa?

Powtórzyłam nazwisko i funkcję.

– Dlaczego medyk sądowy z Charlotte interesuje się pacjentką, która zmarła, będąc pod opieką lekarską w szpitalu w Lumberton?

– Właściwie interesuje się nią koroner z Montrealu w Kanadzie. Współpracuję z nim jako

konsultantka.

– Nic nie rozumiem. Co to wszystko ma wspólnego z Harriet Lowery?

– Szczerze mówiąc, interesuje nas jej syn, John.

– Pająk?

– Tak.

– Pająk zginął w Wietnamie.

– Możliwe, że jednak nie.

Gwałtowne zaczerpnięcie powietrza powiedziało mi, że Macken nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– Proszę o wyjaśnienia.

Przekazałam jej podstawowe informacje. Topielec z Hemmingford, Jean Laurier, zidentyfikowany na podstawie odcisków palców jako John Lowery. JPAC. Katastrofa śmigłowca w Wietnamie w sześćdziesiątym ósmym roku. Ekshumacja w Lumberton. Podejrzewana zamiana Johna Lowery'ego i Luisa Alvareza.

– Moi współpracownicy i ja już myśleliśmy, że udało nam się wyjaśnić to całe zamieszanie, gdy nagle okazało się, że badania DNA wykluczyły Harriet Lowery jako matkę ofiary z Quebecu.

Macken się nie odezwała, mówiłam więc dalej.

– DNA Harriet uzyskaliśmy z preparatów histopatologicznych przechowywanych w Południowo-Wschodnim Regionalnym Centrum Medycznym. Jak się pani domyśla, materiał uległ pewnej degradacji. Chcielibyśmy przeprowadzić kolejną analizę porównawczą z użyciem próbki od ojca Pajaka Lowery'ego. Platon odmawia jednak pobrania wymazu.

Przerwałam, dając Macken możliwość zabrania głosu. Nie skorzystała z niej.

– Zastanawiamy się dlaczego, doktor Macken.

– Może pan Lowery wie, że się mylicie.

– Wszystkie pozostałe poszlaki wskazują, że człowiek, który zmarł w Quebecu, to Pająk Lowery. Jeśli się mylimy, sprawę mogłoby rozstrzygnąć badanie DNA na podstawie próbek od pana Lowery'ego.

– Dlaczego dzwoni pani do mnie?

No właśnie, dlaczego?

– Gdybym wiedziała, czemu Platon tak oponuje, może miałabym szansę zmienić jego decyzję.

– Wątpię.

– To kwestia ojcostwa, prawda?

– Co ma pani na myśli?

– Ani Pająk, ani Tom nie nadawali się na dawców dla Harriet. Obie wiemy, że to normalna sprawa wśród członków rodzin. Że to nic nie oznacza. Ale podejrzewam, że wyniki badań zgodności tkanek okazały się zaskakujące. Dla Platona nawet porażające.

– To znaczy?

– Podejrzewam, że badania wykazały, iż Platon nie był ojcem dzieci Harriet.

Macken długo milczała, zanim udzieliła odpowiedzi.

– Ma pani rację, doktor Brennan. I jednocześnie myli się pani. To doświadczenie niemal zniszczyło pana Lowery'ego. Ale nie chodziło o kwestię ojcostwa.

– Jeżeli...

– Chodziło o matkę.

– Co takiego? Chwileczkę. Nie rozumiem. Harriet nie była ich matką?

– Proszę chwilę poczekać.

Usłyszałam stukot, odgłosy kroków, a potem dźwięk zamykanych drzwi. Z drugiej strony linii jakby zgęstniało powietrze.

Szuranie. Macken wróciła.

– Zamierzam porozmawiać z panią szerzej na ten temat, mimo że nie powinnam tego robić bez upoważnienia od rodziny Harriet. Zrobię to jednak, ponieważ Harriet nie żyje już od dłuższego czasu i ponieważ mam wrażenie, że pani już i tak zna wiele faktów. A przede wszystkim porozmawiam z panią po to, żeby nie zapędziła się pani w ślepią uliczkę i nie wyciągała wniosków niepopartych faktami. W latach sześćdziesiątych, gdy Pająk zaoferował swoją nerkę, badania medyczne nie stały na takim poziomie jak dziś. Trzydzieści lat później to był już inny świat. Tom nie tylko został odrzucony jako dawca, ale wyniki badań DNA wykazały też, że nie jest synem Harriet.

Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Platon i Harriet zarzekali się, że to jakaś bzdura. Ale wyniki były niepodważalne. Nie miałam wyboru i musiałam porozmawiać z szeryfem.

– Beasleyem.

– Tak. Starał się dowiedzieć, co się stało, najlepiej jak potrafił. Ale Harriet i Platon totalnie zamknęli się w sobie. Minęło już prawie pięćdziesiąt lat. Według dokumentacji medycznej bliźniaki urodziły się w domu przy pomocy akuszerki, ale szeryfowi nigdy nie udało się jej namierzyć. Obaj chłopcy zdążyli dorosnąć, potem Pająk zginął, mimo to szeryf Beasley musiał rozważyć, co powinien zrobić w tej sytuacji. Po narodzinach synów rodzina Lowerych przez wiele lat żyła z zasiłku socjalnego. Czy dopuścili się zatem czegoś w rodzaju wyłudzenia pieniędzy? Czy porwali jednego z synów? A może obu? Czy byli zaangażowani w nielegalny proceder adopcyjny, a może przyjęli ofertę surogatki? Ostatecznie szeryf Beasley doszedł do wniosku, że przecież Pająk i Tom byli ludźmi, których kochano i otaczano opieką. Mieli dobre dzieciństwo. Co było, to było. Zostawił tę sprawę w spokoju.

Macken milczała tak długo, że pomyślałam, iż odeszła od telefonu.

– Halo?

– Jestem. Pięć lat później Tom zmarł. Dwa lata po jego śmierci odeszła Harriet. Platon nigdy nie odzyskał równowagi. Cała ta sprawa jest bardzo, bardzo smutna, nieprawdaż, doktor Brennan?

Skinęłam głowę i natychmiast zdałam sobie sprawę, że ona nie może tego dostrzec.

– Tak – powiedziałam. Mówiłam prawdę.

Gdy ja telefonowałam, kręciłam się w kółko i znów telefonowałam, Ryan był równie zajęty. Spotkaliśmy się w kuchni. Okazało się, że zdążył już porozmawiać z Lô.

– Lô chce dostać tekst tego wpisu na blogu Katy.

– Przyniosę.

Pobiegłam na piętro, wśliznęłam się do pokoju Katy i znalazłam wydruk.

– Biorąc pod uwagę ton groźby w tym tekście – Ryan trzepnął w kartkę papieru, którą mu wręczyłam – faceta na dziedzińcu oraz twój maleńki wypadek nad zatoką Waimanalo, Lô uważa, że przez jakiś czas powinniśmy zabronić dziewczynom wychodzić z domu.

– Więc Lô sądzi, że Katy i Lily grozi niebezpieczeństwo?

– Prawdopodobnie nie, ale woli, żeby zachować środki bezpieczeństwa. Załatwił radiowóz, który będzie przejeżdżał tędy co godzinę.

– Kto jego zdaniem może stanowić zagrożenie?

– Rzecz jasna nie wie. Uspokój się. Robi to przez uprzejmość. Ja też bym tak postąpił, gdybym gościł w Montrealu kolegę detektywa. Mimo wszystko powinnaś była mi to pokazać – Ryan znów trzepnął w wydruk.

– Fakt.

Ryan wciągał i wypuszczał powietrze. Pocierał rękoma twarz, w górę i w dół.

– Mam nadzieję, że moja zbzikowana córka nie planowała wymknąć się gdzieś w nocy.

– Z tym facetem na dziedzińcu?

Ryan skinął głową. Było jasne, że jego rodzicielska cierpliwość została wystawiona na próbę.

– Sądziś, że Lily mogła wrócić do nałogu?

– Nie wiem.

– Sprawdzales jej pokój? Wypytales ją?

– Jeśli tak zrobię i okaże się, że się myliłem, zniszczę to niewielkie zaufanie, które zdołałem wzbudzić.

– Jeśli tak zrobisz i okaże się, że miałeś rację, uratujesz jej życie.

– Tak – powiedział. – Wiem.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Ryan potrząsnął głową.

Minęło jedno uderzenie serca.

– Heroina to cholerna dziwka – rzucił.

Wyciągnęłam rękę i pogłaskałam Ryana po policzku, zasmucona jego widocznym cierpieniem.

Danny zadzwonił o dziesiątej.

– Samolot Lapasy ląduje o drugiej piętnaście. Będzie na niego czekał kierowca od Nickiego. Ma odebrać Ala z lotniska i zawieźć do kancelarii prawnej.

– Dlaczego nie na komendę?

– Nickie tego nie chce. Taki układ odpowiada też Lô. Uważa, że zaciągnięcie Lapasy do glińskiego kanciapy mogłoby zamknąć mu usta. Albo wywołać w nim wściekłość. Poza tym Lô brakuje podstaw do aresztowania.

– OK.

– Masz być tam obecna, żeby dobrze przyjrzeć się facetowi.

– Dlaczego ja?

– Widziałaś akta i zdjęcia Xandra Lapasy.

– Ty też.

– Ale ty jesteś antropologiem. I mieszkasz ponad pięćdziesiąt mil stąd.

Uśmiechnęłam się, słysząc nawiązanie do naszej starej definicji eksperta. To ktoś, kto pochodzi z daleka i nosi aktówkę.

– Będziesz się kręcić w pobliżu recepcji, co umożliwi ci przyjrzenie się Alowi dokładnie i z bliska, gdy już przyjedzie – kontynuował Danny. – Potrafisz wyglądać na taką, co lubi się procesować?

– Wezmę parę lekcji.

– Al zostanie zaprowadzony do sali konferencyjnej. Tam się dowie, że Nickie chce, aby spotkanie było rejestrowane. Ty i Lô będziecie występować tylko w roli obserwatorów.

– Czy Nickie też będzie przysłuchiwał się tej rozmowie?

– Nie. Nie chce mieć z tym nic wspólnego. Dasz sobie radę?

– Dostanę za to nagrodę Emmy.

Lô zadzwonił niedługo później, powtórzył instrukcje i zaprosił Ryana do współpracy.

Prawnik Simon Schoon był partnerem w firmie, której biura mieściły się na trzecim piętrze nowoczesnego ceglanego budynku przy Bishop Street, w pół drogi między Aloha Tower a Uniwersytetem Hawaia Pacific.

Dotarliśmy tam z Ryanem o drugiej. Recepcjonistka powitała nas w wykładanym marmurem foyer, wskazała fotele i skinęła konspiracyjnie głową. Miała szare oczy, nadmiernie wyskubane brwi i najciaśniejszy kok, jaki kiedykolwiek widziałam. Na umieszczonej na kontuarze plakietce widniało nazwisko Tina Frieboldt.

Wzięłam egzemplarz „National Geographic” i udawałam, że czytam. Ryan wybrał

„Sports Illustrated”.

Lô przyjechał dwadzieścia minut po nas. Czekał po drugiej stronie sali z zaplecionymi palcami, gapiąc się w nicość.

Pięć po trzeciej zadźwięczała winda. Po chwili drzwi się otworzyły. Jakiś mężczyzna wszedł do sali i ruszył prosto ku Tinie. Był niski i przysadzisty, o rzednących rudych włosach. Po czarnej marynarce i krawacie poznałam, że to kierowca.

– Pan Lapasa jest już na miejscu.

– Proszę go wprowadzić.

Przerzuciłam stronę w moim magazynie, absolutnie niezainteresowana.

– Ten dżentelmen woli zostać w holu. Ma grypę. Nie chce zarażać innych.

Cholera!

Udając zniecierpliwienie, spojrzałam na zegarek. Przerzuciłam kolejną stronę.

Poprawiłam się w fotelu.

Przez otwarte drzwi widziałam na korytarzu jakiegoś mężczyznę.

Moje serce przyspieszyło.

Mężczyzna miał gęste czarne włosy i ponad metr osiemdziesiąt wzrostu.

Stał odwrócony do mnie plecami. Nosił granatowy garnitur. Jego szyję otaczał biały, lekko postrzępiony kołnierzyk.

Bardzo wysoki. Ciemne włosy.

Jak Xander Lapasa.

Kierowca Nickiego przemierzył marmurową posadzkę, wyszedł na korytarz i zaczął rozmawiać ze swoim pasażerem.

– Zaprowadzę pana od razu do sali konferencyjnej, panie Lapasa.

Granatowy Garnitur odwrócił się i przesunął w bok. W pole widzenia wszedł kolejny mężczyzna.

Był średniego wzrostu, o cienkich siwych włosach i ziemistej cerze. Jego usta i nos zakrywała maska chirurgiczna, jaką sprzedaje się w aptekach w celu ochrony przed zarazkami.

Granatowy Garnitur wziął swego towarzysza pod ramię, po czym cała trójka skręciła w lewo i wyszła z holu.

– Co się dzieje, do diabła? – Lô zerwał się na równe nogi. – Który to Lapasa?

Tina zachowała całkowity spokój, jej fryzura była nieskazitelna.

– Nie mam pojęcia, sir. Czy mam zaprowadzić państwa do punktu obserwacyjnego?

– Tak – mruknął Lô. – Proszę. – Po czym zwrócił się do mnie: – Wie pani, który z tych fajansów to Lapasa?

Potrząsnęłam przecząco głową.

– Chodźmy – rzekł Lô.

Opuściliśmy recepcję i skręciliśmy w prawo.

– Punkt obserwacyjny? – wyszeptał Ryan kącikiem ust.

– Szszsz – ostrzegłam go.

– Laska myśli, że jest Moneypenny.

Tina poprowadziła nas do oszklonego pomieszczenia z długim lśniącym stołem

i dwunastoma obrotowymi fotelami. Gdy usiedliśmy, wzięła do ręki pilota i wcisnęła kilka guzików.

Na wielkim płaskim monitorze, zamontowanym na ścianie na końcu pomieszczenia, pojawił się obraz. Z głośnika dochodziły jakieś głosy, wyraźnie i bez zakłóceń.

Wręczywszy pilota Lô, Tina się wycofała.

– To małeństwo zdecydowanie przewyższa urządzenia, które wy macie na stanie – rzekł Ryan.

– Ale my nie każemy sobie płacić trzystu pięćdziesięciu dolarów za godzinę – odparł Lô.

– Też racja.

Nie zwracając uwagi na te żarciki, obserwowałam, jak Granatowy Garnitur ustępuje miejsca na fotelu Twarzy w Masce. Mężczyzna poruszał się ostrożnie, jakby był chory albo bał się jakiegoś urazu. Gdy usiadł, wbił wzrok w swoje ręce.

Stół na ekranie monitora był okrągły i mniejszy niż nasz. Siedział za nim człowiek z muszką i w okularach w szylkretowych oprawkach. Przed nim leżały żółty brulion oraz srebrne pióro marki Cross.

Uznałam, że to adwokat Nickiego, Simon Schoon. Skryte za soczewkami okularów oczy Schoona wydawały się ciemne i drapieżne.

Granatowy Garnitur zajął fotel tuż obok swego towarzysza.

Przyglądałam się uważnie dwóm mężczyznom z Kalifornii. Który z nich był Alem Lapasą?

Schoon odezwał się pierwszy.

– Mój klient docenia pańską gotowość do osobistego stawiennictwa.

– Mój klient ma swoje powody, by tak postąpić. – Granatowy Garnitur.

Tak! Więc wysoki facet to prawnik.

Skupiłam uwagę na Lapasie, mężczyźnie w masce.

– A pan nazywa się...? – zawiesił głos Schoon.

– Jordan Epstein. – Epstein przesunął po stole swoją wizytówkę. – Reprezentuję pana Lapasę.

Schoon spojrział na kartę wizytową Epsteina, ale jej nie tknął.

– Zanim zaczniemy, byłibyśmy niezmiernie wdzięczni za informację, kogo pan reprezentuje – powiedział Epstein.

– Mój klient woli zachować anonimowość – rzekł Schoon.

– Obawiam się, że będę nalegać.

– Obawiam się, że muszę odmówić.

Epstein odepchnął krzesło do tyłu.

– W takim razie rozmowa skończona.

Podczas całej wymiany zdań Lapasa ani razu nie podniósł głowy. Uczynił to dopiero teraz.

– To Nickie Lapasa, prawda? – Jego głos tłumiała maska lekarska.

Twarz Schoona nie zdradzała niczego.

Lapasa podniósł głos i przemówił w przestrzeń.

– Jesteś tam, Nickie? Słyszysz to?

Epstein położył dłoń na ramieniu swojego klienta. Lapasa strząsnął ją.

– Mam ludzi, którzy znają się na Internecie nie gorzej niż twój, Nickie. Ty znalazłeś mnie, ja znalazłem ciebie. – Wymawiał słowa z nadmierną precyzją, wręcz je cedząc, niczym człowiek pijany, który próbuje mówić jak trzeźwy.

– Panie Lapasa, radzę, żeby zachował pan milczenie.

Lapasa zignorował swojego prawnika.

– Szukasz swojego brata, Nickie? Mogę ci w tym pomóc. Ale najpierw każ temu dupkowi, żeby przestał nas robić w ciula.

– W porządku. – Schoon oblizał wargi. – Przyjmijmy więc roboczo, że Nickie Lapasa poszukuje informacji na temat śmierci swojego brata.

– Dlaczego sądzi pan, że on nie żyje?

– Ujmę to inaczej. Czy wie pan cokolwiek na temat miejsca pobytu Xandra Lapasy?

Epstein obrócił się twarzą do swojego klienta.

– Proszę nie odpowiadać.

– Dlaczego?

– Proszę pamiętać, o czym rozmawialiśmy.

– Przecież właśnie z tego powodu wsadziłem moją chorą dupę do tego pieprzonego samolotu.

Brwi Epsteina ułożyły się w kształt litery V. Tracił kontrolę nad swoim klientem.

Moją uwagę nieustannie przykuwała twarz Lapasy. Widoczne nad maską oczy spoglądały cynicznie i ponuro.

Było w nich coś jeszcze.

W mojej czaszce zadźwięczał cichy alarm.

Epstein znów skierował uwagę na Schoona.

– Proszę powiedzieć nam coś o testamencie Theresy-Sophii.

– Nie mogę tego zrobić, jeśli wcześniej pański klient nie udowodni swojej tożsamości.

– Jestem pierdolony Czarnoksiężnik z Oz. – Śmiech Lapasy przeszedł w kaszel.

Epstein wyszarpnął z kieszeni chusteczkę do nosa i podał ją swemu klientowi.

Wargi Schoona uformowały się w cienką twardą linię, gdy adwokat czekał na zakończenie ataku suchego kaszlu.

Doszedłszy do siebie, Lapasa zaplótł palce i zaczął wykonywać taniec kciuków, uderzając jednym o drugi. W głośnikach dała się słyszeć seria kliknięć.

Badalam oczy Lapasy.

Ponownie mały alarm.

Cóż takiego widziała moja podświadomość, czego ja nie dostrzegałam?

Lapasa przerwał milczenie.

– To pic na wodę, co?

– Słucham? – powiedział Schoon.

– Wyczuwam takie rzeczy na kilometr. Nie ma żadnego cholernego testamentu.

– Ależ proszę pana...

– Dość tego pieprzenia. – Jeden kciuk trzepnął Epsteina. – Powiedz mu pan, co mam.

– Panie Lapasa, nie pomogę panu, jeśli nie będzie się pan stosował do moich rad.

– Co tam, kurwa. Ja umieram.

– Na pewno pan tego chce?

Lapasa przytaknął.

Epstein odczekał chwilę, w sposób oczywisty niezadowolony. Potem zaczął mówić.

– Pan Lapasa ma raka. Rokowania nie są dobre. Pragnie przekazać pewne informacje w zamian za to, że jego zaangażowanie w niektóre zdarzenia pójdzie w zapomnienie.

– Nie mam upoważnienia do negocjowania w sprawach karnych.

Epstein spojrział na swojego klienta.

Lapasa zaszyfrował, że adwokat ma kontynuować.

– Wydarzenia te miały miejsce ponad czterdzieści lat temu.

Wstrzymałam oddech.

Klient Epsteina był w odpowiednim wieku, jednak o wiele za niski, żeby być Xandrem Lapasą. Kim był? Dokąd to wszystko zmierzało?

Schoon przemówił teraz bezpośrednio do Epsteina.

– Jeżeli pański klient chce przyznać się do popełnienia przestępstwa, muszę nalegać na odczytanie mu jego praw.

Schoon bez wątpienia wiedział, że tego rodzaju zastrzeżenie jest zupełnie nie na miejscu, gdyż rozmowa ani nie odbywała się w areszcie śledczym, ani nie przeprowadzał jej przedstawiciel organów ścigania. Ponieważ jednak zdawał sobie sprawę, że Lô wszystkiego słucha, uznał, że powinien trochę zaspanować.

– Występuję tu jako pełnomocnik prawny pana Lapasy. Mój klient zna swoje prawa oraz rozumie konsekwencje swoich czynów.

– Czy to się zgadza, panie Lapasa? Skonsultował się pan z prawnikiem w sprawie zeznań i składa je pan dobrowolnie, bez presji i nadziei na korzyści osobiste?

– Tak, tak. Wszystko jedno. I tak umrę za trzy miesiące.

– Pozwolę sobie przypomnieć, że ta rozmowa jest rejestrowana. – Schoon podniósł swoje pióro. – Bardzo więc proszę, panie Lapasa. Chciałbym to usłyszeć bezpośrednio od pana.

– Zabiłem go.

– Kogo pan zabił?

– Faceta nazwiskiem Alexander Lapasa.

Moje oczy pobiegły do Ryana. Następnie ku Lô.

Brwi obu mężczyzn znajdowały się o cal wyżej niż normalnie.

– Kiedy to się stało? – Głos Schoona nie zdradzał żadnych uczuć, żadnego zaskoczenia, żadnego potępienia, żadnego triumfu. Był całkowicie neutralny.

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym.

– Gdzie?

– W Wietnamie.

– Proszę dalej.

– To wszystko. Zabiłem gościa, ukradłem mu portfel i paszport, i zwiąłem w głąb kraju.

– Pański motyw?

– Chciałem uciec.

– Uciec skąd?

– Z wojska, z Nam, od tej pieprzonej wojny.

– Dlaczego?

– Pyta się pan poważnie?

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

– Miałem osiemnaście lat, lubiłem mieć dupę w jednym kawałku.

– Dlaczego Xander Lapasa?

– Nie był żołnierzem. Wymyśliłem, że mając cywilne papiery, stanę się wolny. – Lapasa

zwrócił się do Epsteina. – Te cholerne leki mnie wykończą. Znow muszę się odlać.

Lapasa odsunął fotel do tyłu. Prawnik pomógł mu wstać.

W moim umyśle wirowały pytania.

Żaden z tych mężczyzn nie był Xandrem Lapasą. Epstein to prawnik. Twarz w Masce jest o wiele za niski jak na Lapasę. Kim więc jest? Gdzie w Wietnamie natknął się na Xandra?

Twarz w Masce od lat sześćdziesiątych żył jako Al Lapasa. Gdzie mieszkał, zanim pojawił się w Oakland? Czym się zajmował?

Ogryzałam naskórek, zbyt poruszona, by się odzywać. Znajdujący się za moimi plecami Ryan i Lô także milczeli.

Minął cały eon. Kolejny.

Naskórek zaczął krwawić.

Wreszcie Epstein i jego klient powrócili.

Schoon zaczął od miejsca, w którym mu przerwano.

– Jak zabił pan pana Lapasę?

– Zastrzeliłem go z mojego M16.

– A potem ukradł mu pan dokumenty tożsamości, zdezerterował i żył jako Al Lapasa.

– To właśnie mówię.

– Dlaczego Al?

– Że co?

– Czemu nie Xander?

Lapasa wzruszył ramionami.

– W paszporcie faceta pisało Alexander. Uznałem, że ma na imię Al.

– Jak się pan naprawdę nazywa?

– Nieważne.

– Jeszcze wrócimy do tego. – Schoon zanotował coś w brulionie. – Gdzie pan poznał pana Lapasę?

– Nie powiedziałbym, że się poznaliśmy.

– No dobrze – Schoon odezwał się sztywno. – Gdzie zabił pan pana Lapasę?

Twarz w Masce wolno pokiwał głową, jego oczy spoczęły na Schoonie.

– Tak?

– Daję panu coś, a pan ściska mnie jak cytrynę.

– Słucham?

– Teraz to pan powinien dać coś mnie, panie prawniku.

Oczy Schoona błyszczały nieruchomo zza soczewek okularów.

– Uważa mnie pan za męta.

Schoon zaczął protestować. Twarz w Masce powstrzymał go uniesieniem ręki.

– Młodzież mówi dzisiaj o liście rzeczy do zrobienia. Słyszałeś pan o tym?

– Nie.

– Chodzi o wszystkie rzeczy, jakie chce się w życiu zrobić, zanim zasadzą cię jak kwiatka. Wiesz pan, zanim stuknie się w kalendarz.

Schoon się nie odezwał.

– W młodości robiłem rzeczy, z których nie jestem dumny. Przez większość życia musiałem oglądać się przez ramię. Teraz mówią mi, że w bebechach mam sieczkę. Na mojej liście jest zadanie: załatwić pewne sprawy do końca.

Twarz w Masce wziął głęboki i długi oddech.

– Oto propozycja. Wóz albo przewóz. Dostaniesz pan wszystko, co wiem o Lapasie. A ja wrócę do domu umrzeć spokojnie we własnym łóżku.

Schoon myślał przez chwilę.

– Muszę się skonsultować z prokuratorem okręgowym.

– Tak, zajmij się pan tym.

Twarz w Masce zgarbił się w fotelu.

Kilka sekund później Schoon pojawił się u nas.

– Jak mi idzie? – zwrócił się z pytaniem do Lô.

– Nie mam żadnych obiekcji co do sprawy Xandra Lapasy. Według tamtego Xander nie żyje od czterdziestu lat. Morderstwo w Wietnamie. Przeprowadzenie procesu byłoby koszmarem. Poza tym facet może nas wystawiać. Chce po prostu wykorzystać gdzieś zasłyszane plotki dla utargowania czegoś dla siebie.

Też o tym pomyślałam.

– Ale proszę trzymać się z dala od Kealohy i Faaloga – dodał Lô. – Jeśli ta łajza zamierza rozprowadzać narkotyki po moim mieście, to ma przerąbane. Z rakiem czy bez.

– To może trochę potrwać – rzucił Schoon.

Ale nie trwało. Wrócił po dziesięciu minutach.

– Prokurator okręgowy wyraził zgodę. Damy Lapasie linę, może sam się na niej powiesi przy innej sprawie. Prokurator wkrótce tu będzie, natomiast okręgowy kazał procedować, skoro nagrywamy Lapasę, a jego przedstawiciel prawny jest obecny na przesłuchaniu. Poza tym jego zdaniem nie mamy tu raczej umocowania prawnego, ponieważ domniemane przestępstwo miało miejsce w Wietnamie, a sprawca pełnił wówczas służbę wojskową.

Schoon wyszedł. Minutę później znów pojawił się na ekranie i zajął swoje miejsce.

– W porządku – rzekł. – Ma pan immunitet na wszystko, co powie pan w sprawie Xandra Lapasy.

Twarz w Masce spojrzał na swojego prawnika.

– Chcemy to na piśmie – powiedział Epstein.

– Dostaniecie – odparł Schoon.

Epstein skinął głową.

Schoon chwycił swoje pióro.

– Proszę opowiedzieć mi o śmierci Alexandra Lapasy.

Maska higieniczna zapadła się w okolicy ust, potem wydeła.

– Lapasa i ja czekaliśmy na śmigłowiec, który miał nas zabrać w głąb kraju.

– Gdzie to było? – zapytał Schoon.

– W Long Binh.

Moje serce zaczęło bić tak głośno, że myślałam, iż inni mogą usłyszeć.

– Dla zabicia czasu gawędziliśmy sobie. Spytałem, czemu nie ma munduru.

Odpowiedział, że jest cywilem, że szuka w tym kraju możliwości biznesowych, gdy wojna już się skończy. Wreszcie wystartowaliśmy. Śmigłowiec ledwie wzbił się w powietrze, kiedy zostaliśmy mocno trafieni. Pilot, drugi pilot i sierżant zginęli. Tak samo chłopak z tyłu helikoptera. Ja przeżyłem. Lapasa też. – Twarz w Masce wzruszył ramionami. – Nagle dostrzegłem doskonałą możliwość biznesową dla siebie.

Matko Przenajświętsza!

Wyciągnęłam rękę w kierunku Ryana.

– Daj mi swoją komórkę.

– Co?

– Dawaj komórkę – powtórzyłam ostro.

Ryan podał mi telefon.

Wcisnęłam cyferki, a moje oczy przeskakiwały między telefonem a mężczyzną na ekranie. Schoon pytał teraz o daty.

– Styczeń sześćdziesiątego ósmego.

– A dzień?

– Nie pamiętam.

Danny odebrał po pierwszym sygnale.

– Ten pracownik techniczny, który był świadkiem rozbicia się śmigłowca w Long Binh. Udało ci się go namierzyć?

– Harlan Kramer?

– Możliwe.

– Rozmawiałem z nim. Jest na emeryturze i mieszka w Killeen w Teksasie. Nie dowiedziałem się niczego nowego...

- Pytałeś go, ilu ludzi wsiadło do tego śmigłowca?
- Według listy pokładowej pięciu. Czterech członków załogi i Pająk Lowery.
- Ale czy pytałeś, ilu wsiadło?
- Nie.
- Zadzwoń jeszcze raz. Spytaj go.
- Teraz?
- Tak.
- Co się dzieje...?
- Po prostu zrób to. I daj mi znać, co powiedział.

Wstałam. Chodziłam tam i z powrotem. Ogryzałam gołe mięso na kciuku. Ryan i Lô patrzyli na mnie, jakbym miała za chwilę zbzikować.

Na monitorze Schoon prosił Twarz w Masce o opisanie Xandra Lapasy. I broni.

Wreszcie telefon zadzwonił.

– Kramer widział sześciu mężczyzn wsiadających do śmigłowca – czterech członków załogi, niedawno zwolnionego więźnia i jednego cywila. – W głosie Danny’ego słychać było zakłopotanie. – Mówi, że nikt mu nigdy nie zadał takiego pytania. Chciano tylko wiedzieć, w jaki sposób rozbił się ten helikopter.

- A on sam o tym nie wspominał, ponieważ uznał, że przecież mają listę pokładową.
- No tak.
- Dzięki, Danny. Później ci wyjaśnię.

Ponownie skupiłam uwagę na człowieku z monitora.

- Jak daleko pan i pan Lapasa oddaliliście się od miejsca katastrofy?

Twarz w Masce wzruszył ramionami.

- Do licha, nie wiem. Paręset metrów.
- Piechotą?

– Nie. Wezwaliśmy pieprzoną taryfę.

– I zastrzelił go pan.

– Ile razy mam to jeszcze powtórzyć?

Ciemne źrenice. Brwi Ala Pacino.

Oczywiście.

Właśnie tę wiadomość wysyłało mi moje id.

– Co było dalej?

– Włożyłem jeden z moich nieśmiertelników na jego ciało i zwałem.

– Co pan robił wtedy w Long Binh?

– Właśnie wypuścili mnie z więzienia.

– To Pająk – wyszeptałam.

– Co takiego? – spytał Ryan.

– Kto? – zdziwił się Lô.

– John Lowery. Zwany Pajakiem.

– *Tabarnac.*

– Kto? – powtórzył Lô.

– Szsz. – Uciszyłam ich obu, pragnąc usłyszeć pozostałe zeznania Pajaka.

– ...wyjechał pan po zastrzeleniu pana Lapasy?

– Spędziłem kilka lat w Sajgonie. Potem byłem w Tajlandii. Bangkok. Chiang Mai. Chumphon. Znowu Bangkok. Mieszkałem tam do osiemdziesiątego szóstego.

– A potem?

– Poczulem tęsknotę za krajem.

– Wrócił pan do Stanów Zjednoczonych?

Pająk skinął potakująco głową.

– Korzystając z osiemnastoletniego paszportu. – W głosie Schoona słychać było powątpiewanie.

– Dostałem nowy.

– Jak to możliwe?

– Ten wypierdek wypadł sroce spod ogona? – zwrócił się Pająk z pytaniem do Epsteina. Jego głos ociekał pogardą.

– Proszę kontynuować – powiedział Schoon.

– To wszystko. – Pająk wzruszył ramionami. – Od tamtej pory mieszkam w Ameryce.

– Jako Al Lapasa.

– Zachowuję się grzecznie. Płacę podatki. Mam nawet psa.

– Jak się pan naprawdę nazywa?

Twarz w Masce spojrzał na Epsteina.

Epstein skinął głową.

– John Charles Lowery. Urodzony dwudziestego pierwszego marca tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku w Lumberton w Karolinie Północnej. Imię ojca Platon. Imię matki Harriet.

Wiedziałam. A mimo to słysząc te słowa, poczułam, jak przeszywa mnie dreszcz.

– Słuchajcie, muszę coś zjeść – powiedział Pająk. – Może byś pan skombinował parę kanapek i kilka puszek czegoś do picia.

Przez chwilę Schoon wyglądał na niezdecydowanego. Potem rzekł:

– Chyba faktycznie potrzebujemy przerwy.

Prawnik Nickiego wstał i wyszedł poza zasięg kamery. Podejrzywałam, że uznał, iż najwyższy czas zatelefonować do swego klienta.

Spojrzałam w twarze Ryana i Lô.

Przez pełne pół minuty nikt nie odważył się wyrazić swojej opinii. Lô zdecydował się pierwszy.

– Coś mi mówi, że ten dupek to kawał gnoja.

– To musi być Pająk – powiedziałam. – Kto inny mógłby wiedzieć o Long Binh?

O rozbiciu się śmigłowca? O tym, dlaczego Xander podróżował do Wietnamu?

– Jakim cudem Xander znalazł się w wojskowym helikopterze? – spytał Lô.

– Cały czas przewożono jakichś cywilów – odpowiedziałam.

– Pasuje wizualnie?

Wyjęłam z torebki dwa zdjęcia. To, które znalazłam w szufladzie biurka Jeana Lauriera. Fotografie grupową, którą Platon wyciągnął ze swojego albumu.

We troje przyglądaliśmy się uważnie twarzy młodego Pajaka. Człowieka na ekranie monitora.

Obaj mieli takie same ciemne oczy i ciężkie, wygięte łukowato brwi.

– Przez tę maskę trudno coś stwierdzić – odezwał się Lô. – Poza tym gościu coś kręci.

– Oczy chyba te same – rzekł Ryan.

– Jeśli kłamie, to jaki ma motyw? – spytałam.

Nikt nie wystąpił z teorią na ten temat.

– Jedna rzecz mnie gryzie – powiedział Lô. – W jaki sposób ten Pajak, nie będąc Samoanczykiem, spiknął się z SOS?

Tu również brak teorii.

– Jeżeli mówi prawdę, wyjaśniałoby to obecność nieśmiertelnika Pajaka przy szczątkach Xandra Lapasy – powiedziałam.

– Ale nie wyjaśniałoby, jakim sposobem u ofiary z Hemmingford znaleźliśmy odciski palców Pajaka – zareplikował Ryan.

– To prawda – zgodziłam się. – Ale wyjaśniałoby, dlaczego badania DNA wykazały, że tamten mężczyzna nie może być synem Harriet.

– Komuś chce się pić? – Lô wstał z miejsca.

– Dietetyczna cola – powiedziałam.

– Kawa.

– Nie zaczynajcie beze mnie. – Lô zniknął za drzwiami.

Aby zabić czas, jeszcze raz przyjrzałam się zdjęciom. Oto Pajak opierający się

o chevroleta. Gdzie indziej z krzywym numerem 12 na koszulce.

Zastanawiałam się, na jakiej pozycji grał Pająk. Czy lubił bejsbol. Jak często trener pozwalał mu grać.

Platon powiedział, że to kuzyn namówił Pajaka na zapisanie się do drużyny, że jego syn najczęściej grzał ławę.

Jak się ten kuzyn nazywał?

Reggie. Reggie Cumbo.

Spojrzałam na Reggiego klęczącego na jednym kolanie, bez uśmiechu. Jego podobieństwo do Pajaka było naprawdę niesamowite.

Platon powiedział, że chłopcy byli spokrewnieni ze sobą ze strony Harriet.

Przypomniał mi się ten starzec opowiadający o żonie. Znow poczułam bijący od niego smutek.

Co takiego Platon wtedy powiedział? Harriet miała ładne oczy, jedno brązowe, jedno zielone jak sosna taeda.

W moim mózgu powstało maleńkie połączenie.

Odciski palców wskazywały, że człowiek, który umarł w Hemmingford, to Pająk Lowery.

Przeciły temu wyniki badań DNA.

W aktach wojskowych odnotowano, że Pająk Lowery zginął w Wietnamie.

Mężczyzna rozmawiający z Schoonem twierdził, że Pająk nie zginął.

Przypomniałam sobie zdjęcie Harriet Lowery stojącej na moło. Jej spalony słońcem dekolt. Jej oczy, każde w innym kolorze.

Do samotnej cząsteczki dołączały kolejne. Odtworzyłam sobie rozmowę z lekarką Harriet o przeszczepie. Macken przyznała, że podczas badań zgodności tkanek wyszły na jaw pewne nieprawidłowości. Wyniki badań DNA wykazały, że Harriet nie może być matką Toma.

Platon i Harriet temu zaprzeczali.

Tom był bratem bliźniakiem Pajaka.

Przyszła mi do głowy pewna sprawa sądowa. Pewien artykuł.

Cząsteczki połączyły się w pełnowymiarową teorię.

Gapiałam się w monitor, prawie bez tchu, chcąc z całych sił, aby mężczyzna w masce spojrzał w kamerę.

Drzwi się otworzyły.

No dalej!

Kroki człowieka przechodzącego przez pokój.

No dalej!

Lô postawił przede mną colę.

No dalej!

Na ekranie pojawił się Schoon. Umieścił na stole białą papierową torbę. Duet z Kalifornii wyciągnął z niej napoje gazowane, kanapki i papierowe serwetki. Puszki wystrzeliły. Rozerwano i wyciśnięto saszetki z majonezem i musztardą.

Zrób to, draniu! Popatrz na mnie!

W końcu popatrzył.

I już wiedziałam, kim jest.

I co się wydarzyło.

Zerwałam się na równe nogi.

– Muszę skorzystać z Internetu.

Ryan i Lô popatrzyli na mnie tak, jakbym zamierzała wstąpić do Al-Kaidy.

– Powiedzcie Schoonowi, żeby przeciągał rozmowę.

– Czemu?

– Niech facet po prostu jak najdłużej gada.

Pobiegłam do recepcji i wyłuszczyłam moją prośbę.

Tina, absolutnie nieporuszona, zaprowadziła mnie do pustego gabinetu, zastukała parę razy w klawiaturę i wyszła, nie zadając pytań.

MoneyPENNY doskonala.

Zalogowałam się na stronę „New England Journal of Medicine”, odnalazłam ów artykuł i szybko czytałam. Robiłam notatki. Przechodziłam od jednego linku do drugiego, aż uznałam, że moja wiedza w sprawie jest zadowalająca.

Następnie wpisałam nazwisko i zaczęłam przeglądać trafienia.

Jeszcze jedno nazwisko.

Więcej trafień.

Do sali konferencyjnej wróciłam, praktycznie tańcząc.

Wraz z Ryanem i Lô siedziała jakaś kobieta. Była wysoka, o krótkich brązowych włosach, na jej policzkach pozostały blizny po trądziku. Dawałam jej jakieś trzydzieści parę lat.

Lô dokonał prezentacji. Nie wyglądał na szczęśliwego.

Nowo przybyła nazywała się Maya Cotton, była prokuratorem w biurze oskarżyciela publicznego okręgu Honolulu.

Podaliśmy sobie ręce.

– W każdym razie przepraszam, że psuję wam dzień – rzekła Cotton.

– Skurkowaniec. – Lô grzmotnęła stopą w nogę od stołu.

– Co jest? – spytałam, tak naprawdę niezbyt zainteresowana, nie mogąc już się doczekać, kiedy podzielę się moim przełomem w śledztwie.

– Dziś rano zwolnili Pinky’ego Atoę.

To mnie zaskoczyło.

– Przecież przyznał się do udziału w zamordowaniu Kealohy i Faaloga.

Parsknąwszy z niesmakiem, Lô gestem ręki wskazał na Cotton.

– Okazuje się, że Atoa ma de facto tylko szesnaście lat. Zeznania do wyrzucenia. Ponieważ nie ma przeciw niemu nic innego, musiał wyjść.

Gdzieś na końcu korytarza Schoon zadawał pytania Twarzy w Masce.

– Dużo straciłam? – spytałam, pokazując ekran.

– Odrodzenie się Pajaka – odrzekł Ryan. – Planuje wstąpić do jezuitów.

– Wiem już, co się wydarzyło. – Byłam tak podekscytowana, że nie okazałam Lô zbyt wiele współczucia z powodu jego frustracji. – Pajak. Xander. Lapasa. Potrzebowałam tylko trochę informacji natury medycznej.

– Uwaga, wykład – wyszeptał Ryan w kierunku Lô i Cotton.

– Postaram się krótko. – Czulałam się zbyt podniecona, żeby się obrazić.

– I zrozumiale.

– Tak, tak. Bez żargonu.

Głęboki oddech.

– W roku dwa tysiące drugim w Wielkiej Brytanii pewna ciężarna kobieta nazwiskiem Lydia Fairchild złożyła wniosek o zasiłek socjalny. Oprócz nienarodzonego dziecka miała jeszcze dwoje, z mężczyzną nazwiskiem Jamie Townsend. Do wniosku pani Fairchild musiała dołączyć wyniki badań DNA dowodzące, że ojcem jej dzieci jest Townsend. Owszem, wyniki tego dowodziły, ale jednocześnie wskazywały, że ona nie jest matką dzieci.

– A to pech – rzucił Ryan.

– Nie żartuj sobie. Fairchild oskarżono o usiłowanie popełnienia oszustwa, a jej dzieci zabrano do domu opieki. Sąd nakazał, aby podczas porodu obecny był świadek. Pobrano też próbki krwi od Fairchild i noworodka. Wyniki badań DNA wskazywały, że nie jest ona matką

także tego dziecka, mimo że urodziła je, i to przy świadku. Przełomem w sprawie okazało się odkrycie przez prawników podobnej sytuacji w Bostonie.

– obrońcy tej pani powinni podziękować Bogu – odezwał się Lô, król sarkazmu.

– Właściwie chyba prokurator. – Uśmiechnęłam się do Cotton. – W dziewięćdziesiątym ósmym roku pewna kobieta nazwiskiem Karen Keegan musiała poddać się przeszczepowi nerki. Jej dorosłych synów przebadano jako ewentualnych dawców. Dwóch na trzech z nich miało DNA, które dowodziło braku powinowactwa biologicznego charakterystycznego dla matki i dzieci. Dalsze szczegółowe testy dowiodły, że Keegan była chimerą, czyli posiadaczką dwóch odrębnych zestawów linii komórkowych, o odrębnych zespołach chromosomów.

– Jak do tego doszli? – zapytał Ryan.

– Różne typy DNA odkryto w tkankach pobranych od Keegan później, nie w pierwszej próbce. Oskarżyciele pani Fairchild przekazali jej obrońcom informację o takiej ewentualności. Pobrano więc próbki DNA od wszystkich członków rodziny, także tej dalszej. DNA dzieci pani Fairchild było zgodne z DNA jej matki, czyli ich babki.

– Co dowodziło, że jednak była ich matką. – Cotton wyglądała na zagubioną.

– Kolejne testy pokazały, że o ile DNA pozyskane ze skóry i włosów pani Fairchild nie odpowiadało DNA jej dzieci, o tyle już DNA pobrane cytologicznie z szyjki macicy było odmienne od poprzedniego i zgodne z DNA dzieci.

– Fairchild była nosicielką dwóch zestawów genów – Ryan uprosił sprawę, ale zasadniczo ujął ją prawidłowo.

– No tak.

– Więc chimera to właśnie coś takiego? – zapytał Lô.

– No tak. – Zajrzałam do notatek.

– Za chwilę wyłuszczy nam wszystko na ten temat – ostrzegł Ryan pozostałą dwójkę.

– U ludzi występują dwa rodzaje chimeryzmu. Przy mikrochimeryzmie tylko niewielka część komórek ma genetycznie odmienną linię komórkową. Dzieje się tak zwykle dlatego, że obcym komórkom udaje się ustabilizować w organizmie nosiciela.

– Obcym? – spytała Cotton.

– Choćby komórkom pochodzącym z wymiany płodowo-matczynej w okresie ciąży. Płód może na przykład przekazywać matce swoje komórki macierzyste przez łożysko. Ponieważ są one nieodróżniane, potrafią przetrwać i rozprzestrzeniać się w organizmie matki. W ten sam sposób komórki macierzyste matki mogą przenieść się na płód.

Nikt się nie odezwał, mówiłam więc dalej.

– Mikrochimeryzm może też występować u bliźniaków. Najczęściej spotykaną postacią chimeryzmu u ludzi jest tak zwana chimera krwi. Powstaje, gdy bliźnięta dwujajowe korzystają wspólnie z tej samej części łożyska. Dochodzi do wymiany krwi, której komórki są magazynowane w szpiku kostnym. Każde z bliźniąt jest genetycznie odrębnym organizmem, z wyjątkiem właśnie krwi, która posiada dwa różne zestawy genów, a może nawet dwie różne grupy.

– Jak często się to zdarza? – Ryan.

– Szacuje się, że do ośmiu procent bliźniąt dwujajowych to chimery krwi. – Zamyśliłam się przez chwilę. – Ale mikrochimeryzm może też wywołać u biorcy transfuzja krwi czy przeszczep narządu.

– To się właśnie przydarzyło tym kobietom, o których pani mówiła? – spytał Lô.

– Nie. Przypadłość Fairchild i Keegan jest znacznie rzadszego rodzaju, to chimeryzm tetragametyczny. Występuje, gdy dwa osobne jajeczka zostają zapłodnione przez różne plemniki i powstają dwie zygoty.

Ryan uniósł ostrzegawczo palce.

– Embriony.

– Tak, przepraszam. Dzieje się tak u bliźniąt dwujajowych, czyli nieidentycznych. Na wczesnym etapie rozwoju embriony łączą się ze sobą w jeden, tworząc jedno dziecko o dwóch różnych liniach komórkowych. Jeden zestaw DNA może na przykład wystąpić w nerkach, drugi zaś w trzustce.

Cotton podsumowała.

– A więc każda z tych kobiet, Fairchild i Keegan, zlała się w jedno ze swoim bliźniakiem, stąd miszmasz genów pochodzących od obu bliźniąt.

– Tak.

– Jasny gwint – rzucił Lô. – Tacy ludzie chyba dziwnie wyglądają.

– U wielu chimer brak widocznych oznak ich stanu. Czasem może chodzić o drobne osobliwości, jak na przykład różnice w kolorze oczu, niesymetryczny zarost, coś takiego. Inni nie mają tyle szczęścia. Lekarze z Uniwersytetu w Edynburgu leczili pewnego mężczyznę, który skarżył się na niezstąpione jądro. Gdy go zbadano, okazało się, że ma jajniki i jajowód.

Na ekranie Schoon pytał właśnie, dlaczego Twarz w Masce znalazł się w więzieniu w Long Binh.

Ryan wskazał podbródkiem monitor.

– Co to wszystko ma wspólnego z Lowerym?

– To nie jest Lowery.

– A gdzie jest Lowery?

– Zmarł w Quebecu.

– Według DNA to nie on.

– Harriet Lowery była chimerą. Miała jedno oko brązowe, a drugie zielone. Oraz widoczne linie Blaschko.

Nikt nie zadał żadnego pytania, leciałam więc dalej.

– Linie Blaschko przybierają kształt liter V i S albo pętli i występują na skórze w konkretnych częściach ciała. U ludzi zdrowych są niewidoczne, jednak przy pewnych chorobach skóry i błony śluzowej uwidaczniają się właśnie wedle tych wzorów.

– Widać je wtedy wyraźnie – odgadł Ryan.

– Tak.

– Wyglądają jak co? Paski? – zapytał Lô.

– Uważa się, że linie Blaschko odtwarzają szlaki migracji komórek skórnych z okresu płodowego. Rzecz w tym, że ludzie chimery często mają takie linie na ciele, a na jednym ze zdjęć z albumu Platona zauważyłam je na piersi Harriet Lowery.

– Była chora?

– Tego nie wiem. Ale miała widoczne linie Blaschko. A według Platona oczy Harriet były każde w innym kolorze.

– Jeśli była chimerą, wyjaśniałoby to, dlaczego jej DNA nie pasowało do DNA jej synów – zaskoczył Ryan.

– Właśnie.

– To znaczy, że facet w stawie to jednak Pająk. – Ponownie wskazał na ekran. – Czyli że ten bałwan nim nie jest.

– Bingo.

– Więc kim jest? – spytał Lô.

Obróciłam na stole zdjęcie przedstawiające drużynę.

Trzy głowy blisko siebie pochyliły się nad nim.

Stuknęłam palcem w chłopaka stojącego w tylnym rzędzie.

– To jest Pająk Lowery.

– Zgadza się – powiedział Ryan.

Stuknęłam placem w chłopaka klęczącego w pierwszym rzędzie.

– To jest jego kuzyn.

– O kurczę – rzekł Lô.

– Mogliby być bliźniakami – odezwała się Cotton.

– Kto to jest? – zapytał Ryan.

– Reggie Cumbo – odparłam. – Popatrzcie na faceta rozmawiającego z Schoonem.

Trzy głowy obróciły się.

– Jakiego koloru ma oczy?

– Brązowego.

– Według Platona Lowery’ego oczy Pajaka były zielone.

Ryan przez chwilę przetrwał tę informację. Potem rzekł:

– Podejrzewasz, że kuzyni zamienili się miejscami w roku sześćdziesiątym ósmym. Pająk pojechał do Kanady. Reggie do Nam.

Skinęłam twierdząco głową.

– Ich fizyczne podobieństwo było wystarczające, aby nabrać każdego, kto ich dobrze nie znał. Albo zamienili karty dentystyczne, albo w jakiś sposób Reggie’emu udało się je usunąć ze swoich akt.

– Nie wiem, o co chodzi – powiedziała Cotton.

– Wprowadzę panią później – rzekł Lô.

– Dlaczego? – zwrócił się do mnie z pytaniem Ryan.

– Nie wiem. Prawdopodobnie Pająk dostał powołanie do wojska i nie chciał iść. Reggie zawsze był bardziej agresywny i asertywny z ich dwójki, przynajmniej według Platona. Być może chciał się zaciągnąć, ale nie miał takiej szansy. Przecież wcześniej kilka razy zatrzymywała go policja, nie ukończył szkoły średniej. Jeśli Reggie sam nam nie powie, być może nigdy się nie dowiemy, dlaczego to zrobili.

Ryan wyprostował się.

– Jak chcesz to rozegrać? – spytał Lô.

– Proszę pozwolić mi zadać mu parę pytań – powiedziałam.

– Nie ma mowy.

– Jestem antropologiem – naciskałam. – A pan gliniarzem.

– Nie żartowałeś – Lô zwrócił się do Ryana. – Babka jest dobra.

– Mówiłem.

– Chodzi mi o to, że Reggie mu mogę wydać się mniej groźna niż pan.

– Ale to ja noszę odznakę – rzekł Lô.

– I broń – dodał Ryan.

– I taką koszulę. – Lô pstryknął w rąbek kolejnej ze swoich hawajskich barwnych koszul.

– Jesteście obaj przezabawni – oświadczyłam. – Ale Cumbo otrzymał immunitet. Może sobie stąd wyjść, gdy tylko zechce. Podejdę go jako ekspert pracujący dla JPAC. Twierdzi, że pragnie umrzeć z czystym sumieniem. Mogę to wykorzystać, opowiedzieć o Platonie, o tym, że chcemy pochować Pajaka jak należy.

– Jest pani pewna tej całej sprawy z chimeryzmem? – zapytał Lô.

– Żeby mieć absolutną pewność, musiałabym zbadać więcej próbek DNA Harriet. Ale w tej chwili uważam, że to jedyna sensowna teoria.

Lô spojrział na Cotton.

– Atoa wymknął mi się z rąk. Chciałbym mieć coś na tego faceta.

– Nie widzę przeciwwskazań – powiedziała. – Poinformowano go o jego prawach. Jest z nim pełnomocnik. Armia ma zasadny powód, aby się sprawą interesować. A ich przedstawicielem w sprawie Pajaka jest doktor Brennan.

Lô wahał się.

Westchnął.

– A co tam, do diabła.

Ruszyłam ku drzwiom.

– Moment – rzucił Lô.

Obróciłam się z ręką na klamce.

– Załatw go na cacy.

Cumbo nie podniósł wzroku, kiedy weszłam do pokoju.

Schoon i Epstein owszem. Obaj prawnicy przyglądali się w milczeniu, jak zmierzam w kierunku stołu.

Z bliska widziałam, że Cumbo potwornie się poci. Kołnierz jego bluzy nasiąkł potem ściekającym mu z twarzy i karku. Pod oczyma miał wielkie śliwki w kształcie obwisłego półksiężyca. Skóra na nich była ciemnobrązowa.

– Jestem doktor Temperance Brennan. – Usiadłam.

– Doktor? – Epstein przeniósł spojrzenie na Schoona.

– Prokurator Cotton zasugerowała, żebym wzięła udział w tym przesłuchaniu.

– Doktor? – powtórzył Epstein.

– Jestem antropologiem sądowym.

– Nie widzę związku.

– Pracuję dla JPAC. – Mówiłam bezpośrednio do Cumbo. – Wojskowej Połączonej Komendy Poszukiwania i Rejestrowania Żołnierzy Zabitych i Zaginionych. Może pan słyszał?

Cumbo nie unióś głowy ani nie odpowiedział na moje pytanie.

– Misją JPAC jest poszukiwanie szczątków Amerykanów, którzy zginęli podczas wojen, i sprowadzanie ich do kraju. Misja ta realizowana jest znakomicie.

Epstein zaczął protestować. Nadal nie zwracałam na niego uwagi.

– Prowadzę sprawę żołnierza, który zginął w Wietnamie, a pochowano go w rodzinnym stanie Karolina Północna.

Nic.

– Rodzina i przyjaciele nazywali owego żołnierza Pajakiem.

Śliwki w kształcie półksiężyca lekko się poruszyły.

– Ostatnio wydarzyło się coś dziwnego. W Kanadzie zmarł pewien mężczyzna. Według odcisków palców mężczyzną tym był Pajak. Ale przecież Pajaka pochowano w Lumberton, w Karolinie Północnej.

Cumbo zaczął ogryzać paznokcie u kciuków. Zauważyłam, że są żółte i poszarpane.

– Jak się pan domyśla, sytuacja ta wywołała spore zamieszanie. A armia nie lubi zamieszania. Wszczęli śledztwo w celu ustalenia, w jaki sposób jeden facet mógł być martwy w dwóch różnych miejscach.

Zrobiłam pauzę dla większego efektu.

– Ale sądzę, że pan to wie.

– To śmieszne – odezwał się Epstein.

Nadal go ignorowałam.

– Prawdziwe nazwisko Pająka brzmiało John Charles Lowery.

Epstein i Schoon sprawiali wrażenie zaskoczonych. Epstein szybko tego pożałował. Opanował się i znów przybrał obojętny wyraz twarzy.

– Lecz twierdzi pan, że to pan jest Johnem Charlesem Lowerym. Powiada pan, że zabił Xandra Lapasę w Long Binh czterdzieści lat temu i przejął jego tożsamość.

Umieściwszy przedramiona na stole, nachyliłam się do przodu.

– Ale John Charles Lowery nigdy nie dotarł do Wietnamu, prawda, Reggie?

Cumbo ciągle unikał mojego wzroku.

– Pamiętasz Pająka. Byliście kuzynami. Chodziliście razem do szkoły. Graliście razem w bejsbol. Czy to nie ty namówiłeś Pająka do zapisania się do drużyny?

Paznokcie Cumbo klikały w przyspieszonym tempie.

– Chcesz wiedzieć, jak umarł Pająk? Przywiązał sobie kamień do nogi i utopił się. Jego ciało leży teraz w prosektorium w Montrealu. Na identyfikatorze przypiętym do dużego palca u nogi widnieje NN.

Trochę luźne podejście do faktów, ale niedalekie od prawdy.

Epstein machnął lekceważąco ręką.

– Skończyliśmy rozmowę. Ta kobieta została najwyraźniej wprowadzona w błąd. – Chwycił za poręcz swojego fotela i zaczął go odsuwać do tyłu.

– Ma pani rację i myli się. – Oczy Cumbo wwiercały się we mnie.

– Panie Lapasa, zdecydowanie doradzam...

Nie odwracając się, Cumbo uniósł palec, niczym nauczyciel domagający się ciszy.

Epstein zmarszczył się z niezadowoleniem.

Zdjąwszy elastyczne pętle z uszu, Cumbo ściągnął maskę.

Zmusiłam się do zachowania spokoju.

Cumbo nie nosił maski z obawy przed infekcją. Dolna połowa jego twarzy była groteskowo zniekształcona. Podbródek przekrzywiony pod nienaturalnym kątem, zuchwa sprawiała wrażenie o wiele za małej. Domyśliłam się, że większość jej kości została usunięta chirurgicznie. Na karku widniała ogromna wyrwa, a przez gardło, po przekątnej, biegła długa blizna.

– Teraz gramy w otwarte karty? Pani twarz też wygląda do dupy.

Nie spuszczałam oczu z Cumba.

– Rozgryzła mnie pani – powiedział. – Nie jestem Alem Lapasą. I nie jestem Pająkiem.

– Nazywa się pan Reggie Cumbo.

– Nie nazywałem się Reggie Cumbo przez ostatnie czterdzieści lat.

– Zgłosił się pan do pełnienia służby wojskowej zamiast Pająka.

– On nie chciał iść do woja. Więc ja poszedłem.

– Pająk wyjechał do Kanady.

Cumbo wzruszył ramionami.

– Lubił śnieg.

– Utrzymywaliście ze sobą kontakt?

– Przez jakiś czas. Przekazywałem mu listy od jego mamy. Przestałem, gdy pojechałem do Nam.

Usta Cumba wykonały oślizły manewr, rozjeżdżając się na boki.

– Wciąż mam u siebie te jej bzdury.

– Wojsko okazało się inne, niż się pan spodziewał.

Oczy Cumba zwięzły się.

– Walki. Gorąca, cuchnąca dżungla. Chciał pan uciec.

– Ta wojna była bez sensu – odparł defensywnie.

– Więc zamordował pan Xandra Lapasę.

– Co to jest? Powtórka z rozrywki? – Cumbo rzucił maską. Przetoczyła się krzywo po stole i spadła na podłogę.

Zmieniłam temat.

– Posiada pan w Oakland bar o nazwie Savaii.

– To zbrodnia?

– Savaii to miasto na Samoa.

– Teraz już wszyscy będziemy mieć piątkę z geografii.

– Bar Savaii to ulubiona knajpa i kryjówka członków gangu o nazwie Synowie Samoa.

Cumbo uniósł dłonie, po czym ponownie umieścił je na stole. *I co z tego?*

– Jak ktoś pochodzący z Lumberton w stanie Karolina Północna może znaleźć się w gangu SOS?

– Mam odpowiedni wygląd, śniadą cerę, więc pod tym względem pasuję. Indianin, wie pani. – Usta i podbródek Cumba rozjechały się na boki w próbie uzyskania ironicznego uśmiechu. Było to odrażające. – Crips usłyszeli nazwisko Lapasa, doszli do wniosku, że jestem Samończykiem. Odpowiadało mi to, więc nie protestowałem.

Schoon odchrząknął.

Epstein słuchał, milczący i czujny.

– Proszę mi opowiedzieć o Francisie Kealohu.

– Kto to, kurwa, jest Francis Kealoha?

– Może zna go pan jako Frankiego Olopota.

Pod blizną na szyi Cumba jabłko Adama uniosło się i opadło.

– A może George Faalogo? To nazwisko z czymś się kojarzy?

Cumbo się nie odezwał.

– Porozmawiajmy o Nickiem Lapasie.

Brak reakcji.

– Brat Xandra. Xandra Lapasy. Tego biedaka, którego zamordowałeś. Z pewnością orientujesz się, że Nickie Lapasa to człowiek potężny. Bogaty. Na pewno wiesz, że rodzina Lapasów prowadzi interesy, które sięgają daleko poza stan Hawaje. Może nawet do Kalifornii. Mówisz, że wyszukałeś Nickiego w Internecie. A może to takie drobne łgarstwo, Reggie? Czy łączą cię z Nickiem wspólne, powiedzmy, zainteresowania zawodowe?

Schoon nagle się ożywił.

– Nie zamierzamy dyskutować ani na temat spraw osobistych, ani biznesowych Nicholasa Lapasy podczas tego przesłuchania.

– To dlatego przysłałeś tutaj Frankiego i Logo? – naciskałam dalej.

Oczy Cumba zwężyły się jeszcze bardziej, ale nie powiedział ani słowa.

Znów zmieniałam temat.

– Podobno zostałeś objęty śledztwem w sprawie nielegalnego rozprowadzania narkotyków. Sprzedajesz je, siedząc za swoim barem, Reggie?

Teraz nadeszła kolej na protesty ze strony Epsteina.

– Przekracza pani dopuszczalne granice.

– Chcesz poszerzyć teren dystrybucji? – Nie przestawałam drążyć. – To dlatego przysłałeś na Hawaje Kealohę i Faaloga? To twoi frontmeni w nowych projektach?

– Dosyć! – Epstein zerwał się na równe nogi.

– Spieprzyłeś sprawę, Reggie. Wysłałeś Frankiego i Logo na terytorium należące do innego faceta. Słyszałeś kiedyś o L'il Bud T'eo? Wysłałeś ich do królestwa T'eo.

– To oburzające. – Znad kołnierzyka Epsteina rozlewał się w górę czerwony rumieniec.

– Naraziłeś ich na śmierć, Reggie.

– Co takiego, do kurwy? – Wargi Cumba rozsunęły się, odsłaniając język podobny do zdechłego węgorza.

– Rekiny nie pozostawiły zbyt wiele do identyfikacji.

Cumbo zamknął usta, kolejny raz obliznął się oleście.

– Pani metoda prowadzenia przesłuchania jest całkowicie niedopuszczalna.

Po raz pierwszy spojrzałam na Epsteina. Musiałam to facetowi przyznać. Był upierdliwy jak giez.

– Aby móc dalej prowadzić to przesłuchanie, musi się pani ograniczyć wyłącznie do okoliczności dotyczących śmierci Xandra Lapasy.

– Świetnie. Skupmy się na Xandrze. Pański klient powiada, że chce ujawnić swoją rolę w zabójstwie. Ale nadal kłamie co do swojej prawdziwej tożsamości. – Zwróciłam się do Cumba.
– Dlaczego, Reggie?

– Mówiłem. Wyrzuty sumienia.

– Pragniesz spokoju ducha? Przebaczenia? Czy chcesz ratować własną dupę?

Cumbo parsknął szyderczo.

– Wiesz, co myślę, Reggie? Że może gliny wpadły na ślad twojej małej operacji. Że może SOS chce wyrównać z tobą rachunki za narażenie na śmierć Frankiego i Logo. A może dowiedział się, że T'eo wyznaczył nagrodę za twoją głowę. Wszystko jedno. Wątpię, żebyś nadstawiał dupę dla czystego sumienia. Uważam, że chcesz coś załatwić.

Czułam wiatr w żaglach, improwizowałam na bieżąco.

– Zdajesz sobie sprawę, że czas Ala Lapasy się kończy. Masz nadzieję, że John Lowery stanie się twoją nową kartą przetargową, żebyś się wywinął od więzienia. To twój *modus operandi*, prawda? Ukraść komuś tożsamość i zniknąć. Reggie Cumbo staje się Pajakiem Lowerym. Pajak Lowery staje się Alem Lapasą. A teraz czas znów zostać Lowerym. Zniknąć.

Cumbo przesunął głowę do przodu, tak że jego nos znalazł się kilka centymetrów od mojego. Czułam zapach jego potu i zjełczały oddech na mojej twarzy.

Utkwiwszy we mnie oczy, Cumbo zacisnął i gwałtownie rozkurczył palce.

– Bum!

Kropelki śliny prysnęły mi w twarz.

Cofnęłam się z odrazą i sięgnęłam po torebkę. Szukałam chusteczki, gdy otworzyły się drzwi.

Obróciłam się w ich kierunku.

Wyraz twarzy Lô informował, że wydarzyło się coś bardzo złego.

– Czym mogę służyć? – zapytał Schoon.

Lô wskazał na mnie, po czym skierował wygięty kciuk ponad swoim ramieniem. Wstałam i pospiesznie wyszłam do holu.

Ryan stał przed salą konferencyjną, w której wcześniej obserwowaliśmy przesłuchanie. W jego zachowaniu uwidaczniało się napięcie. Prokurator okręgowej nie było.

– Gdzie Cotton? – spytałam.

– Poszła.

Lô nie odezwał się już słowem, dopóki nie przyłączyliśmy się do Ryana. Wtedy rzekł:

– Pinky Atoa nie żyje.

– Dobry Boże. – Byłam zszokowana.

Po obliczu Ryana poznałam, że już wie.

– Jakiś menel znalazł go półtorej godziny temu niedaleko 7-11 na Nuuanu. Dostał jedną kulkę w głowę, trzy w klatkę piersiową.

Zrobiło mi się niedobrze. Atoa miał szesnaście lat. Jeszcze wczoraj zamartwiał się o swojego psa.

– Jego ciało leżało koło kontenera na śmieci. – Lô przełknął ślinę. – Odcięto mu język i przybito do policzka.

Słodki Jezu.

– Kiedy zginął?

– Według Perry mniej więcej między dziewiątą a jedenastą rano.

– Chłopak ledwie zdążył wyjść z aresztu na ulicę. – Nie mogłam w to uwierzyć.

– Tak. Ktoś czekał na niego.

Oczy Lô wyrażały jednocześnie smutek i determinację. Wiedział, co zaszło, wiedział, czego należy się spodziewać w dalszej kolejności.

Ryan i ja mieliśmy za sobą przeżycia w związku z wojną gangów. Widzieliśmy rozlew krwi, bezsensowną śmierć. My także rozumieliśmy, co się dzieje.

– Nie wiem, czy ten kutas Cumbo jest w to zamieszany, ale umowa nie umowa, dupek

zostaje tutaj, dopóki się tego nie dowiem.

– Wyglądał na autentycznie zaskoczonego, kiedy powiedziałam, że Kealoa i Faalogo nie żyją.

– Ta, jest niewinny jak jelonek Bambi.

Lô rzucił okiem na swój zegarek.

– Hung już tu jedzie. Zajmie się Cumbem. Prosiłem Fitcha, żeby dowiedział się czegoś na temat zabójstwa Atoi. Teraz pojedę na miejsce zdarzenia.

Podeszwy butów Lô skrzypiały miękko, gdy kroczył przez marmury.

Wraz z Ryanem skorzystaliśmy z windy i w milczeniu wyszliśmy z budynku.

Podążaliśmy w kierunku zaparkowanego samochodu tym samym chodnikiem, którym szli turyści zapatrzeni w swoje mapy, matki pchające wózki z dziećmi, zakupowicze niosący siatki w jaskrawych kolorach.

Miasto było skąpane w ciepłych szafranowych odcieniach wczesnego wieczoru. Powietrze pachniało morzem i rozgrzаныmi kamieniami, z nutką hibiskusa i mięsa z grilla.

Zbyt piękny dzień, żeby umierać, pomyślałam. Śmierć w wieku szesnastu lat.

Ryan otwierał właśnie samochód, gdy za naszymi plecami zaszumiały opony.

Oboje obróciliśmy się w jednej chwili.

Z grilla chłodnicy oraz spod tylnej szyby crown vica Lô migały niebieskie światła.

Spojrzałam na Ryana. Wyraz jego twarzy dowodził, że żywi obawy podobne do moich.

Podeszliśmy szybko do Lô.

– Dobrze, że was złapałem – powiedział przez otwarte okno. – Dzwonił Fitch. Chodzą słuchy, że Atoa zginął na rozkaz T’eo.

– Kazał zamordować jednego ze swoich ludzi? – Byłam zszokowana i przerażona.

– Ktoś musiał wiedzieć, jak Atoa wchodzi na komendę albo z niej wychodzi, i podkablował to T’eo. Ten uznał, że powinien dać wszystkim przykład.

– Chryste – rzekł Ryan.

– Podobno Ted Pukui dostał dwadzieścia tysięcy za załatwienie chłopaka.

Czekaliśmy.

– Fitch słyszał, że Atoa to dopiero rozgrzewka. T’eo chce przesłać wyraźny sygnał, nie tylko miejscowym, ale też wszystkim Crips na kontynencie. – Lô parsknął z niesmakiem. – Chce budować swoją legendę.

Oczy Lô przesuwały się z Ryana na mnie i z powrotem.

– Gdzie są wasze córki?

– W domu. – Zimna ręka ścisnęła mi serce. – Czemu?

– Zadzwońcie do nich.

Ryan wybrał numer do domu. Nikt nie odbierał. Komórka Lily. Poczta głosowa. Podał mi telefon. Zadzwoiłam do Katy. Poczta głosowa.

– Dlaczego pytał pan o Katy i Lily? – domagałam się odpowiedzi.

– Podobno T’eo oferuje kolejne dwadzieścia tysięcy za was albo za jedno z waszych dzieciaków.

Zimna ręka jeszcze mocniej zacisnęła się na moich piersiach.

– To on stoi za wypadkiem w zatoce Waimanalo. Wynajęcie tych gnojków, którzy zepchnęli panią z drogi, kosztowało go skrzynkę rumu.

– Dlaczego?

– Żeby zniechęcić panią do współpracy z Perry. Nie udało się, i teraz rzuca mu pani ciężkie kłody pod nogi. Tym razem oferuje duże pieniądze.

W oczach Ryana zobaczyłam wściekłość. Poczułam ją w sobie.

– Ale zainteresował się też waszymi dziećmi. Według Fitcha T’eo kazał załatwić albo białą, albo czarną kotkę.

Gdy emocje ją obezwładniały, moja matka zamykała drzwi do swego wnętrza. Ja robię tak samo.

Choć szalały we mnie gniew i strach, na zewnątrz zachowałam lodowaty spokój.

– Jedźcie za mną. – Lô wcisnął jakiś guzik. Pulsujące wycie rozdarło ciszę popołudnia.

Piesi odwracali ku nam głowy. Zatrzymywali się. Albo dalej szli przez swój dzień. Samochody ustępowały miejsca, wjeżdżając na krawężniki.

Ryan rzucił się biegiem, szarpnięciem otworzył drzwi, wskoczył za kierownicę. Wsiadłam na miejsce obok niego.

Przesunął dźwignię zmiany biegów i wcisnął pedał gazu. Samochód wyrwał się do przodu.

– Spróbuj jeszcze raz. – Ryan rzucił mi swoją komórkę. Jechaliśmy zygzakiem przez wyrwę w ruchu ulicznym, spowodowaną syreną radiowozu Lô.

Oparłam się o tablicę rozdzielczą jedną ręką, a drugą wciskałam klawisze telefonu.

Nadal nikt nie odbierał.

– Miały siedzieć w domu. – Ryan trzymał obie dłonie na kierownicy, patrzył na drogę.

– Może są przy basenie – powiedziałam.

Mało przekonujące. Oboje wiedzieliśmy, że zawsze biorą telefony ze sobą.

Ruch był spory, ale dzięki migającym światłom i syrenie dotarliśmy do Kailui w dwadzieścia trzy minuty.

Za mostem przejazd przez Lanikai, potem skręt i podjazd do góry, aż zarzucało tył.

Wypadliśmy z Ryanem z samochodu i pognaliśmy do domu.

– Katy?

– Lily?

Odpowiedziała nam cisza.

Wbiegłam na górę po schodach. Ryan pospieszył na zewnątrz. Po kilku sekundach

spotkaliśmy się w kuchni. Lô już tam był. Nasze twarze mówiły wszystko.

– Gdzie one są, do cholery? – Strach wywołał drżenie w moim głosie.

Ryan położył mi dłoń na ramieniu.

– Na pewno nic im się nie stało.

Lô wciskał klawisze swojej komórki, gdy zazgrzytały łożyska przesuwanych drzwi.

Sześcioro oczu skierowało się błyskawicznie w stronę jadalni.

– No nareszcie. – Katy jakoś udało się wyrazić równocześnie nadąsanie i niepokój.

– Gdzie Lily? – warknęłam.

– Sama chciałabym wiedzieć. Polazła z jakimś frajerem o urodzie radiowej. Przejęłam się, poszłam jej szukać. Najpierw centrum handlowe, teraz dzisiejszy wieczór. Jeszcze raz i można uznać, że wprost baluje na tej wyspie.

– Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś?

– D zwoiłam. Nieustannie. – Nagle zrozumiała. – Och, kurczę. Co za idiotka ze mnie. Twój BlackBerry leży na dnie oceanu.

– Kiedy stąd wyszli? – zapytał Lô.

– Jakies pół godziny temu.

– Jak wyglądał ten facet?

– Kim pan jest?

– To detektyw – powiedziałam ostro. – Odpowiadaj na pytania.

– Czy Lily coś grozi? – W oczach Katy pojawiła się panika. – Mówiłam jej, żeby nigdzie nie szła.

– Jak wyglądał? – powtórzył Lô.

– Dredy, łańcuchy, w ogóle taki gangster.

Lô spojrzał ukosem na Ryana.

– Wiesz, dokąd poszli? – Staralam się usilnie opanować ogarniające mnie przerażenie.

– Na jakiś szlak. Ten koszmarny chłopak opowiadał, że widok stamtąd jest super.

– Grań Kaiwa. – Lô był już prawie w biegu.

– Wy dwie zostańcie tutaj. – Ryan rzucił się za Lô.

Obróciłam się twarzą do Katy.

– Daj mi swoje adidas.

– Co takiego?

– Dawaj.

Rozwiązała sznurówki i wręczyła mi buty. Zrzuciłam swoje sandały i wcisnęłam na stopy adidas.

– Kurtka.

Rzuciła mi ją.

– Pozamykaj na klucz wszystkie drzwi, włącz system alarmowy, a potem idź do swojego pokoju i zostań tam. Jeśli usłyszysz alarm, nie czekaj. Zadzwoń na 911.

– Ale...

– Rób, co mówię! Jesteśmy wszyscy w niebezpieczeństwie. Zachowaj czujność.

Wciągając na siebie kurtkę, wyskoczyłam przez drzwi.

Słońce stało nisko, rzucając długie atramentowe cienie na trawnik i ulicę. Wkrótce miał zapaść zmrok.

Rozejrzałam się dookoła.

Kilkaset metrów na południe ode mnie Ryan skręcał właśnie z Mokulua na Kaelepulu, sadząc silnymi, równymi susami. Wiedziałam, że Lô biegnie gdzieś przed nim.

Gnałam przez smugi światła i cienia. Nie miałam pojęcia, dokąd zmierza Lô. Gdybym straciła Ryana z oczu, byłoby po wszystkim.

Skręciłam za rogiem. Kilka przecznic wyżej po prawej stronie znajdowało się wejście do Mid-Pacific Country Club. Tuż przed nim Ryan ściał drogę w lewo.

Pędziłam co sił, dobiegłam do tego samego miejsca. Ujrzałam stamtąd drogę dojazdową, łączącą się z główną. Wybrałam ją.

Dokładnie przede mną Ryan zniknął w ciemnej wyrwie wśród roślinności za płotem

z drucianej siatki.

Pognałam w kierunku otworu.

W górę zbrocza pod niewiarygodnym kątem wiła się wąska ścieżka.

Mogę być potrzebna Lily!

Jedną ręką chwyciwszy za płot, drugą za gałąź najbliższego drzewa, oparłam stopę o ziemię i podciągnęłam się tak, aby stanąć na ścieżce, w miejscu, gdzie rozpoczynał się szlak.

Sypka gleba i kamienie spadły kaskadą w dół.

But stracił przyczepność.

Upadłam.

W mojej już i tak kontuzjowanej rzepce kolanowej eksplodował ból.

Wstałam. Zbadałam grunt.

Naprzód!

Chwytając się kolejnych drzew, podciągałam się w górę.

Sto metrów? Dwieście? Miałam teraz wrażenie, że wspinam się na Everest.

Wreszcie szlak wyrównał się, zaczął biec prawie poziomo. Drzewa ustąpiły niskim zaroślom, trawie i wulkanicznym skałom.

Ryan i Lô znajdowali się wysoko na grani, ciemne postacie poruszające się szybko przez gęstniejący mrok.

Dobry Boże!

Ścieżka biegła teraz krawędzią urwiska. Żadnej barierki. Żadnych pni drzew. Po lewej nic poza ziejącą pustką.

Zatrzymałam się, dysząc, serce waliło mi młotem.

Daleko w dole od strony północnej widziałam zatokę Kailua, od południowej zaś zatokę Waimanalo. Domki liliputów. Plaża Lanikai. Dwie wysepki Mokulua, maleńkie czarne guzki na morzu koloru dojrzałej dyni.

Wiatr rozwiewał mi kurtkę i targał włosy, tworząc z nich sploty jak u czarownicy. Spod zbyt gładkich gumowych podeszew moich adidasów osuwały się drobne kamyczki.

Wysokość. Zdradzieckie obuwie. Lęk o Lily.

Adrenalina na przemian wysyłała mnie w kosmos i z powrotem.

Parłam naprzód.

Dziesięć minut przedzierania się w górę, następnie zakręt.

Wysoko na grani, jakieś dwadzieścia pięć metrów ode mnie, wyrósł czarny kształt. Kwadratowy. Z betonu. Pozostałość po drugiej wojnie światowej.

Na tyłach bunkra dostrzegłam jakąś postać. Ryana, przykucniętego i gotowego do skoku.

Z tej odległości nie byłam w stanie stwierdzić, co przykuło jego uwagę. Nigdzie nie widziałam Ló.

Potrzebowałam chwili, aby ocenić sytuację.

Bunkier wychodził frontem na morze. Ktoś znajdujący się w jego wnętrzu nie zobaczy, jak się zbliżam. Wiatr zagłuszy wszelkie odgłosy, które mogę wywołać.

Ostrożnie stawiając stopy, zaczęłam się wspinać.

Brakowało mi jeszcze trzech metrów, gdy Ryan obrócił się gwałtownie, gotowy do ataku.

Jego oczy rozszerzyły się, po czym skamieniały w gniewie. Uniesione ramiona nieco opadły. Ruchem dłoni, skierowanej w dół, kazał mi ustawić się za jego plecami.

Podbiegłam do niego i przycupnęłam w przysiadzie.

Wtedy zauważyłam chłopca.

Leżał ukryty w cieniu rzucanym przez bunkier, dredy okalały jego głowę niczym węże głowę Meduzy. Miał zamknięte oczy. Jego klatka piersiowa nie unosiła się.

Drżącymi palcami dotknęłam szyi chłopca. Nie wyczułam tętna.

Szukałam dalej, a wtedy jego powieki nagle zatrzepotały. Uniosły się lekko.

Znalazłam jego dłoń i uściśnęłam. Przysunęłam się bliżej. Usłyszałam rżący oddech.

– Sarah? – Ledwo słyszalne słowa porywał wiatr. – Tak zimno.

Zdjęłam kurtkę i okryłam go.

Skrzywił się zdezorientowany, jego oczy patrzyły nieprzytomnie.

– Zimno. Zamarzam. – Wargi drżały mu niepoohamowanie.

– Nic ci nie będzie – wyszeptałam mu wprost do ucha. – Zabierzemy cię do szpitala. Jesteś młody. Wyjdiesz z tego.

– Nic nie widzę, Sarah.

– Poczekaj. – Objęłam go mocniej, czując w nagrodę słabe pulsowanie krwi.

– Wszystko jest czarne – wymamrotał. – Sarah, ja umieram.

Dygotałam z zimna lub strachu. Na całym ciele miałam gęsią skórę.

Chłopiec zakaszlał mokrym kaszlem. Jego usta były całe ciemne. Zbyt ciemne.

Przycisnęłam swoją klatkę piersiową do niego, chcąc oddać mu moje ciepło i siły.

Proszę, Panie Boże!

– Boję się. – Jego wargi znalazły się tuż przy moim uchu. – Cholera. Nie chcę u...

Coś nie pozwoliło mu mówić.

Śmierć?

Nie! Nie!

Po policzkach spływały mi gorące łzy.

Poczułam, jak obok mnie Ryan cały się spina.

Uniosłam głowę.

Podążyłam za jego wzrokiem.

Każdy mięsień w moim ciele zeszywniał nagle.

Jakiś człowiek włókł Lily ku jednemu z pozbawionych drzwi otworów wejściowych do bunkra. Jedna mięsista łapa trzymała ją za gardło. W drugiej tkwił pistolet, przyłożony do skroni dziewczyny.

Pukui? To musiał być on. Pracował na swoje dwadzieścia kawałków.

Ryan przygotowywał się do skoku.

Pukui pchnął Lily w kierunku części bunkra wychodzącej w morze. Widziałam, że ścieżka w tym miejscu ma najwyżej trzydzieści centymetrów szerokości.

Oczy Lily przypominały oczy przerażonego psa, z wielkimi białkami, przeniecone strachem.

Wyciągnęłam szyję ponad ramieniem Ryana, bojąc się nawet spojrzeć i bojąc się nie patrzeć.

Nagle w mroku na dachu bunkra zmaterializował się Lô, przygarbiony, z glockiem w obu rękach wycelowanym w Pukui. Posuwał się powolutku naprzód, macając grunt stopami, nie śmiejąc spojrzeć w dół. Jeden krok. Drugi.

Lô znajdował się już niemal przy krawędzi dachu bunkra, gdy nagle Pukui wetknął pistolet pod brodę Lily i zmusił ją do uniesienia głowy. Zaskowyczała z bólu.

Lô znieruchomiał.

Ryan oparł się jedną ręką o beton.

Głowa Pukui odwracała się z prawa na lewo.

– Mamy towarzystwo? – krzyknął Pukui. – Wyświadczyć sobie przysługę, brachu. Spieprzaj stąd.

Cisza.

– Nie pogrywaj ze mną, koleś. – W głosie Pukui słychać było prawdziwy jad.

Zdawało się, jakby następne sześćdziesiąt sekund trwało godzinę. Lô skoncentrował się. Wypalił.

Strzał i krzyk zlały się w jeden dźwięk.

Tułów Pukui wywinął się w lewo. Broń wyleciała mu z ręki i sturlała się w mrok. Lily wyrwała się na wolność.

Pukui szarpnął ją za kaptur kurtki.

Lily upadła ciężko na tyłek. Starła się teraz zachować przyczepność, walcząc nogami i rękami.

Ryan skoczył. Celował zgięciem dłoni w jabłko Adama napastnika.

Pukui zachwiał się do tyłu.

Ryan pochwycił Lily. Odciągnął ją od krawędzi urwiska.

Pukui zgiął się w pół, chwytając powietrze. Jego twarz skurczyła się już tylko do

otwartych ust, ziejących w gęstniejącym mroku.

Rozległ się kolejny strzał.

Mężczyznę zakreśliło. Upadł na plecy.

Z ust ściekała mu piana, z rany na piersi sączyła się krew.

Jedna noga drżała konwulsyjnie. Wierzgał biodrami.

Zanim Ryan zdążył się poruszyć, Pukui przetoczył się na bok i spadł z klifu.

Wysoko na niebie przeleciał odrzutowiec, pozostawiając za sobą ślad podobny do waty cukrowej. Ciepła bryza kołysała szczytami sosen taeda i marszczyła jasnozielone morze trawy.

Grób u naszych stóp roztaczał zapach świeżo wzruszonej ziemi. Na pstrokatej murawie spoczywał bukiet kwiatów, zwiędłych i zbrązowiałych goździków z supermarketu. Obok niego z kijka z balsy zwisała maleńka amerykańska flaga.

Stary nagrobek zniknął. W jego miejscu błyszczał różowo nakrapiany kamień. Widniał na nim wyraźny i lśniący biały napis, świeża rana w granicie.

Specjalista 2. stopnia Luis Alvarez,

Armia Stanów Zjednoczonych

28 lutego 1948–23 stycznia 1968

Zginął jak bohater.

Gdy okazało się, że JPAC nie może znaleźć nikogo z rodziny Alvarezów, Platon zaoferował ów grób na cmentarzu Gardens of Faith. Stwierdził, że miejsce to należy się Alvarezowi, że w ojczystej ziemi znajdzie spokój wieczny. Zamówił kamień nagrobny.

Za naszymi plecami, nieopodal niewielkiego skupiska sosen kładły się na trawie cienie kolejnych dwóch pomników. Wraz z Katy ułożyliśmy kwiaty przy jednym z nich, wznoszącym się nad nowym grobem.

John Charles „Pająk” Lowery

21 marca 1950–5 maja 2010

Kochał wszystkie żywe stworzenia

Drugi pomnik ponad nienaruszoną murawą czekał.

Platon Maximus Lowery

Kochający mąż Harriet Cumbo Lowery

Ojciec Johna i Thomasa

14 grudnia 1928–

Szeryf Beasley miał rację. Platon Lowery był dobrym człowiekiem.

Jak na ironię, to właśnie wiedza naukowa, której Platon tak dramatycznie nie ufał, przywróciła mu wiarę w żonę i rodzinę. Badania DNA potwierdziły moje podejrzenia, iż Harriet była chimera.

Na moją prośbę Reggie Cumbo oddał listy, które Harriet wysyłała do syna po jego powołaniu do wojska. Ślina pozostała na znaczkach i kopertach wystarczyła jako wiarygodna próbka. Uzyskane tą drogą DNA różniło się od tego, które znajdowało się w preparatach histopatologicznych Harriet, a jednocześnie odpowiadało DNA znajdującemu się w próbkach pobranych od ofiary ze stawu w Hemmingford, czyli Pajaka Lowery'ego.

Być może przekazanie listów stało się dla Reggiego Cumbo ostatnim aktem odkupienia. Niedługo później znalazł się bowiem w hospicjum.

Pinky Atoa posiadał błędne informacje, wedle których Cumbo miał być jakoby członkiem gangu Synowie Samoa. Cumbo faktycznie był OG, i owszem, ale nie w znaczeniu *original gansta*, lecz *old guy*^[16], którego własnością był ulubiony lokal gangu SOS.

Cumbo prowadził szemrany bar Savaii, na który patrzono przez palce, może dawał też łapówki, wątpliwe jednak, by wysyłał Kealohę i Faaloga na Hawaje. Na pomysł, aby rozszerzyć działalność na wyspy, ci dwaj wpadli zapewne sami.

Nie można było postawić Cumbowi żadnego zarzutu. I tak miał wkrótce umrzeć. O wszystkich jego sprawkach nigdy się nie dowiemy.

Ciągle zastanawiałam się nad motywami, którymi kierował się Cumbo, ujawniając się po tylu latach. Czy przeżył to, co przed nim Lee Atwater?^[17] Głęboką przemianę wewnętrzną, która u schyłku życia każe wybrać inną hierarchię wartości? Czy powodowały nim wyrzuty sumienia za zabójstwo Xandra Lapasy, jak twierdził? A może widoki na nowy biznes, chęć uzyskania spadku po Teresie-Sophii? Tego też się zapewne nigdy nie dowiemy.

Nie potrafiłam ponadto do końca zrozumieć dziwnej przemowy Cumbo, wygłoszonej do niewidzialnego Nickiego Lapasy w sali konferencyjnej, w obecności Schoona. Nie istniały żadne dowody, by ci dwaj kiedykolwiek się spotkali. Być może Cumbo uważał za rzecz ważną wypowiedzenie się przed bratem Xandra w obliczu własnej zbliżającej się śmierci. Wcześniej przecież szukał Lapasów w Internecie i skorzystał z okazji wyjazdu na Hawaje, mając prawdopodobnie nadzieję, że zobaczy Nickiego.

Nickie Lapasa zgodził się w końcu na pobranie próbki DNA od swojej siostry. Nie miałam wątpliwości, że Xander niebawem powróci na łono rodziny.

Podejrzewam też, że moje wrażenie co do przyczyn początkowej niechęci Nickiego w sprawie próbek DNA było słuszne. Jeśli nawet obecnie prowadził czyste interesy, pierwsze nauki pobierał od Aleksa, obserwował problemy ojca i przejął zapewne jego nieufność do policji i władz.

Hadley Perry przetrwała polityczną burzę wywołaną zamknięciem zatoczki Halona

i znów niepodzielnie rządziła swym królestwem śmierci. Nigdy nie dowiedziałam się, czy łączyło ją coś z Ryanem. Nigdy nie pytałam.

Chłopak spod bunkra przeżył. Nazywał się Barry Byrd. Miał 19 lat, grał na sakcie w zespole jazzowym, razem ze swoją siostrą o imieniu Sarah studiował zaocznie na uniwersytecie.

Lily poznała Byrda podczas wizyty w centrum handlowym Ala Moana, która tak bardzo zirytowała Katy. Oboje utrzymywali kontakt telefoniczny. Tej nocy, gdy Katy zobaczyła Byrda przy basenie, mieli się właśnie spotkać.

Pocisk wystrzelony przez Pukui wyrwał Byrdowi kawałek ramienia i zmiażdżył mu obojczyk. Chłopak stracił sporo krwi, ale lekarze pogotowia, którzy przylecieli helikopterem, zdążyli na czas. Z Centrum Medycznego Queen's wypisano go dwa dni później.

Ciała Teda Pukui nie odnaleziono do dziś. Może spadło w szczelinę skalną albo zaklinowało się między jakimiś głazami. Lub też fale porwały je na pełne morze. To drugie w jakiś sposób wydawało się wymierzeniem sprawiedliwej kary za śmierć Kealohy i Faaloga.

L'il Bud T'eo utrzymywał, że Pukui działał na własną rękę. Nie miał podobno zielonego pojęcia, z jakiego powodu tamten mógłby zrobić coś takiego. Jak dotąd policja nie znalazła żadnych dowodów, jedynie pogłoski, wiążących L'il Buda z zabójstwem Atoi. Oraz ze zgładzeniem Kealohy i Faaloga. Jednak Lô i Hung nie zamierzali się poddawać. Któregoś dnia go dorwą.

Tyle mistyfikacji. Tak wiele tajemnic. Czy tak powinniśmy przeżywać nasze życie?

Lily oszukała nas co do swojej relacji z Barrym Byrdem. Reggie oszukiwał cały świat, najpierw podając się za Johna Lowery'ego, a potem za Ala Lapasę. Tak samo postąpił Pająk, żyjąc jako Jean Laurier i utrzymując w tajemnicy swoje uzależnienie od zabaw z plastikową folią, rektoskopem i różowymi majtkami. Platon ukrywał bolesną ewentualność, że jego rodzina być może nie jest jego rodziną, choć w głębi duszy nigdy nie wierzył w owe tłumione w sobie podejrzenia.

Kto wie, co Nickie Lapasa trzymał z dala od światła dziennego.

Pozostawało więc wiele pytań bez odpowiedzi.

Także Katy miała swoje własne pytania.

Dlaczego Coop nie wyruszył w drogę o jeden dzień wcześniej? Albo o jeden dzień później? Dlaczego znalazł się na tej szosie dokładnie w tamtej chwili?

Dlaczego podejmujemy decyzje, które podejmujemy?

Charlie Hunt zadzwonił w dniu, w którym wróciłam do Charlotte. Byłam uprzejma, ale unikałam jednoznacznych reakcji. Dlaczego?

Czy ze względu na Ryana? A jeśli tak, to czemu trzymałam Ryana poza swoją emocjonalną barierą ochronną?

Dlaczego Ryan winił siebie za uzależnienie Lily? Dlaczego Lily zatruchiwała swój organizm narkotykami?

Obserwowałam moją córkę, gdy zastanawiała się nad epitafium wrytym na nagrobku Alvarosa. Znałam ból, który odczuwała. Alvarez miał dwadzieścia lat, gdy zginął. Coop – dwadzieścia pięć.

Katy z charakterystycznie zwieszonymi ramionami, przygryzioną wargą, falami włosów z obu stron twarzy.

Patrząc na moją córkę, niemal odchodziłam od zmysłów z miłości. Wiedziałam, że zrobiłabym dla niej wszystko. Oddałabym życie, żeby ją chronić.

Lecz wiedziałam również, że nie zdołałam uchronić jej od każdego cierpienia.

Ryan wrócił z córką do Montrealu. Jego obawy o to, że Lily znów bierze heroinę, okazały się nieuzasadnione. Na razie. Miałam najszczerzą nadzieję, że Lily wyjdzie na prostą.

Lutetii nie było w domu, aby przywitać powracającą córkę. Wyjechała do Nowej Szkocji. Jeszcze jeden przejaw ironii losu. Telefon od Lutetii do Lily stał się impulsem, który spowodował u Katy zmianę nastawienia na łagodniejsze.

Spytałam Katy o tę niespodziewaną więź między dziewczynami i zdziwiłam się jej odpowiedzią. Jej zdolnością do współczucia i dojrzałością.

Lily dorastała bez ojca, powiedziała Katy, i potwornie zależy jej na akceptacji, zwłaszcza ze strony mężczyzn. Kiedyś zastała Lily w jej pokoju zalaną łzami.

Pochwaliła buty tamtej.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie tej rozmowy.

Katy odwróciła się. Wetknęła włosy za ucho.

– Dlaczego się śmiejesz?

– Tak sobie – odparłam. – Jedziemy do Charleston?

Skinęła głową.

Poszłyśmy szutrową ścieżką wijącą się między nagrobkami i przyszczyżonymi krzewami.

– Co za niepotrzebna strata – odezwała się Katy. – Coop. Luis Alvarez. Ten facet Xander.

Wszyscy tacy młodzi i pełni życia. A teraz nie żyją.

Pozwoliłam jej mówić. Rozmawialiśmy o tym wcześniej, ale rozumiałam jej potrzebę znalezienia upustu dla uczuć.

– Czasem nawet zastanawiam się nad tymi dwoma facetami zrzuconymi z klifu na Makapu'u Point. I nad tymi, którzy ich zrzucili.

– To zupełnie co innego. Ci ludzie dokonali pewnych życiowych wyborów, że będą krzywdzić innych i narażać się na ryzyko. Raczej nie zasługują na uzalanie się nad nimi.

Oblicze Katy zachmurzyło się.

– Ale w jakimś stopniu zachodzi tu podobieństwo. Młodzi ludzie podejmują decyzje, które doprowadzają ich do śmierci.

– To nie fair zrównywać żołnierzy, gliniarzy czy strażaków z facetami, którzy zadają cierpienie i narażają się na niebezpieczeństwo dla osiągnięcia osobistych korzyści.

– Oczywiście, że nie fair. Nie o to mi chodzi. Żołnierze tacy jak Luis Alvarez to bezinteresowni bohaterowie. Gangsterzy w rodzaju Kealohy i Faaloga to służące wyłącznie sobie szumowiny.

– Chyba nie bardzo rozumiem – rzekłam.

– Sama już nie wiem – westchnęła Katy. – Ciągłe zadaję sobie pytanie, dlaczego jedni ryzykują, żeby zrobić coś sensownego, inni natomiast – żeby krzywdzić ludzi.

– I dlaczego po obu stronach tego równania jedni żyją, a drudzy umierają.

– No właśnie.

– Ludzie zadają sobie takie pytania od momentu, gdy zaczęli malować obrazki na ścianach jaskiń. – Przykazałam sobie w myślach, żeby dać jej egzemplarz książki *Most San Luis Rey* Wildera.

Wychodząc z cmentarza przez wielką bramę z kutego żelaza, odwróciłam się, aby po raz ostatni spojrzeć na grób Johna Lowery'ego.

Jakąż pajęczą sieć upletliście z Reggiem, pomyślałam. Tyle bólu i mistyfikacji. Tylu ludzi złapanych i zaplątanych w jej nici.

Aloha, Pająk.

Gracias, Luis.

Obyś znalazł tu spokój wieczny, Platonie.

Moja mazda stała w tym samym miejscu, w którym zaparkowałam ją w dniu ekshumacji.

– Masz zamiar dalej toczyć tę grę ze światem, twardzielko?

– Szykuję się do baraży. – Katy uśmiechnęła się. Ponuro.

– Jak sądzisz, co Coop mógł dla ciebie zostawić?

– Nie mam pojęcia.

– Przekonajmy się.

^[16] Ang. „starszy facet”.

^[17] Lee Atwater, amerykański strateg polityczny, autor negatywnych kampanii w amerykańskich mediach z lat 80. XX w. Zapędził się tak dalece, że na łożu śmierci przeproszał swe polityczne ofiary.

Z akt medycyny sądowej dr Kathy Reichs

Dopóki nie wrócą do domu

Misja Wojskowej Połączonej Komendy Poszukiwania i Rejestrowania Żołnierzy Zabitych i Zaginionych, czyli JPAC, polega na odnajdywaniu Amerykanów przetrzymywanych jako jeńcy wojenni oraz odzyskiwaniu ciał tych, którzy zginęli w minionych konfliktach zbrojnych. JPAC powstał w roku 2003 z połączenia CILHI, czyli Centralnego Laboratorium Identyfikacyjnego Armii USA na Hawajach oraz JTF-FA, Sił Zadaniowych Komisji Rejestracji Zaginionych. Jak dotąd władze amerykańskie nie znalazły dowodów na to, by wciąż przetrzymywano gdzieś żywych jeńców wojennych, dlatego codzienna działalność JPAC koncentruje się na prowadzeniu dochodzeń oraz poszukiwaniu i identyfikacji szczątków.

Każdego miesiąca JPAC identyfikuje średnio sześć kompletów ludzkich szczątków. Jest to skomplikowany proces wymagający gruntownej wiedzy z zakresu medycyny sądowej oraz wielokrotnych analiz weryfikacyjnych.

Tu właśnie zaczyna się moja rola. Jeszcze za czasów, kiedy CILHI było niezależne, współpracowałam z tą instytucją jako konsultant zewnętrzny. Moje obowiązki obejmowały analizowanie akt żołnierzy, marynarzy, lotników oraz żołnierzy piechoty morskiej, którzy zostali wstępnie pozytywnie zidentyfikowani. Dwa razy w roku musiałam podróżować służbowo do laboratorium w Honolulu, aby nadzorować kilka spraw i złożyć sprawozdanie.

Hawaje. Środek zimy. Sądzicie, że tak łatwo było mi uzyskać zgodę dziekana mojego wydziału na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Charlotte, gdzie wykładałam na pełny etat?

Ryan narzekał przy Tempe, że wojsko uwielbia te wszystkie zabawy z literkami. W CILHI otrzymałam do dyspozycji słownik skrótów gruby jak moje ramię. KIA/ BNR: zabity w akcji, ciała nie odnaleziono. DADCAP: wojenny patrol lotniczy od świtu do zmierzchu; AACP: wysunięte lotnicze stanowisko dowodzenia; TRF: ustalona częstotliwość radiowa albo zakłady remontowe okrętów podwodnych trident. Sądzę, że w tym przypadku liczy się kontekst. Wiecie jednak, o co chodzi. Wszystko to sprawia, że cywil chciałby wstąpić do AAASKA: Asocjacja na rzecz Abolicji od Absurdalnych Skrótów i Kretyńskich Akronimów.

Staralam się zawrzeć w książce choć garść informacji na temat operacji prowadzonych przez JPAC, jednak większości ich działań nie zdołałam w *Kościach Pająka* opisać. Przedstawiciele JPAC prowadzą ciągłe negocjacje z różnymi rządami na całym świecie, blisko współpracując z odpowiednimi amerykańskimi agencjami w tropieniu wszelkich śladów mogących doprowadzić do odnalezienia i sprowadzenia do kraju ciał żołnierzy USA.

Co roku grupy poszukiwawcze JPAC przemierzają świat konno, statkami, pociągami i helikopterami, aby odzyskać szczątki żołnierzy zaginionych podczas II wojny światowej, wojny koreańskiej, zimnej wojny oraz konfliktów w Azji Południowo-Wschodniej. Przedzierają się przez dżunglę, spuszczają po urwiskach, zanurzają w okopach i wspinają na wysokie góry,

przenosząc na plecach dziesiątki kilogramów niezbędnego sprzętu. W porównaniu z tym moja praca wyglądała jak spacer po parku. Przynajmniej w sensie fizycznym. Emocjonalnie trzymała za gardło.

Poprzez Tempe starałam się przekazać uczucia, jakich doznawałam podczas analizowania akt mężczyzn i kobiet zabitych wiele lat temu daleko od domu w służbie ojczyźnie. Mapy, fotografie, korespondencja, historia jednostek wojskowych, dane medyczne i osobowe sprawiały, że każda z tych spraw stawała się boleśnie realna.

Ale okres mej współpracy z CILHI nie był wyłącznie smutny. Kiedy nie skupialiśmy się na obowiązkach, mieliśmy z kolegami sporo dobrej zabawy. Pamiętam, jak Hugh Berryman, P. Willey i ja taplaliśmy się w wodzie fal przyboju na Waikiki, chichocząc jak dzieci. Wspominam również pewną wycieczkę, podczas której Jack Kenney wielokrotnie zignorował sygnalizację drogową, zyskując sobie na trwałe ksywkę „Czerwone Światło”. Albo gdy Mike Finnegan i reszta zespołu udawali moją ochronę składającą się z tajnych agentów oraz osobistego agenta literackiego podczas wieczorku autorskiego połączonego z podpisywaniem książek. Dzięki pracy i rozrywkom tworzyły się i umacniały między nami więzi, które przetrwają całe życie.

JPAC nie zawsze wyglądało tak, jak opisałam je dzisiaj. Gdy na początku lat 90. XX w. siedzibę główną agencji przenoszono do Bazy Sił Powietrznych w Hickam, w skład personelu wchodziło zaledwie kilku antropologów. Obecnie pracuje ich tam ponad 25.

Rozszerzył się również zakres prowadzonych działań. W 2008 roku CIL uruchomiło Akademię Nauk Sądowych, zaawansowany program z zakresu antropologii sądowej pod auspicjami Departamentu Obrony. W roku 2009 badawczy okręt hydrograficzny, należący do Marynarki Wojennej USA, o nazwie USNS „Bruce C. Heezen”, przeprowadził podwodną operację poszukiwawczą na wietnamskich wodach terytorialnych. Było to wydarzenie rangi historycznej, wyraz zacieśniającej się współpracy między JPAC a rządem Wietnamu.

Zmiany zachodziły także wówczas, gdy *Kości Pająka* oddano już do druku. W dniu 29 stycznia 2010 roku kontradmirał Donna L. Crisp ustąpiła miejsca na stanowisku komendanta JPAC generałowi dywizji Stephenowi Tomowi.

Misja JPAC należy do niewdzięcznych. Wciąż nie odnaleziono około 78 tysięcy żołnierzy amerykańskich zaginionych podczas II wojny światowej, 8100 z czasów wojny koreańskiej, 120 z okresu zimnej wojny oraz 1800 zabitych w Wietnamie. Personel agencji niezmordowanie prowadzi poszukiwania, przeprowadza rozpoznanie, rozmawia, kopie, analizuje, mierzy i wykonuje testy.

W holu kwatery głównej JPAC wisi tablica pamiątkowa, na której wygrawerowano słowa o podobnej wymowie do tych, które znajdują się na emblematkach upamiętniających jeńców wojennych oraz żołnierzy zaginionych w akcji: *Nigdy nie zostaną zapomniani*. Na małych mosiężnych plakietkach widnieją nazwiska tych, których zidentyfikowano od roku 1973. Tak się szczęśliwie składa, że plakietek tych jest bardzo wiele.

Motto towarzyszące JPAC znajduje się na początku tej książki: *Dopóki nie wrócą do domu*.

Pracownicy JPAC kończą wszystkie swoje spotkania i imprezy, wymawiając głośno te słowa. W roku 2009 grupy poszukiwawcze wyruszyły na teren 16 krajów, realizując 61 misji. Zatrudnieni w JPAC naukowcy zidentyfikowali szczątki 91 mężczyzn i kobiet.

I zidentyfikują jeszcze o wiele więcej.

Dopóki wszyscy nie wrócą do domu.

Informacje o Wojskowej Połączonej Komendzie Poszukiwania i Rejestrowania Żołnierzy Zabitych i Zaginionych (Joint POW/MIA Accounting Command – JPAC) znajdują się na stronie internetowej www.jpac.pacom.mil.

Szczegółowe informacje o zaginionych obywatelach amerykańskich można uzyskać telefonicznie lub pisemnie w:

Department of the Army

U.S. Army Human Resources Command

Attn: AHRC-PDC-R

200 Stovall Street

Alexandria, VA 22332-0482

tel.: 800-892-2490

Headquarters U.S. Marine Corps

Manpower and Reserve Affairs (MRA)

Personal and Family Readiness Division

3280 Russell Road

Quantico, VA 22134-5103

tel.: 800-847-1597

Department of the Navy

Casualty Assistance Division (OPNAV N135C)

POW/MIA Branch

5720 Integrity Drive

Millington, TN 38055-6210

tel.: 800-443-9298

Department of the Air Force

HQ Air Force/Mortuary Affairs

116 Purple Heart Drive

Dover Air Force Base, DE 19902

tel.: 800-531-5803

Department of State

U.S. Department of State

CA/OCS/ACS/EAP/SA29

2201 C Street NW

Washington, DC 20520-2818

tel.: 202-647-5470

